

Jerzy Ślaski

Żołnierze wyklęci

Od autora

Mimo sugestii, kierowanych pod adresem autora z różnych stron, nie jest to ciąg dalszy *Polski Walczącej* ani suplement do niej. Wprawdzie i tam, zwłaszcza w II wydaniu, które cenzorzy jeszcze czytali, ale już mniej myśleli o tym, co skreślić, a więcej o tym, co wkrótce z nimi będzie, zawarłem wątki stanowiące temat *Żołnierzy wyklętych*, lecz uczyniłem to w sposób fragmentaryczny.

Także i ta książka nie odzwierciedla całości tej problematyki. Nie dysponuję odpowiednimi materiałami, a na to, by dobijać się do archiwów i przekopywać w nich hałdy teczek, sił już nie staje. Z pewnością księga, przypominająca walkę, jaką przeciw sowietyzacji Polski prowadziło zbrojne podziemie, jest potrzebna i wierzę, że ona powstanie. W pracy nad nią jej autorom książka ta powinna być pomocna. Mówi bowiem o mało znanych dziejach zgrupowania, które w walce tej odegrało istotną rolę, mianowicie zgrupowania „Orlika”.

Nie jest to jednak monografia tego zgrupowania. Jego działalność w latach okupacji niemieckiej zrelacjonowałem zaledwie w jednym rozdziale i to głównie dlatego, by uprzedzić zarzut, że żołnierze „Orlika” stali wtedy z bronią u nogi, a zaczęli z niej strzelać dopiero po wejściu na ich teren Armii Czerwonej. Natomiast jego późniejsze dzieje starałem się ukazać na szerszym tle walki zbrojnej oddziałów poakowskich, toczonej w całym kraju, przypominając jednocześnie ówczesną sytuację Polski.

Niewątpliwie praca ta ma wiele usterek. Zapewne też znajdą się tacy, którzy *zarzucą* autorowi, że kogoś pominął, a kogoś innego niesłusznie wyeksponował. Znam środowisko kombatanckie i wiem, że tak będzie. Ale napisanie tej książki uważałem za swój obowiązek wobec mych towarzyszy broni z tamtych lat. Poległych, zamordowanych, zmarłych i tych, którzy jeszcze żyją.

Za to, że zdołałem się z niego wywiązać, dziękuję dawnym żołnierzom „Orlika”, Zdzisławowi Jaroszowi i Zygmuntowi Kultysowi, bez których inspiracji i współdziałania ta książka by nie powstała. Dziękuję za relacje innym koleżankom i kolegom z Armii Krajowej. Niech podziękowanie zechcą przyjąć p. Waldemar Strzałkowski za pomoc w wydaniu tej pozycji i p. Andrzej Krzysztof Kunert za to, że dzięki jego ustaleniom uniknąłem szeregu błędów i nieścisłości.

Oficynie Wydawniczej „Rytm” wraz z jej dyrektorem p. Tadeuszem Marianem

Kolarskim gratuluję odwagi, jaką wykazała, podejmując ryzyko wydania książki, mówiącej o sprawach, które rzekomo nikogo już dziś nie interesują.

Ale w tym miejscu chciałbym dodać, że z dezaktualizacją tej problematyki jest podobnie, jak z przedawnieniem zbrodni stalinowskich. Jak czas przedawnienia owych zbrodni winien być liczony nie od dnia, w którym je popełniono, lecz od daty, od której stało się możliwe ich ściganie i karanie, tak i tematyka tej książki, mimo iż dotyczy wydarzeń sprzed pół wieku, jeszcze się nie przedawniła, bo przecież dopiero od kilku lat można prawdziwie o niej pisać.

Pisałem tę książkę przede wszystkim z myślą o młodych. Wiem, że dla większości z nich to już prehistoria. Inne mają problemy, inne zainteresowania. To zrozumiałe. Jeśli jednak będą wśród nich tacy — a ufam, że będą — którzy po nią sięgną i na dodatek zadadzą sobie trud jej przeczytania, to nieco się z niej dowiedzą o tym, jak to rzeczywiście w tamtych latach w Polsce było. A to zawsze im się przyda.

W samo południe

Był poniedziałek, 24 czerwca 1946 roku, dochodziło południe. Drogą prowadzącą od Życzyna wolno posuwała się furmanka, na której siedziało czterech mężczyzn. Dwóch szło obok niej. Koń wyraźnie kulał. Na skraju wsi Piotrówek skręcił w stronę kuźni, stojącej przy rozwidleniu dróg do Trojanowa i Więckowa.

Wyglądający na drogę kowal spostrzegł, że furmanka *zmierza* ku jego zabudowaniom. Zatrzymała się w obejściu, dwóch mężczyzn wyprzęgło konia i prowadziło go do kuźni, nieco oddalonej od domu. Mieli buty z cholewami, wojskowe bryczesy, u jednego z nich kowal zauważył przytroczoną do pasa kaburę z pistoletem. Okazało się, że koniowi odpadła podkowa. Kowal, poganiany przez przybyszów, zaczął szykować się do pracy.

W pobliżu kuźni mieszkał sołtys Maraszek. Dziś już nie można powiedzieć, kto go poinformował o przybyciu do kowala podejrzanie wyglądających mężczyzn. Utrzymująca się przez szereg lat — i umieszczona w I wydaniu tej książki — wersja, jakoby uczynił to kowal, posyłając do sołtysa córkę, okazała się nieścista. Może sam sołtys dostrzegł owych przybyszów, może doniósł mu o nich ktoś z obecnych wówczas w kuźni mieszkańców wsi. Prawdy już nie dojdziemy.

Istotne jest to, iż Maraszek nie miał cienia wątpliwości, że do kowala przybyli ci, o których pojawieniu się kazano mu natychmiast powiadomić milicję lub wojsko. Mając jeszcze w uszach ostre słowa funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, grożących surowymi karami za niewykonanie tego polecenia, myśląc o sporej nagrodzie pieniężnej, jaką za takie informacje obiecali — nie wahał się ani chwili. Córkę wysłał rowerem do żołnierzy, którzy w związku z nadchodzącym referendum od kilku dni kwaterowali w Więckowie, synowi polecił pobiec do Trojanowa, do komendanta tamtejszego posterunku Milicji Obywatelskiej.

Ppor. Feliks Matyjaśkiewicz, dowódca grupy saperów z 1 DP, skierowanych z

Dęblina do Więckowa, natychmiast zebrał swoich ludzi i ruszył z nimi w kierunku Piotrówka. To samo uczynił komendant posterunku MO w Trojanowie, sierżant Wacław Ożóg. Milicjant, lepiej od

Matyjaśkiewicza znający zarówno teren, jak i partyzancką taktykę, nie zamierzał — jak tamten — atakować kuźni frontalnie, lecz przewidując, że podejrzani na widok żołnierzy *zaczną*, wycofywać się w stronę oddalonego o kilkaset metrów lasu, właśnie w tym lesie zaczął się ze swoimi ludźmi. Obok milicjantów znaleźli się tam funkcjonariusze UB, przysłani do Trojanowa, aby wzmocnić załogę posterunku.

Matyjaśkiewicz i Ożóg byli pewni sukcesu. Wiedzieli, że mają przewagę, mogli nawet przypuszczać, że zaatakowani nie podejmą walki. Nie sądzili jednak, że ich sukces będzie tak wielki i że po tej potyczce spadnie na nich grad nagród, awansów, odznaczeń. Wśród podejrzanie wyglądających mężczyzn, którzy przybyli do kowala, był bowiem „Orlik”.

Wracał z odprawy dowództwa Inspektoratu WiN (Wolność i Niezawisłość) Puławy, która odbyła się w Życzynie. Towarzyszyło mu pięciu ludzi: trzech stanowiących ochronę, woźnica i dawny żołnierz oddziału, który dołączył do nich przypadkowo.

Mam relację Kazimierza Piskały („Kotek”), rodem z Bobrownik nad Wieprzem, jednego z tej grupy. W latach okupacji niemieckiej służył on w oddziale „Orlika”, był ze swym dowódcą do końca, wiele przeszedł, mieszkał w Szczecinie, gdzie zmarł w 1994 r. jako ostatni z tych, którzy wtedy towarzyszyli „Orlikowi”. W relacji tej „Kotek” pisał lakonicznie:

„W czasie jazdy koniowi odpadła podkowa. Komendant postanowił zajechać do kowala. Kuźnia znajdowała się w pobliżu skrzyżowania dróg Trojanów-Więcków-Życzyn przy wiosce Piotrówek. Do kuźni z koniem udali się «Grom» i Mundek. «Kret» oddalił się, chyba wszedł na drzewo wiśni. Pozostali zostali na kwaterze. Od strony lasu Życzyn zauważyliśmy nadchodzące wojsko. Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, UB? Oddałem w ich kierunku kilka strzałów. Strzelali również «Grom» i Mundek. Komendant «Orlik» i «Ogarek» wycofywali się w stronę Trojanowa. W tym momencie «Ogarek» został zabity. «Orlik» biegł dalej w stronę lasu Trojanów”.

Nie dobiegł. Bili do niego z dwóch stron: saperzy od kuźni, milicjanci z lasu, na skraju którego ustawili sowiecki ręczny karabin maszynowy Diegtiariewa. Można sądzić, że właśnie wtedy, gdy odezwał się ten erkaem, „Orlik” zrozumiał, iż najście wojska na kuźnię nie było dziełem przypadku. Zablokowanie lasu oznaczało, że tamci wiedzieli, kogo w kuźni zastaną i w jakim kierunku będą się wycofywać atakowani. Nie miał więc szans. Mimo to biegł nadal. Był w półwojskowej kurtce, zielonych bryczesach, butach oficerkach. Trafili go dwoma pociskami z erkaemu. Jeden przestrzelił mu nogę koło kolana, drugi lewe ramię. Przebiegł jeszcze

kilkanaście metrów, zatoczył się, upadł, z trzymanego w rękę pistoletu strzelił sobie pod brodę.

Było to tuż przed ścianą młodego lasu, koło samotnie stojącej wierzy. Czy

zaszumiała wtedy żalem, co serce rwie, jak jej siostrzyce ze znanej partyzanckiej pieśni?

Stoimy w tym samym miejscu. Jest lipiec 1995 roku, pochmurny i dżdżysty dzień. Z Warszawy jedzie się tu szosą lubelską, na mniej więcej dziewięćdziesiątym kilometrze, w Trojanowie, skręca w prawo. Jeszcze około sześciu kilometrów i Piotrówek.

Szczere pole. W oddali las. Ten sam, do którego wtedy nie dobiegł „Orlik”. Tylko o prawie pół wieku starszy. Żelazny krzyż ogrodzony niskim, także żelaznym płotkiem. Na krzyżu tabliczka informująca, że w tym miejscu zginęli Marian Bernaciak ps. „Orlik”, dowódca oddziału partyzanckiego 15 pp AK „Wilków” i jego nieznany z nazwiska żołnierz. Podpisali: „żołnierze OP, którym dowódca zaufał”. Omyłkowo podano datę: 23 czerwca 1946. W rzeczywistości zdarzyło się to dzień później. Dawni podkomendni „Orlika” przez wiele powojennych lat toczyli o tę datę spór. Przesądziły go dopiero wydobyte w końcu lat 80. dokumenty z UB i wojska.

Nie ma kuźni, nie ma sołtysa Maraszka i jego rodziny. Bezpośrednio po śmierci „Orlika” zabrali ich funkcjonariusze Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i umieścili w swym hotelu przy ul. Środkowej na Pradze. Tu nie odważyli się wrócić. Nie znamy ich dalszych losów.

Nie ma też wierzby. Ale jest pomnik. Nie tu, na tym odludziu, lecz przy drodze Życzyn-Trojanów. Tam, gdzie odchodzi od niej ścieżka, prowadząca do oddalonego o około 200 metrów miejsca, w którym zginął „Orlik”. Piękny pomnik, zaprojektowany przez inż. arch. Czesława Szlen-daka, czyli por. „Maksa”, dawnego żołnierza 15 pułku piechoty (15 pp) AK, odsłonięty został i poświęcony 25 czerwca 1995 r. Ufundowały go środowisko 15 pp „Wilków” oraz koło Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Rykach.

Pusto i cicho. Wkrótce żniwa. Czas jakby cofnął się o prawie pół wieku. Zygmunt Kultys z Ryk, ps. „Lis”, żołnierz oddziału „Orlika” od jego sformowania aż do ujawnienia wiosną 1947 r., mówi półgłosem:

— Wiedział już, że przegraliśmy i mógł stąd wyjechać, na Zachód, jak tyłu innych. Żyłby do dzisiaj. Nie wyjechał, bo nie chciał nas zostawić.

Pewnie, że mógłby wyjechać. Albo przynajmniej tego próbować. Wielu tak uczyniło. Niektórych pojmano, osądzono, stracono — jak choćby „Zaporę” — ale większość zdołała przedrzeć się przez żelazną

kurtynę. Jeśliby mu się powiodło i jeśli dożyłby przełomu, jaki dokonał się w Polsce, z pewnością odwiedziłby tę ziemię, na której urodził się i walczył i wraz z dawnymi towarzyszami broni, serdecznie wszędzie witany, znów przemierzyłby ją od krańca do krańca. W 1990 r., gdy stało się to możliwe, miałyby przecież 73 lata. *Znacznie* starsi od niego przyjeżdżali i przyjeżdżają. Ale został.

Zalesię, duża wieś położona o cztery kilometry na północ od Ryk. W jej środku niska chata, niedawno pomalowana na brązowo. Zielone okiennice, spadzisty, kryty eternitem dach, kwiaty, oszklona weranda. Wygląda bardzo skromnie w porównaniu z domami, które ją otaczają. Wszystkie murowane, w większości dwukondygnacyjne, z balkonami, garażami, przeróżnymi ozdóbkami. Jak i inne wsie w tym rejonie, Zalesię

zmieniło się tak, że „Orlik” chyba go nie poznał.

W drewnianej chacie, w której mieszka dziś rodzina nie mająca z Bernaciakami nic wspólnego, przyszedł na świat 17 marca 1917 roku. W chwili śmierci miał więc 29 lat. W stopniu majora był wtedy zwierzchnikiem wszystkich oddziałów i grup zbrojnych WiN, trwających jeszcze na terenie Inspektoratu Puławy.

Ojciec „Orlika”, Michał Bernaciak, miał kawałek ziemi, ale żeby utrzymać rodzinę zajmował się rymarstwem. Jego i jego żonę, Mariannę z domu Bliźniak, podziwiać trzeba i wspominać z szacunkiem za to, że mimo trudnych warunków, w jakich żyli, własną jedynie pracą potrafili wszystkim swym dzieciom zapewnić wysokie jak na tamten czas wykształcenie. A mieli tych dzieci pięcioro. Czterech synów i najmłodszą córkę.

Najstarszy, Zygmunt, odszedł bardzo wcześnie. Służył w 33 pp w Łomży, zmarł na zapalenie nerek w 1933 r., wkrótce po powrocie z wojska. Eugeniusz skończył seminarium nauczycielskie, jako oficer rezerwy (por. / kpt.) sławnego 36 pp Legii Akademickiej bronił w 1939 roku Warszawy, okupację spędził w oflagach, po wojnie był więziony, następnie pracował w szkolnictwie. Zmarł w 1987 r. Najmłodszy, Lucjan (ps. „Janusz”), urodzony w 1921 roku, w chwili wybuchu wojny uczeń średniej szkoły ogrodniczej w Kijanach k. Lublina, dzielił później losy „Orlika”. Był razem z nim w konspiracji, w 1945 roku dowodził przez pewien czas III plutonem OP 1/15 pp AK. Ujęty przez NKWD w sierpniu 1945 dostał 10 lat. Żyje i mieszka w Warszawie.

Jedyna córka, Wanda, mimo że w chwili wkroczenia Armii Czerwonej na Lubelszczyznę miała zaledwie 13 lat, musiała uciekać z domu rodzinnego, bo też groziło jej aresztowanie.

Marian, ten, z którego rodzice byli dumni do końca swych dni, mimo że z jego powodu doznali wiele krzywd i cierpień, po ukończeniu szkoły powszechnej w Rykach i gimnazjum im. Adama Czartoryskiego w Puławach odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Artylerii w Zambrowie. Ukończył ją w 1938 r. w stopniu plutonowego podchorążego, otrzymując przydział mobilizacyjny do 2 Pułku Artylerii Ciężkiej w Chełmie. Do chwili wybuchu wojny był zatrudniony jako pracownik kontraktowy w urzędzie pocztowym w Sobolewie.

1 września 1939 r. stanął się w 2 PAC, otrzymał nominację na podporucznika i rozpoczął swą długą, trwającą bez mała siedem lat, wojnę. We wrześniu walczył z Niemcami i z najeźdźcą sowieckim. Po dramatycznej obronie Włodzimierza Wołyńskiego przed Armią Czerwoną dostał się do sowieckiej niewoli. Wieziony do obozu, po minięciu Szepietówki, już na terytorium ZSRR, uciekł z transportu i w mundurze wrócił do rodzinnego Zalesia. Nie miał tylko dystynkcji i czapki.

Transport szedł do Kozielska. Było w nim wielu oficerów 2 PAC, których później zamordowano w Katyniu. Wśród nich przełożony ppor. Bernaciaka, płk Lucjan Jasiński, dowódca artylerii grupy „Włodzimierz”.

Natychmiast po powrocie Marian Bernaciak rozpoczął działalność w Związku Walki Zbrojnej, przyjmując pseudonim „Dymek”. Prowadził w Rykach niewielki sklep z książkami i materiałami piśmiennymi, który był przykrywką jego pracy

konspiracyjnej. Mianowany szefem Kedywu podobwodu „A” (Dęblin-Ryki), należącego do Obwodu Puławy AK, był organizatorem i dowódcą wielu akcji dywersyjno-sabotażowych. Jesienią 1943 r. zdekonspirowało go gestapo. Poszedł wówczas do lasu na czele zawiązku oddziału partyzanckiego, który wkrótce rozrósł się do kompanii. Był to sławny OP 1/15 pp „Wilków” AK.

Wtedy „Dymek” stał się „Orlikiem”. Wraz z oddziałem uczestniczył w wielu akcjach zbrojnych. Dowodził nim w czasie „Burzy”, gdy oddział liczył już ok. 300 ludzi. Po wkroczeniu Armii Czerwonej i nieudanej próbie marszu z pomocą powstańczej Warszawie, oddział został rozwiązany. Zaczęło się wielkie polowanie UB i NKWD na jego żołnierzy, a przede wszystkim na dowódcę. Zabijano ich na miejscu, zamykano w więzieniach, wywożono do sowieckich łagrów.

W marcu 1945 r. „Orlik” odtworzył oddział, by dać w nim schronienie swym partyzantom i bronić chłopów przed gwałtami i rabunkami NKWD i UB. Dowództwo oddziału powierzył por. „Świtowi” (Zygmunt Kęska), sam zajął się organizowaniem zbrojnej samoobrony na terenie

Inspektoratu Puławy. Początkowo był podporządkowany Delegaturze Sił Zbrojnych, później wszedł w skład WiN.

Wkrótce jego zgrupowanie partyzanckie zyskało szeroki rozgłos wieloma brawurowo wykonanymi akcjami zbrojnymi. Większością z nich „Orlik” dowodził osobiście. Zgrupowanie, tropione zaciekle przez przeważające siły wojska, UB, MO i NKWD długo trwało w desperackiej, z góry skazanej na klęskę walce i do końca nie dało się zniszczyć. Walczyło jeszcze po śmierci „Orlika”, do marca 1947 roku.

W pamięci swych żołnierzy i wszystkich, którzy go znali „Orlik” pozostał wzorem oficera i dowódcy. Zrównoważony, rozsądny i opanowany, nie szafował ludzkim życiem, cieszył się ogromnym autorytetem i szacunkiem. Wymagał wiele nie tylko od swych podkomendnych, ale i od siebie. Nigdy nie wypił więcej niż kieliszek alkoholu. Ostro tępił pijaństwo, szerzące się wśród niektórych partyzantów. Nigdy nie działał pochopnie. Każdą decyzję, zwłaszcza taką, która mogła pociągnąć utratę czyjegoś życia, rozważał starannie i wszechstronnie. Gdy ją podjął, twardo dążył do jej realizacji. Rodziny nie założył, bo uważał, że nie czas ku temu.

Dziś w Rykach, z którymi przez całe życie tak blisko był związany, upamiętnia go napis na znajdującym się na tamtejszym cmentarzu grobowcu rodziny Bernaciaków. Leżą w nim rodzice i najstarszy brat. „Orlika” tam nie ma, choć widnieje tam jego nazwisko, pseudonim, funkcja i data śmierci.

— Gdy postawiłem ten pomnik — mówi Lucjan Bernaciak — i kazałem napisać, że Marian był dowódcą oddziału AK, wezwano mnie do UB w Garwolinie i powiedziano, że bym to skasował, bo on tam nie leży, a ponadto nie wolno stawiać pomników bandycie. Odpowiedziałem, że dla was to bandyta, ale dla mnie brat. Dali spokój i tak zostało.

Dali spokój, bo za bramą cmentarną kończyła się ich wszechwładza.

A jeśli by nawet wtargnęli na cmentarz i zaczęli rozbijać nagrobki, niewątpliwie

wywołałoby bardzo kłopotliwą dla siebie reakcję społeczeństwa, tego zaś pragnęli uniknąć. Machnęli więc ręką. Do końca ich panowania „Orlik” pozostał dla nich bandytą. Za takiego uważają go i dziś ci spośród nich, którzy jeszcze żyją. Takim też był — i nadal jest — dla ich następców w SB i MO.

Gdy zginął — funkcjonariusze UB i MO na terenie, na którym działał, świętowali długo i hucznie. Mimo że nie udało się im zniszczyć całej grupy, którą zaskoczyli w kuźni w Piotrówku.

Wraz z „Orlikiem” zginął wtedy partyzant z jego ochrony „Ogarek” (NN). Dwóch ujęto. Jednym był autor cytowanej relacji, Kazimierz

12

Piskała, drugim — dawny sierżant 15 pp „Wilków” Stanisław Grzęda, ps. „Kret”, który w tym towarzystwie znalazł się przypadkowo, bo już wcześniej odszedł z oddziału i skończył swą wojaczkę.

Dwóm udało się wyrwać z matni i uciec, co zakrawało na cud, a zapewne było spowodowane rażącą nieudolnością grupy operacyjnej. Byli to Kazimierz Wojtas, ps. „Grom”, i Edmund Rodak ps. „Piorunek”. Obydwaj z Ryk. Ukrywali się przez długie lata, nie zostali ujęci, już nie żyją. Dokładne straty drugiej strony są nieznane, ale wiadomo, że zostali ranni jacyś żołnierze.

O tym, co działo się z dwoma pojmanymi, mówi w swojej relacji Kazimierz Piskała:

„Mnie i «Kreta» z zabitymi «Orlikiem» i «Ogarkiem» zawieźli samochodem do UB w Garwolinie. Zwłoki «Orlika» zabrali do Warszawy, a co się stało ze zwłokami «Ogarka» nie wiem. Mnie z «Kretem» pozostawili w UB w Garwolinie. Przez tydzień wcale mnie nie przesłuchiwali. Byli tak upojeni swym sukcesem, likwidacją dowódcy bandy, postrachu powiatów garwolińskiego, puławskiego, łukowskiego, kozienickiego i kraśnickiego, że aresztowani mieli kilka dni oddechu. Potem zaczęły się katowania i tortury nie do opisania. Pytali, kogo znamy na placówkach, skąd pochodzą ulotki, gdzie jest drukarnia, co wiem o żołnierzach oddziału.

W październiku zawieziono nas do Warszawy, do więzienia karno-śledczego przy ul. 11 Listopada. Siedzieliśmy do rozprawy sądowej, która odbyła się w marcu 1947 r. Mnie skazano trzykrotnie na karę śmierci. Na mocy dekretu prezydenta wyrok zamieniono mi na dożywotnie więzienie, a później, na mocy amnestii, na 15 lat więzienia. Po wyroku przewieziono mnie do Wronek, gdzie siedziałem sześć lat, następnie do Wiśnicza koło Bochni, gdzie siedziałem trzy lata. Po dziewięciu latach powróciłem do domu i wyjechałem do Szczecina”.

Sierżant „Kret” początkowo twierdził, że z „Orlikiem” i jego oddziałem nie miał nic wspólnego, a w Życzynie znalazł się „w celach handlowych”. W toku śledztwa w Garwolinie skonfrontowano go jednak ze świadkiem, który zeznał, że w latach okupacji niemieckiej był razem z nim w OP I, dowodzonym przez „Orlika”. Dostał pięć lat, ale dzięki temu, że konsekwentnie nie przyznawał się do prowadzenia jakiegokolwiek działalności przeciw „władzy ludowej” i nie potrafił jej udowodnić oraz dzięki staraniom podejmowanym przez krewnych i znajomych, wyszedł z

więzienia już po roku. Wkrótce zmarł.

Zwłoki „Orlika” przewieziono do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, mieszczącego się wówczas na Pradze. Mimo że

13

funkcjonariusze UB nie mieli wątpliwości, że w Piotrów ku zginął „Orlik”, na polecenie swych przełożonych musieli to potwierdzić. Przeprowadzono więc identyfikację zwłok. Przede wszystkim sprowadzono z więzienia przy ul. Rakowieckiej jego rodziców, przetrzymywanych tam od dziesięciu miesięcy. Michał Bernaciak miał wtedy 63 lata i był ciężko chory, ale w śledztwie zachowywał godną postawę. Nie powiedział ani jednego zbytecznego słowa, niczym nie obciążył i w żaden sposób nie odciął się od syna. Wraz z młodszą o sześć lat żoną potwierdził, że to ich syn Marian.

Potwierdzili to również podkomendni i znajomi „Orlika”, których przywożono z różnych więzień i aresztów.

Była wśród nich sanitariuszka OP 1/15 pp AK „Iskierka” (Halina Rybakowska-Szulc). Oto jak zapamiętała ostatnie spotkanie ze swym dowódcą:

„W wielkiej świetlicy ułożono go na deskach podwyższonych w górnej części ciała. Twarz była czysta i spokojna, wyglądał jakby spał, ręce miał ułożone wzdłuż ciała, lewa była pokrwawiona i poszarpana pociskiem dum-dum, prawa zupełnie czysta. Miał na sobie zielonkawą kurtkę o kroju wojskowym i bryczesy. Zaszokowały mnie jego bose stopy, z palcami nadgryzionymi przez szczury. Sala wypełniona była przez wysokiej rangi umundurowanych, obwieszonych orderami — mundury polskie i ruskie. Żołnierzy «Orlika» zwożono z różnych więzień i aresztów, z Rakowieckiej przywieziono jego rodziców w celu zidentyfikowania go. Modlitwą i łzami pożegnałam swego dowódcę. Byłam wówczas więźniarką UBP na Pradze. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co zrobiono z ciałem”.

Dzisiaj już wiemy. 4 lipca 1946 r. „Orlik” — pod nazwiskiem „Marian Biernacki” — został pochowany na cmentarzu bródnowskim przy murze dzielącym go od cmentarza żydowskiego w kwaterze 45 N (potocznie zwaną „przy studni”). W miejscu tym chowano żołnierzy AK, WiN i Narodowych Sił Zbrojnych, mordowanych przez UB w więzieniu Warszawa III-Praga, znajdującym się w części dawnych koszar 36 pp przy ulicach 11 Listopada i Namysłowskiej. Niemal dokładnie trzy miesiące wcześniej, bo 3 kwietnia 1946 r., pochowano tam por. „Świta” (Zygmunt Kęska), który z ramienia „Orlika” dowodził w 1945 r. oddziałem partyzanckim, a po jego opuszczeniu został ujęty, skazany na śmierć i stracony.

Dość szybko ustalił to na polecenie „Spokojnego” jeden z jego partyzantów. Był to jednak czas, w którym podkomendni „Orlika” nie mogli zaopiekować się miejscem pochówku swego dowódcy. Wielu

14

zginęło, inni znaleźli się w więzieniach, pozostali zmienili nazwiska i ukrywali w miejscowościach oddalonych od terenu ich działań. Odchodzili jeden po drugim, a wraz z nimi odeszła w niepamięć wiedza

0 miejscu pochowania ich komendanta.

Gdy wreszcie, po upływie ponad czterdziestu lat, można było do tej sprawy wrócić, ponowne ustalenie tego miejsca utrudnił fakt, że kwatera 45 N i kwatery z nią sąsiadujące już nie istnieją. Teren ten splantowano

I wylano tam asfalt. W miejscu kwatery 45 N, w której pogrzebano kilkadziesiąt żołnierzy Polskiej Armii Wewnętrznej, zamordowanych przez UB, postawiono szkielet. Dziś i jego już nie ma. Dzięki wytrwałości kilku dawnych partyzantów „Orlika”, wspartych przez Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, miejsce to udało się zlokalizować. Wadnie przyczyniło się do tego odnalezienie przez Zdzisława Jarosza („Czarny”) w księgach zarządu cmentarza odpowiedniego, aczkolwiek zniekształconego zapisu.

W listopadzie 1990 r. postawiono w tym miejscu i poświęcono duży brzozy krzyż. Umieszczona na nim tabliczka informowała, że właśnie tu spoczywają szczątki „Orlika” i „Świta”. Wymieniono tylko tych dwóch, bo wówczas nie znano jeszcze nazwisk innych, którzy zostali tam pogrzebani.

W chwili, gdy to piszę — w sierpniu 1995 roku — stoi już drugi krzyż, bo tamten został przewrócony przez wiatr. Też drewniany. Ale działa komitet, który postanowił upamiętnić to miejsce trwale i w sposób godny tych, których prochy kryje. Oby — mimo wielu trudności — udało mu się zrealizować ten zamiar.

Trwa również praca mająca na celu identyfikację pochowanych tam osób. Dane personalne wielu z nich udało się już ustalić. Są to żołnierze różnych formacji i różnych oddziałów, pojmani w różnych częściach Polski, przywiezieni do więzienia na Pradze, tu osądzeni i straceni. Wszyscy byli więźniami i ofiarami stalinizmu, rozumiałe więc, że związek zrzeszający więźniów tego okresu uważa za swój obowiązek przypomnieć ich nazwiska.

Jeden tylko „Orlik” nie był za życia więźniem stalinizmu. Został nim dopiero po śmierci. Zginął jako człowiek wolny.

Pierwsze meldunki o śmierci „Orlika” były lapidarne i w miarę konkretne. Oto meldunek z 25 czerwca 1946, sporządzony przez dowódcę I pułku kawalerii z I Warszawskiej Dywizji Kawalerii, która wtedy tropiła i zwalczała „bandy” w powiecie garwolińskim:

„24 czerwca 1946 r. pomiędzy godz. 12-13 w miejscowości Więćków-Piotrówek, gmina Trojanów, pow. Garwolin, w czasie akcji pościgowej, organizowanej przez wojsko, UBP, MO został osaczony i zabity herszt bandy Bernasiak [tak w oryginale] pseudo «Orlik», pochodzący z Ryk oraz został zabity nieznany drugi osobnik z tejże bandy, przy-czem dwóch zostało ujętych żywcem z bronią w ręku. Podczas wymiany strzałów został lekko postrzelony w nogę jeden żołnierz biorący udział w akcji. Bliższych danych na razie brak. Dochodzenie prowadzi miejscowy UB”. (Sygn. CAW III. 140.17, s. 168).

Podobną, choć nieco wzbogaconą, wiadomość podawał Biuletyn Informacyjny Sztabu DOW I:

„W dniu 24.06.1946 r. grupa baonu saperów I DP we wsi Wieszczków [tak w oryginale] na pld. od Garwolina zastrzeliła bandytę pseudo «Orlik» oraz jeszcze

jednego bandytę, a 2 bandytów wzięto do niewoli, zdobyto trzy teczki dokumentów. Dokumenty zawierały plan napadu na Puławy w dniu 26.06.46 ze szkicami oraz plany napadu na wsie okoliczne". (Sygn. CAW III. 140.17, s. 174).

W miarę upływu czasu objętość, treść i tonacja tego, co na ten temat pisano uległy zasadniczej zmianie. Potyczka koło kuźni w Piotrówku stała się bitwą, w której żołnierze Ludowego Wojska Polskiego oraz funkcjonariusze UB i MO dzięki swej bohaterskiej postawie i zrozumieniu słuszności sprawy, o jaką walczą, rozgromili liczniejszego przeciwnika i wybili lub wzięli do niewoli cały sztab wielkiego zgrupowania. Autorów coraz bardziej ponosiła fantazja, uskrzydłona gorącym pragnieniem kreowania herosów, gromiących — w imię ludu pracującego — reakcyjne bandy.

Taki na przykład Zenon Strześniewski, dawny funkcjonariusz UB, w wydanej w 1980 r. (a więc po upływie 34 lat od opisywanych w niej wydarzeń) książce „*Orlik*” *zostawia ślad*, która w nakładzie 210 tys. egzemplarzy ukazała się w wydawanej przez Ministerstwo Obrony Narodowej serii z „*Żółtym Tygrysem*”, napisał, że wraz z „*Orlikiem*” zginął na polach Piotrówka... „delegat rządu londyńskiego”. Ów wymaginowany „delegat” przybył rzekomo na odprawę w Życzynie, uczestniczył w niej, po czym wgramolił się na pechową furmankę i nią odjechał. Jak pisze Strześniewski: „już po pierwszych strzałach zachwiał się i runął”.

W ten oto sposób strzelec Bolek „*Ogarek*”, prosty chłopak z Poznańskiego, którego nazwiska do dziś nie znamy — podobnie, jak i miejsca pochówku — przemienił się w „delegata rządu”. Kazimierza Piskalę uczynił Strześniewski adiutantem „*Orlika*”.

16

Takich i podobnych fałszów i przeinaczeń było wiele. Ale wydarzyło się również coś znacznie gorszego. Zapowiadał to datowany 26 czerwca 1946 r. meldunek dowódcy I WDK.

„W ciągu ostatnich 2 miesięcy — czytamy w nim — setki żołnierzy WP, Bezpieczeństwa i Milicji zostało odznaczonych za wybitną działalność w walce z bandytyzmem. Ostatnio zlikwidowano sztab największej terrorystycznej bandy «*Orlika*», przy czym «*Orlik*» został zabity. 18 oficerów i szeregowców wyróżniło się w tej akcji, w której cały oddział wykazał zapał i odwagę. Dowódca tej grupy, ppor. Matyjaśkiewicz, oraz starszy saper Jaworski zostaną odznaczeni Krzyżem Grunwaldu III klasy, a wszyscy pozostali otrzymają wysokie odznaczenia wojskowe”. (Sygn. CAW III. 140.17, s. 193).

Tak też się stało. Krzyżem Grunwaldu III klasy odznaczono sześciu uczestników potyczki w Piotrówku, Krzyż *Virtuti Militari* V klasy otrzymało pięciu, Krzyż *Walecznych* — siedmiu. Razem osiemnastu. Ponadto wszystkim dołożono po *Odznace Grunwaldzkiej*.

Przypomnijmy i porównajmy: za wykonanie jednej z najbardziej brawurowych akcji Polski Walczącej, jaką był udany zamach na generała SS Hansa Kutschere, dokonany w sercu Warszawy, przed siedzibą dowództwa SS i policji niemieckiej, przyznano dwa krzyże *Virtuti Militari* (w tym jeden pośmiertnie) i dziesięć Krzyży

Walecznych (w tym trzy pośmiertnie). Razem dwanaście. A więc o sześć wysokich odznaczeń wojennych mniej niż za „Orlika”.

Odnaczenia przyznane uczestnikom starcia w Piotrówku były chyba największą hańbą, jaka spotkała *Virtuti Militari* i Krzyż Walecznych. W przypadku *Virtuti* można ją porównać tylko z nadawaniem tego orderu — pod zmienioną nazwą „Polska Odznaka Zaszczytna za Zasługi Wojenne”, ale w nie zmienionym kształcie — przez cara Mikołaja I dowódcom i żołnierzom jego armii za stłumienie Powstania Listopadowego. Hańbę tę jednak nieco pomniejsza, lecz tylko w oczach ludzi, którzy o tym wiedzą, fakt, że *Virtuti* za Piotrówek (a także za inne podobne akcje) nadawano wówczas bezprawnie, gdyż mogła to czynić jedynie Kapituła znajdująca się wtedy w Londynie. Odnosi się to również do później dokonywanych przez władzę ludową dekoracji tym orderem, który otrzymał m.in. jeden z szefów NKWD gen. Iwan Sierow i Leonid Breżniew (ten drugi dostał Krzyż Wielki, co nie tylko w Polsce wywołało duże oburzenie).

Krzyż Orderu Wojennego *Virtuti Militari* jest najwyższym w Polsce — i najstarszym na świecie — odznaczeniem bojowym. Jest, jak stwier-

dzała to reaktywująca order ustawa Sejmu RP z 1 sierpnia 1919 r., „nagrodą czynów wybitnego męstwa i odwagi, dokonanych w boju i połączonych z poświęceniem się dla dobra Ojczyzny”.

Pokolenia Polaków uczono, że ludziom, u których zobaczą miniaturkę czy czarno-niebieską baretkę tego odznaczenia, przysługują szacunek i poważanie. Czy i tym, którzy strzelali do polskiego oficera, nie mającego żadnej szansy na podjęcie z nimi równej walki?

Wymieńmy ich nazwiska. Krzywdy tym ani im, ani ich rodzinom nie wyrządzimy, bo nazwiska te były wielokrotnie podawane, co stanowiło dla nich wielce zaszczytne wyróżnienie. Oto one: por. Stanisław Szewczyk, saperzy Jurkowski, Stanisław Kurdziel, Stanisław Rozmus, Mieczysław Tur.

Jeśli ludzie ci żyją, niech — zanim przypną *Virtuti* do kłap swych marynarek — dwa razy pomyślą, czy godzi im się to czynić i czy odznaczenie to rzeczywiście może być dla nich powodem żołnierskiej dumy i chwały.

Wielkie oszustwo

W dniu śmierci „Orlika” oddział partyzancki, stanowiący jego główną siłę zbrojną i najpewniejsze oparcie, znajdował się w odległości około czterdziestu kilometrów od kuźni w Piotrówku. Biwakował w lasach w pobliżu wsi Hordzieszka na północ od Woli Gułowskiej, w samym centrum rejonu, w którym w 1939 r. toczyła swe ostatnie walki Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga.

To właśnie tu, w leśniczówce Hordzieszka, wieczorem 5 października 1939 r. gen. Kleeberg pisał swój ostatni rozkaz dzienny skierowany do żołnierzy SGO. Mimo iż Warszawa padła, „nie straciliście nadziei — przypominał w nim — i walczyliście dalej, najpierw z bolszewikami (te słowa cenzura przez cały czas istnienia PRL skreślała, fałszując w ten sposób wymowę rozkazu — przyp. J.Ś.), następnie w pięciodniowej bitwie z Niemcami pod Serokomlą”, stwierdzał, że dalsza walka nie rokuje nadziei i nakazywał jej zaprzestanie. „Wiem — głosiły ostatnie słowa rozkazu — że staniecie, gdy będziecie potrzebni. Jeszcze Polska nie zginęła i nie zginie”.

Teraz, w końcu czerwca 1946 r., podobnie jak wtedy, na początku października 1939 r., cały ten obszar nasycony był wojskiem.

„Od skierowanych tu jednostek wojska, UB i MO aż się roi — zapisał znajdujący się wówczas w oddziale Zygmunt Kultys («Lis»). — Po wsiach, koloniach, miasteczkach, drogach, lasach, łąkach jeżdżą załadowane wojskiem samochody ciężarowe i pancerne, maszerują żołnierze i milicjanci. Wszystko przeciw nam. A dla nas zabrakło we wsiach miejsca. Posłanie uszykowałem sobie pod drzewami na wypożyczonym od rolnika snopku słomy, który w worku przyniosłem do lasu w Hordzieszce”.

Wiadomość o śmierci „Orlika” dosłownie ich poraziła. Wprawdzie zdawali sobie sprawę z tego, że każdego dnia śmierć zaglądała mu w oczy, Wierzyli jednak w jego żołnierskie szczęście, które tyle razy ratowało go w beznadziejnych na pozór sytuacjach.

Nie tylko zresztą w oddziale tak tę wiadomość przyjęto. Przekazywana z ust do ust, nagłaśniana przez cały aparat „władzy ludowej”,

19

przez członków Polskiej Partii Robotniczej, milicjantów, ubowców, błyskawicznie rozprzestrzeniła się na całym obszarze działań „Orlika” i jego zgrupowania, sięgającym od Garwolina po Opole Lubelskie i od Kozienic po Kock. U wszystkich, którzy ciągle uważali go za swego dowódcę lub choćby tylko sercem towarzyszyli mu w jego walce, u wszystkich, dla których był on symbolem oporu stawianego zniewoleniu i sowietyzacji Polski — wywołała głęboki żal. Oznaczała kolejną klęskę, gasiła resztkę tłącej się jeszcze nadziei. Modlono się za „Orlika” w wielu kościołach, oddawano hołd jego pamięci na licznych konspiracyjnych zbiórkach.

„Dnia 3.07.1946 r. o godz. 3.00 rano — meldował sztab I Warszawskiej Dywizji Kawalerii — 2 milicjanci z posterunku MO w Rykach będąc na patrolu usłyszeli strzały z automatu, gdy udali się w kierunku strzałów, to na pomniku poległych za Ojczyznę 1918 r. zauważyli wieniec z liści dębowych przepasany szarfą biało-czerwoną z napisem czarnymi literami: «Orlikowi». Szarfę i wieniec zabrano na posterunek MO. Władze Bezpieczeństwa o powyższym powiadomiono”. (Sygn. CAW III. 140.17, s. 214).

„Dalsza walka nie rokuje nadziei — pisał gen. Kleeberg w cytowanym rozkazie — tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może”.

W połowie 1946 roku większość tych, którzy tę walkę jeszcze prowadzili, myślała podobnie.

Przez teren Inspektoratu Puławy przeszły w okresie poprzedzającym śmierć „Orlika”

dwie zakrojone na wielką skalę akcje pacyfikacyjne, wymierzone przeciw jego zgrupowaniu. Pierwsza rozpoczęła się o świcie 5 lutego 1946 r. i trwała ponad trzy tygodnie. Uczestniczyło w niej ok. 1500 żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i funkcjonariuszy UB oraz MO, wspieranych przez Batalion Ochrony Pogranicza NKWD. Mimo starannego jej przygotowania nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Przeciwnie, wykazała zadziwiającą wręcz bezradność sił uczestniczących w pacyfikacji. Pododdziały i grupy partyzanckie bez trudu przerywały kolejne pierścienie obławy i z objętych nią terenów przechodziły w inne rejony, gdzie kontynuowały swą działalność. Żadnego z pododdziałów i żadnej z grup nie udało się okrążyć i zniszczyć. Było to, z punktu widzenia władzy, kompletne fiasko. „Operacja się nie udała — powiedział w sprawozdaniu płk Grzegorz Korczyński — ponieważ była źle opracowana. Bandy walki z wojskiem unikają”.

Niepowodzenie owej operacji, którego przyczyny wszechstronnie przeanalizowano w najwyższych gremiach partyjno-rządowych z udziałem

20

łem generalicji, sprawiły, iż w przygotowanie następnej włożono jeszcze więcej starań i wysiłku. Przygotowywała ją utworzona w marcu 1946 r. Państwowa Komisja Bezpieczeństwa, której przewodniczył marszałek Michał Rola-Żymierski, a której zadaniem była koordynacja działań przeciw „bandom”. Zaplanowała ona szereg operacji w województwach, w których siły miejscowe nie mogły sobie z „bandami” poradzić.

Pierwszą z nich była akcja opatrzona kryptonimem „Dęblin-Irena”, wymierzona przeciw zgrupowaniu „Orlika”. Zaplanował ją i kierował jej organizacją przewodniczący warszawskiego Wojewódzkiego Komitetu Bezpieczeństwa, ówczesny wiceminister obrony narodowej gen. broni Karol Świerczewski, dowodził płk Włodzimierz Dembowski, szef Wojsk Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Kielcach. Do jego dyspozycji oddano znaczne siły, liczące wraz z UB i MO kilka tysięcy ludzi. Wyposażono je w radiostacje, moździerze 82 mm, samochody pancerne. Miały wsparcie lotnictwa. Płk Dembowski dysponował także silnym odwodem, składającym się z batalionu zmotoryzowanego KBW, pięciu czołgów T-70 i kilku samochodów pancernych. O rozmachu akcji świadczy także liczebność sztabu płk. Dembowskiego, który wraz z nim ulokował się w Dęblinie. Tworzyli go liczni wysocy rangą przedstawiciele Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, WUBP Warszawa i Kielce, szefowie PUBP Puławy, Garwolin i Kozienice, oficerowie śledczy, mający przesłuchiwać pojmanych, oficerowie wywiadu, referenci. Ich ochronę stanowiło 100 żołnierzy KBW, dysponujących samochodami pancernymi.

Całość swych sił płk Dembowski podzielił na trzy grupy: „Garwolin”, która miała zniszczyć operujący na tamtym terenie pododdział „Spokojnego” (Wacław Kuchnio), „Puławy”, skierowaną przeciw „Żukowi” (Zygmunt Wilczyński) i „Kozienice”, przeznaczoną do likwidacji bojówek „Zagona” (Jerzy Franciszek Jaskulski). Operacja rozpoczęła się 19 maja 1946 r. o godzinie trzeciej nad ranem i trwała do 5 czerwca. Było to po prostu polowanie na małe grupki lub nawet pojedynczych żołnierzy podziemia. Bywało, że plutony, a nawet kompanie okrężały kilkusobowe patrole

partyzanckie, które — mimo tak druzgocącej przewagi przeciwnika — po zacieklej obronie potrafiły wyrwać się z pętli. Ogromnie ucierpiała ludność cywilna. „Band” i tym razem nie udało się zlikwidować.

Partyzanci i członkowie placówek przemieszczali się ze wsi do wsi, z lasu do lasu, unikając jakichkolwiek działań zaczepnych, bo wiedzieli, że w otwartej walce nie mają żadnych szans. Ale potrafili jeszcze bronić się skutecznie, potrafili przypomnieć tamtym, że ciągle istnieją.

21

5 lutego, a więc w kilka zaledwie godzin po rozpoczęciu pierwszej operacji, pododdział dowodzony przez „Żbika” (Bolesław Mikus) pod wsią Czernic na południe od Żelechowa starł się z silną grupą z I samodzielnego batalionu operacyjnego KBW. Po zacieklej walce siedmiu żołnierzy KBW zginęło, zniszczono im samochody, zdobyto radiostację.

19 maja, w toku drugiej operacji, inny pododdział zatrzymał między Leopoldowem a Okrzeją pociąg towarowy i zabrał 450 skrzynek amunicji. Wprawdzie w wyniku pościgu ponad sto tych skrzynek wojsko odzyskało, zatrzymując również kilku Bogu ducha winnych chłopów, którzy wieźli je podwodami, ale większość zdobyczy pozostała w rękach partyzanckich.

Jeszcze próbowali walczyć. Jeszcze budzili lęk. Oto kolejny meldunek dowództwa I WDK z 9 czerwca: „Przebywający w m. Kłoczew dowódca ochrony obwodu głosowania ppor. Tesluk wstrzymał wysyłanie w teren obwodu małych grup żołnierzy, bowiem otrzymał wiadomość, że w rejonie znajdują się grupy uzbrojonych bandytów grupy «Orlika»”.

W sumie także i operacja „Dęblin-Irena” zakończyła się niepowodzeniem. Przyznał to w sprawozdaniu do dowódcy KBW płk Dembowski, stwierdzając, iż nie dała ona „oczekiwanych rezultatów”. Jako przyczyny tego uznał brak rozpoznania „środowisk reakcji” (mimo że na jego rzecz pracowała ogromna sieć konfidentów), słabość własnych sił (mimo ich druzgocącej przewagi nad przeciwnikiem) oraz cechujące działalność podległych mu jednostek „opieszalność i brak inicjatywy”*. Podobnie oceniali rezultaty akcji jego przełożeni.

Nie mogło to jednak odmienić sytuacji zbrojnego podziemia. Z każdym dniem stawała się trudniejsza. Rzedły szeregi partyzanckie. Ubywało dowódców: w dniu śmierci „Orlika” dowodzący uprzednio oddziałem por. „Świt” (Zygmunt Kęska) ujęty, osądzony i stracony leżał już pod murem cmentarza bródnowskiego. Wielu znalazło się w więzieniach. Wśród nich brat „Orlika”, Lucjan Bernaciak (ps. „Janusz”), skazany na 10 lat. Inni, dostrzegając bezsens dalszej walki, widząc całkowitą jej beznadziejność, zaopatrzeni w fałszywe dowody wyjeżdżali gdzieś pod Szczecin czy Wrocław, naiwnie sądząc, że tam ich UB nie dosięgnie i zdołają rozpocząć nowe życie.

Śmierć „Orlika” pogłębiła te złe nastroje. Wprawdzie oddział jeszcze trwał, dowództwo nad nim objął „Spokojny” (Wacław Kuchnio),

który podzielił go na samodzielnie operujące plutony i drużyny, ale i on, i jego podkomendni rozumieli, że ich walka dobiega końca. Nie mylili się. Po miesiącu dotarła do nich kolejna porażająca wiadomość: 26 lipca w Jedlni pod Radomiem grupa operacyjna WUBP w Kielcach aresztowała por. „Zagona” (Jerzy Franciszek Jaskulski), który w porozumieniu z „Orlikiem” rozszerzył obszar działań jego zgrupowania na obwód Kozienice i całą niemal Ziemię Radomską. Musiało to *oznaczać* — i rzeczywiście oznaczało — kres walki w terenie bezpośrednio przylegającym do Inspektoratu Puławy, oddzielnym od żołnierzy „Orlika” tylko Wisłą, bardzo im przyjaznym, na który — przyciśnięci obławami — wielokrotnie się przeprawiali.

Każda taka wiadomość — a nadchodziły one coraz częściej — gasiła resztę wiary w to, że uda się im przetrwać do czasu wielkiej odmiany, która, mówiąc szczerze, nie wiadomo kiedy, skąd i w jakiej formie miała przyjść.

Ludzie byli u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej. Zdawali sobie również sprawę z tego, że także i ci, dzięki którym mogli dotychczas działać i walczyć, odczuwają ogromne zmęczenie i zaczynają mieć dość całej tej wojaczki, nocnych najść, dokonywanych przez UB rewizji, aresztowań, gwałtów i rozbojów. Oddajmy jeszcze raz głos „Lisowi”:

„Każdy przeżyty tydzień wydawał się miesiącem. Zastanawiałem się wtedy często nad tym, jak bardzo cierpliwi i wytrzymali są ludzie na wsi. Mają tyle kłopotów z nami, z kwaterowaniem nas, narażają się na aresztowania, na konfiskatę mienia. Dokąd będą tacy dla nas dobrzy (z nielicznymi wyjątkami). Zdawało mi się, że ich długo okazywana cierpliwość już się wyczerpuje. Nie opuścili nas jednak i wyrozumieli byli dla nas do końca”.

Koniec ten zbliżał się nieuchronnie, ale jeszcze trwali.

Wąwolnica położona jest w odległości około 20 km na południowy wschód od Puław, w pobliżu Nałęczowa, w okolicy pięknej i malowniczej. Wprawdzie już ponad sześćset lat temu uzyskała prawa miejskie, lecz nigdy nie zdołała stać się prawdziwym miastem, a rangę tę utraciła po Powstaniu Styczniowym. Zawsze jednak była liczącym się w tej części Lubelszczyzny ośrodkiem promieniowania patriotyzmu, myśli niepodległościowej i aktywności społecznej.

Także w czasie okupacji niemieckiej. Wraz z Nałęczowem stanowiła wtedy Rejon 10 Podobwodu „B”, wchodzącego w skład Obwodu AK Puławy. Komendantem rejonu był por. „Weneda” (Edward Wrotniak).

W dniach „Burzy” oddział AK, którym dowodził, współdziałał z Armią Czerwoną w opanowaniu Nałęczowa i samodzielnie zajął Wąwolnicę.

Mimo kilku krwawych pacyfikacji, którymi hitlerowcy usiłowali złamać opór mieszkańców wsi, po odejściu Niemców z tych terenów Wąwolnica nie zamierzała podporządkować się biernie nowej władzy, narzuconej jej obcą siłą. Rząd dusz sprawowało tu Polskie Stronnictwo Ludowe, reaktywowane w końcu sierpnia 1945 r.

przez Stanisława Mi-kołajczyka, liczne i bliskie były związki mieszkańców osady ze zbrojnym podziemiem. Wkrótce Wąwolnicy przyszło za to srogo zapłacić.

W czwartek, 2 maja 1946 r. została niemal w całości spalona przez przybyłych z Puław funkcjonariuszy UB. Władza ludowa nigdy nie przyznała się do popełnienia tej zbrodni. Przeciwnie, do końca obciążała nią mieszkańców wsi. Według oficjalnej wersji doszło do niej po ostrzelaniu przez kilku znajdujących się w Wąwolnicy partyzantów „Orlika” grupy aktywistów Polskiej Partii Robotniczej, przybyłych tam — pod osłoną milicji — w celu ściągnięcia od chłopów tzw. kontyngentów. W wyniku dwustronnej strzelaniny rzekomo przypadkowo zaczęły płonąć stodoły, a że chłopci przechowywali w nich amunicję i materiały wybuchowe, więc pożar szybko ogarnął całą osadę.

W rzeczywistości do takiego starcia istotnie doszło, ale spłonęło wtedy tylko jedno gospodarstwo, zaatakowane przez ową grupę, która sądziła, że ukryli się w nim zaskoczeni przez nią partyzanci. Zamieszkali w nim ludzie, których pepeerowcy zamknęli w budynku mieszkalnym, zakazując im jego opuszczania, salwowali się ucieczką przez okna płonącego domu. Następnie grupa bez przeszkód opuściła wieś, wycofali się też z niej ci od „Orlika”.

Kolejny w długich dziejach Wąwolnicy sądny dzień rozpoczął się dopiero w kilka godzin później, gdy po godz. 15.00 przyjechał do osady oddział UB z Puław. Ubowcy rozbiegli się po całej osadzie i systematycznie, zagroda po zagrodzie, zaczęli podpalać granatami, bądź po prostu zapałkami, zabudowania. Mieszkańcom zabroniono akcji ratowniczej. Spłonęło ponad sto domów mieszkalnych, kilkaset budynków gospodarczych, trzy osoby zginęły w ogniu, jedna na skutek ataku serca, wiele doznało cięższych lub lżejszych oparzeń.

Interpelacja w tej sprawie, złożona przez Polskie Stronnictwo Ludowe na forum Krajowej Rady Narodowej, usurpującej sobie wówczas prawo do odgrywania roli Sejmu, doczekała się odpowiedzi dopiero w końcu września 1946 r. Udzielił jej na sesji KRN wysoki urzędnik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, stwierdzając krótko, że Wą-

24

wolnicę — to „gniazdo os” — spaliła w trakcie walki z wojskiem (którego w ogóle tam nie było — przyp. J.Ś.) banda „Orlika” z WiN. Taka wersja tej tragedii lansowana jest przez epigonów PRL do dziś.

Data rozprawy z Wąwolnicą nie była dziełem przypadku. Wiązała się ona z podjętą już decyzją o tzw. referendum ludowym. Temat ten ma już dość bogatą literaturę, przypomnijmy więc tylko, że w zamierzeniach komunistów i ich popleczników, referendum miało być jednocześnie substytutem wyborów i generalną próbą przed nimi. W ten sposób „władza ludowa” chciała po raz kolejny odwlec termin wyborów, do których przeprowadzenia zobowiązywały ją postanowienia jałtańskie i o które upominały się zarówno mocarstwa zachodnie, jak i legalna opozycja, czyli PSL. Tej wyborczej próby ludzie rządzący wówczas Polską bali się panicznie, słusznie przewidując, że jeśli będą to wybory wolne i demokratyczne, to przyniosą im one sromotną klęskę. Taka była również opinia Stalina.

Gdy więc nie powiodła się próba wciągnięcia PSL do wspólnego bloku

wyborczego i wystawienia jednej tylko listy kandydatów, co z góry przesądzałyby wynik wyborów i uczyniło z nich taką karykaturę tego aktu, z jaką mieliśmy do czynienia we wszystkich wyborach następnych — wymyślono referendum. Pomysł ten zrodził się w końcu marca 1946 r. podobno w łonie PPS, już 5 kwietnia oficjalnie zaaprobowany został przez PPR, a w trzy tygodnie później, na sesji KRN 26 i 27 kwietnia nadano mu kształt obowiązującej ustawy.

W referendum społeczeństwo miało odpowiedzieć na trzy pytania: 1) Czy jesteś za zniesieniem Senatu? 2) Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego wprowadzonego poprzez reformę rolną i unarodowienia podstawowych gałęzi gospodarki narodowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej? 3) Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Zakładano, że na tak sformułowane pytania ogromna większość społeczeństwa odpowie twierdząco. Zawyrokowano również, że ten, kto bodaj na jedno z tych trzech pytań odpowie „nie”, tym samym zadeklaruje się jako wróg Polski i polskiej racji stanu, reakcjonista, faszysta, poplecznik imperialistów, rewanzystów i tak dalej.

W końcu kwietnia rozpoczęto przygotowania do tego spektaklu. Pierwszą ich fazą było uderzenie w PSL, które miało zastraszyć jego władze i nakłonić je do wezwania mas członkowskich, by głosowały 3 x tak, bo wówczas sprawa ta nie została jeszcze przesądzona. Akcja

25

ta pomyślana więc była, jeśli tak można powiedzieć, profilaktycznie. Doszło do ataków na terenowych działaczy PSL, do różnych prowokacji, do terroryzowania aktywu PSL. Właśnie w ramach tych działań spalono Wąwolnicę.

Nasilały się one z każdym dniem. Dodatkową tego przyczyną był wzrost niezadowolenia społeczeństwa z rządów władzy ludowej, objawiający się strajkami i manifestacjami.

„Wedle niepełnej statystyki — pisze Krystyna Kerstenowa — liczba strajków w 1946 r. wyniosła 136, a objętych nimi zostało kilkaset zakładów. Największe ogniska strajkowe to Łódź, Zagłębie i Wybrzeże Gdańskie”*

Niemal wszystkie te strajki przeprowadzone były przed referendum. Szerokim echem odbiły się też w całym kraju, budząc zrozumiały niepokój wśród jego włodarzy, wydarzenia w Krakowie, do których doszło 3 maja. Mimo zakazu władz bezpieczeństwa zorganizowano tam wielotysięczną patriotyczną manifestację, której uczestników — głównie młodzież studencką — zaatakowały oddziały KB W i UB. Aresztowano kilkuset manifestantów, było wśród nich wielu rannych. Podobne manifestacje, choć na mniejszą skalę, odbyły się w tym dniu, ciągle uznawanym przez naród za święto, w wielu innych miastach.

Trzeba więc było spacyfikować te nastroje. I przypomnieć społeczeństwu, że miał rację Władysław Gomułka, gdy przed rokiem na naradzie w Moskwie, w swoim i swoich stronników imieniu, wykrzykiwał do ściągniętych tam z kraju i emigracji osobistości reprezentatywnych dla polskiej opinii publicznej: „Myśmy bowiem gospodarze (...). Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy!”

Stało się to tym bardziej niezbędne, że w końcu maja 1946 r. Rada Naczelna PSL odkryła karty: podjęła uchwałę stwierdzającą, iż będzie wzywała członków stronnictwa do odpowiedzi „nie” na pierwsze pytanie (dotyczące Senatu) i „tak” na dwa pozostałe, co było równoznaczne z rzucając rękawicę całemu, kierowanemu przez PPR, „blokowi demokratycznemu”. Ów „blok” decyzji tej nie mógł lekceważyć choćby z tej przyczyny, że PSL liczyło wówczas kilkakrotnie więcej członków niż PPR.

Nadeszła nowa fala represji i terroru wobec PSL. Większa i bardziej gwałtowna od poprzedniej. W tajemniczy sposób *zaczęli* ginąć działacze

stronnictwa. Zazwyczaj uprowadzali ich z domów „nieznani sprawcy”. Po pewnym czasie zwłoki wielu z nich, często zmasakrowane, znajdowano w płytkich grobach w okolicznych lasach. Dokładnej liczby zamordowanych w ten sposób nie znamy do dziś, sięga ona jednak setek ludzi. Do dziś też nie poniósł kary żaden ze sprawców tych zbrodni i żaden z rozkazodawców.

Rozwiązywano i zamykano powiatowe oddziały PSL, rozbijano organizowane przez stronnictwo wiece i manifestacje, nękaną jego członków i pracowników ustawicznymi rewizjami, przesłuchiwaniami, zamykaniem w aresztach. Tysiące ich znalazły się w więzieniach. Wszystko to uzasadniano rzekomym współdziałaniem PSL z „reakcyjnymi bandami”, co starano się udowodnić ujawnianiem w lokalach PSL podrzuconej tam uprzednio przez UB broni i prasy podziemnej, fałszywymi oskarżeniami podstawionych świadków. W ten sposób łamano, jak określali to przywódcy PPR, kręgosłup reakcji.

Zwiększyła się liczba procesów ludzi podziemia. Wszystkie były nagłaśniane po to, by zapadające w nich wyroki działały odstrasząco na innych. Orzekające w tych sprawach sądy wojskowe wydawały coraz więcej wyroków śmierci, zazwyczaj wykonywanych.

Jednocześnie postanowiono rozprawić się do końca z trwającymi jeszcze w terenie oddziałami zbrojnymi. Plan takich działań opracowany został przez Państwowy Komitet Bezpieczeństwa. W przygotowaniu tej operacji ogromną rolę odegrał Władysław Gomułka, który — o czym jego biografowie nie chcą pamiętać — właśnie w latach 1945-1947, a więc przed odsunięciem go od władzy, był inicjatorem prowadzenia walki z „reakcją” w sposób najbardziej brutalny i bezwzględny, nie przebierający w środkach. Ogromu zbrodni popełnionych w tym okresie nie tylko za jego zgodą, lecz wręcz na jego polecenie, nieporównywalnych z tragedią, którą spowodował w Grudniu 1970 na Wybrzeżu, nie mówiąc już o Marcu 1968, w najmniejszym nawet stopniu nie może zniwelować godne, choć krótkotrwałe zachowanie się towarzysza „Wiesława” w Październiku 1956. Dobrze, by pamiętali o tym ci wszyscy, którzy jeszcze dziś widzą w nim polskiego patriotę, przeciwstawiającego się sowieckiej dominacji.

Po tej dygresji wróćmy do owego planu. Zakładał on podział Polski na 14 stref bezpieczeństwa, pokrywających się mniej więcej z istniejącymi wówczas

województwami. W każdej z nich utworzono Wojewódzkie Komitety Bezpieczeństwa (WKB), złożone z oficerów WP, Wojsk Wewnętrznych, UB i MO. Na czele WKB stali wyżsi wojskowi, przeważnie

27

dowódcy okręgów wojskowych lub związków taktycznych. Przydzielono im ogromne siły. Żeby nie narazić się na zarzut tendencyjności, skład tych sił podam za Leszkiem Grottem, który pisze: „Do dyspozycji komitetów bezpieczeństwa wydzielono z Wojska Polskiego:

- 47 pułków piechoty,
- 2 brygady artylerii ciężkiej,
- 5 samodzielnych dywizjonów artylerii ciężkiej,
- 18 pułków artylerii lekkiej,
- 5 pułków czołgów,
- 3 pułki artylerii pancernej,
- 3 pułki kawalerii,
- 1 pułk saperów.

Z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego:

- 2 pułki,
- 14 batalionów operacyjnych,
- 18 batalionów ochrony,
- 13 kompanii konwojowych

oraz 52 808 milicjantów i funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Łącznie do akcji przeznaczono od 150 do 180 tysięcy żołnierzy i milicjantów"*.

Inni autorzy dodają jeszcze uzbrojone formacje Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, co liczbę tę zwiększa do 250 tysięcy ludzi. Natomiast łączną siłę zbrojnego podziemia sztabowcy z WP i WKB szacowali wówczas na 15 tysięcy członków. I to uzbrojonych jedynie — co najwyżej — w lekką broń piechoty. Niech zestawienie tych dwóch liczb wystarczy za komentarz.

Jednostkom przydzielonym WKB, jako naczelne zadanie, wyznaczono ofensywną walkę z „bandytyzmem”. Miały „bandytów” tropić, ścigać i bezwzględnie niszczyć w ich kryjówkach.

Rezultaty owej operacji, mimo takiej dysproporcji sił, były jednak żenująco nikłe, czego zresztą władza nie kryła. *Znaczna* większość oddziałów i grup partyzanckich, dzięki temu, że w porę zdążyły przemieścić się w inny rejon lub rozproszyć, a także dzięki pomocy ludności wiejskiej, której synowie i bracia znajdowali się w tych oddziałach, uniknęła zniszczenia.

Pomoc tę z goryczą odnotowują historycy PRL. Jeden z nich, stwierdzając, że „walka z reakcją” była bardzo ciężka, dodał: „Nie mog-

ła przebiegać pomyślnie bez udziału miejscowego społeczeństwa, ono jednak, często zdezorientowane co do jej istoty, udzielało niejednokrotnie podziemiemu poparcia i

pomocy"*.

W znacznym stopniu przesądziło to o niepowodzeniu owych działań na terenie Inspektoratu Puławy, o czym była już mowa, a dotyczy to również operacji z lutego 1946 r., która poprzedziła tamtą, przeprowadzoną w maju-czerwcu tego roku.

W tym miejscu należy przypomnieć haniebną rolę, jaką w ściganiu i likwidacji ostatnich żołnierzy podziemia odegrało kilku wyższych oficerów armii II Rzeczypospolitej, służących wówczas w ludowym Wojsku Polskim, które jeszcze wtedy, jako wysokiej klasy specjalistów, chętnie ich widziało w swych szeregach.

Jednym z nich był wybitny sztabowiec Stefan Mossor, dowodzący we wrześniu, w stopniu podpułkownika dyplomowanego, 6 pułkiem strzelców konnych w Żółkwi, wchodzącym w skład Kresowej Brygady Kawalerii. Okupację spędził w oflagach, po odzyskaniu wolności, tuż przed zakończeniem wojny, zgłosił się do LWP. Został zastępcą szefa sztabu I AWP, krótko przebywał z nią na froncie, awansował do stopnia generała brygady, od lutego 1946 był zastępcą szefa Sztabu Generalnego WP, a od marca tego roku jednocześnie szefem sztabu Państwowej Komisji Bezpieczeństwa i dowódcą Grupy Operacyjnej „Wisła”, prowadzącej operacje przeciw Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA).

To właśnie gen. Mossor był głównym architektem opracowywanych przez PKB planów likwidacji zbrojnego podziemia. Później przez rok dowodził Krakowskim Okręgiem Wojskowym, następnie organizował Biuro Studiów i Doświadczeń Wojennych MON, w 1950 r. został aresztowany i po okrutnym śledztwie, które dzięki jego twardej postawie nie zdołało go załamać, skazany w tzw. procesie generalskim na dożywotnie więzienie. W dniu aresztowania miał stopień generała dywizji. Odsiedział pięć lat, został zrehabilitowany, powrócił do wojska. Wniósł znaczny wkład w budowę ludowej armii. Zmarł we wrześniu 1957 r.

Drugi to gen. dyw. Gustaw Paszkiewicz, jedyny w armii II RP oficer odznaczony *Virtuti Militari* kl. III, IV i V, wzór żołnierskiego męstwa, we Wrześniu dowódca 12 tarnopolskiej DP. Z Rumunii przedostał się do Francji, gdzie był zastępcą Komendanta Głównego ZWZ wtedy, gdy fun-

keję tę pełnił gen. Kazimierz Sosnkowski, następnie do Wielkiej Brytanii, gdzie zajmował różne wysokie stanowiska dowódcze w Polskich Siłach Zbrojnych. W 1945 r. wrócił do kraju i służył w LWP. W okresie, o którym mowa, jako dowódca 18 DP w Białymstoku kierował jednocześnie tamtejszym Wojewódzkim Komitetem Bezpieczeństwa, a zatem i walką ze zbrojnym podziemiem, na Białostocczyźnie szczególnie okrutną i krwawą. Czynił to i później jako dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Odstawiony następnie na boczny tor, w październiku 1952 r. przeszedł w stan spoczynku, a w lutym 1955 r. zmarł.

Wymieńmy jeszcze trzecie nazwisko — gen. dyw. Bruno Olbrychta. Legionista z II Brygady, dowódca batalionu w wojnie polsko-bolsze-wickiej, dowódca 3 DP Leg. z Zamościa, przez ponad siedem lat komendant Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie, w 1939 r. jako generał brygady dowodził 39 rez. DP, która dzielnie biła się do końca kampanii. Zwolniony z oflagu na skutek inwalidztwa. Wstąpił do AK, a

gdy nadchodził czas „Burzy” został, pod pseudonimem „Olza”, dowódcą Grupy Operacyjnej „Śląsk Cieszyński”. Tuż przed zakończeniem wojny zgłosił się do służby w LWP, pełnił w nim szereg funkcji dowódczych, a od września 1945 r. przez ponad rok, a więc w okresie najbardziej brutalnej likwidacji zbrojnego podziemia, dowodził Okręgiem Wojskowym nr 1 w Warszawie. Wprawdzie, zapewne ze względu na jego akowską przeszłość, nie powierzono mu kierownictwa warszawskiego WKB (został nim jego zastępca, wywodzący się z Armii Czerwonej gen. bryg. Jan Mierzycan), ale to wojska jego okręgu, z jego wiedzą i aprobatą, bardzo aktywnie pacyfikowały w 1946 r. cały obszar rozległego województwa. Jednym z ich głównych zadań była likwidacja zgrupowania „Orlika”. Gen. Olbrycht zmarł w marcu 1951 r.

Jeszcze można by wymienić kilka nazwisk, ale poprzestańmy na tych. Ostatnie rozdziały tak pięknych uprzednio żołnierskich biografii tych trzech generałów są bowiem wystarczającym dowodem na to, jak wielce złożone i zagmatwane były wojenne drogi Polaków, przed jak dramatycznymi wyborami stawiało ich życie, jak ciężkie i trudne decyzje niektórzy z nich musieli podejmować. Ocena tych rozdziałów przekracza kompetencje autora. Fakty, które przypomniałem, pozostawiają jednak posmak goryczy.

11 maja 1946 r. ogłoszono treść pytań, na które Polacy mieli odpowiedzieć w referendum. Oznaczało to rozpoczęcie kampanii propagandowej, mającej nakłonić społeczeństwo, by na wszystkie trzy pytania odpowiedziało twierdząco. Na kraj spadł deszcz ulotek, plakatów, bro-

30

szur. Zrzucano je z samolotów, oblepiano nimi wszystkie mury i płoty, wpychano przechodniom na ulicy. Wszędzie odbywały się wiece, prasa i radio szalały. Od domu do domu krążyły ekipy agitatorów. Włączono w tę maszynę także i wojsko.

W owej kampanii władza odwoływała się do postaci i symboli bliskich polskim sercom: do Chrobrego i Grunwaldu, Kościuszki i Sikorskiego, Narwiku i Tobruku, Monte Cassino i polskich lotników, broniących nieba nad Anglią, tłumacząc, że tylko głosowanie „3 x tak” oznaczać będzie wypełnienie testamentu tamtych wodzów i żołnierzy poległych w tamtych bitwach. Rozgrzewano do białości nastroje antyniemieckie („Trzy razy tak — Niemcom nie w smak”). Spod piór partyjnych rymopisów wychodziły setki wierszowanych haseł i sloganów. Wyblakłe ślady najpopularniejszego z nich: „Trzy razy tak — to Polaka znak!” dziś jeszcze można odnaleźć na starych murach.

Równolegle nasilała się kampania zastraszania. Chłopom grozono, że tym, którzy choćby na jedno z pytań odpowiedzą „nie” rekwirowane będą krowy i zwiększany wymiar kontyngentów, mieszkańcom miast — wyrzuceniem z pracy lub usunięciem ich dzieci ze szkół. Płk Mieczysław Moczar, wówczas szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi, na posiedzeniu Komisji Międzypartyjnej oświadczył prezesowi ZW PSL, że każdego, kto będzie agitował, by zgodnie z dyrektywą stronnictwa odpowiadać na pierwsze pytanie „nie” — każe aresztować.

Przyszedł wreszcie dzień głosowania: niedziela, 30 czerwca. Przebiegł w zasadzie spokojnie. Zapewne także dzięki obecności w terenie mas wojska. Frekwencja była

wysoka (85,3 proc. uprawnionych) m.in. dlatego, że w wielu miejscowościach zbiorowo maszerowano do urn i zorganizowano dowożenie ludzi do punktów głosowania.

Na ogłoszenie oficjalnych wyników trzeba było czekać aż dwanaście dni, co nie może dziwić, bo należało je przecież odpowiednio spreparować. Były takie, jakimi być powinny. Na pierwsze pytanie — o zniesienie Senatu, na które PSL wzywało do odpowiedzi negatywnej — „tak” odpowiedziało 68 proc. głosujących, na drugie — o ustrój gospodarczy — 77,1 proc., a trzecie — o granice zachodnie — 91,4 proc.

Od wyników ogólnopolskich rażąco odbiegały jedynie wyniki uzyskane w Krakowie, gdzie — jak oficjalnie podano — na dwa pierwsze pytania więcej było odpowiedzi negatywnych (84 i 59 proc.). Tylko na pytanie trzecie większość (70 proc.) odpowiedziała „tak”. Ogłoszono więc Kraków „bastionem reakcji”, co o tyle mijало się z prawdą, że uży-

31

skane tam wyniki niewiele różniły się od rzeczywistej przeciętnej krajowej, a nie sfałszowano ich nie tylko dlatego, iż przedstawiciel PSL w komisji na to nie pozwolił, ale i z tej przyczyny, iż władza uznała, że ich ujawnienie zwiększy wiarygodność podanych przez nią wyników całego głosowania.

Większość społeczeństwa uznała je za kłamliwe, lecz tylko PSL stwierdziło to publicznie i przekazało Generalnemu Komisarzowi Głosowania Ludowego swój oficjalny protest. Uzupełniony on był grubym tomem materiałów dowodowych, świadczących niezbicie o wielkiej skali dokonywanych w czasie głosowania oszustw, manipulacji i innych nadużyć. Wymuszanie jawności głosowania, sprawiające, że wejście za kurtynę wymagało dużej odwagi cywilnej, podmiana zawartości urn, dosypywanie do nich głosów, nagminne fałszowanie protokołów — to tylko przykłady wielu takich działań. Mimo udokumentowania tych zarzutów w sposób uniemożliwiający ich zakwestionowanie, Komisarz Generalny, którym był prezes Sądu Najwyższego, Wacław Barcikowski, protest PSL odrzucił w całości.

A jaka była prawda? Szacunki PSL, dokonane bezpośrednio po głosowaniu i opierające się na wynikach uzyskanych w niespełna połowie obwodów, z pewnością bliższe są owej prawdzie, niż wyniki oficjalne, ale też nie można uznać ich za miarodajne.

Warto natomiast przytoczyć dane, zawarte w ogłoszonych przez prof. Andrzeja Paczkowskiego niedawno ujawnionych dokumentach, pochodzących z archiwum KC PZPR, a mówiących o przygotowaniach, przebiegu i wyniku referendum. Z zestawień, zamieszczonych w tym zbiorze (*Referendum z 30 czerwca 1946 r. Przebieg i wyniki*, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1993), wynika, że „tak” odpowiedziało na pierwsze pytanie zaledwie 26,9 proc. głosujących („nie” 73,1 proc.), na drugie 42,0 („nie” 58,0), na trzecie — 66,9 („nie” 33,1).

Prof. Andrzej Paczkowski komentuje to następująco:

„Wydaje mi się, że zasadne będzie stwierdzenie, iż «dane pepeero-wskie» obrazują maksymalny zasięg poparcia dla «bloku», a zarazem minimalny zasięg sprzeciwu wobec systemu narzuconego większości społeczeństwa. Tak więc: «za»

głosowało nie więcej niż 26,9 proc., «przeciwko» nie mniej niż 73,1 proc. Jest to konstatacja najbardziej podstawowa, a zarazem — jak miemam — najważniejsza".

Dziś, po upływie niemal pół wieku od referendum, wszelkie spory o to, w jakim stopniu wyniki te zostały sfalszowane, są czynnością jałową. Jedno jest poza dyskusją — referendum wraz z jego oficjalnymi

32

wynikami było gigantycznym oszustwem, dokładnie zaplanowanym i wykonanym.

Obecnie nie negują tego także politycy i historycy, wywodzący się w prostej linii od autorów tej operacji, czemu dziwić się nie należy. Ciekawsze jest natomiast, że już wtedy, w 1946 roku, władza tę prawdę знаła. Znali ją przede wszystkim członkowie kierownictwa PPR, którym zaufani towarzysze — z Zenonem Kliszko na czele — odpowiedzialni za referendum przekazali dwie wersje jego wyników: prawdziwą i spreparowaną. Prawdziwa nie była dla nich rewelacją, gdyż potwierdziła jedynie to, o czym dobrze wiedzieli od chwili, gdy stali się właścicielami Polski Ludowej, że nadal większość społeczeństwa jest przeciw nim i że w jakichkolwiek wolnych i sprawiedliwych wyborach nie mają żadnych szans.

Znacznie ważniejszy był wniosek drugi, który dla PPR — a później PZPR — stał się drogowskazem, wytyczającym działania tej partii, aż do jej zejścia ze sceny dziejów. Sprowadzał się on do następującej bardzo prostej recepty na to, co trzeba zrobić, by utrzymać się przy władzy: nadal konsekwentnie iść drogą manipulacji, fałszerstw i oszustw. Jeśli bowiem spreparowanie wyników referendum, co było oszustwem szytym grubymi nićmi, zostało przez społeczeństwo raczej gładko przełknięte i nie wywołało jego masowych sprzeciwów (prócz szybko zdezakwuwowanego protestu PSL), jeśli nie doprowadziło do międzynarodowego skandalu, nie zaowocowało pełnymi oburzenia notami dyplomatycznymi mocarstw zachodnich, to jest oczywiste, że i w przyszłości należy tak działać. Zapewni to zwycięstwo w wyborach, które prędzej czy później trzeba będzie przeprowadzić, a także w każdej następnej rozgrywce z narodem. Jednak pod dwoma warunkami: że w kraju i na arenie międzynarodowej sprawę się wyciszy oraz że skutecznie zamknie się usta tym, którzy chcieliby ją nagłaśniać.

Kierunek został więc jasno wytyczony. Najpierw jednak należało odtrąbić zwycięstwo. Wzorcowo uczyniła to uruchomiona już przed referendum machina propagandowa, dmąc we wszystkie fanfary i bijąc we wszystkie dzwony, które miała do dyspozycji.

4 lipca, gdy ta kampania, poprzedzająca ogłoszenie oficjalnych wyników, nabierała rozmachu, doszło do pogromu Żydów w Kielcach. Zginęły wtedy 42 osoby. Winą za tę zbrodnię, zaplanowaną — na co wszystko wskazuje — przez szefów wojewódzkich struktur PPR i UB, a wykonaną przez agentów UB, oczywiście obciążono „reakcję”. W bardzo dosadnych słowach uczynił to Gomułka, stwierdzając, że był to odwet „peese-

33

lowsko-eneszetowskiej negacji" za klęskę poniesioną w referendum i porównując

sprawców do hitlerowców. W ten sposób upieczono dwie pieczenie na jednym ogniu: odwrócono uwagę Zachodu od referendum i oczerniono w jego oczach niepodległościowe podziemie.

W ramach zaostrzania represji wobec ludzi, którzy temu podziemiu choćby tylko sprzyjali, minister bezpieczeństwa publicznego wydał 6 lipca okólnik „w sprawie ścigania osób okazujących pomoc bandytom”. Powołując się na dekret Rady Ministrów sprzed niespełna miesiąca, bo z 13 czerwca, „o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”, okólnik ten groził drakońskimi karami, włącznie z karą śmierci, wszystkim, którzy z takich czy innych powodów narazili się funkcjonariuszom bezpieczeństwa, gdyż określenie „okazywanie pomocy” jest bardzo rozciągliwe i bardzo dowolnie można je interpretować. Może być zastosowane wobec tego, który przechowuje we własnej zagrodzie partyzancką broń, ale także wobec tego, który podał partyzantowi kubek mleka lub — nie pytany zresztą o zgodę — wpuścił kilku młodych ludzi na noc do swej stodoły. Po wyposażeniu podległych sobie służb w takie uprawnienia, minister Stanisław Radkiewicz, szef MBP, wkrótce, 23 lipca, wydał im rozkaz — przy ścisłej koordynacji z wojskiem — wzmożenia i zaostrzenia ofensywy przeciw bandom i bandytom.

Wszystko to sprawiło, że sytuacja zbrojnego podziemia pogarszała się z dnia na dzień. Zresztą i przed referendum nie była już dobra. Rozbito wiele oddziałów, wielu dowódców — wśród nich najwyższą rangą i funkcją oficerowie AK — przebywało w więzieniach. Siedzieli za kratami m.in.: komendant Okręgu Białostockiego AK ppłk Władysław Li-niarski („Mścisław”), skazany w maju 1946 na karę śmierci i oczekujący w więzieniu mokotowskim na egzekucję, która nie nastąpiła, bo wyrok ten zamieniono mu na 15 lat więzienia; komendant Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK, płk Jan Zientarski („Mieczysław”), jego szef sztabu i zastępca w latach okupacji, ppłk dypl. Wojciech Borzobohaty („Wojan”), ujęty 21 czerwca 1945 r. w pułapce zastawionej na niego w Warszawie przez jednego z najgłośniejszych siepaczy MBP Józefa Różańskiego. Płk „Wojan” został wtedy trafiony czterema pociskami, dostał karę śmierci, po trudnych do opisanego przeżyciach odzyskał wolność po upływie niemal dziewięciu lat*.

Coraz cięższe ciosy spadały na Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość (WiN), stanowiące — poza legalnie jeszcze działającym PSL — główną siłą oporu przeciw sowietyzacji Polski. W więzieniu przebywał przewodniczący jego pierwszego Zarządu Głównego płk Jan Rzepecki („Prezes”) aresztowany 5 listopada 1945 r., a wkrótce po nim znaleźli się tani niemal wszyscy członkowie ścisłego kierownictwa WiN. W tym samym dniu, w którym aresztowany został płk Rzepecki, uwięziono prezesa Zarządu Obszaru Południe WiN płk. Antoniego Sanojcę („Kortuma”), w latach okupacji szefa Oddziału I (Organizacyjnego) KG AK. Tkwił za kratami płk Jan Szczurek-Cergowski („Sławbor”), który kierował WiN po aresztowaniu płk. Rzepeckiego. Później, w niespełna cztery miesiące po referendum, 22 października trafił do celi więziennej przewodniczący II Zarządu WiN płk Franciszek Niepokólczycki („Teodor”), w czasie wojny szef Wydziału Saperów O.III KG AK. Skazany na karę śmierci,

zamienioną na dożywocie, ponad dziesięć lat spędził w więzieniu.

Funkcjonariuszom UB udało się również wyeliminować kilku walczących na pierwszej linii dowódców partyzanckich. W okresie bezpośrednio poprzedzającym referendum, odnieśli oni drugi po śmierci „Orlika”, poważny sukces. 27 czerwca 1946 r. w Kłomnicach pod Częstochową ujęli, wraz z adiutantem i sekretarką, sławnego na tamtym terenie „Warszyca” (kpt. Stanisław Sojczyński), komendanta silnej, w pełni niezależnej organizacji zbrojnej „Konspiracyjne Wojsko Polskie”, działającej w okręgach łódzkim i śląskim. W końcu lutego 1947 r. „Warszyc” został stracony. Jednocześnie wykonano wyroki śmierci na jego pięciu podkomendnych.

Poważne straty poniósł także Inspektorat Puławy. We wrześniu i październiku 1946 r. w wyniku intensywnych działań coraz liczniejszej i gęstszej siatki konfidentów zdobyto wiedzę o składzie jego sztabu. Aresztowano komendanta Obwodu Puławy kpt. Henryka Piąt-kowskiego („Kotlina”), dwóch komendantów podobwodów, kilku dowódców niższego szczebla. Niemal każde z tych aresztowań pociągało za sobą następne. Zatrzymanych poddawano morderczemu śledztwu, połączonemu z biciem i torturami.

„Kotlina” na krótko przed swą śmiercią (zmarł w 1994 r.) w rozmowie z Zygmuntem Kultyssem po raz ostatni wrócił do tego tematu.

— Przez półtora roku trzymali mnie w śledztwie na Zamku w Lublinie — powiedział. — Bili strasznie. I bez przerwy pytali o naszych ludzi. O „Justa”, „Spokojnego”, innych. Gdzie są, kto ma z nimi kontakt. Więc w końcu mówię: skąd ja mogę wiedzieć, gdzie są? Może

35

w Lublinie, może w Kocku, może w lesie. Cóż to byłaby za konspiracja, jeśli wiedziałbym gdzie przebywa każdy jej członek? Wtedy z pewnością wybralibyście wszystkich, jak prosiaki z chlewa!

Major „Kotlina” (u schyłku życia awansował o jeden stopień) został skazany na dwanaście lat więzienia. Odsiedział dziewięć. Najdłużej przebywał w Rawiczu.

— Jako starszy celi — powiedział w tej ostatniej rozmowie — składałem przy każdym apelu porannym meldunek oddziałowemu. Według określonej formuły. Mianowicie tak: „Panie oddziałowy! Melduje bandyta Piątkowski. Stan pięciu bandytów. Wszyscy obecni”.

W drugim półroczu 1946, w okresie między referendum a wyborami do Sejmu, zorganizowany opór zbrojny zaczynał już wygasać.

Niemal rok wcześniej, bo pod datą 8 listopada 1945, Stefan Kor-boński, jedna z czołowych postaci polskiego Państwa Podziemnego, po porwaniu do Moskwy Jana Stanisława Jankowskiego pełniący obowiązki Delegata Rządu RP na Kraj, a wtedy członek ścisłego kierownictwa PSL, zapisał w swej książce pt. *W imieniu Kremła*:

„Po niezliczonych polskich lasach błakają się niedobitki zbrojnych oddziałów, z orłami na czapkach, z ryngrafami na piersiach, nie pogodzone z przegraną, walczące z zaciętymi zębami o głodzie i chłodzie już tylko dla honoru, dla protestu, bez nadziei na zwycięstwo, same i opuszczone”.

Wprawdzie z tymi ryngrafami to Korboński przesadził, bo nosili je tylko niektórzy

spośród żołnierzy NSZ, ale te gorzkie słowa wiernie odzwierciedlają sytuację ówczesnej tragicznej partyzantki. Z tym, że rok, który od ich napisania upłynął, sytuację tę w ogromnym stopniu pogorszył, czyniąc ją całkowicie beznadziejną.

(Na początku lipca 1946, w kilka dni po śmierci „Orlika”, w wydawanym na terenie Inspektoratu Puławy „Biuletynie Informacyjnym” ukazał się artykuł poświęcony jego pamięci. Kończył się tak:

„Krew jęgo jest niemilknącym wołaniem o suwerenne prawa narodu polskiego”.

Walka o te prawa, od początku nie rokująca zwycięstwa, już wtedy była przegrana. Ale wielu spośród tych, którzy ją podjęli, ciągle nie chciało złożyć broni.

Pod biczem swastyki

Aby zrozumieć, jak to się zaczęło i jak doszło do tego, że Polak strzelał do Polaka, trzeba cofnąć się o siedem lat, do jesieni 1939 r., kiedy to na całym obszarze podbitego już kraju przystąpiono do budowy konspiracji. W powiatach garwolińskim i puławskim nastąpiło to bardzo wcześnie.

Gdy w pierwszych dniach października por. Zygmunt Żyłka-Żebra-cki, oficer 15 pp z Dębina, po rozwiązaniu jego batalionu i zakopaniu broni, przedzierał się w rejon Kocka, by dołączyć do walczących tam jeszcze wojsk gen. Kleberga, już wtedy trafił na kontakt organizacyjny. Opowiadał mi o tym w końcu lat osiemdziesiątych w swym małym pokoju na warszawskim Żoliborzu, skąd wkrótce przeniósł się na stałe do rodzinnego Sanoka.

— Gdzieś koło Kłoczewa — mówił — zaszedłem do jakiegoś gospodarstwa. Byłem w mundurze. Przyjęto mnie serdecznie, dostałem mocno sfatygowane i przymałe ubranie, a gdy zapytałem z kim można by tu szczerze porozmawiać, bez namysłu odpowiedziano mi, że z kło-czewskim proboszczem. Poszedłem do niego nazajutrz. Sam mi otworzył, dziwnie popatrzył na mój garnitur, ale wpuścił. Szczerze wyznałem kim jestem i że szukam kontaktu. Proboszcz tematu nie podjął, mimo że w czasie kolacji długo rozmawialiśmy, ale przy pożegnaniu mruknął, iż powinienem odwiedzić rodzinę młynarzy z Ryk, pp. Skalskich. To był właściwy ślad. Później już poszło.

Oficer, przerzucany z rąk do rąk, trafił do Warszawy, a z niej do Lublina, gdzie zaczęła już działać komenda Okręgu Służby Zwycięstwu Polski (przekształconej w Związek Walki Zbrojnej, następnie w Armię Krajową). Na jej czele stał mjr (płk.) Józef Sychalski*, dowódca Batalionu Stołecznego, wstawionego w obronie Warszawy. Powierzył on

por. Żebra-ckiemu stanowisko komendanta Obwodu Garwolin (powiat garwoliński należał przed wojną do województwa lubelskiego). Zygmunt Żebra-cki funkcję tę pełnił do lipca 1942 r., po czym do listopada 1944 był — w stopniu kapitana, a od 3

maja 1944 majora, pod pseudonimem „Żeliwa” — komendantem Obwodu AK Puławy.

Również w październiku, na terenie, o którym mówimy, powstała mająca później szeroki zasięg, Organizacja Wojskowa. Jej komendantem był rtm. rez. Witold Orzechowski („Longinus”), administrator majątku Osmolice w gminie Ułęż niedaleko Dębłina. Majątek ten był dzierżawiony przez Stanisława Leśniowskiego, zięcia gen. Władysława Sikorskiego. W końcu sierpnia 1939 *znalazła* tam schronienie żona generała przybyła z małej posiadłości Sikorskich w Parchaniach k. Inowrocławia, a więc tam, gdzie w przypadku wojny spodziewano się szybkiego wkroczenia Niemców. Od 7 do 10 września w Osmolicach przebywał wraz z kilkoma oficerami gen. Sikorski, który zatrzymał się tam w drodze do Lwowa.

Do dziś powtarzana jest wersja, że Organizację Wojskową powołano właśnie wtedy, z rozkazu generała. Większość historyków jej przeczy, nie ulega jednak wątpliwości, że nastąpiło to z jego inspiracji. Ów zawiązano na zebraniu w pierwszych dniach listopada. Prócz „Longinusa” i czasowo przebywających w Osmolicach oficerów, uczestniczyła w nim grupa ogólnie szanowanych obywateli z okolicy, w większości dawnych konspiratorów i żołnierzy. Wśród nich wójt gminy Ułęż sierż. rez. Gabriel Grzelak, nauczyciel Józef Grzechnik, dyrektor szkoły rolniczej w Sobieszynie inż. Jerzy Kalicki, kierownik szkoły w Białkach Jan Wyjadłowski. Ów po różnych transformacjach przekształciła się w listopadzie 1943 w Korpus Bezpieczeństwa (KB), podporządkowany KG AK.

Natomiast niemal wszystkie inne powstające w tym czasie komórki konspiracyjne od razu *znalazły* się w strukturach ZWZ-AK. Na obszarze przyszłego Inspektoratu Puławy powstawały spontanicznie, w każdym mieście i miasteczku, w każdej gminie, w wielu wsiach.

Taki był początek.

Teren, na którym w okresie późniejszym operowało zgrupowanie „Orlika”, rozciągał się od Garwolina po Kazimierz, Nałęczów i Wąwolnicę oraz od Wisły po Kurów, Markuszów i Garbów. W okresie międzywojennym był to obszar województwa lubelskiego, które obejmowało wtedy Garwolin wraz z powiatem i sięgało niemal na przedpola Warszawy. Dopiero na pięć miesięcy przed wybuchem wojny,

bo 1 kwietnia 1939 r., powiat garwoliński przyłączony został do województwa warszawskiego, co sprawiło, że swoją południową granicą oparło się ono o Wieprz. Niemcy wprowadzili niewielką korektę — południową część powiatu garwolińskiego, wraz z Rykami, przyłączyli do dystryktu lubelskiego. Po wojnie korektę tę anulowano, ponownie włączając ten obszar do woj. warszawskiego. Wrócił więc stan istniejący 1 września 1939 r.

Brak dużych kompleksów leśnych, gęste zaludnienie, gęsta, jak na ówczesne warunki, sieć dróg, bliskość Warszawy i Lublina nie sprzyjały walce partyzanckiej. Tym bardziej, że w latach okupacji stacjonowały tu znaczne siły niemieckie: żandarmeria,

Wehrmacht, Luftwaffe, formacje Ostlegionów. Mieli gęstą sieć Stuetzpunktów (kilkunastoosobowych grup wojska, rozmieszczonych w majątkach, zakładach przemysłowych itp.), kilka lotnisk, obozy szkoleniowe. Pilnie strzegli szlaków kolejowych, mających dla nich — od chwili rozpoczęcia wojny z ZSRR — znaczenie strategiczne. A także mostów na Wiśle.

Ireneusz Caban, jeden z najlepszych znawców wojennych dziejów Lubelszczyzny, w swej książce pisze, że tylko na terenie obwodu Puławy „przez cały czas okupacji siły niemieckie liczyły około 30 tyś. osób różnych formacji wojskowych i policyjnych, co znakomicie przewyższało stan członków wszystkich ugrupowań konspiracyjnych działających na terenie powiatu puławskiego”*.

Czynnikiem sprzyjającym konspiracji był fakt, że obszar ten zamieszkiwała ludność wyłącznie polska, co zrozumiałe, jeśli się przypomni, iż Puławy — o czym dziś nie wszyscy ich mieszkańcy wiedzą — stanowiły w okresie międzywojennym geograficzny środek Rzeczypospolitej.

Ważne było i to, że nie brakowało tu mężczyzn dobrze znających rzemiosło żołnierskie, wśród nich oficerów i podoficerów zarówno zawodowych, jak i rezerwy. Większość ich wywodziła się z jednostek stacjonujących w Dęblinie, który w okresie międzywojennym miał bardzo liczny garnizon, wieloma niemi związany ze społeczeństwem i odgrywający istotną rolę w jego patriotycznym wychowaniu.

Najwięcej chwały przysporzyła Dęblinowi mieszcząca się tam i wchodząca w skład Centrum Wyszkożenia Lotnictwa Szkoła Podchorążych Lotnictwa, sławna „szkoła orląt”. Jej komendantem był znany pilot ppłk Jerzy Bajan, który w 1934 r. na samolocie RWD-9 zwyciężył w zawodach Challenge. Piloci z Dęblina mężnie bronili polskiego nieba

we wrześniu, wnieśli istotny wkład — wraz ze swym dowódcą ppłk. Bajaniem — w zwycięstwo odniesione w bitwie o Anglię, do dziś są legendą polskich skrzydeł. Nie wszystkim jednak sprzyjał żołnierski los: wielu zginęło w Katyniu.

Stacjonowały tam ponadto 15 pp „Wilków”, o którym będziemy jeszcze mówili, 28 pułk artylerii lekkiej (po drugiej stronie Wisły, w Za-jezierzu), 11 dywizjon artylerii plot. (w Stężycy), kompania saperów. W pobliskich Stawach znajdowała się Główna Składnica Uzbrojenia nr 2.

Oficerowie i podoficerowie z tych jednostek stanowili kierowniczy trzon konspiracji wojskowej na obszarze inspektoratu, a później wielu z nich pełniło funkcje dowódcze w oddziałach partyzanckich AK. Ale nie tylko miejscowej AK garnizon dębliński dał tak znakomitą kadrę. Kilku jego oficerów stało się budowniczymi armii podziemnej w *znacznie* większej skali.

Był wśród nich dowódca 15 pp płk dypl. Władysław Fraczek, który poprowadził pułk na wojnę. Już w trzecim jej dniu, w trakcie przeprawy przez Wartę pod Rychłolicami, został ciężko ranny. Gdy wrócił do zdrowia, rozpoczął działalność w konspiracji na terenie Wilna. Później był szefem Wydziału Operacyjnego w Oddziale III KG AK, a następnie szefem sztabu Komendy Obszaru Warszawskiego i zastępcą komendanta Obszaru.

Po zranieniu płk. Fraczka zajął jego miejsce i dzielnie dowodził 15 pp „Wilków” do końca kampanii dowódca I batalionu mjr Józef Ratajczak. Tak dzielnie, że dowódca Armii „Łódź”, gen. dyw. Juliusz Rómmel, odznaczył go *Virtuti Militari* IV klasy, błędnie zresztą podając w rozkazie odznaczeniowym, że mjr Ratajczak poległ. W rzeczywistości przeżył kampanię, budował zręby konspiracji, był, pod pseudonimem „Karolczak”, pierwszym komendantem Okręgu Pomorskiego ZWZ-AK. Aresztowany w Warszawie w listopadzie 1940 r. okrutnie torturowany, zginął w zbiorowej egzekucji w lasach koło Magdalenki.

Oficer, który zastąpił go na stanowisku komendanta Okręgu Pomorskiego także wiele lat spędził w Dęblinie. Był to płk Rudolf Ostrihansky („Ludwik”), dowódca 28. pułku artylerii lekkiej z Zajeziersza (aresztowany przez gestapo, osadzony w Stutthofie, zbiegł podczas ewakuacji obozu; zmarł 5 października 1963 we Wrocławiu).

Adiutantem 15 pp był przed wojną kpt. Eugeniusz Ladenberger. W 1940 r. komendant Obwodu Lubartów, następnie w konspiracji warszawskiej, jeden z organizatorów słynnego pułku „Baszta”. W pułku tym mjr „Burza” (bo taki miał w Warszawie pseudonim) dowodził batalionem „Bałtyk” i wraz z nim zapisał piękną kartę w powstańczej epopei.

40

Dodać jeszcze można, że w pierwszym okresie po odzyskaniu niepodległości dowódcą garnizonu Dęblin był Ludwik Bittner, w latach okupacji generał brygady (ps. „Halka”), dowódca odtwarzanej na Podlasiu 9 DP.

Zrozumiałe zatem, że to właśnie w Dęblinie i jego najbliższych okolicach bardzo szybko zaczęły powstawać pierwsze przyczółki podziemnej armii. Z reguły pod kierownictwem wojskowych tworzyła je miejscowa młodzież. Także i dziewczęta. Jedną z pierwszych komórek wywiadu na tym terenie był zastęp wywiadowczyń, uczennic i harcerek z Dębłina, zbierający informacje z koszar, lotniska i twierdzy. Zorganizowała go nauczycielka, hufcowa Janina Tyszkiewiczówna wraz z drużynową Zofią Pietrzakówną. Już w marcu 1940 r. obydwie zostały aresztowane, przewiezione na Zamek w Lublinie i rozstrzelane w zbiorowej egzekucji na Rurach Jezuickich.

Tradycje walk o wolność i niepodległość Polski miały więc tu godnych kontynuatorów. A były to tradycje bogate, sięgające w odległą przeszłość. To przecież tu, na obszarze działań „Orlika”, pod Maciejowicami stoczył swą ostatnią bitwę Tadeusz Kościuszko: tu, pod Kockiem, w maju 1809 r. płk Berek Joselewicz, idący na czele dwóch szwadronów strzelców konnych w przedniej straży naszych wojsk, szarżował na austriackich huzarów i padł w tej szarży; to w Żelechowie kilka lat (od 1845 do 1853, gdy wyruszył na wojnę krymską) spędził jako oficer stacjonującego tam rosyjskiego III Batalionu Saperów Romuald Traugutt, który wraz z żoną i czworgiem dzieci mieszkał przy ul. Oficerskiej (dziś Lelewela); tu znajduje się wiele pól bitewnych z Powstania Styczniowego, wśród nich pobojuwisko pod Żyrzynom, gdzie 18 sierpnia 1863 roku w powstańczej zasadzce rozgromiona została rosyjska kolumna. Przy niewielkich stratach własnych powstańcy zabili wtedy lub ranili prawie 200 carskich żołnierzy, 150 wzięli do niewoli, zdobyli także eskortowaną przez nich kasę z ogromną wówczas sumą prawie dwustu tysięcy rubli.

To stąd, z tej ziemi, znad Wieprza, przed świtem 16 sierpnia 1920 r. ruszyło zwycięskie natarcie naszych dywizji, dowodzonych przez Józefa Piłsudskiego, które przesądziło losy tamtej wojny, uniemożliwiając bolszewikom podbój Europy drogą wiodącą „poprzez — jak pisał w swym rozkazie Michaił Tuchaczewski — trupa Polski”.

Także i wrzesień przetoczył się przez ten obszar niszczącą nawałnicą. Niemal od pierwszego dnia wojny szosą Warszawa-Lublin płynęły nieprzeliczone rzesze uchodźców. Ogromna ciżba ludzka, w znacznej części złożona z kobiet i dzieci, krok po kroku posuwała się na wschód.

41

Pieszo, na różnych bryczkach i furmankach, rowerami. Z trudem przebijały się przez nią przeładowane samochody.

Co pewien czas tłum rozstępował się, by przepuścić kolumny wojska. Szły tedy oddziały Armii „Lublin”, a później wykrwawione jednostki Armii „Prusy”, którym udało się sforsować Wisłę. Tędy prowadzili swych żołnierzy dwaj przyszli dowódcy Armii Krajowej: płk Stefan Rowecki i płk Tadeusz Komorowski. Pierwszy na czele Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, której zadanie polegało wówczas na obronie Wisły od Maciejowie po Puławy, drugi wraz z ewakuowanym z Grudziądza Centrum Wyszkozenia Kawalerii, stanowiącym trzon utworzonego w Garwolinie zgrupowania.

Nad zatłoczoną szosą krążyły od świtu do zmierzchu samoloty Luft-waffe, okładając ją bombami i bijąc z broni pokładowej w tłumy bezbronnych uchodźców. Zbombardowano wszystkie większe miejscowości położone przy szosie, a Ryki nawet dwukrotnie: 10 i 11 września. Łącznie zginęło wtedy ok. 300 osób, głównie Żydów. Płonęły domy cywilnej ludności, chłopskie zagrody, żydowskie sklepiki.

„Dęblin dziś silnie zbombardowany — zapisał w swych *Wspomnieniach i notatkach* pod datą 5 września płk Stefan Rowecki — podobnie Puławy. Wszystko niemal w drzazgach. Miałem wyjątkowe «szczęście», bo przetrwałem po kolei trzy naloty: jeden w Dęblinie (czterech zabitych i ośmiu rannych), dwa w Puławach (ośmiu zabitych, dwudziestu rannych, działo przeciwpancerne rozbite) oraz jeden nalot w Solcu...”.

Wspomniany przez płk. Roweckiego nalot na Dęblin był już którymś z rzędu. Wprawdzie 1 września, zapewne dzięki temu, że lotnisko dęblińskie pokrywała gęsta mgła, Niemcy go nie bombardowali i krążyły nad nim jedynie samoloty rozpoznawcze, ale nazajutrz wraz z innymi obiektami CWL-1 uległo ono całkowitemu zniszczeniu. Bombardowanie trwało niemal cały dzień. Na szczęście eskadry bojowe zdążyły już przebazować. Ewakuowano także do okolicznych wsi rodziny wojskowych i cywilnych pracowników. Ale straty były duże. Bomby zniszczyły port lotniczy, hangary i inne obiekty CWL, zginęło 18 osób, w tym 7 lotników czechosłowackich. Było wielu rannych, wśród nich ppłk pil. Jerzy Bajan*.

Wśród mieszkańców Dęblina, ze zgrozą obserwujących zagładę CWL, ich dumy i chluby, był siedemnastoletni uczeń technikum lotni-

czego Czesław Szlendak, później — pod pseudonimem „Maks” — dowódca jednego z patroli obwodowego Kedywu i dzielny żołnierz zgrupowania „Orlika”.

Inny z przyszłych partyzantów, szesnastoletni Zygmunt Kultys z Ryk, od kilku dni pracował w Stawach, w Głównej Składnicy Uzbrojenia. Mimo że czterech jego braci znajdowało się w wojsku i był bardzo potrzebny w gospodarstwie, zgłosił się ochotniczo na apel oficerów z GSU. Ciężko pracując po nocach, ładował broń i amunicję na wagony wysyłane do walczącej armii. Niemcy składnicy nie bombardowali, co wielu dziwiło, ale było zrozumiałe, gdyż wiedzieli, że wkrótce będzie im potrzebna, Luftwaffe jedynie obrzucała bombami transporty opuszczające Stawy. Okazało się, że mieli rację, tak postępując. Choć bowiem 14 września, w przeddzień zajęcia Stawów przez Niemców, gen. Bruno Olbrycht, dowódca idącej tamtędy 39 rez. DP, wydał rozkaz zniszczenia broni i amunicji, zmagazynowanych w składnicy, z nie wyjaśnionych powodów nie zostało to uczynione i zasoby te, nieco tylko uszczuplone, wpadły w ręce Wehrmachtu.

Wieczorem 17 września nieliczne polskie oddziały, zarówno regularne, jak i ochotnicze, desperacko broniące Lublina, wycofały się z miasta i zajęli je Niemcy. Jednocześnie wygasły walki na obszarze, o którym mówimy. Rozpały się ponownie, gdy w rejon Kocka dotarła, przebijając się korytarzem między wojskami niemieckimi i sowieckimi, SGO „Polesie” gen. Franciszka Kleberga, by stoczyć tam zacieklą, czterodniową bitwę z Niemcami, która jako ostatnia bitwa kampanii trwale wpisała żołnierzy SGO i ich dowódcę w księgę chwały naszego oręża.

Na szczęście dla ludności tego obszaru wtedy, w 1939 roku, Armia Czerwona tam nie weszła. Wprawdzie zajęła Stoczek Łukowski, a nieco bardziej na północ Mrozy, z których do Warszawy miała zaledwie 50 kilometrów, ale tu zatrzymała się między Parczewem a Kockiem.

Wreszcie nawałnica minęła. Zostawiła po sobie zgliszcza i groby. Ale także coś więcej: ukrywających się po wsiach ludzi, obeznanych z żołnierskim rzemiosłem i znaczne, zwłaszcza w rejonie Kocka, ilości broni i amunicji ukrytej przez kończące walkę oddziały. Bardzo to sprzyjało narodzinom i rozwojowi konspiracji.

Sprawiło to także, że stosunkowo szybko ukształtowały się tu struktury organizacyjne i terytorialne ZWZ-AK. Czyniono w nich później różne korekty, szczegółowe ich omawianie nie mieści się w założeniach tej książki, niemniej — dla jasności obrazu — należy je skrótowo przedstawić. Tym bardziej, że w zasadzie, z niewielkimi tylko zmianami, przetrwały aż do końca okupacji niemieckiej. A także i po niej.

Początkowo Obwód Puławy był jednym z 14 obwodów Okręgu Lubelskiego. Gdy utworzono inspektoraty (wiosną 1941 r. trzy, latem cztery: Lublin, Puławy, Zamość i Radzyń, później piąty — Chełm), wszedł w skład Inspektoratu Rejonowego Puławy. Tworzył go wraz z obwodem Janów Lubelski (od 1 stycznia 1943 Kraśnik, bo tam Niemcy przenieśli siedzibę starostwa). Pierwszym inspektorem był kpt. Jerzy Górski („Paweł”), który po aresztowaniu przez Niemców i ucieczce z ich rąk musiał teren

opuścić. Zginął w nieznanymi okolicznościach i w nieznanym miejscu. Po nim, w połowie 1942 r., funkcję tę objął i pełnił, włącznie z okresem „Burzy”, zawodowy oficer artylerii, obrońca Lwowa w 1939 r. kpt. (mjr) Stanisław Kowalski („Konrad”).

Obwód Puławy, podobnie jak inne obwody AK, początkowo pokrywał się z przedwojennym powiatem puławskim, ale później był od niego większy, gdyż od czerwca 1942 r. przyłączono do niego południową część powiatu garwolińskiego z Sobolewem, Żelechowem i Rykami. Ciągnął się stukilometrowym pasem wzdłuż Wisły od Sobolewa i Maciejowie po Godów i Rybitwy.

Pierwszym komendantem obwodu był ppor. rez. Jan Michalczewski. Funkcję tę pełnił krótko, bo tylko dwa miesiące. Aresztowany przez gestapo został stracony na Majdanku. Po nim, od grudnia 1939 r., objął ją nauczyciel, ppor. rez. Piotr Sławoń („Socha”), który zagrożony aresztowaniem szybko ten teren opuścił. Zastąpił go na kilka miesięcy por. Jan Łętowski („Łazik”), o którym niewiele wiadomo, a od lutego 1941 r. wspomniany już kpt. Stanisław Kowalski. Od lipca 1942 r. do końca niemieckiej okupacji, a także kilka miesięcy po niej, komendantem obwodu był także już wzmiankowany kpt. Zygmunt Żebracki („Żeliwa”).

Ze względu na duży obszar, znaczną liczebność i rolę, przypadającą mu w walce bieżącej oraz w planowanym powstaniu, Obwód Puławy podzielony został na trzy podobwody: „A” (Dęblin-Ryki, komendant oficer zawodowy 15 pp kpt. Piotr Ignacak, ps. „Sawa”), „B” (Puławy, kpt. Stanisław Węglowski, ps. „Lechit”) i „C” (Opole Lubelskie, kpt. Agenor Walusiński, ps. „Kieł”). Każdy z podobwodów składał się z rejonów, a one z placówek. Podobwód „A”, który w latach okupacji był bazą i głównym terenem działań „Orlika”, miał pięć rejonów. Były to (w nawiasach nazwiska ich komendantów w okresie największego nasilenia walki): I — Sobolew-Maciejowice (por. Szczepan Ochab-Lipiński, ps. „Rusznica”), II — Żelechów (por. Wacław Janicki, używający również nazwiska Majewski, ps. „Wrzosek”), III — Trojanów-Kłoczew (por. Stanisław Piechowicz, ps. „Lot”), IV — Ryki-Ułęż (por. kpt. Hen-

44

ryk Piątkowski, ps. „Kotlina”), V — Dęblin-Irena-Stężyca (ppor. Melchior Piskała, ps. „Melchior”).

W skład Podobwodu „B” wchodziło także pięć rejonów: VI — Bara-nów-Żyrzyn-Gołąb (por. Ludwik Czarnecki, ps. „Łodzia”), VII — Kurów-Markuszów-Garbów (ppor. Eugeniusz Kunicki, ps. „Kłos”), VIII — Puławy-Końskowola (wachmistrz Mieczysław Kleszczewski, ps. „Janusz”), IX — Kazimierz-Celejów (por. Zygmunt Romanowski, ps. „Wola”), X — Nałęczów-Wąwolnica (por. Edward Wrotniak, ps. „Weneda”).

Podobwód „C” miał tylko trzy rejony: XI — Karczmiska-Szczekar-ków (ppor. Ludwik Gol wiej, ps. „Czarny”), XII — Opole Lubelskie (ppor. Józef Mazur, ps. „Mazowiecki”) i XIII — Rybitwy-Kamień (ppor. Jan Rynkiewicz, ps. „Wirski”)*.

Tak wyglądało na tym terenie Ordre de Bataille głównej siły Polskiej Walczącej, to znaczy ZWZ-AK. Możliwe, że są w nim jakieś pomyłki, co niektórzy akowcy

sugerują, ale po tylu latach trudno ich umknąć.

Por. Marian Bernaciak, organizator pierwszej komórki ZWZ-AK w Rykach, od jesieni 1942 r. przez rok był szefem Kedywu Podobwodu „A”. Używał wtedy, jak już powiedziano, pseudonimu „Dymek”. Jesienią 1943 r. zdekonspirowany przeszedł do lasu i objął dowództwo sformowanego przez siebie oddziału partyzanckiego (OP 1-15). Zmienił wówczas pseudonim na „Orlik”. I jako „Orlik” pozostał w historii walki, toczonej w inspektoracie Puławy z dwoma okupantami.

Machina hitlerowskiego terroru ruszyła tu już na przełomie września i października 1939 r., gdy trwał jeszcze opór ostatnich jednostek naszego wojska.

Jedną z pierwszych jej ofiar była mała wioska Szczuczki w gminie Karczmiska, gdzie 1 października żołnierze Wehrmachtu zamknęli w budynku szkoły ponad stu mężczyzn, ostrzelali go kilkoma salwami artyleryjskimi, po czym weszli do środka i dających jeszcze oznaki życia dobijali z broni maszynowej. Zamordowano wtedy 64 mieszkańców Szczuczek. Pretekstem do tej zbrodni było to, że poprzedniego dnia grupa żołnierzy WP zakopała w pobliskim lesie broń. Miejsce to zresztą Niemcom wskazano i broń odnaleźli.

Od początku okupacji do jej końca płonęły wsie, zabijano ich mieszkańców — w tym starców, kobiety i dzieci — niszczone dorobek całych pokoleń. Młodzież wysyłano do Rzeszy na przymusowe roboty, bezwzględnie ściągano z rolników wysokie kontyngenty, wysyłano ich

do obozów koncentracyjnych za każde, najdrobniejsze bodaj naruszenie narzuconego przez okupanta prawa. Ludzi podejrzanych o przynależność do konspiracji, lub choćby tylko o sympatyzowanie z nią, tracono w zbiorowych egzekucjach.

W drugiej połowie listopada 1942 r. morderczy walec akcji pacyfika-cyjnej przetoczył się przez Rejon IX (Kazimierz-Celejów), a więc niemal przez całe Powiśle. Pacyfikacja ogarnęła Kazimierz, Bochońnicę, Cholewiankę, Parchatkę, Jeziorszczyznę, Helenówkę, Rogów, Rzeczycę. Jej apogeum przypadło na dzień 18 listopada, zwany później „krwawą środą”. Pretekstem było postrzelenie niemieckiego konfidenta. Zamordowano wtedy 83 osoby, 140 wywieziono do Oświęcimia, skąd tylko 44 wróciły. W kilka dni później, 22 listopada, oddział SS otoczył położoną koło Kazimierza, wśród jarów i wąwozów, wieś Zbędownice. Mieszkańców spędzono na drogę, biegnącą nad wąwozem, oficer SS oświadczył im, że wieś jest bandycka i dlatego zostanie ukarana, po czym czwórkami doprowadzano ich nad wąwóz i tam mordowano. Zginęły wtedy 84 osoby, wśród nich wiele matek z małymi dziećmi. Łącznie w ciągu tych kilkunastu dni obwód stracił około tysiąca ludzi.

Podobnie działo się w obwodach sąsiednich. 28 lutego 1944 r. 3 o godz. 2.00 w nocy gestapowcy i żandarmi z Garwolina, Łaskarzewa 4 i Sobolewa, wsparci oddziałem Ostlegionów, otoczyli wieś Wanaty w gminie Łaskarzew. Najpierw wieś ostrzelali, podpalając wiele zabudowań, następnie szli od domu do domu i zabijali ich mieszkańców. Spośród zamieszkujących Wanaty 115 osób zamordowano wtedy 108. Akcją kierował starosta garwoliński Carl Ludwig Freudenthal. W kilka

miesiący później zapłacił za tę zbrodnię: 5 lipca 1944 r., gdy wracał sa mochodem z Warszawy do Garwolina, wpadł w zasadzkę, przygotowaną przez patrol Kedywu pod dowództwem ppor. Wacława Matysiaka („Ziuka”) i mimo że towarzyszył mu samochód z ochroną, został zastrzelony wraz z dwoma współpracownikami.

Wymordowanie mieszkańców Wanat było niemieckim odwetem za porażkę, jakiej kilka dni przedtem doznał pod tą wsią lotny oddział hitlerowskiej żandarmerii w starciu z drużyną partyzancką z Obwodu Garwolin pod dowództwem ppor. Jana Kosickiego („Max”). Zginęło w nim pięciu żandarmów.

Zbyt długi jest rejestr zbrodni hitlerowskich, popełnionych na tym obszarze, by go przytaczać. Stosowana przez Niemców zasada odpowiedzialności zbiorowej zbierała tu krwawe żniwo przez cały czas okupacji. Tak zresztą było w całym Generalnym Gubernatorstwie.

46

Podobny był los ludności żydowskiej, licznie zamieszkałej w miastach, miasteczkach i osadach. W niektórych stanowiła ona nawet większość (np. w Rykach na 4500 mieszkańców w 1939 r. było ok. 3000 Żydów). Po początkowym okresie prześladowań — palenia synagog, rabunków, ośmieszania i poniżania — począwszy od przedwiośnia 1941 r. Niemcy zaczęli zamykać ich w gettach, organizowanych we wszystkich większych miejscowościach. *Znacznie wcześniej* uczyniono to w Puławach, gdzie getto, jedno z pierwszych w Polsce, powstało już w grudniu 1939 r.

W maju 1942 r. ruszyły pierwsze transporty do komór gazowych w Sobiborze. Likwidację gett zakończono w październiku 1942 r., wysyłając tych, którzy jeszcze w nich wegetowali, do Treblinki. Cała niemal ludność żydowska uległa zagładzie. Ocaleli tylko nieliczni. Wszyscy dzięki pomocy Polaków, zwłaszcza mieszkańców wsi. Niektórzy spośród ocalonych przyjeżdżali tu po wojnie. Z różnych stron świata. Nie było w nich nie tylko nienawiści, ale nawet niechęci do miejscowej ludności. Przeciwnie: ze wzruszeniem wędrowali po krainie swego dzieciństwa i swych młodych lat, oglądali domy, w których kiedyś mieszkali, bądź miejsca, w których kiedyś one stały, życzliwie rozmawiali z dawnymi znajomymi. Z wdzięcznością mówili o pomocnej ręce, którą im podano wtedy, gdy kończył się ich świat.

Zginęło na tej ziemi około 80 tys. jeńców radzieckich. Większość ich więziono na terenie Dębina, pozostałych w Poniatowej koło Opoła Lubelskiego. Warunki, w jakich tam żyli, jeszcze dziś budzą grozę. Strażnicy zabijali ich z broni palnej i pałkami, mordował ich głód, epidemie. Wielu próbowało ratować się ucieczką, gdy transporty, którymi ich wieziono, zbliżały się do stacji Dęblin. Z reguły ginęli od strzałów konwojentów. Zawsze rankiem, po przybyciu takiego transportu, wyruszała na tory drezyna, na którą ładowano dziesiątki trupów.

Pomoc, jakiej nieszczęśnikom mogli udzielić Polacy zamieszkali w Dęblinie i Irenie, zwłaszcza działacze Polskiego Czerwonego Krzyża oraz członkowie AK, była kroplą w ocenie jenieckich potrzeb. Niemniej dzięki niej wielu jeńcom powiodła się ucieczka z obozu. M.in. w Poniatowej, gdzie w wybudowanych przed wojną halach produkcyjnych Niemcy trzymali w makabrycznych warunkach ok. 20 tys. jeńców, do-

wódca tamtejszej drużyny AK Tadeusz Winnicki („Trzmiel”) podkopem, wykonanym pod drutami, wyprowadził ich kilkunastu.

Uciekali także i bez pomocy, na własną rękę. Gdy ucieczka się powiodła — niektórzy samodzielnie przedzierali się na wschód. Żywili się

47

surowymi ziemniakami, wydobytymi z odkrytych kopców, zebraną na polu kapustą. Inni, a była ich zdecydowana większość, zwracali się o pomoc do zamieszkałych w okolicach chłopów. Mimo drakońskich kar, do kary śmierci włącznie, grożących nie tylko za ukrywanie zbiega, ale także za podanie mu szklanki wody czy niepowiadomienie o nim Niemców, pomocy tej im nie odmawiano. Zostawiali u gospodarzy swe zniszczone mundury, dostawali od nich jakieś ubrania, przez parę dni mogli odpocząć i odkarmić się, po czym ruszali dalej. Często przy pomocy placówek AK, które przekazywały ich sobie z rąk do rąk, byle dalej na wschód i bliżej linii frontu.

Części udało się do tej linii dotrzeć i ją przekroczyć, inni dołączali do operujących w okręgu lubelskim oddziałów partyzanckich, głównie, lecz nie wyłącznie, radzieckich i AL, jeszcze inni przez wiele tygodni oczekiwali na nadejście frontu u rolników, pomagając im w pracy. Nieliczni, po zdobyciu gdzieś broni, tworzyli groźne bandy rabunkowe.

Obozy jenieckie w Dęblinie i Poniatowej, zwane przez Niemców „Stalag 307”, były prawdziwym piekłem na ziemi. Dochodziło tam do przypadków kanibalizmu, strzelano do jeńców jak do tarcz, krnąbrnych zakopywano żywcem. Zachowały się wstrząsające zdjęcia tych zbrodni. Początkowo w twierdzy dęblińskiej przebywało ponad 125 tyś. jeńców. Później stan ten gwałtownie zmalał, dochodząc zaledwie do kilku tysięcy. Gdy jeńcy zmarli lub zostali zamordowani — przywożono następnych. W lutym 1944 r. obóz w Dęblinie przekształcono w „Oflag 77”, w którym do czerwca tego roku przebywało, w nieco lepszych warunkach, 1500-2500 wziętych do niewoli oficerów Armii Czerwonej.

Obozu w Poniatowej przekształcać nie było trzeba, bo już w 1942 r. został zlikwidowany. Zginęli niemal wszyscy jeńcy. Do opustoszałych hal zaczęto przywozić Żydów. Wiosną 1943 r. dotarło tam kilka transportów z getta warszawskiego. Wkrótce było ich ok. 16 tyś. W nocy z 7 na 8 listopada 1943 r., w ramach akcji „Erntefest” („Dożynki”) obóz otoczyły oddziały żandarmerii i SS. Niemcy kazali Żydom rozbierać się do naga i wychodzić z baraków. Rowy, rzekomo kanalizacyjne, były już wykopane. Żydzi zabarykadowali się w barakach, które Niemcy podpalili. Wtedy większość wyszła i została skoszona ogniem broni maszynowej, pozostali spłonęli. W tę noc zginęło w Poniatowej ok. 15 tyś. osób. Ofiary te, jak i zamordowanych wcześniej jeńców, upamiętniono po wojnie pomnikiem.

Również na zbiorowej mogile jeńców radzieckich, którzy zginęli w twierdzy dęblińskiej, wzniesiono poświęcony ich pamięci obelisk. Za-

równomi mieszkańcy Dębłina i Ireny, jak i żołnierze stacjonujących tam jednostek WP mogiłę tę porządkują i dbają o jej należyty stan. Nigdy natomiast najmniejszej o to troski nie przejawiały władze radzieckie, ani ambasada ZSRR w Polsce. Ale to rozumieli. Dla nich żołnierz, którego wzięto do niewoli nie był już żołnierzem, lecz stawał się tchórzem i zdrajcą.

Dodajmy, że w twierdzy dęblińskiej więziono od przełomu października i listopada 1943 r., jeńców z armii włoskiej, w większości oficerów z jednostek, które odmówiły kontynuowania walki przeciw ZSRR. Było ich tam około tysiąca, wśród nich kilkudziesięciu kapelanów. Początkowo traktowani byli dość łagodnie, ale później ich los nie różnił się od losu jeńców radzieckich. Konali na skutek głodu i chorób, zabijali ich strażnicy. Zamordowanych i zmarłych grzebano w wielkich dołach razem z czerwonoarmistami. Często do tych dołów wrzucano ludzi dających jeszcze znaki życia.

W poniedziałek 6 marca 1944 r. w godzinach rannych od strony Lublina wjechał do Kurowa duży samochód ciężarowy pełen uzbrojonych Niemców. Początkowo mieszkańcy tej starej osady, położonej przy ruchliwej szosie Warszawa-Lublin, w połowie drogi między Rykami a Lublinem, nie zwrócili uwagi na nieproszonych gości. Niemcy zatrzymali się na rynku, wysiedli z samochodu, wyładowali z niego długie belki i zaczęli z nich montować jakąś konstrukcję. Obserwujący ich gapie szybko zorientowali się, że jest to szubienica. Ulotnili się natychmiast.

O tym, co było dalej, mówi relacja ówczesnego oficera wywiadu komendy Obwodu AK Puławy por. (mjr.) Witolda Rukasza („Jacek”) przekazana komendantowi obwodu mjr. Zygmuntowi Żebrackiemu („Żeliwa”) i znajdująca się w jego zbiorach.

Gdy szubienicę — z której zwisało dziesięć pętli — ustawiono, Niemcy udali się do urzędu gminnego i obecnym tam pracownikom wręczyli przywiezione z sobą plakaty, rozkazując rozkleić je w różnych miejscach Kurowa. Informowały one, że jest to kara za dokonany 3 marca 1944 r. między Kurowem i Żyrzynem napad na kilka samochodów niemieckich, w wyniku którego zamordowano trzech Niemców. Ze względu na to, że napastnikami byli członkowie ZWZ-AK (w rzeczywistości była to akcja BCh), Sąd Doraźny Policji Bezpieczeństwa i SD na dystrykt lubelski postanowił ze skazanych członków ZWZ, „którzy przewidziani byli do ułaskawienia” — 10 publicznie powiesić i 40 publicznie rozstrzelać. Obwieszczenie wymieniało również nazwiska skazańców.

Wkrótce po jego rozplakatowaniu wjechały do Kurowa dwa następne samochody ze skazańcami i eskortą. Tych, którzy mieli zginać, przywieziono z więzienia na Zamku Lubelskim. Byli w cywilnych ubraniach, bez nakryć głowy, ręce mieli skrupowane, ślaniali się na nogach. Pierwszy samochód zatrzymał się przed szubienicą, gdzie Niemcy spędzili uprzednio garstkę mieszkańców Kurowa. Wyprowadzono z niego dziesięciu ludzi, których kolejno powieszono. Drugi zjechał na szosę, prowadzącą do Puław, zatrzymał się koło glinianki i tam pozostający w służbie niemieckiej własowcy zastrzelili przywiezionych nim 34 więźniów. W rzeczywistości więc w

Kurowie stracono w tym dniu nie 50, jak głosiło obwieszczenie, lecz 44 skazańców, choć w obwieszczeniu wymieniono o 4 nazwiska mniej.

Niemal bez wyjątku byli to członkowie AK. Tych, którzy według Niemców pełnili w AK jakieś funkcje kierownicze, wieszano na rynku, pozostałych zabijano przy gliniance. W pierwszej grupie byli m.in. świetny oficer, 25-letni por. cichociemny Stanisław Jagielski („Siapek”), szef Kedywu Inspektoratów „Lublin” i „Puławy”, kawaler Virtuti Militari; komendant placówki AK w Dęblinie, sołtys Dębłina Wojciech Lesko („Kostka”); Daniel Wardal, który pracując w „Armeemunitionslager Stawy” zorganizował tam na dużą skalę wynoszenie z magazynów amunicji dla AK; kpt. Stanisław Łabędzki („Łabędź”), szef służby taborowej i remontu KO Lublin.

Po egzekucji miejscowi chłopcy na rozkaz Niemców wywieźli zwłoki rozstrzelanych do lasu koło wsi Barłogi i tam je zakopali. Natomiast ciała powieszonych przez dwie doby pozostawały na szubienicy i dopiero po upływie tego czasu pogrzebano je pod Barłogami razem z ciałami rozstrzelanych.

Jak relacjonował kpt. Kukasz, już następnej nocy dowódcy Rejonu nr VII, obejmującego Kurów, Markuszów i Garbów oraz placówki AK w Kurowie zorganizowali uroczysty pogrzeb. Zwłoki ofiar zostały ekshumowane, przewiezione do lasu kurowskiego i w miejscu zwanym Brzezinką pochowane w bratniej mogile. W uroczystości uczestniczyli uzbrojeni żołnierze AK, egzekwie żałobne odprawił wikary z Kurowa ks. Stanisław Orłowski.

Z daleka widoczna szubienica w Kurowie z wiszącymi na niej przez pełne dwie doby zwłokami dziesięciu żołnierzy Polskiej Walczącej do dziś stanowi dla tych, którzy ją wówczas widzieli, najbardziej wymowny symbol hitlerowskiej okupacji, srożącej się na tej ziemi niemal przez pięć lat.

W pierwszej jej fazie terrorowi, który niosła, niewiele można było przeciwstawić. Konspiracja dopiero się rodziła, nawiązywano pierwsze

50

kontakty. Poszukiwano rozpaczliwie broni, każdy — nawet zdezelowany — jej egzemplarz przedstawiał ogromną wartość, z rąk do rąk podawano sobie trudno czytelne kopie pisanych na maszynie biuletynów, przynoszących wiadomości z nasłuchu zagranicznych radiostacji.

Mężczyźni wracali z wojny. Wrócili również bracia Kultysowie na ojcowiznę w kolonii Ryki. Jeden z nich, żołnierz 15 pp Mieczysław, jako inwalida, bo w boju pod Pabianicami dostał odłamkiem granatu w głowę. Ojciec ich licznej rodziny, gdyż dzieci było dziewięcioro, rolnik i majster brukarski, zmarł na kilka miesięcy przed wybuchem wojny, witali więc ich w domu matka i najmłodszy z braci, szesnastoletni wówczas Zygmunt. Najpierw musieli wziąć się za zakopywanie czterech ogromnych dołów, które na ich polu wykopali w pierwszych dniach września żołnierze polscy. Miały to być stanowiska artylerii plot., broniącej Stawów i Dębłina. Artyleria nie pojawiła się, żołnierze odeszli, doły pozostały. Zakopywali je przez całą wiosnę, bo przecież pole trzeba było obsiać.

Zaczęły się tajemnicze spotkania, prowadzone półgłosem rozmowy. Któregoś dnia,

w trakcie kolejnej wizyty u Kultysów komendanta placówki ZWZ w Rykach Stanisława Osiaka („Orzech”), jeden z braci, wskazując na kręcącego się w izbie Zygmunta, powiedział po prostu:

— Ten gówniarz i tak wszystko wie, niech złoży przysięgę.

Złożył ją w kwietniu 1940 r. w Rykach na ręce tamtejszego nauczyciela, por. rez. Władysława Antoszczaka, znanego później jako „Szary”.

— Z dumą — mówi dziś — wracałem do domu. Przypomniałem sobie, że gdy w szkole powszechnej należałem do LOPP, to czasami myślałem, czy kiedyś rzeczywiście będę Polsce potrzebny. Jeśli mnie teraz przyjęli, jeśli mi zaufali, to znaczy, że mnie potrzebują.

W ten sposób Zygmunt Kultys stał się „Lisem”. Zamiast, jak miał to w planach, od 3 września 1939 r. uczyć się i pracować w przykładowym technikum Fabryki Broni w Radomiu, w której był zatrudniony jeden z jego braci, rozpoczął służbę w ZWZ-AK. Wyglądała podobnie jak w innych częściach kraju: gromadzenie broni, szkolenie wojskowe, kolportaż ulotek i prasy, udział w różnych akcjach wymierzonych w okupanta, utrudniających ściąganie kontyngentów i wywożenie młodzieży na katorżnicze roboty do Niemiec, w „eksach” (akcjach eksploracyjnych), zaopatrujących podziemne wojsko w niezbędne mu środki, w likwidowaniu zdrajców, zaprzańców i agentów wroga.

Po broń wyprawiali się na pobojojiska w rejonie Kocka, Woli Gułowskiej, Serokomli, Hordzieszki, Podlodowa i innych miejscowości,

51

gdzie walczyła SGO gen. Kleeberga, odległych od Ryk o 15-35 km. Często wracali z bogatym łupem, niekiedy z pustymi rękami.

Z tego jednak nie można było wyżyć, bo wbrew temu, co niektórzy dziś sądzą, szeregowi żołnierze Polski Walczącej nie otrzymywali żadnych apanaży, „Lis” musiał także podjąć działalność zarobkową, żeby mieć na swoje utrzymanie i choć trochę pomóc rodzinie. Woził żywność do Łukowa, Radomia, Szydłowca, nawet do Warszawy, a stamtąd różne artykuły przemysłowe. Zazwyczaj trasa tych podróży wiodła przez stację kolejową Dęblin, zwaną wówczas „Gołocinem”, bo buszujący na niej żandarmi dosłownie ogałali podróżnych ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Wkrótce „Lis” i jemu podobni zrozumieli, że „Gołocin” trzeba omijać i wysiadać z pociągu przed nim, a wsiadać do następnego za nim, ale i żandarmi nie byli w ciemną bicia i szybko rozpracowali tę taktykę, swoją dostosowując do niej.

W rezultacie „Lisa” parokrotnie zatrzymano, ograbiono z tego, co wiozł, dotkliwie pobito. Na pewien czas wcielono go do „Baudienstu”* i pracował w Klementowicach koło Nałęczowa przy budowie linii kolejowej, ale szybko zdołał się stamtąd wydostać. Żył w ciągłym napięciu, nie nocował w domu, nieustannie przerzucał się z miejsca na miejsce. Jak wielu Polaków z jego pokolenia, wchodzącego dopiero w dojrzałe życie.

Czesław Szlendak z Dębłina po powrocie z nieudanej wyprawy na Węgry, skąd zamierzał dostać się do Francji i wstąpić do formowanego tam Wojska Polskiego (poszły trzy grupy z tego terenu: pierwsza przeszła, drugą zgarnęli Niemcy i

rozstrzelali, trzecia cofnęła się), mając już uprzednio nawiązane kontakty — o co w Dęblinie nie było trudno — zaprzysiężony został w ZWZ w połowie 1940 r. Robił to, co inni; zbierał broń, kolportował podziemne druki, nasłuchiwał, notując, radia.

Konspiracja w Dęblinie zawiązała się i rozwinęła bardzo szybko. Zostało tam trochę, stanowiącej jej zaczyn, kadry podoficerskiej zarówno z 15 pp, jak i z CWL. Konspiratorów szczególnie interesowało dęblińskie lotnisko, na którym — po doprowadzeniu go przez Niemców do stanu używalności — lądowały postrzelane samoloty Luftwaffe. Remontowali je Polacy. Można w nich było znaleźć wiele skarbów: amunicję, rakietnice, niekiedy broń. Ale po znalezieniu należało to wynieść i na tym polegało zadanie żołnierzy podziemia. Kusiły również wypełnione bronią magazyny. W marcu 1943 r. „Maksowi” wraz z kolegą udało się wynieść

z jednego z nich dziesięć pistoletów maszynowych i jedno parabellum, co zyskało im ogromne uznanie w całej dęblińskiej konspiracji.

Często akcje te kończyły się tragicznie. W maju 1943 r. na lotnisku Niemcy aresztowali zatrudnionego tam jako pracownika cywilnego, żołnierza Kedywu sierż. Józefa Modelskiego („Cygar”). Miał za paskiem pistolet, ale go nie rewidowano, więc poszedł z nim do aresztu. Po pewnym czasie przywołał strażnika i poprosił go o wypuszczenie do ubikacji. Gdy strażnik otworzył drzwi, „Cygar” go zastrzelił i rzucił się do ucieczki. Padł na terenie lotniska, ściany serią któregoś z wartowników.

Innym obiektem, newralgicznym z punktu widzenia konspiracji, była dęblińska parowozownia PKP. Dzięki temu, że pracowało w niej wielu członków ZWZ-AK można było — bez narażania się na interwencję żandarmów — przerzucać, nawet na dalekie odległości, ludzi, broń, prasę, meldunki, uzyskiwać ważne informacje o ruchu na dęblińskim węźle kolejowym, realizować wiele innych specjalnych przedsięwzięć. To właśnie z tej parowozowni wyruszył patrol do Katynia, by sprawdzić przywożone przez polskich kolejarzy wiadomości o dokonanej tam zbrodni. Patrol dotarł do Smoleńska, stamtąd do Gniezdowa, spenetrował las katyński i szczęśliwie powrócił. W pełni potwierdził to, co mówili kolejarze. Gdzie ostatecznie trafił raport patrolu i jakie były jego następstwa — do dziś nie wiadomo.

Czesław Szlendak („Maks”) był żołnierzem pododdziału sierż. Kazimierza Kiełczykowskiego („Błysk”), wchodzącego w skład oddziału dyspozycyjnego obwodowego Kedywu. Doczekał kresu niemieckiej okupacji. Później walczył w zgrupowaniu „Orlika”.

Dowódcy mieli inne zadania, problemy i kłopoty. Fakt, że Armia Krajowa nie była — w odróżnieniu choćby od Gwardii Ludowej-Armii Ludowej — partyjną bojówką, lecz siłą zbrojną podziemnego państwa polskiego, określał charakter jej działań prowadzonych na wielu płaszczyznach. Rozpoczęto od budowy struktur organizacyjnych i siatek terytorialnych. Z pracą tą uporano się szybko i solidnie, czego najlepszym dowodem, że w Obwodzie Puławy z niewielkimi tylko zmianami sprawnie funkcjonowały one aż do 1947 r. Wiele wysiłku i trudu wymagało pozyskiwanie broni i amunicji. Tym bardziej, że obwód nie odebrał ani jednego zrzutu, mimo iż kilkakrotnie je zapowiadano. Aż do „Burzy” każdy egzemplarz broni miał wartość

bezcenną; później było już jej niemal pod dostatkiem. Prowadzono intensywne szkolenie wojskowe, o tyle ułatwione, że obwód dysponował stosunkowo liczną kadrą instruktorów. Na terenie Podobwodu „A” istniała szkoła podchorążych

53

(Blizocin-Drażgów) i szkoła podoficerska w Dąbi. Szkolono w nich młodzież w żołnierskim rzemiośle z myślą nie tylko o walce bieżącej, ale przede wszystkim — zgodnie z długoplanową strategią AK — o powszechnym zbrojnym powstaniu w dniach przełomu.

Ważnym polem pracy były różnorodne zadania wykonywane przez terenowe komórki Biura Informacji i Propagandy (BIP). Wydawano i kolportowano prasę podziemną, liczne ulotki. Obwód wydawał od 1942 r. do końca okupacji tygodnik „Twierdza”, Podobwód „A” gazetkę „Apel” (później „Do Czynu”).

Kobiety i dziewczęta z Wojskowej Służby Kobiet nosiły pomoc najbardziej potrzebującym: rodzinom pomordowanych i aresztowanych oraz przesiedleńcom z Wielkopolski i Pomorza. Środki na ten cel — prócz dotacji i darowizn — pozyskiwano w wyniku „eksów”, polegających na konfiskowaniu pieniędzy, artykułów spożywczych i przemysłowych w placówkach handlowych, przedsiębiorstwach i instytucjach pracujących dla Niemców. Akcji tych, na ogół nietrudnych i owocnych, było wiele. Często miały one ciąg dalszy, gdyż szefowie dotkniętych nimi zakładów — nie wyłączając Niemców — w składanych do żandarmerii czy gestapo meldunkach zawyżali wielkość poniesionych strat. Gdy informacje o tym dochodziły do miejscowej placówki AK — jej członkowie ponownie składali wizytę w hurtowni czy młynie, żądając wypłaty różnicy między sumą faktycznie skonfiskowaną a podaną w meldunku. Na ogół nie spotykali się z odmową.

Walka bieżąca polegała głównie na uderzeniach w aparat administracyjny okupanta, mających utrudnić mu wywóz młodzieży do Rzeszy i ściąganie kontyngentów od rolników. Atakowano Arbeitsamty i urzędy gminne. Rvano niemiecką łączność, cięto linie kolejowe, prowadzono sabotaż w zakładach pracujących dla okupanta. Ze względu na przecinające obwód linie komunikacyjne i istniejące tu lotniska wojskowe duże znaczenie miała praca wywiadu.

Wykonywano akcje zlecone przez Komendę Główną AK. Jedną z nich była akcja „Wieniec II”, przeprowadzona w noc sylwestrową 1942/1943. Polegała na jednoczesnym przerwaniu szlaków kolejowych wiodących na wschód. Miała być także odpowiedzią na trwającą wówczas okrutną pacyfikację Zamojszczyzny. Objęła głównie okręg lubelski, gdzie wysadzono dwa pociągi, kilka przepustów i mostków, w wielu miejscach zerwano tory i zniszczono urządzenia stacyjne. Kilka uderzeń wykonano także pod Radomiem i Skierniewicami oraz w węźle warszawskim, gdzie koło Strugi wysadzono trzeci pociąg. W akcji tej

54

wzięli również udział żołnierze obwodu Puławy: mianowicie dwa patrole Kedywu. Pierwszy pod dowództwem por. Mariana Sikory („Przepiórka”) wysadził most

kolejowy pod Minkowicami niedaleko Lublina, na linii Lublin-Chełm, drugi, pod dowództwem ppor. Karola Puchalskiego („Grab”), taki sam most w Werbkowicach pod Hrubieszowem.

Działał podziemny wymiar sprawiedliwości. Wykonując jego wyroki likwidowano niemieckich agentów, kreatury wyróżniające się okrucieństwem w stosunku do Polaków i Żydów, karano chłostą różnych rodzimych zaprzańców i nadgorliwców. Toczono bezwzględną walkę z bandytyzmem, panoszącym się także i na tym terenie. Później doszły kłopoty z komórkami PPR i ich bojówkami, których działalność godziła w życie i mienie wielu rodzin, stanowiących zaplecze Polski Walczącej.

Było tu więc podobnie jak w całym okupowanym kraju. Podobne zadania, podobne formy ich realizacji. Z tym, że Obwód Puławy, co historycy zgodnie podkreślają, wywiązywał się z nich — innym niczego nie ujmując — w sposób wzorcowy. Szkoda więc, że o tej codziennej służbie i walce piszę tak skrótowo i ogólnie. Niech jednak nikt z tych, którzy służbę tę pełnili i w walce tej brali udział, nie ma o to żalu do autora. To nie jest monografia obwodu.

Ppor. Marian Bernaciak był jednym z tych, którzy kładli podwaliny pod budowę konspiracji w późniejszym Podobwodzie „A”. Szybko zrozumiał, że jego rodzinny dom we wsi Zalesię, w którym zamieszkał po powrocie z kampanii wrześniowej, nie jest właściwym miejscem do nawiązywania kontaktów organizacyjnych i kierowania pracą konspiracyjną. Kupił więc, przy pomocy finansowej rodziców, małą księgarnię w Rykach przy ul. Szkolnej, właściwie sklepik, w którym wraz z bratem Lucjanem sprzedawał podręczniki szkolne i materiały piśmienne. To był jego pierwszy punkt dowodzenia. Tu kontaktował się z członkami organizacji, odbierał od nich meldunki, wydawał im rozkazy.

Później kupił, już za pieniądze dostarczone przez organizację, małą drukarnię w Dęblinie przy ul. Warszawskiej. Drukowała ona różne urzędowe zawiadomienia i obwieszczenia, a ponadto — a raczej w pierwszej kolejności, gdyż to było jej głównym zadaniem — przygotowywała blankiety kennkart (obowiązujących w GG dowodów osobistych), przepustek, zaświadczeń, zezwoleń itd., wytwarzała też rozmaite pieczęcie, odpowiadające tym, którymi posługiwały się władze okupacyjne. W czasach, gdy dobrze podrobiona kennkarta i dobrze wyglądające zaświadczenie dawały żołnierzom podziemia większą szansę zachowania

wolności i życia niż sprawny pistolet — wartość tej małej drukarni dla ZWZ-AK była bezcenna.

Jednocześnie, jak już wspomniano, Bernaciak był szefem Kedywu (uprzednio Związek Odwetu) w Podobwodzie „A”. W sierpniu 1943 r., w utworzonej z jego inicjatywy szkole podoficerskiej w Dąbi k. Ryk, nastąpiło zakończenie pierwszego kursu. Wtedy okazało się, że kilku jego absolwentów jest poszukiwanych przez żandarmerię i policję i nie może wracać do domów. Na wniosek Bernaciaka utworzono z nich patrol partyzancki, powierzając mu jego dowództwo. Sprawowanie tej funkcji polegało na tym, że por. Bernaciak dojeżdżał do miejsca postoju rowerem, przyjmował

meldunki z wykonania uprzednich rozkazów, wydawał kolejne. Patrol, stanowiący zawiązek przyszłego oddziału partyzanckiego (OP 1-15), był w ciągłym ruchu: niszczył dokumenty w różnych ogniowach władzy okupacyjnej, przeprowadzał „eksy”, wykonywał wyroki. Uczestniczył w kilku starciach zbrojnych. Był bardzo dobrze uzbrojony: mieli dwa rkm i dwa pm.

20 listopada 1943 r. por. Bernaciak jechał rowerem z Ryk do oddalonego o ok. 15 km Dębina. Mniej więcej w połowie drogi minęły go, jadące w odwrotnym kierunku, samochody z żandarmerią. Nie wiedział, że jadą do niego i po niego.

Na szczęście rewizja przeprowadzona w księgarni w Rykach nie ujawniła niczego, co mogłoby świadczyć, że mieścił się tam punkt kontaktowy AK. Lucjan Bernaciak zdołał, w porę ostrzeżony, zbiec. W domu rodzinnym Bernaciaków w Zalesiu żandarmi również nie znaleźli żadnych obciążających jego mieszkańców przedmiotów, mimo że było ich tam wiele: broń, amunicja, sfalszowane dowody osobiste itd. Żandarmi, wyjeżdżając z Ryk, rozkazali komendantowi miejscowego posterunku policji granatowej jak najszybsze aresztowanie braci Bernaciaków i dostarczenie ich do Dębina. Rewidowano, również bez rezultatu, znajdującą się tam drukarnię.

Dla por. Bernaciaka w dniu tym zakończyła się konspiracja. Po usunięciu z domu w Zalesiu wszystkiego, co stamtąd usunąć należało, i wysłaniu brata w okolice Sobieszyna — wyruszył rowerem do swego patrolu partyzanckiego. Liczył on wówczas siedmiu ludzi. Według „Lisa”, który po zakończeniu kursu w Dąbi został kapralem, i jest ostatnim pozostałym przy życiu z tej grupy, byli to: Wacław Kuchnio („Spokojny”), Tadeusz Sałacki („Tokarz”), Tadeusz Osiński („Tek”), Zygmunt Kultys („Lis”) oraz dwaj bracia stryjeczni Władysław Kisiel s. Marcina („Krakus”) i drugi także Władysław Kisiel s. Ludwika („Kiepora”).

56

Siódmy, a raczej pierwszy, bo przecież był i pozostał dowódcą, to por. Marian Bernaciak, który wtedy zmienił pseudonim z „Dymka” na „Orlika” i zaczął pisać nowy rozdział swej wojennej biografii.

Na dużej śródleśnej polanie stał ołtarz polowy, zbudowany przez placówkę w Trójano wie, która była gospodarzem uroczystości. Girlandami kwiatów przybrały go kobiety i dziewczęta z Więckowa, Kozic i innych okolicznych wsi. W czworoboku ustawili się żołnierze Polski Walczącej: partyzanci „Orlika” i „Zagona”, słuchacze szkół podchorążych i podoficerskiej, plutony z placówek, oddział BCh. Niektóre oddziały wymaszerowały na uroczystość już poprzedniego dnia. Mimo padającego deszczu i błota ludzie szli rażno, w świetnych nastrojach. Prowiant mieli z sobą, placówce z Ułęża towarzyszyły patrol sanitarny i wóz konny, przeznaczony dla tych, którzy by zaniemogli w czasie uroczystości. Wielu miało na sobie polskie, przedwojenne mundury.

Przybyli dowódcy, przedstawiciele duchowieństwa, zaproszeni goście, mieszkańcy pobliskich wsi. Wystawiono silne ubezpieczenia. Raport, składany przez por. „Orlika”, odbierał komendant podobwołu kpt. „Sawa”. Mszę świętą odprawiał przybyły z Dębina kapelan 15 pp „Wilków” AK, ks. dr Franciszek Martenka („Ordon”). On także

wygłosił homilię.

„Do mszy św. — zanotował po uroczystości — służyli moi maturzyści z kompletów z Dębłina-Ireny. Uczestniczący w tej mszy św. żołnierze-partyzanci AK byli ogromnie wzruszeni, a ja wraz z nimi. Zwłaszcza w czasie kazania, kiedy dodawałem odwagi i uczyłem pokonywania strachu i tęsknoty za bliskimi potęgowaniem wiary w Opatrzność i opiekę Królowej Polski”.

Po przemówieniach „Sawa” z „Orlikiem” odbierali defiladę. Obsypywani kwiatami partyzanci szli wśród burzy oklasków, wiele osób płakało. Druga część uroczystości miała charakter festynu: śpiewy, deklamacje, tańce, wspólny posiłek przy ogniskach. W nocy zgromadzenie rozwiązano.

Tak uczcił Podobwód „A” przypadającą w 1944 r. 153 rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja. Obszar leśny koło Życzyna, w pobliżu wsi Piotrówek, na całą niemal dobę stał się enklawą wolnej i niepodległej Polski. Ci, którzy w tej uroczystości uczestniczyli, do dziś ją pamiętają. Świetnie zorganizowana — i to nie w ostępach jakiejś puszczy, lecz właściwie na przedpolach Warszawy, bo w odległości zaledwie ok. 80 km od niej — stanowiła nie tylko wyzwanie rzucone okupantowi, ale przede wszystkim demonstrację siły Polski Walczącej i zapowiedź rychłego jej triumfu. Umocniła wiarę w ten triumf, prędko i całkowity. To,

57

że już pół roku przedtem, w Teheranie, wielkie mocarstwa w inny sposób określiły powojenne losy Polski, nie rzuciło nawet cienia na panujący wówczas optymizm. Nikt z uczestników uroczystości o tym nie wiedział, a jeśliby wiedział — też by nie uwierzył.

Dziś, w pobliżu tamtej polany, na skrzyżowaniu dróg do Więckowa, Życzyna i Trojanowa, stoi pomnik: trzy głazy spięte znakiem „PW”, obok duży brzozy krzyż. Wiosną 1989 r., po wielu perturbacjach, wzrnieśli go dawni żołnierze AK, zamierzając w ten sposób uczcić nie tylko tamtą uroczystość, lecz również i to, że właśnie tu, w pobliskim Piotrówku, zginął w 1946 r. „Orlik”. Ale nie był to jeszcze czas, w którym pseudonim ten mógłby pojawić się na pomniku. Gdy czas ten wkrótce nadszedł — umieszczono na jednym z głazów stosowną tablicę. Pomnik przypomina więc dwa wydarzenia: jedno — symbolizujące nadzieję i zwycięstwo, drugie — klęskę i kres marzeń.

W tym czasie, wiosną 1944 r. Obwód Puławy dysponował czterema oddziałami partyzanckimi. Ich liczebność stale rosła, u progu lata każdy miał siłę wzmocnionej kompanii. Były nieźle, jak na ówczesne warunki, uzbrojone, miały dobrych dowódców, cieszących się dużym autorytetem wśród podkomendnych, większość partyzantów stanowili ludzie ostrzelani w wielu akcjach.

W Podobwodzie „A” (Dęblin-Ryki) oddział IOP/15 pod dowództwem por. „Orlika” powstał na bazie siedmioosobowego patrolu, utworzonego w sierpniu 1943 r. Do zawiązku tego dołączali ludzie spaleni, rósł więc szybko. Jego powstanie ludność przyjęła z dużym zadowoleniem. Trafnie o tym pisze sanitariuszka oddziału „Iskierka” (Halina Rybakowska-Szulc):

„Zapotrzebowanie ludności na jakąś siłę, która ukróci samowolę administracji niemieckiej, skarci wiernie jej służących Polaków-zdrajców, ochroni przed bandytyzmem, było ogromne. Oddział, złożony początkowo z kilkudziesięciu ludzi, dokonał tego. Wkrótce «Orlik» stał się postrachem dla terenowych oddziałów żandarmerii, gorliwych urzędników i różnej szumowiny, terroryzującej ludność. Jego oddział przemieszczał się szybko tam, gdzie trzeba było zrobić porządek. Komendanci placówek AK, sołtysi, starsi gospodarze oczekiwali nadejścia oddziału. Wiadomo było, że «Orlik» pomoże załatwić miejscowe problemy. Rozstrzygał różne spory międzyludzkie, nie było przecież sądów prawdziwie polskich, robił to jednak z namysłem, łagodnie i taktownie, lecz stanowczo. Oddział powiększał się, dokonywał szeregu akcji zbrojnych, doskonale opracowanych wojskowo, skutecznych, a co najważniejsze

58

— nie powodujących odwetu wroga. Żołnierzy obowiązywała żelazna wojskowa dyscyplina".

Na początku stycznia 1944 r. po fali aresztowań, która przeszła przez Dęblin, do „Orlika” dołączyła kilkunastoosobowa grupa dęblińskiej młodzieży na czele z saperem, żołnierzem Września, ppor. rez. Zygmuntem Matysiakiem („Sępem”). Po ostatecznym ukształtowaniu się oddziału, podzielono go na trzy plutony. Pierwszym dowodził „Sęp”, drugim ppor. rez. Władysław Antoszczak („Szary”), trzecim — ppor. Zygmunt Kęska („Krewny”, później „Świt”). „Szary” został zastępcą „Orlika”.

Pełniący uprzednio tę funkcję Waclaw Kuchnio (st. saper — ppor. czasu wojny, ps. „Spokojny”), prawa ręka „Orlika”, najbardziej zaufany spośród jego żołnierzy, był adiutantem komendanta. Cieszył się w oddziale dużą popularnością, śpiewano o nim:

*Oczy i uszy „Orlika” Niby to chłopiec
spokojny Ciagle do Frelki pomyka Lecz on
stworzony do wojny.*

Inny kuplet poświęcono szefowi oddziału, którym był starszy wach-mistrz żandarmerii z 15 pp Władysław Kotłęga („Dębor”):

*Szefunio naszej drużyny Miliony ściska na
piersi Żałuje każdej kruszyny Z łyżką przy
stole najpierwszy.*

Numeracją II OP/15 oznaczony był oddział zwany oddziałem „Przepiórki” — „Zagona”. Jego geneza i charakter były inne od pozostałych. Stanowił kontynuację grupy zbrojnej, powstałej w pierwszym okresie okupacji i wchodzącej w skład Związku Odwetu, przekształconego w Kedyw. Z grupy tej wyrósł silny oddział dyspozycyjny obwodowego Kedywu, z którego utworzono następnie oddział leśny. Właśnie II OP. Dowodził nim oficer rezerwy kawalerii, ppor. harcmistrz Jerzy Franciszek Jaskulski („Zagon”, „Zagończyk”), uczestnik kampanii wrześniowej, przybyły w rejon Dęblina dopiero wiosną 1942 r. z Wielkopolski, gdzie przed wojną mieszkał. Jego bezpośrednim przełożonym był szef Kedywu obwodu por. Marian Sikora

(„Przepiórka”).

W Podobwodzie „B” (Puławy) istniał III OP/15 pod dowództwem por. rez. Jana Zdzisława Targosińskiego („Hektor”), powstały, podobnie jak oddział „Orlika”, z niewielkiego zawiązku, utworzonego latem

59

1943 r. W końcowym czasie okupacji dowództwo oddziału przejął ppor. Bronisław Kozuń („Turnus”).

Wreszcie w Podobwodzie „C” (Opole Lubelskie) działał IV OP/15 pod dowództwem por. rez. art. Bolesława Frańczaka („Argila”).

Jedynie oddział „Zagona” operował na terenie całego obwodu, pozostałe w zasadzie nie opuszczały swych podobwodów, aczkolwiek od tej reguły były — i to liczne — wyjątki.

W maju 1944 z tych czterech oddziałów powstało zgrupowanie OP/15, stanowiące zawiązek 15 pp „Wilków” AK, który bezpośrednio po zakończeniu „Burzy” miał być odtwarzany na terenie Inspektoratu „Puławy” i razem z 36 pp Legii Akademickiej z Warszawy oraz 72 pp z Radomia wejść w skład — jak było to w latach międzywojennych i w czasie kampanii wrześniowej — 28 Dywizji Piechoty. Od tego też czasu oddziały partyzanckie obwodu puławskiego określane były — prócz numeracji — jako OP/15 pp AK. Zgrupowaniem dowodził komendant obwodu mjr Zygmunt Żyłka-Żebracki („Żeliwa”). Wprawdzie do odtworzenia 28 DP w jej przedwojennym składzie i na przedwojennym obszarze jej stacjonowania nie doszło, ale 15 pp „Wilków”, podobnie zresztą jak radomski 72 pp, w końcowym okresie okupacji i w czasie „Burzy” znów pojawił się na polu walki. Wtedy też społeczeństwo Puław ufundowało pułkowi sztandar, który, niestety, zaginął (drugi, ufundowany po wojnie przez społeczeństwo Dębłina, z napisem na biało-czerwonej szarfi: „Wyróżniony za niezwykle męstwo w kampanii Armii Krajowej”, znajduje się obecnie w kościele w Dęblinie).

W ten sposób żołnierze AK z Inspektoratu Puławy dopisali do historii 15 pp ostatni rozdział. Do dziś stanowi to dla nich powód do dumy i słusznie uważają się za spadkobierców jego orężnej chwały.

A jest to дума w pełni uzasadniona, bo 15 pp z Dębłina to jeden z najdzielniejszych pułków armii II Rzeczypospolitej o długiej i bardzo pięknej historii.

Utworzony w 1792 r. jako Regiment 15 Pieszy uczestniczył w wojnie z Rosją, następnie w Insurekcji Kościuszkowskiej, walcząc na wielu polach bitewnych. Ten odcinek swego szlaku bojowego zakończył na krwawym poboju pod Maciejowicami. Odtworzony w Księstwie Warszawskim, w 1812 r. w składzie Wielkiej Armii wyruszył na kampanię rosyjską. Chlubnie zapisał się w zwycięskiej bitwie o Smoleńsk, za którą cesarz Napoleon odznaczył 32 żołnierzy pułku Legią Honorową. Z niezwykłym męstwem, w ciągłych walkach osłaniał odwrót Wielkiej Armii. Poniósł wtedy ogromne straty. Ale już

60

wkrótce po powrocie do Warszawy, uzupełniony do poprzedniego stanu, znów w składzie korpusu ks. Józefa Poniatowskiego, ponownie wyruszył napoleońskim szlakiem. Krwawił w wielu zwycięskich bitwach, musiał kapitulować po klęsce poniesionej przez Napoleona pod Lipskiem. Dowodził nim wówczas płk Maciej Rybiński, później generał, jeden z najdzielniejszych dowódców Powstania Listopadowego, przez pewien czas wódz naczelny naszych wojsk.

W powstaniu tym 15 pułk najpierw dzielnie bił się tam, gdzie w 114 lat później, bo w 1944 r. walczyli jego spadkobiercy, żołnierze 15 pp AK: bronił przepraw na Wiśle od ujścia Wieprza po Warszawę, stoczył zwycięską bitwę pod Wronowem. Później na różnych odcinkach frontu walczył aż do kapitulacji Warszawy, po czym bronił Modlina i dopiero tam został zmuszony do złożenia broni.

Odrodził się po upływie 87 lat, w grudniu 1918 r. Było to w Bochni. Przez prawie dwa lata był w nieustannej walce, zazwyczaj w pierwszej linii. Najpierw na froncie ukraińskim, później bolszewickim, na Wołyniu i na Polesiu. Uczestniczył w wyprawie na Kijów, osłaniał odwrót naszych wojsk znad Dniepru. W najbardziej krytycznym momencie tamtej wojny, w lipcu 1920 r., otrzymał przydomek „Wilków”, wyrażający zaciekłość i nieustępliwość, przejawiane przez jego żołnierzy w boju. W czasie bitwy warszawskiej wsławił się brawurowym zdobyciem Pułtuska. Walczył pod Ciechanowem, nad Bugiem, w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego, Łucka i Dubna. 5 września 1920 r. stoczył swą najślawniejszą bitwę pod Stepankowicami w pobliżu Hrubieszowa, gdzie powstrzymał armię konną Budionnego, odpierając kilkadziesiąt jej szarż i zadając jej ogromne straty. W rocznicę tej bitwy obchodził święto pułkowe. 4 grudnia 1920 r. pod Lida naczelny wódz Józef Piłsudski udekorował chorągiew pułku orderem wojennym *Virtuti Militari*.

Po wojnie stacjonował w Dęblinie. I stamtąd w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. wyruszył na wojnę następną. Wraz z 28 DP, do której należał, wchodził wtedy w skład Armii „Łódź”.

Walczył na pozycji osłonowej nad Wartą, pod Szyndzielowem rozbił nieprzyjacielską kolumnę pancerną, niszcząc 12 czołgów, przy przeprawie przez rzekę bardzo się wykrwawił, tracąc ciężko rannego dowódcę, następnie zaciekle bronił linii Widawki, w ciężkich walkach odwrotowych dotarł do Pabianic, gdzie 7 września stoczył zwycięską bitwę z nacierającymi na miasto Niemcami, zmuszając ich do odwrotu i niszcząc im 18 czołgów. Po zwycięstwie tym 15 pp doznał jednak klęski pod Ksawerowem. Wpadł tam w niemiecką zasadzkę i poniósł duże

61

straty: 63 poległych, wśród nich dowódca III baonu mjr Karol Sadowski. Łącznie w walkach tych zginęło ok. 200 żołnierzy pułku, którzy spoczywają na cmentarzu w Pabianicach.

Idąc w straży tylnej 28 DP, pułk 12 września dotarł do Brwinowa z zamiarem przebicia się do Warszawy. Zamiar ten nie powiódł się i dywizja skierowała się na Modlin. Część żołnierzy 15 pp, podzielona na małe grupy, zdołała jednak przedrzeć się do stolicy. Walczyli w jej obronie do końca. Z tych, którzy dotarli do Modlina

utworzono pułk dwu-batalionowy pod dowództwem mjr. Józefa Ratajczaka. Znowu obróciło się koło historii: 15 pp zakończył wojnę i złożył broń tam, gdzie przed 108 laty, w 1831 r., uczynił to jego poprzednik — w Modlinie.

Bogata, jak widać, i zobowiązująca była tradycja, do której nawiązywali żołnierze oddziałów partyzanckich 15 pp AK.

W tym miejscu trzeba jednak przypomnieć i to, że nie tylko oni ten sławny pułk odtwarzali. We wrześniu 1941 w Armii Polskiej formowanej przez gen. Władysława Andersa w ZSRR, też powstał 15 pp „Wilków”. Ewakuowany wraz z tą armią na Bliski Wschód, przekształcony w ramach reorganizacji w 15 Wileński Batalion Strzelców „Wilków”, przeszedł — niemal zawsze w pierwszym rzucie — cały szlak bojowy Drugiego Korpusu. Uczestniczył w obydwu krwawych natarciach na Monte Cassino, wzorowo wykonując — mimo wielkich strat — powierzone mu zadania. Walczył do końca kampanii włoskiej, jego sztandar udekorowany został *Virtuti Militari* przez gen. Władysława Andersa.

15 pp, ale bez nazwy „Wilki”, istniał również w ludowym Wojsku Polskim. Formowany w rejonie Żytomierza, a następnie Łukowa, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie obszaru działań OP i 15 pp AK, wchodził w skład 5 DP. W czasie przemarszu pułku na front w składzie 2 AWP wyłączono z niego dwa bataliony i podporządkowano je dowódcy 13 pp., którego losy dzieliły one aż do 27 kwietnia 1945 r., kiedy to połączyły się z III batalionem i znajdującym się przy nim dowództwem 15 pp. III batalion samodzielnie walczył w operacji budziszyskiej. Przeszedł bardzo wiele, poniósł ogromne straty. W ostatnich dniach wojny 15 pp, już w całości uczestniczył w operacji praskiej.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że w końcowej fazie Powstania Warszawskiego, gdy utworzono Warszawski Korpus AK, w składzie stanowiącej jego część 28 DP znalazł się także, zgodnie z międzywojenną tradycją, 15 pp „Wilków”, sformowany z batalionów i zgrupowań „Ki-liński”, „Chrobry I”, „Chrobry II”, „Gurt”, „Rum” i „Hal”. Był to wprawdzie zabieg raczej formalny, niemniej dawni powstańcy warsza-

62

wscy z tych oddziałów pamiętają, że przez pewien okres byli żołnierzami 15 pp „Wilków” i również czują się dziedzicami jego chwały.

Na to, by okazać się godnymi owej spuścizny, żołnierze oddziałów partyzanckich 15 pp AK pracowali ciężko i krwawo. Jak policzył Ireneusz Caban, z dostępnej bazy źródłowej wynika, że wykonali oni 301 akcji, przy czym dodaje, iż „z całą pewnością było ich więcej”. Oczywiście nie będziemy ich tu wyliczać. Zwłaszcza, że Ireneusz Caban uczynił już to — w zasadzie ściśle — w wymienionej książce o oddziałach partyzanckich 15 pp AK. Niemniej warto przykładowo choćby kilka z nich wspomnieć. Przede wszystkim z myślą o młodym czytelniku, nie znającym tematu. Oto fragment tego rejestru, odnoszący się tylko do jednego miesiąca, maja 1944 r.:

9 maja w zasadzkę zastawioną w lesie na szosie łączącej Opole Lubelskie z Chodlem przez oddział por. „Argila”, wsparty grupą żołnierzy BCh, wpadł liczący ok. 40 ludzi oddział Sonderdienstu, złożony z Niemców i Ukraińców wracający z pacyfikacji okolicznych wsi. Ostrzelani, po stracie dowódcy poddali się. Jeńców,

tylko w bieliźnie, odesłano do Opoła. Maszerując czwórkami szosą wywoływali zrozumiałą sensację. Partyzanci zdobyli wiele broni, m.in. cztery rkm, kilkadziesiąt kompletów umundurowania.

22 maja późnym wieczorem partyzanci z oddziału „Zagona” zaatakowali wojskowy transport towarowy na ważnej dla frontu linii kolejowej Warszawa-Lublin. Atak nastąpił w pobliżu st. koi. Gołąb i był jednym z wielu wykonanych na tym odcinku. Wykolejono osiem platform, którymi Niemcy wieźli na front samochody ciężarowe. 80 samochodów zostało całkowicie zniszczonych lub poważnie uszkodzonych. Zabito dwóch Niemców z konwoju, kilku pozostałych uciekło. Zginął jeden z pierwszych partyzantów w obwodzie puławskim Stanisław Pi-wowarek („Puszczyk”), uprzednio dowódca patrolu Kedywu, a w dniu śmierci — drużyny w oddziale „Zagona”.

W kilkanaście dni później, 7 czerwca, w odwecie za jego śmierć „Zagon” wysadził w tym samym rejonie pociąg z urlopowanymi, powodując prawie 20-godzinną przerwę w ruchu. Na taki sam czas przerwał „Zagon” ruch na tym szlaku 23 czerwca, gdy opanował stację Gołąb. Jego partyzanci skierowali na ślepy tor pociąg towarowy, co spowodowało wykolejenie parowozu, następnie ostrzelali i opanowali jadący z Lublina transport wojskowy, odczepili od niego parowóz, odjechali nim, po czym puścili go z powrotem na zatrzymany skład, w wyniku czego całkowitemu zniszczeniu uległo kilka wagonów.

63

31 maja oddział „Orlika” przeprowadził brawurową akcję w Brzozowej koło Sobieszyna, gdzie w budynku znanej przed wojną szkoły rolniczej mieścił się ośrodek szkoleniowy Hitlerjugend. Młodzi hitlerowcy bardzo dotkliwie dawali się we znaki miejscowej ludności, należało więc przywołać ich do porządku. Akcję, jak relacjonuje jej uczestnik „Lis” (inne relacje różnią się pewnymi szczegółami), wzorcowo przygotowała placówka w pobliskim Ułężu. Jeden z uczestników akcji ppor. Stefan Stachnio („Dąbek”), dawny uczeń szkoły rolniczej, świetnie znający teren, walcie przyczynił się do odniesionego sukcesu. Oddział w biały dzień skrycie otoczył szkołę i czekał na nadejście jej komendanta, esesmanna i towarzyszącego mu kierownika majątku w Sobieszynie, którzy — według informacji placówki — o tej porze mieli wracać do ośrodka. Gdy nadeszli, któryś z partyzantów nie wytrzymał nerwowo i wystrzelił. Niemcy wbiegli do budynku. Uczynił to również por. „Dąbek”, który korzystając z zamieszania, dostał się tam znanym sobie bocznym wejściem. Załoga zabarykadowała budynek, którego zdobywanie zajęłoby dużo czasu i zapewne kosztowało sporo krwi. Ale „Dąbek” był już wewnątrz. Zaczajony w mrocznym korytarzu zastrzelił idącego mu naprzeciw komendanta, śmiertelnie ranił jego towarzysza, zabrał im obu broń, wycofał się tędy, którą wszedł, i zostawił drzwi otwarte.

Reszta była formalnością. Partyzanci bez strzału opanowali budynek, rozbroili młokosów z HJ, trzęsących się ze strachu nad zwłokami swego komendanta. Jeden z partyzantów przemówił do nich po niemiecku, oświadczając, że jeśli w ciągu czterech godzin nie wyniosą się z Brzozowej, to zostaną zlikwidowani. Odeszli

pieszo natychmiast po wycofaniu się oddziału. Do Brzozowej już nie wrócili. W tej akcji, która odbiła się głośnym echem w całym obwodzie, oddział zdobył wiele broni, amunicji, oporządzenia wojskowego. Część tej broni pochodziła od żołnierzy Luftwaffe z obsady miejscowego lotniska, których przy okazji rozbrojono. Widocznie w odwet za to w ślad za odchodzącym oddziałem wystartowały samoloty z lotnisk w Ułężu i Podlodowie. Szły lotem koszącym, strzelając z broni pokładowej. Na szczęście niecelnie.

W tym samym dniu w Podobwodzie „C” doszło do akcji nie mającej chyba odpowiednika w bogatych i barwnych dziejach polskiej partyzantki: oddział „Argila”, wsparty drużynami dywersyjnymi z okolicznych placówek i drużyną BCh zaatakował i unieruchomił statek wiślany „Tannenberg”, sprawiając krwawą łaźnię znajdującym się na jego pokładzie Niemcom i całej kompanii żołdaków turkiestańskiego batalionu

64

piechoty. Batalion ten, wraz z oddziałem SS, stanowił obsadę bazy założonej przez Niemców na wiślanej wyspie w pobliżu wsi Kępa Chotecka na południe od Kazimierza. Przygotowywano tam, nie zrealizowaną zresztą, budowę mostu kolejowego przez Wisłę, mającego bezpośrednio połączyć Lublin z Radomiem. Ostlegioniści z bazy byli utrapieniem dla mieszkańców wszystkich okolicznych wsi. W czasie swych bandyckich wypraw rabowali rolników, bili ich, gwałcili kobiety. AK wiedziała o tym i czekała tylko na okazję, by się z nimi rozliczyć.

Okazja pojawiła się 31 maja, gdy Niemcy wraz z kompanią ostlegionistów wypłynęli statkiem „Tannenberg” i holowaną przezeń barką na pacyfikację wsi Zastów Polanowski. Powiadomiony o tym komendant Podobwodu „C”, por. „Kieł”, wydał odpowiednie rozkazy i gdy obławowana łupami ekspedycja wracała, na wysokim brzegu wiślanym, między Zastowem a Kępą Chotecka czekali na nią, zajmując dogodne pozycje ogniowe, partyzanci z OP IV/15 i z placówek. Gdy spoza zakrętu pojawił się statek, płynący przy obsadzonym przez partyzantów brzegu, któryś z żołnierzy BCh przypadkowo strzelił i „Tannenberg” zmienił kurs, kierując się ku środkowi koryta rzeki. Nic mu to nie pomogło. Cięty zmasowanym ogniem szesnastu erkaemów, po eksplozji kotła, trafionego serią z Thompsona, znieruchomił. Ostlegioniści ostrzeliwali się chaotycznie, część ich opuściła statek i wpraw próbowała dotrzeć do przeciwległego brzegu. Ścigały ich partyzanckie pociski.

Ich klęska była całkowita. Zginęło kilkudziesięciu żołdaków, choć o dokładną liczbę do dziś trwają spory. „Tannenberg” zatonął. Barka także. Statek przeholowano później do Puław i tam został złomowany. Partyzanci, mając dwóch poległych i kilku rannych, odeszli w lasy. Zbójckie wyprawy ostlegionistów z bazy skończyły się definitywnie, Powiśle odetchnęło.

Nieco później, 15 czerwca, udało się wreszcie upolować szefa żandarmerii z Dębłina, Christiana Petersona. Była to wyjątkowa kanalia, siejąca groźbę w całym Podobwodzie „A”. Pięciokrotnie usiłowano go zlikwidować i pięciokrotnie wychodził z zamachów cało. 15 czerwca wraz z drugim żandarmem i dwoma polskimi funkcjonariuszami Kripo wracał doróżką do Dębłina z Moszczanki, gdzie na skrzyżowaniu szos Warszawa-Lublin i Dęblin-Kock przez kilka godzin rabował

przejeżdżających lub przechodzących tamtędy Polaków. W połowie drogi do Dębłina, koło wsi Krasnoglina czekała na niego w zasadzce drużyna z OP II pod dowództwem „Zagona”, którego o przewidywanym terminie powrotu Petersona już rano powiadomił właściciel drożki, żołnierz

65

AK, Tadeusz Marczak. Po wjechaniu w zasadzkę Peterson zdołał wyskoczyć z drożki i skryć się w rowie, skąd otworzył ogień. Zginął od wybuchu rzuconego przez partyzantów granatu. Zabrano mu dokumenty, mundur, parabellum i kamizelkę przeciwkulkową. Zastrzelono także jego wilczura. Dwaj z Kripo i drugi żandarm nie oddali ani jednego strzału. Leżeli w rowie, udając martwych, po czym uciekli do Dębłina.

„Zagon” i jego ludzie ostrzelali jeszcze jadący do Dębłina samochód z żandarmami, po czym — sami ostrzeliwani przez wartowników z Armeemunitionslager Stawy — wycofali się nad Wieprz, do wsi Sędo-wice. Uczestnicząca w akcji sanitariuszka Zofia Wojciechowska („Oleńka”) zapisała później w swym notatniku: „Przywitał nas sołtys Sędowic. Pijany, ale radośnie krzyczący: czy wiecie, co się stało? Święto w Dęblinie, nasi wykończyli Petersona!”

Dobre wieści, których wtedy było tak mało, rozprzestrzeniały się, jak widać, z szybkością błyskawicy.

Ważną dziedziną działalności oddziałów partyzanckich była — jak już wspomniano — walka z bandytyzmem. Ze względu na rozmiary tej plagi wymagało to niekiedy zaangażowania znacznych sił. I tak np. 17 kwietnia 1944 r. pluton z OP I pod dowództwem „Spokojnego” stoczył we wsi Kawęczyn w gminie Kłoczew prawdziwą kilkugodzinną bitwę z 20-osobową bandą dobrze uzbrojonych rabusiów, grasującą w tamtym terenie. Szesnastu ich zabito, tylko czterech zdołało umknąć. „Spokojny” został lekko ranny. Znalaziono dużą ilość różnych zrabowanych przez bandę przedmiotów, które zwrócono właścicielom.

Oddziały obwodu uczestniczyły, o czym także była już mowa, w operacjach zleczanych przez komendę Okręgu lub — za jej pośrednictwem — przez KG. I tak np. oddział „Hektora” brał udział w głośnej operacji „Most I”, kiedy to w nocy z 15 na 16 kwietnia 1944 r. na lądowisku „Bąk” w rejonie wsi Matczyn w pobliżu Bełżyc usiadła przybyła z bazy we Włoszech brytyjska „Dakota”, którą przyleciało dwóch kurierów z pocztą, instrukcjami i pieniędzmi. Wracając, zabrała na pokład dwóch działaczy Delegatury Rządu i trzech oficerów AK, wśród nich szefa Operacji KG AK gen. bryg. Stanisława Tatara. Operacja przebiegła pomyślnie, aczkolwiek „Dakota” przebywała na lądowisku ponad pół godziny i wystartowała dopiero przy drugiej próbie. Na dodatek osłona, a więc oddział „Hektora”, musiała wiązać ogniem Niemców, stacjonujących w odległości zaledwie 2 km.

Oczywiście były i porażki. W dziejach oddziału „Orlika” czarnymi zgłoskami zapisał się dzień 27 czerwca 1944 r., kiedy to oddział, wracający z akcji zaopatrzeniowej w majątku niemieckim w Podzamczu, skąd

bez oporu Niemców zabrano wiele sztuk bydła, przed świtem zaatakowany został przez przeważające siły Wehrmachtu i żandarmerii, które — jadąc samochodami — nieoczekiwanie znalazły się na drodze jego marszu. Było to koło wsi Paprotnia w pobliżu Steżycy, niedaleko Wisły. Doszło do zaciętej walki, w czasie której OP I stracił sześciu poległych partyzantów. Niemcy mieli też kilku zabitych i rannych.

Były więc i porażki i było ich niemało, ale ogólny bilans jest zdecydowanie pozytywny. Zdaniem najbardziej kompetentnych znawców tematu obwód Puławy wyróżniał się w całym Okręgu Lubelskim aktywnością w walce, ilością udanych akcji, właściwym ich przygotowaniem i mniejszymi niż w innych obwodach w nich stratami. Jeśli się pamięta, że Okręg Lubelski AK był terenem, na którym wojnę partyzancką prowadzono na większą, niż gdzie indziej skalę, ocena ta musi dawnych żołnierzy obwodu (kryptonimy „Pantera”, „Paproc”, „Piwonia”, „Psie Pole”) szczerze satysfakcjonować.

Tym bardziej, że podzielał ją i wróg. Najlepszym tego dowodem jest datowane 27 maja 1943 r. sprawozdanie starosty powiatu Puławy Alfreda Brandta, złożone Hansowi Frankowi, a dotyczące sytuacji w podległym mu terenie. Sytuację tę Brandt przedstawia w bardzo czarnych barwach. „W powiecie Puławy — stwierdza — w samym tylko maju dokonano 11 napadów na urzędy gminne, które w większości zostały zniszczone. Na ogólną liczbę 26 wiejskich urzędów gminnych 22 zostały już całkowicie lub częściowo zdemolowane. Jeśli któryś z nich znów podjął pracę, z trudem odtwarzając zniszczone akta, dokonano na nie ponownych napadów. Trzy spośród tych urzędów zostały po trzykroć napadnięte i zdemolowane (...) Będące aktualnie do dyspozycji jednostki policji — kontynuuje Brandt — nie mogą sobie już dać rady z bandytyzmem, który z każdym dniem przybiera na sile”. W zakończeniu Brandt apeluje do Generalnego Gubernatora „o podjęcie odpowiednich kroków zaradczych”, motywując to następująco: „Władza nad tym obszarem może się Niemcom całkowicie wymknąć z rąk, jeśli w najbliższym czasie nie zastosuje się radykalnych środków w celu podniesienia zupełnie już upadającego autorytetu niemieckiego. Stoimy u progu jawnego buntu”*.

Tak hitlerowcy oceniali sytuację w obwodzie w maju 1943 r., a więc zanim rozpoczęły walkę oddziały partyzanckie. Czyż może być lepsze świadectwo skuteczności prowadzonych jeszcze w konspiracji działań sa-

botażowo-dywersyjnych, wysiłku patroli Kedywu, ofiarnej służby dowódców obwodu, podobwodów, rejonów, placówek i ich żołnierzy?

W czwartek 4 maja 1944 r., nazajutrz po przypomnianej w tym rozdziale uroczystości w lasach koło Życzyna, do wsi Owczarnia położonej w pobliżu Opola Lubelskiego, a więc na drugim, południowym krańcu obwodu, przybył pododdział wydzielony z OP III/15 pp AK por. „Hektora”. Liczył ok. 50 ludzi, dowodził nim ppor. Mieczysław Zieliński („Moczar”, „Krych”), miał ubezpieczać odbiór zapowiadanego zrzutu. Dochodziła godz. 17.00, gdy przebywających na kwaterach partyzantów

zaalarmowały strzały wystawionych wokół wsi placówek. Pobiegli w tamtą stronę. Ujrzeni zbliżającą się i strzelającą w biegu tyralierę. Powitali ją ogniem. Tyraliera zaległa.

Po chwili sytuacja wyjaśniła się: to nie byli Niemcy, lecz znany już partyzantom „Hektora” oddział Armii Ludowej „Cienia” (Bolesława Kaźmirak vel Kowalski). Ogień przerwano. Doszło do rozmowy między „Cieniem” a ppor. „Moczarem”, którego „Cień” przeproszał za nieporozumienie, twierdząc, iż sądził, że ma do czynienia z Niemcami lub oddziałem NSZ. Za zezwoleniem „Moczara” wprowadził swój oddział do wsi. Aelowcy stanęli tam w dwuszeregu, żołnierze AK uczynili to samo. „Cień” miał niemal trzykrotnie więcej ludzi. W towarzystwie oficerów AL i AK stał między dwuszeregami. W pewnym momencie w trakcie przyjacielskiej rozmowy nagle wyszarpnął pistolet i z najbliższej odległości strzelił do ppor. „Moczara”, zabijając go na miejscu. Zastępcę „Moczara” ppor. Bernarda Mosińskiego („Mars”) w sekundę później w ten sam sposób zabił jeden z ludzi „Cienia”. Dwuszereg aelowców, jakby tylko czekając na ten sygnał, rozstał się i długimi seriami z pepesz zaczął prażyć po oddalonych zaledwie o kilkanaście metrów partyzantach AK.

Był to mord z premedytacją. W Owczarni zginęło — bądź tam, gdzie zostali trafieni, bądź nieco później z odniesionych ran — osiemnastu żołnierzy AK, wśród nich trzech oficerów (trzecim był oficer sztabu Inspektoratu Puławy, ppor. Ignacy Kamiński, ps. „Żuraw”). Ludzie „Cienia” dobijali rannych, z pomordowanych zdzierali mundury i buty. Trzynastu rannym akowcom udało się jednak dzięki pomocy mieszkańców Owczarni uniknąć śmierci. Cało wyszło z masakry 20 żołnierzy pododdziału ppor. „Moczara”. Byli to ci, którzy nie trafieni pierwszymi seriami zdołali skryć się wśród zabudowań, a także żołnierze sekcji Jerzego Ludwiczaka („Fiat”), która kwaterowała na skraju wsi i nie uczestniczyła w spotkaniu z oddziałem „Cienia”.

68

Zamordowanych pogrzebano w wielkim dole, do którego „Cień” kazał wrzucić zabitego w czasie strzelaniny psa. Zwłoki ekshumowane przez żandarmerię wystawiono na widok publiczny w Opolu Lubelskim, gdyż Niemcy sądzili, że zgłoszą się rodziny zabitych. Nikt się nie zgłosił, ale wykonano serię wstrząsających zdjęć, które zachowały się do dziś.

Wieczorem oddział „Cienia”, dźwigając zagrabioną broń, opuścił wieś. Stracił w Owczarni czterech ludzi, wszystkich podczas pierwszej nieudanej próby jej opanowania. Dwóch zginęło od ognia partyzantów AK, dwóch zostało rannych; „Cień” osobiście ich dobił. Wrzucono ich do tego samego dołu, co pomordowanych akowców. Dwóch następnych członków oddziału AL, którzy znając cel wyprawy „Cienia” do Owczarni, w ostatniej chwili pod jakimś pretekstem oddział opuścili, by dołączyć doń po jego powrocie — rozstrzelano na rozkaz dowódcy.

Wiadomość o mordzie w Owczarni szybko rozeszła się po obszarze całego inspektoratu, budząc zgrozę i oburzenie. W wielu kościołach odprawiono nabożeństwa w intencji zamordowanych. W niektórych uczestniczyły zwarte oddziały AK, manifestując w ten sposób zarówno siłę podziemnego państwa, jak i to, że droga do

prawdziwej niepodległości prowadzi nie tylko przez walkę z okupantem niemieckim, lecz przez skuteczne przeciwstawianie się próbom komunizacji Polski.

Taki charakter miało m.in. uroczyste nabożeństwo w kościele w Ba-ranowie nad Wieprzem, miejscowości, w której PPR i AL miały sporo popleczników. Do Baranowa wymaszerował oddział „Zagona”. Liczył wtedy ponad 150 ludzi, był dobrze uzbrojony i umundurowany, prezentował się świetnie. Gdy wszedł między pierwsze zabudowania osady — ubezpieczenie przednie powitał gęsty ogień. Odpowiedziało ogniem i ruszyło do przodu. Tamci uciekli. Była to, jak stwierdzono, grupa z oddziału AL „Przepiórki” (Edward Gronczewski). W rezultacie nabożeństwo przekształciło się w spontaniczną manifestację poparcia dla legalnych władz Rzeczypospolitej i AK.

Zrozumiałe, że po tym, co wydarzyło się w Owczarni stosunki między AK a AL — i uprzednio iskrzące — znacznie się zaostrzyły. Doszło do kilku starć zbrojnych, z których najkrwawszym była walka w Stefa-nówce na terenie Podobwodu „C” stoczona 2 lipca. Wieś, w której kwaterował oddział „Cienia”, zaatakowali partyzanci OP IV/15 pp por. „Argila”. Przeliczyli się jednak z siłami, nie wiedzieli, że do „Cienia” dołączyła silna grupa BCh pod dowództwem komunisty Józefa Pacyny („Chrząstego”), który trafnie przewidując, czyje będzie wkrótce na

69

wierzchu, właśnie wtedy zmienił barwy organizacyjne. Natarcie załamało się, „Argil” stracił 13 ludzi, oddział AL o kilku mniej.

Mord w Owczarni nie był ani pierwszą, ani ostatnią zbrodnią „Cienia” na ludziach z AK. 13 maja 1944 r. zamordował on w Rejonie V (Za-krzówek) Obwodu Kraśnik pięciu akowców: Michała Dudziaka z Majdanu Starowiejskiego, Józefa Gnata i Kazimierza Kaczmarka z Dębiny, Wincentego Jankowskiego i Józefa Obogorskiego z Józnowa, wsi stanowiącej bazę AK. Również w maju 1944 „Cień” spalił w tamtym rejonie 13 gospodarstw związanych z AK we wsiach Boża Wola i Dębina.

W czerwcu, już po Owczarni, w Wandalinie, na południowym krańcu podobwodu „C”, zamordował trzech żołnierzy oddziału „Argila”: por. Eugeniusza Kotlarskiego („Jastrzębia”) z Urzędowa oraz podchorążych Henryka Golińskiego i Władysława Jagiełło*.

Do podobnych zbrodni dochodziło od chwili powstania GL-AL i w innych obwodach (szeroki rozgłos miało m.in. zamordowanie 22 lutego 1944 przez AL komendanta Obwodu AK Włodawa kpt. Józefa Mi-lerta ps. „Sęp”, którego zabito wraz z ppor. Józefem Majewskim ps. „Jotes” i woźnicą), ale najwięcej z nich obciąża „Cienia”.

Gwoli prawdy należy dodać, że i w PPR byli tacy, którzy uznawali „Cienia” za zwyczajnego bandytę i postulowali wykluczenie go z AL. Usłyszeli, że „sprawę rozpatrzy się po wojnie”. Niemniej od tych właśnie ludzi wypłynęła inicjatywa wypracowania jakiegoś *modus vivendi* między AL a AK, które położyłoby kres walkom bratobójczym. Uwieńczyło ją porozumienie podpisane 10 lipca 1944 r. przez przedstawiciela Inspektoratu AK Puławy i reprezentującego dowództwo Okręgu Lubelskiego AL por. Gustawa Alefa-Bolkowiaka („Bolek”). Zgodnie z jego treścią obydwie strony postanowiły nie zwalczać się wzajemnie i współdziałać w walce z

Niemcami. Trudno dziś powiedzieć, czy ze strony AL była to próba wyciągnięcia rozsądnych wniosków z tego, co ostatnio wydarzyło się na terenie Inspektoratu, czy manewr taktyczny, mający uchronić oddziały AL przed odwetem Armii Krajowej, grożącym im — z racji dysproporcji sił — całkowitym zniszczeniem. Tak czy inaczej porozumienie to niczego nie zmieniło. Zwłaszcza, że było mocno spóźnione: za kilkanaście dni miała na Lubelszczyźnie zacząć się „Burza”.

Oczywiście i po wojnie zbrodniami „Cienia” nikt się nie zajął. Wprawdzie w okresie stalinizmu ponad trzy lata spędził on w więzieniu,

lecz nie z powodu Owczarni, ale z tej racji, że w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach opowiedział się po niewłaściwej wówczas stronie. Zarzucano mu też wymordowanie w czasie okupacji złożonego z Żydów oddziału partyzanckiego, co nie było dalekie od prawdy. Począwszy od 1956 r. historiografia PRL kreowała go na jednego z herosów Polski Ludowej, bohatera walk z hitlerowcami, obrońcę ludu przed terrorem band reakcyjnych. Z rejestru jego dokonań Owczarnię usunięto. Nad zbutwiałymi trumnami zamordowanych tam żołnierzy AK zapadła głucha cisza.

Przerwano ją dopiero w końcu 1989 r. Począwszy od tego czasu ukazało się kilka publikacji, mówiących prawdę o tamtej zbrodni. Autorami ich byli również dawni żołnierze oddziału „Hektora”, którzy uszli z Owczarni z życiem. Każda z tych publikacji, mimo że wszystkie operowały faktami i powoływały się na dokumenty o niepodważalnej wiarygodności, wywoływała ze strony środowiska dawnych żołnierzy AL, istniejącego przy Związku Kombatanów RP i byłych Więźniów Politycznych, stanowiącym prostą kontynuację Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, gwałtowne, pełne oburzenia protesty. Nadal kręcą i kłamią, nadal ignorują fakty, nadal nie chcą uderzyć się w piersi. Trudno jednak dziwić się temu, jeśli się wie, że protesty te piszą — a przynajmniej podpisują — dawni przełożeni bądź podkomendni „Cienia” i jemu podobnych.

„Cień” zmarł w Warszawie 18 sierpnia 1966 r. Miał stopień pułkownika, liczył zaledwie 42 lata. Gdy w Owczarni rozkazywał dobijać rannych żołnierzy AK — był dwudziestoletnim chłopcem. Prostym wiejskim chłopcem, który z trudem ukończył szkołę powszechną. Z pewnością stanowi to okoliczność łagodzącą, ale usprawiedliwić go nie może.

Został pochowany w miejscu najbardziej honorowym: w Alei Zasłużonych na dawnych wojskowych Powązkach. Na pięknym nagrobku widnieje inskrypcja: „Za Polskę, wolność i lud”.

W Owczarni w szczerym polu stoi krzyż. U jego stóp tablica z napisem: „W tym miejscu dnia 4 maja 1944 r. zostało zamordowanych 18 żołnierzy Armii Krajowej 3 kompanii 15 pp «Wilków» przez grupę «Cienia» z AL. W 45 rocznicę Krzyż stawiają koledzy i społeczeństwo — 1989”.

W pierwszym okresie okupacji w obwodzie Puławy, podobnie zresztą jak w całym kraju, komuniści nie stanowili żadnego problemu. Była ich garstka, każdy ich znał, a dzięki temu, że nie doszła tu Armia Czerwona nie ujawnili przed społeczeństwem

swego prawdziwego oblicza.

71

Również i po napaści Niemiec na ich niedawnego wiernego sojusznika istnienie komunistów, całkowicie zresztą zdeorientowanych tym, co się stało, nie było problemem politycznym. Wkrótce jednak zaczęło przybierać wymiar problemu społecznego.

Wśród zbiegłych z twierdzy dęblińskiej jeńców sowieckich byli — jak już wspomniano — i tacy, którzy zamiast przedzierać się w kierunku szybko odchodzącego na wschód frontu, woleli zostać na miejscu i nieźle żyć na koszt tutejszych obywateli. Zaopatrywali się w broń, choćby najbardziej prymitywną, tworzyli kilkusobowe bandy, rabujące chłopów i dwory. Szybko porozumieli się z miejscowymi rzezimieszkami, którzy pomagali im w ich zbójceckim procederze. Dopiero od stycznia 1942 r., gdy w Warszawie powstała PPR, założona przez przybyłą z Moskwy „grupę inicjatywną” i zaczęto tworzyć, także na terenie obwodu puławskiego, jej komórki, problem począł przybierać zabarwienie polityczne. Po prostu dlatego, że owe bandy stawały się zawiązkiem komunistycznej partyzantki. Tak było m.in. w przypadku bandy Nikoła-ja Paramonowa, który wybrał sobie pseudonim „Dąbrowski”. Robił nadal to, co chciał robić, ale już pod szyldem oddziału partyzanckiego GL, a później AL. Jeśli rabował — a czynił to często — to nie dla własnej korzyści, lecz „za Polskę, wolność i lud”.

Nikt nie przeczy, że do partyzantki GL-AL garnęła się także młodzież patriotyczna, kierowana najlepszymi intencjami. Przyciągała ją strategia tego ugrupowania, nie odkładająca generalnej rozprawy z okupantem — jak było to w przypadku AK — na bliżej nieokreśloną przyszłość, lecz nakazująca bić go przy każdej okazji, często na oślep, bez zastanawiania się nad tym w kogo rzeczywiście się uderza, bez względu na straty i represje. Ciągnęła jak magnes możliwość otrzymania broni. A także perspektywa szybkiego awansu, także do stopni oficerskich, nie warunkowanego ani wykształceniem ogólnym, ani żołnierskim wyszkoleniem czy stażem. Młodzieży tej w oddziałach partyzanckich GL-AL szybko przybywało. Nie zmienia to faktu, że rodowód wielu z nich, ich pierwotne składy, a często i późniejsza działalność, nie były chwalebne. Na obszarze, o którym w tej książce mowa, uzewnętrzniało się to w sposób szczególnie jaskrawy.

Nie piszę i nie mam zamiaru pisać historii GL-AL na tym terenie. Uczynili to już inni, a lektura tego, co napisali dziś, u ludzi znających temat, może jedynie wywołać uśmiech zażenowania i politowania. Wystarczy przestudiować takie choćby dzieło, jak *Kalendarium walk GL i AL na Lubelszczyźnie* (Wyd. MON i WIH, Warszawa 1966), które podpisał płk

72

Edward Gronczewski („Przepiórka”), dawny oficer GL-AL, pierwszy dowódca „Cienia”, o wojennej i powojennej biografii niemal identycznej z biografią jego podkomendnego. Drobne potyczki przeistaczają się tam w wielkie bitwy, straty

poniesione przez Niemców są kilkanaście — a bywa, że i kilkadziesiąt — razy większe od rzeczywistych. Na dodatek na każdej niemal stronie *znaleźć* można akcje bojowe, wykonane przez AK, a przypisane oddziałowi autora bądź innym oddziałom GL-AL, dowodzonym przez jego towarzyszy. Na rodzące się przy lekturze tego *Kalendarium* pytanie o to, czy „Przepiórka”, fabrykując te kłamstwa zapomniał o tym, że żyją ludzie, którzy znają prawdę i istnieją dokumenty, które tę prawdę mogą potwierdzić, odpowiedź jest tylko jedna: nie zapomniał, dobrze o tym wiedział, ale był pewien, iż ani uczestnicy i świadkowie tamtych wydarzeń nie zarzucą mu, przynajmniej publicznie, kłamstwa, ani wykazujące to dokumenty nie ujrzą światła dziennego. I miał rację. Ale do czasu.

Innym przykładem wypaczania prawdy o GL-AL na tamtym terenie są androny, jakie na ten temat wpisał do swego dzieła *Oddziały Gwardii Ludowej i Armii Ludowej* płk dr Józef Bolesław Garas (także Wyd. MON i WIH, II wydanie, Warszawa 1971). Wprawdzie nie wypada tak pisać o autorze, który nie może się bronić, bo od dawna nie ma go wśród żywych, a był człowiekiem o dużej poczciwości, ale fakt, że jego dzieło, mające kilka wydań, stanowiło, zgodnie z zarządzeniem Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, podstawowe źródło wiedzy o GL-AL dla całej kadry nauczycielskiej, nakazuje to powiedzieć.

O „oddziale” Nikołaja Paramonowa, który po ucieczce z obozu jeńców w Białej Podlaskiej przez półtora roku wraz z dwoma innymi zbiegłymi jeńcami prowadził „partyzantkę” na własną rękę, łupiąc chłopów, dr J.B. Garas napisał, że powstał on w marcu 1943 r. po włączeniu do jego „grupy” 15 Żydów, zbiegłych z getta w Dęblinie. „Wówczas — pisze — grupa przekształciła się w oddział partyzancki, liczący 20 osób”. Wiemy co to była za grupa, łatwo można sobie wyobrazić, jaki to był oddział.

Mianem „grupy partyzanckiej” Garas określa także kilkuosobową szajkę złodziejaszków i koniokradów, którym przewodził Julian Gran-sztof z Rososzy koło Ryk. Było to indywidualium, o którym jeszcze dziś mówią w tamtych stronach z najgłębszą pogardą. Niemal kompletny analfabeta, pracował przed wojną w kaflami w jednym z majątków, miał jakieś kontakty z Komunistyczną Partią Polski, które później dyskutował. Po wojnie był wysokim funkcjonariuszem WUBP w Warszawie i Gdańsku, skąd dyscyplinarnie został usunięty, następnie dyrektorował kilku przedsiębiorstwom, z których też go wyrzucono, bo

stale chodził pijany. Zmarł w latach osiemdziesiątych, osamotniony, będąc już na pełnym dnie, w jakimś miasteczku na Pomorzu Zachodnim. Widocznie sądzone mu było żyć tak długo, bo kilka podejmowanych przez AK zarówno w czasie okupacji, jak i bezpośrednio po jej zakończeniu prób jego zlikwidowania nie dało rezultatu, choć kiedyś podziurawiono go jak sito.

Józef Bolesław Garas kreował również już nie „oddział”, lecz „zgrupowanie oddziałów partyzanckich”, na czele którego postawił Władysława Sienkiewicza, ps. „Wilk”. Miało ono istnieć w Dzielnicy AL Dęblin-Ryki. O „zgrupowaniu” tym, a tym bardziej o jego działalności i walce z Niemcami jako żywo nikt tam nie słyszał.

Dajmy jednak nieboszczykowi spokój. Całą niemal okupację spędził w

Warszawie, końcówkę w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, wycierpiał wiele, o tym, co naprawdę działo się na tym skrawku Polski nie miał zielonego pojęcia, pisał to, co mu opowiadali — lub przepisywał to, co sami w swych wspomnieniach napisali — „uczestnicy wydarzeń”. Łącznie z ich fantazjami.

Nie wszyscy zbiegli z niewoli czerwoonoarmiści pozostawili tu tak złą pamięć, jak Nikołaj Paramonow. Do dziś z dużą sympatią wspomniany jest — także przez dawnych członków AK — Serafim Aleksiejew, zwany powszechnie „Serafinem”, organizator i dowódca prawdziwego oddziału partyzanckiego GL, działającego na styku Lubelszczyzny, Podlasia i południowo-wschodniej części woj. warszawskiego, a więc również na obszarze Podobwodu „A”. Jako dwudziestolatek poszedł na wojnę z Niemcami, pod Baranowiczami został ranny, dostał się do niewoli, uciekł z transportu, dotarł w okolice Żelechowa i zatrzymał się tam u gościnnych chłopów. W maju 1942 r. zebrał grupę zbiegłych jeńców sowieckich, ukrywających się w okolicznych wsiach i utworzył oddział partyzancki, liczący 25 ludzi, a uzbrojony początkowo w trzy karabiny i cztery pistolety, przekazane przez gospodarzy. Jesienią tego roku oddział „Serafina” stał się oddziałem GL i otrzymał imię Jana Ki-lińskiego. Zapisał na swym koncie wiele śmiałych i udanych akcji bojowych. Od stycznia 1944 r. „Serafin” poszedł do swoich: dołączył wraz z oddziałem do radzieckiego zgrupowania partyzanckiego mjr. Michaiła Głumowa, operującego w lasach parczewskich. Często jednak wracał tam, gdzie rozpoczął walkę: pod Żelechów, Ryki, Dęblin.

Aleksiejew nie dał się wmanewrować w działania przeciw AK, choć takie naciski na niego były. Odwrotnie: z oddziałami i placówkami AK utrzymywał dobre stosunki, często współdziałał. Szczególnie *zaprzyjaźnił*

74

się z głośnym partyzantem por. (kpt.) Wacławem Rejmakiem („Ostoją”), dowódcą silnego oddziału, operującego w sąsiadującym od północy z terenem „Orlika” obwodzie Łuków, wchodzącym w skład Inspektoratu Rejonowego „Radzyń”. Zawarł z „Ostoją” porozumienie o współpracy, którego postanowień obydwie strony ściśle przestrzegały. Gdy ciężko zachorował — tylko dzięki „Ostoi” utrzymał się przy życiu. Paramonowa i Gransztofa znał dobrze, początkowo utrzymywał z nimi kontakty, które zerwał, gdy zrozumiał z kim ma do czynienia.

Po wojnie „Serafin” kilkakrotnie w te strony przyjeżdżał. Za każdym razem był serdecznie witany. Zwłaszcza przez dawnych żołnierzy AK, których — w odróżnieniu od tylu innych — nigdy się nie wyparł. Szczerze żałował, że nie ma wśród nich jego przyjaciela „Ostoi”, zamordowanego przez UB. Wspomnienia „Serafina” wydane późno, bo dopiero w 1987 r. przez Wy d. MON pod tytułem *Wśród partyzanckiej braci* przyjęte tu zostały bardzo przychylnie. Oceniono je jako prawdziwe i rzetelne. W księgarniach zabrakło egzemplarzy.

Różne więc były oddziały partyzanckie GL, różni ich dowódcy. Ale saldo, przynajmniej dla Podobwodu „A”, niestety, jest ujemne. Rejestru osób zamordowanych w czasie niemieckiej okupacji przez komunistów nikt nie sporządził i już dziś nie ma żadnych szans na to, by kiedykolwiek powstał. A obejmowałby bardzo wiele nazwisk. Przede wszystkim członków AK i ludzi z nimi związanych, lecz także nie angażujących

się w jakąkolwiek działalność polityczną czy wojskową rolników, rzemieślników, nauczycieli. Również Żydów.

Szczególnie wiele zabójstw i grabieży obciąża Paramonowa i Gransztofa.

To właśnie Nikołaj Paramonow wraz ze swymi ludźmi zamordował w końcu stycznia 1944 r. wspaniałego Polaka, jednego z pierwszych budowniczych konspiracji na całym tym obszarze Alfonsa Faściszewskiego („Konar”). Faściszewski, postać dziś całkowicie zapomniana, natychmiast po wejściu Niemców zaczął kłaść podwaliny pracy niepodległościowej na terenie przyszłego Inspektoratu Puławy. Uczestnik wojny 1920 r., nauczyciel, kierownik szkoły w Żyrzynie, a w ostatnim przed wojną roku szkolnym w Końskowoli, był pierwszym szefem Związku Odwetu w Komendzie Lubelskiego Okręgu SZP-ZWZ, a następnie, aż do swej śmierci, zastępcą szefa Kedywu KO. Niemcy intensywnie go poszukiwali, wyznaczyli nawet wysoką nagrodę za jego ujęcie.

Zamordowano go — gdy odbywał podróż inspekcyjną — w Erne-stynowie koło Woli Gułowskiej. Razem z nim zabito jego współpracow-

75

nika kpt. Ruszczyńskiego („Brochwicz”) i woźnicę. „Konar”, mający stopień majora czasu wojny (c.w.), pośmiertnie mianowany został podpułkownikiem i odznaczony *Virtuti Militari* V kl. Miał 42 lata.

Paramonow nawet po śmierci „Konara” nie dawał mu spokoju. Gdy w kwietniu 1944 r. AK dokonała ekshumacji zwłok ppłk. Faściszewskiego, pogrzebanych w Ernestynowie i trumnę z nimi, pod eskortą Kedywu obwodu, przewożono na cmentarz w Żyrzynie — w pobliżu Bałtowa kondukt został powitany gwałtownym ogniem czekających nań w zasadzce ludzi z oddziału AL „Dąbrowskiego”. Ale Kedyw szybko ich przepędził.

To na rozkaz Paramonowa zastrzelony został jeden z pierwszych partyzantów Inspektoratu Władysław Piwowarek („Borsuk”). Wraz z ojcem, gajowym z Bałtowa i trzema braćmi już jesienią 1939 r. składał przysięgę w SZP. Był dowódcą patrolu Związku Odwetu, a następnie Kedywu, stanowiącego zawiązek oddziału dyspozycyjnego „Przepiórki”, a więc i oddziału leśnego „Zagona”. W 1942 r. przeniesiony został do kontrwywiadu i pracował jako leśniczy. Uczestniczył w polowaniach, w których brali udział Niemcy, dzięki czemu udawało mu się pozyskiwać dla AK wiele informacji o bezcennej wartości. Żarliwy patriota, świetny żołnierz. W październiku 1943 r. zabili go ludzie Paramonowa „za współpracę z hitlerowcami”.

2 stycznia 1944 r. bojówka AL otoczyła w kolonii Ryki dom Stanisława Kucharskiego, członka AK. Zabito gospodarza oraz dwóch goszczących u niego akowców: Romualda Dolińskiego i Stanisława Zyzka.

Nieco później z rąk AL zginął w Oszczywilku żołnierz AK, Stanisław Zaborowski. Zamordowano również przybyłego na pogrzeb jego brata, Wacława.

I po tamtej stronie padały trupy. To prawda. Czas był okrutny, a partyzancka broń miała lekki spust. Pamiętać jednak trzeba o jednym: jeśli by dowódcy AK odpowiadali ciosem na cios, brali odwet za każdego ze swych zamordowanych żołnierzy, jeśli by przy użyciu wszystkich sił będących w ich dyspozycji przystąpili do walnej rozprawy z

istniejącymi na ich terenie komórkami PPR i oddziałami GL-AL, to w ciągu kilku dni problem ten zostałby zlikwidowany. Bo taki był stosunek sił. Przy tym nastąpiłoby to już w 1943 r., gdy komuniści nie mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony sowieckich zgrupowań partyzanckich operujących później na Lubelszczyźnie, a tym bardziej ze strony Armii Czerwonej.

Do tego jednak nie doszło. Tutejsi dowódcy AK czynili wszystko, by rozładować napięcia i uniknąć przelewu polskiej krwi. Świadczy o tym

76

wiele spośród zachowanych dokumentów, których część ogłosili Ireneusz Caban i Zygmunt Mańkowski w drugim tomie swej znanej pracy *Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okrągu Lubelskim*, wydanej w Lublinie w 1971 r. i stanowiącej wówczas prawdziwą rewelację.

„Zabraniam jakichkolwiek bądź zadrażnień z PPR (komuną) lub z dywersją sowiecką — pisał w swym rozkazie z 6 grudnia 1943 r. komendant Podobwodu «B» kpt. «Lechit». — Zachować całko wita neutralność”.

Podobnych rozkazów, instrukcji, apeli było mnóstwo. Nie na wiele się zdały. Na liście osób zamordowanych przez rodzime komunistyczne bojówki bądź przez sowieckich partyzantów do końca okupacji przybawało nazwisk. Chyba najbardziej ponurą, wręcz porażającą jej pozycję ustalił Ireneusz Caban, który obliczył i ogłosił w swej książce o oddziałach partyzanckich 15 pp „Wilków” AK, że większe straty poniosły one z rąk AL niż z rąk Niemców. Po stwierdzeniu, że ogólne straty tych oddziałów wyniosły 59 zabitych i 34-38 rannych, Ireneusz Caban napisał:

„Wielką ich tragedią było to, iż w bezpośredniej walce z Niemcami poległo tylko 24 żołnierzy. 29 zostało zamordowanych lub zginęło w walce bratobójczej narzuconej przez oddziały AL «Cienia» i «Dąbro-wskiego» (18 z oddziału «Hektora», 1 z oddziału «Przepiórki» i 10 z oddziału «Argila»), 1 żołnierz poległ w starciu z grupą rabunkową, a 4 (z oddziału «Argila») zginęło z powodu nierozpoznania się grup konspiracyjnych (1 żołnierz zginął w wypadku z bronią)”.

Komentarz zbyteczny.

Ale było to tylko preludium. Im bliżej Bugu była Armia Czerwona, tym wyżej i pewniej podnosili głowy ci z PPR i AL. Wiedzieli, że nadchodzi ich czas. I nie mylili się.

Były pierwsze dni lipca 1944 r. Oddział „Orlika” szedł na południe. Rozciągnięty w długą kolumnę, z ubezpieczeniem przednim na czele, dobrze uzbrojony, zdyscyplinowany i karny prezentował się znakomicie. Kilku partyzantów, którzy latem ubiegłego roku dali mu początek, a teraz maszerowali wraz z innymi, miało prawo do satysfakcji. Nie dali się zniszczyć, przetrwali, doprowadzili do tego, że samotna sekcja przemieniła się w silną kompanię. Z tej pierwszej siódemki brakowało jedynie „Tokarza”, który — bijąc do końca z erkaemu — poległ niedawno na szosie pod Trojanowem w walce z Niemcami. Wraz z nim zginął wówczas Witosław Łysakowski („Dzięcioł”) z Ryk.

Była pełnia upalnego lata, zbliżały się zniwa. Maszerowali nocą, w dzień

odpoczywali na kwaterach. Gdy przeszli Wieprz i dotarli na te-

77

ren obwodu Kraśnik, ze zdziwieniem stwierdzili, że chłopci widząc wkraczający do wsi oddział, nie witali go serdecznie, do czego w swoich stronach już przywykli, lecz rzucali wszystko i uciekali w popłochu. Sprawa wyjaśniła się rychło. W tutejszych wsiach kwaterowały zazwyczaj oddziały AL, które ludność miejscowa traktowała jak szarańczę. Kradły, rabowały, gwałciły, najmniejsza wzmianka gospodarzy o tym, że za wyżywienie należałoby zapłacić, groziła chłopom tragicznymi konsekwencjami.

Doszli w pobliże Liegenschaftu Kluczkowice, położonego na południe od Opola Lubelskiego. Był to duży zespół majątków i obiektów gospodarczych znajdujących się pod zarządem SS. Składały się nań folwarki, browar, tartak, pałac. Wszędzie stali załogą esesmani i ostlegioniści. Uzbrojeni byli po zęby, dysponowali rozległym systemem bunkrów i stanowisk ogniowych. Każdy obiekt stanowił umocniony punkt oporu, łatwy do obrony, piekielnie trudny do zdobycia. Ich załogi były przekleństwem całej okolicy, którą nękały łupieżczymi wyprawami.

Oddział „Orlika” zakwaterował w opustoszałej wsi, bo jej mieszkańcy na widok nadchodzących partyzantów uciekli do lasu. Wrócili dopiero wtedy, gdy wysłano do nich sołtysa, znalezionego w jakiejś komórce, który im powiedział, że to nie AL, lecz AK.

W sąsiedztwie były już trzy pozostałe oddziały partyzanckie obwodu: „Zagona” i „Argila” i dawny oddział „Hektora”, którego dowództwo po dramacie w Owczarni, ciągle stanowiącym dla jego żołnierzy ciężkie brzemię, objął ppor. Bronisław Kozuń („Turnus”), do tego czasu komendant placówki AK w Trojanowie. Na koncentrację przybył również oddział partyzancki z Obwodu Kraśnik dowodzony przez por. Stanisława Łokuciewskiego („Mały”). Oddział ten, wchodzący w skład zgrupowania OP/8 ppLeg. AK tuż przed „Burzą” został z niego wyłączony i przydzielony do zgrupowania OP 15 pp. „Wilków” AK.

Przed walką oddziałom przekazano to, na co ich dowódcy i żołnierze od dawna czekali: broń ze zrzutów. Nawet piąty.

Uderzenie na Kluczkowice rozpoczęło się w piątek 14 lipca o godz. 13.00. Zaskoczyło Niemców, którzy w dzień czuli się pewnie, a lęk przed napadami „band” zaczęli odczuwać dopiero od zmierzchu. Głównym zadaniem było zdobycie zespołu pałacowego wraz z browarem i wartownią. Wykonywały je oddziały „Orlika”, „Argila” i „Małego”. Walka trwała kilka godzin. Załoga ostrzeliwała partyzantów z bunkrów, murowanych magazynów, spichrzów. Żołnierze „Orlika” brawurowo uderzyli na bunkry, zdobywając kilka z nich. Zdobyto także

78

pałac i browar. Obroniła się ziejąca ogniem wartownia. Oddział „Turnu-sa” opanował i podpalił tartak. Pożar był ogromny, bo w tartaku znajdowały się duże ilości materiału, przygotowanego do planowanej przez Niemców budowy przeprawy przez Wisłę w Józefowie. Upřednio „Turnus” usiłował zdobyć folwark Kręciszówka, ale po

załamaniu się jego natarcia został przerzucony do Kluczkowic. Podobnie było z częścią oddziału „Zagona”, która opanowała wprawdzie dziedziniec folwarku Góry i część znajdujących się tam zabudowań, lecz zrezygnowała ze szturmu na murowany, zabarykadowany dwór, gdyż groził on dużymi, zupełnie niepotrzebnymi stratami. Też skierowano ją do głównego ogniska walki, to znaczy do Kluczkowic.

W sumie, mimo że nie udało się zdobyć wszystkich obiektów, zadanie zostało wykonane. W wyniku udanej operacji połączonych oddziałów, którą dowodził komendant obwodu mjr „Żeliwa”, Stuetzpunkt Kluczkowice został rozbity, a jego załoga poniosła duże straty, szacowane na kilkudziesięciu zabitych i rannych. W toku walki grupa Niemców uciekła do Opolu Lubelskiego. Partyzanci mieli kilku poległych i kilkunastu rannych. Zginął znany partyzant starszy wachmistrz Mieczysław Cieszkowski („Grzechot-nik”), dowódca patrolu Kedywu, wchodzącego w skład oddziału „Zapory” (Hieronim Dekutowski), a od wiosny 1944 r. podporządkowanego szefowi Kedywu Obwodu Puławy por. Marianowi Sikorze („Przepiórka”). Pośmiertnie odznaczony został Krzyżem Walecznych.

O zmierzchu nastąpiło rozwiązanie koncentracji i oddziały, każdy inną trasą, ruszyły w rejony swych działań. Dwóm z nich przyszło jeszcze walczyć w drodze powrotnej. Było to nazajutrz, 15 lipca.

Idący w kierunku Urzędowa oddział BCh z tamtego rejonu, który na koncentrację w Kluczkowicach przybył w składzie oddziału „Turnusa”, natknął się na watahę własowców. Odłączyli się oni od kolumny i szli od wsi do wsi, rabując, mordując, gwałcąc. Partyzanckie karabiny maszynowe zebrały krwawe żniwo, kładąc pokotem wielu pijanych żołdaków, posuwających się bezładną kupą, bez jakiegokolwiek ubezpieczenia.

Z groźniejszym przeciwnikiem spotkał się wracający za Wieprz „Orlik”. Nieco na północ od Opolu Lubelskiego, na biegnącej lasem szosie pojawiły się nagle dwa samochody ciężarowe, pełne uzbrojonych ludzi. Była to niemiecka ekspedycja karna, złożona z żandarmów i własowców z Puław. Doszło do krótkiej, ale zacieklej walki. Obydwa samochody spalono. Niemcy mieli dwóch zabitych i paru rannych.

Po walce partyzanci „Orlika” kontynuowali marsz na północ, w swoje strony. Za nimi szła „Burza”.

„Burza” i czerwony sztorm

W niespełna dwa tygodnie później wkraczali do Ryk. Była środa, 26 lipca 1944 r. Gdy na drodze prowadzącej z Oszczywilka pojawił się oddział, dochodziło południe. Szli ulicami Łukowską, później Poniatow-skiego. Różnorodnie umundurowani, obciążeni bronią, każdy z białą--czerwoną opaską na lewym ramieniu. Zmęczeni, podnieceni, szczęśliwi.

Było ich ponad stu, dobranych przez „Orlika”, który przydział do tej grupy traktował jako wyróżnienie. Ponad dwa razy tyle pozostało w Oszczywilku.

„Orlik” i „Szary” jechali przez Ryki konno. Pierwszy w mundurze polowym, z koalicijką, w furazerce, drugi w jakimś partyzanckim przyodziewku, w butach z cholewami, w cywilnej czapce.

Partyzanci maszerowali środkiem gęstniejącego z każdą chwilą szpaleru ludzi. Witano ich radosnymi okrzykami, dzieci rzucały kwiaty pod nogi, dziewczęta wręczały je partyzantom, starsze kobiety żegnały się nabożnie. Dzień był pogodny i słoneczny. Na dodatek w Rykach przypadał wtedy odpust.

„Szliśmy jak oszołomieni — wspomina «Lis» — coś ścisnęło serca, łzy cisnęły się do oczu”.

Przeszli szosę i znaleźli się w parku. Tam zmieszali się z idącym z nimi tłumem mieszkańców Ryk. Matki całowały synów, dziewczęta swych chłopców, obcy ludzie rzucali się sobie w objęcia. Rozpoczął się festyn: poczęstunki, chóralny śpiew partyzanckich piosenek.

Ubezpieczenie zameldowało, że od strony Lublina zbliżają się dwa sowieckie czołgi. „Orlik” wyszedł im naprzeciw. Powitał czołgistów, zaprosił do udziału w partyzanckim święcie. Wypili, zjedli, uściskali się z partyzantami, zagrali na harmoszce. Po godzinie, dziękując za gościnność i zapewniając o swej przyjaźni, odjechali.

„Nasi żołnierze — zapisała w swym notatniku sanitariuszka «Iskier-ka» — w znacznej części pochodzący z Ryk i okolic, z dowódcą «Orlikiem» na czele, przeżywali dzień nagrody za lata walki, trudów, za marsze nocne w deszczu i mrozie”.

80

Po czym dodała: „Nikt nie spodziewał się, że dla nas był to j e d y-n y dzień beztrioskiej radości”.

Jedyny w całym okresie ich walki, trwającej, w przypadku tych, którzy rozpoczęli ją najwcześniej i prowadzili do końca, aż ponad siedem lat. A było wśród nich wielu takich, którzy i przez lata następne wspominali go w więziennej celi.

Wejściem do Ryk oddział „Orlika” zakończył swój udział w „Burzy”, a tym samym walkę z Niemcami. Ale w tym dniu jego triumfu „Burza” w obwodzie jeszcze trwała. Siłom zbrojnym obwodu wyznaczała jako cel główny opanowanie i utrzymanie rejonu Dębłina wraz z lotniskiem (było ono jednym z czterech, które miano zdobyć, by umożliwić lądowanie na nich baonów desantowych z Wielkiej Brytanii i Włoch), mostami na Wiśle, węzłem kolejowym i składnicą uzbrojenia w Stawach oraz Puław, także z mostem, stacją kolejową, koszarami i obiektami administracyjnymi.

21 lipca komendant obwodu mjr „Żeliwa” na odprawie komendantów podobwodów i rejonów, która odbyła się w Puławach, zadania te potwierdził, dając im prawo samodzielnego decydowania o terminie rozpoczęcia akcji, co było niezbędne, gdyż należało przewidywać, że łączność między dowództwem obwodu a ogniskami

walki będzie utrudniona.

Rejestru działań bojowych „Burzy”, który istnieje, nie będziemy tu przytaczać, bo zbyt wiele zająłby miejsca. Przypomnijmy natomiast krótko najważniejsze z nich.

„Burzę” rozpoczęto w Podobwodzie „B” już po południu w dniu owej odprawy udanym atakiem na niemiecką kolumnę taborową w Kazimierzu Dolnym. Kilka akcji wykonano w dniu następnym. M.in. por. „Weneda” zajął Wąwolnicę. W godzinach rannych 23 lipca „Burza” objęła już cały podobwód. „Weneda” na czele 40 ludzi opanował w tym dniu Nałęczów, rozbrajając grupę Niemców, którzy nie zdążyli się wycofać. Zdobył wielkie ilości broni, amunicji, różnego wyposażenia. Dopiero w dwa dni później dotarły do Nałęczowa pierwsze czołgi sowieckie. „Weneda” witał je jako gospodarz, spotkanie było bardzo przyjazne.

Również 23 lipca rozpoczął walkę rejon VII pod dowództwem komendanta ppor. Eugeniusza Kunickiego („Kłos”). Jego żołnierze rozbroili kilka przechodzących przez Kurów grup Niemców, zajęli osadę, zorganizowali wiec na rynku, przystąpili do barykadowania ścieżkami

81

drzewami szosy Warszawa-Lublin. Ze względu na położenie Kurowa przy skrzyżowaniu ruchliwych szlaków komunikacyjnych stoczono jeszcze kilka potyczek z cofającymi się tędy Niemcami. W jednej z nich zdobyto samochód pancerny. Dowiedzieli się o tym stojący w Marku -szowie sowieccy czołgiści. Przybyli do Kurowa, żądając „wypożyczenia” owego samochodu. Ppor. „Kłos”, chcąc uniknąć konfliktu, uczynił to po uprzednim wymontowaniu z pancerki karabinów maszynowych. Postawa Rosjan była tak nieprzyjazna i agresywna, że dowództwo rejonu, wiedząc o tym, iż nazajutrz wejdą oni do Kurowa, postanowiło wyprowadzić w nocy swych żołnierzy z osady, by uchronić ich przed rozbrojeniem i internowaniem. Tak też się stało.

AK opanowała także Kazimierz Dolny i Poniatową. Oddział „Argi-la”, który miał za zadanie wyzwolenie Opola Lubelskiego, był już wśród pierwszych zabudowań miasta, gdy otworzyła ogień sowiecka artyleria, zadając straty zarówno Niemcom, jak i cywilom i partyzantom. Dowódca wycofał więc swych żołnierzy na skraj miejscowości i tam wylapywał uciekających z niej Niemców. Po wkroczeniu do Opola Armii Czerwonej odmaszerował, słusznie rozumując, że lepiej nie nawiązywać z nią bezpośredniego kontaktu.

25 lipca w godzinach popołudniowych sowiecki batalion znalazł się na skraju Puław i tam stanął, lękając się iść dalej. Poderwali go oficerowie AK, oświadczając, że Niemcy są już słabi i że w mieście znajdują się partyzanci, którzy dopomogą w jego zdobyciu. Natarcie odniosło sukces. Niemcy wycofali się za Wisłę, zrywając pierwsze przęsło mostu, co uniemożliwiło odwrót pozostałej części załogi. W nocy ostrzelali pozycje czerwonoarmistów tak silnym ogniem artyleryjskim, że batalion szybko je opuścił i odszedł z miasta. Utrzymywali je nadal żołnierze AK — z oddziałów „Zagona” i „Turnusa” oraz z placówek w Puławach, Młynkach i Końskowoli — likwidując poszczególne zaciekle bronione gniazda niemieckiego oporu. Rankiem Puławy były wolne od Niemców. Na wielu budynkach powiewały biało-czerwone flagi.

Wtedy też żołnierze AK opuścili miasto.

Planując działania na czas „Burzy”, dowództwo obwodu wiele uwagi poświęciło poczynaniom mającym na celu uchronienie przed zniszczeniem obiektów twierdzy Dęblin, lotniska i węzła kolejowego. Realizację tego planu, nazwanego „Ocalić Dęblin”, komendant podob-wodu „A” kpt. Piotr Ignacak uruchomił 24 lipca. Żołnierze miejscowych placówek AK pod dowództwem ppor. Melchiora Piskały („Melchior”) obronili przed zniszczeniem most na Wieprzu w Bobrownikach, kolejno

82

likwidując dwie grupy Niemców mające go spalić, przystąpiono do niszczenia grobli, różnych dróg dojazdowych, zabezpieczania poszczególnych obiektów. Przygotowania te utrudnił wieczorem tego dnia nalot radzieckiego lotnictwa na Dęblin. *Zrzucone* niecelnie bomby przysporzyły strat ludności cywilnej, spowodowały wiele pożarów.

Mimo to zadanie zostało wykonane. Do świtu 26 lipca, gdy nadeszły sowieckie czołgi, drużyny AK oczyściły Dęblin i jego rejon z Niemców. Zlikwidowano kilka grup niemieckich saperów, sposobiących się do wysadzenia magazynów w Stawach, parowozowni, budynków na lotnisku. Akowcy opanowali i utrzymali cztery mosty na Wieprzu (w tym kolejowy) i jeden na Wiśle. Nie udało się Niemcom zdetonować wielkiej ilości bomb, które zgromadzili na lotnisku z zamiarem spowodowania gigantycznej eksplozji po wejściu na lotnisko żołnierzy sowieckich. Nie zdobyto wprawdzie węzła kolejowego, ale całkowicie zablokowano tam pięć pociągów wojskowych wiozących m.in. czołgi. Opanowano twierdzę, ratując przed śmiercią ostatnich znajdujących się tam jeszcze jeńców sowieckich.

Istotnym fragmentem tej bitwy o Dęblin były wydarzenia w pobliskiej Stężycy. Siłami AK i BCh dowodził tam ppor. Klemens Kurzyp („Wojtyński”). W momencie wycofywania się stacjonującej w Stężycy niemieckiej jednostki wojskowej opanował on przemienione na szpital połowy koszary i wziął do niewoli szykujących się do ich wysadzenia saperów. Pozostałe drużyny AK i BCh polowały w tym czasie na Niemców, usiłujących łodziami przepłynąć się przez Wisłę.

W wolnej Stężycy wywieszono biało-czerwone flagi, zorganizowano uroczystość patriotyczną, poprzedzoną mszą św. odprawioną przez ks. kanonika Edwarda Bielińskiego. Partyzanci rozlokowali się w koszarach, zaczął urządzać wójt, wyznaczony przez Delegata Rządu na powiat garwoliński. Gdy 29 lipca weszły do osady oddziały radzieckie, a zaraz po nich żołnierze I AWP, wzajemne stosunki ułożyły się znakomicie. Akowcy przekazali im jeńców, wychodzili na wspólne patrole, służyli im jako przewodnicy. Sielanka ta trwała aż do ewakuacji mieszkańców pasa nadwiślańskiego, a więc i Stężycy.

Największą bitwą na terenie obwodu w czasie „Burzy” stoczył 25 lipca oddział „Zagona”. W dniu tym kwaterował w Młynkach, gdzie dotarła doń wiadomość, że Niemcy jadą palić odległą o kilka kilometrów Końskowolę. Obecny przy oddziale jego zwierzchnik, szef obwodowego Kedywu, por. Marian Sikora („Przepiórka”) natychmiast polecił „Zagonowi” wydzielić część oddziału — najstarszych stażem i najlepiej uzbrojonych partyzantów — i objąć dowództwo ruszył z ratunkiem

zagrożonej osadzie. Grupa ta liczyła ponad 50 ludzi, Niemców było trzy razy tyle. Dzięki mądrej taktyce „Przepiórki”, który podzielił swych partyzantów na trzy grupy, każdej z nich zlecając inne zadanie, bój skończył się całkowitą klęską niemieckiej ekspedycji. Trwał kilka godzin. Głównymi punktami oporu Niemców, którzy zdążyli wejść do Końsko-woli przed partyzantami, były kościół i cmentarz. Mieli działka ppanc., których ogniem próbowali powstrzymywać partyzanckie natarcia. Daremnie. Stracili kilku zabitych, kilkunastu rannych, 40 dostało się do niewoli. Reszta zdołała się wycofać. Straty oddziału były znacznie mniejsze. Zdobyto broń, m.in. dwa działka ppanc. i dwa ckm. W końcowej fazie boju, gdy jego wynik był już przesądzony, do Końskowoli wjechały sowieckie czołgi. Ich załogi, widząc partyzantów, z których część miała na sobie niemieckie mundury z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, otworzyły do nich ogień. Przerwały go, gdy wybiegł im naprzeciw jeden z żołnierzy AK i wyjaśnił nieporozumienie.

„Burza” kilkakrotnie zwiększyła siły zbrojne obwodu, gdyż nastąpiła mobilizacja członków placówek AK. Komendant Rejonu nr I, por. Szczepan Ochab-Lipiński („Rusznica”), zebrał 250 żołnierzy i 20 sanitariuszek oraz łączniczek. Byli nieźle uzbrojeni, mieli sześć wozów z żywnością na pięć dni, trzy wozy sanitarne. Wielu musiało wrócić do domów, bo zabrakło dla nich broni. Podzieleni na plutony, 26 lipca zajęli opuszczone przez Niemców Sobolew i Maciejowice. W obydwu tych miejscowościach, przybranych biało-czerwonymi flagami, odbyły się — poprzedzone mszą św. — manifestacje patriotyczne, które zgromadziły tłumy mieszkańców. Żołnierze por. „Rusznicy” stoczyli kilka zwycięskich potyczek z Niemcami i własowcami.

Podobnie było w Rejonie nr II, którego komendant ppor. Wacław Janicki („Wrzosek”) na czele zorganizowanej przez siebie kompanii, liczącej ponad 200 ludzi, już 22 lipca, natychmiast po odejściu Niemców, zajął Żelechów, czyniąc z niego przez cztery dni, bo dopiero po ich upływie przyszli tam czerwonoarmiści, skrawek naprawdę wolnej Polski. Podobnie było w pozostałych rejonach.

15 pp „Wilków” AK pojawił się w działaniach „Burzy” również na terenie obwodu Garwolin. Jak pisze Jan Gozdawa-Gołębiowski*, ze zmobilizowanych żołnierzy tamtejszych placówek utworzono dwukompanijnny I batalion 15 pp AK, który wszedł w skład zgrupowania dowo-

zonego przez komendanta obwodu mjr. Władysława Szkutę („Helene”). Wszystko wskazuje na to, że doszło do jakiegoś zdublowania rozkazów, gdyż 1/15 pp AK odtwarzano w Podobwodzie „A” Obwodu Puławy. Na dowódcę został wyznaczony komendant podobwodu kpt./mjr Piotr Ignacak („Sawa”, „Just”), a oddział „Orlika” miał stanowić jego 1. kompanię.

27 lipca jedna z kompanii batalionu garwolińskiego pod dowództwem kpt. Władysława Makulca („Mirkowski”) uderzyła na wzmocnioną kompanię Wehrmachtu, stojącą we wsi Rębków. Natarcie, przeprowadzone wieczorem, zmusiło Niemców do odwrotu. Rannych zabrali z sobą, zostawili kilku poległych i kilkunastu jeńców. Partyzanci zdobyli m.in. trzy moździerze, ckm, radiostację. Tego samego dnia 2

kompania por. Zdzisława Golińskiego („Sambor”) opanowała węzeł kolejowy w Pilawie.

Batalion garwoliński nie nawojował się długo. Rozwiązany został już 30 lipca. Nastąpiło to po polowej mszy św., odprawionej we wsi Łucznicza.

Natomiast oddział por. Stanisława Łokuciewskiego („Mały”) z Obwodu Kraśnik rzeczywiście na okres „Burzy” przydzielony został do 15 pp. Razem z oddziałami tego pułku uczestniczył, o czym już pisałem, w natarciu na Liegenschaft SS w Kluczkowicach, następnie działał wzdłuż szosy Lublin-Kraśnik-Annopol, blokując Niemcom dostęp do Wisły. 26 lipca oddział kwaterujący pod Urzędowem, wsparty przez placówki AK i BCh, stoczył bitwę z liczącą ponad 700 ludzi kolumną Niemców i Ukraińców, maszerującą w kierunku Popkowic. Mimo dużej przewagi nieprzyjaciela poniósł on klęskę. Był to prawdziwy pogrom. Partyzanci, zajmujący dogodne stanowiska ogniowe, z bliskiej odległości bili seriami w bezładnie idące gromady. Kolumnę ogarnął popłoch, co powiększyło jej straty. Zginęło 162 Niemców i Ukraińców, 182 dostało się do niewoli, zdobyto 46 wozów taborowych z bronią i wyposażeniem. Nasi stracili kilkunastu zabitych i rannych. Rankiem 28 lipca por. „Mały” zajął Urzędów.

Obwód Puławy nie wykonał wszystkich zadań, przewidzianych dla niego w planie „Burzy”, bo wykonać ich nie mógł. Osiągnął wiele: zadał nieprzyjacielowi znaczne straty, zdobył duże ilości broni, amunicji i sprzętu wojskowego, ocalił przed zniszczeniem szereg obiektów o znaczeniu militarnym i gospodarczym, wiele budynków i zakładów użyteczności publicznej. Uchronił przed zagładą kilka miasteczek, wiele wsi i osad wraz z ich mieszkańcami. Udzielił realnej, liczącej się pomocy

85

Armii Czerwonej, ułatwiając jej marsz i oszczędzając niemało krwi jej żołnierzom. Pięknym akordem zakończył swą walkę z Niemcami.

Stosunki z jednostkami sowieckimi układały się w czasie „Burzy” różnie, nigdzie jednak nie doszło do otwartego konfliktu. Nie doszło także do żadnego starcia z oddziałami AL, bo w tym okresie w ogóle nie było ich w obwodzie widać. Partyzanci AL i działacze PPR ujawnili się dopiero wtedy, gdy strzały ucichły. Wówczas już byli pewni siebie, silni sowiecką siłą.

Tak właśnie zachowywał się Gransztof, który w parę godzin po wkroczeniu oddziału „Orlika” do Ryk wraz z kilkoma swymi ludźmi też tam przybył. Do spotkania doszło w świetlicy „Społem”. Gransztof *zaządał*, by „Orlik” oddał mu klucze do spółdzielczych magazynów. Tylko opanowaniu i spokojowi „Orlika” zawdzięczać należy, że już wtedy nie doszło do rozlewu krwi. Komendant ostro wygarnął Gran-sztofowi, co sądzi o jego „działalności partyzanckiej” i wkładzie w walkę z Niemcami, ale nie chcąc zaognić sytuacji klucze oddał. Rozstali się — pozornie — w zgodzie. Gransztof nawet poprosił „Orlika”, by pozował z nim do wspólnego zdjęcia, na co komendant z pewnym ociąganiem przystał.

W tym czasie część oddziału znajdowała się w składnicy uzbrojenia w Stawach,

wysłana tam przez „Orlika”, zaalarmowanego przez gońca meldunkiem o tym, że Niemcy kończą przygotowania do wysadzenia magazynów. Już na terenie składnicy partyzanci natknęli się na sześciu saperów niemieckich przy zapalarni. W rozpiętych mundurach, niektórzy tylko w koszulach, z odłożoną bronią spokojnie posilali się, nie podejrzewając, że są tu ostatnimi żołnierzami Wehrmachtu. Już nigdy nie mieli się o tym dowiedzieć.

W głębi składnicy nastąpiło spotkanie z czerwonoarmistami, którzy przybyli tam nieco wcześniej. Przyjazne i wylewne. Kilku ludzi zostało przy nich, częstując ich bimbrem, pozostali zaczęli penetrować magazyny. Gdy doszli do wniosku, że mogą bez przeszkód poważnie wzbogacić stan posiadania oddziału — ściągnęli z pobliskich gospodarstw podwo-dy, załadowali je amunicją i trotylem, po czym wyprowadzili ze składnicy. Może się to przyda, może nie, słusznie jednak sądzili, że raczej zdobycz ta okaże się potrzebna.

Czerwonoarmiści przypatrywali się temu z uśmiechem, nie protestowali. Żołnierze, idący w pierwszym rzucie, nie mieli pojęcia o tym, którym partyzantom można dawać broń, a którym należy ją odbierać. Wiedzieli o tym ci, którzy szli za nimi.

86

Tego samego dnia do oddziału przyprowadzono dwa działka przeciwlotnicze ze sporym zapasem amunicji. Do dziś trwa spór o to, czy przyprowadzono je ze Stawów czy z Dębłina.

Składnica została więc uratowana i akowcy ruszyli w drogę powrotną do Ryk.

„Między stacją kolejową a miastem Ryki — zapisała uczestnicząca w tej wyprawie sanitariusza «Iskierka» — natknęliśmy się na dziewięciu rannych żołnierzy radzieckich. Leżeli w trawie przy szosie, mieli *założone* prowizoryczne opatrunki, byli spragnieni, jęczeli z bólu, potrzebowali natychmiastowej pomocy chirurga. Pozostałam z rannymi, założyłam porządne opatrunki, podałam środki przeciwbólowe. Chłopcy sprowadzili dwie furmanki i powoli zawieźliśmy ich do szpitala w Rykach. Okazało się, że szpital jest pusty, nie było lekarzy ani pielęgniarek. Znowu zajęcie dla chłopców: najpierw odszukali siostrę operacyjną. Wspólnie zajęliśmy się przygotowaniem sali, narzędzi i rannych, którzy mieli pozakładane opaski uciskowe na przestrzelone kończyny. Wspaniały chirurg i wspaniały, dzielny człowiek dr Jan Jakubek pracował do rana”.

O zmierzchu „Orlik” poprowadził oddział z powrotem w rejon Osz-czywilka.

Doszło tam do paru spotkań z oficerami Armii Czerwonej, NKWD i wojska gen. Berlinga. Coraz mocniej i ostrzej naciskano „Orlika”, by wraz z oddziałem zgłosił się do I Armii WP. Odmawiał. Był przecież oficerem Armii Krajowej, która właśnie wtedy rozpoczęła bój o Warszawę, miał swych przełożonych, istniał legalny rząd RP, wiązała go przysięga. W kilka dni później, już na nowych kwaterach, w rejonie Zalesia, dotarł do niego rozkaz Komendy Okręgu, nakazujący rozwiązanie oddziału.

Broń i sprzęt ukryto, ludzie otrzymali po 500 złotych, bezterminowe urlopy, polecenie informowania dowódców o miejscach swego pobytu oraz utrzymywania kontaktów między sobą, po czym rozeszli się.

— Na taką Polskę, o jaką walczyliśmy i o jakiej marzyliśmy — powiedział wtedy „Orlik” do „Lisa” —jeszcze długo trzeba będzie czekać.

Na krótko przed rozwiązaniem oddziału „Lis” został wezwany do „Orlika”, który rozkazał mu dotrzeć do „Zagona” bądź jego ludzi i wyjaśnić, jaka jest rzeczywista sytuacja OP II i co zamierza robić jego dowódca. O „Zagonie” wiadano tylko tyle, że podobno jego oddział został rozbrojony, a on sam przebywa w rejonie Puław.

Poszli we trzech: „Lis”, „Krakus”, „Zawiślanin” (Jan Żyłka). Dobrze umundurowani, z pistoletami maszynowymi, z bronią krótką, biało-

87

czerwone opaski na rękawach. „Zagona” nie zdążyli odszukać, ale *znaleźli* kilku jego partyzantów, którzy powiedzieli im to, czego mieli się dowiedzieć. W Bałtowie, gdzie stał sztab I Armii WP, zajmującej wówczas pozycje nad Wisłą, między Puławami a Dęblinem zatrzymali ich żandarmi. Nie zachowywali się wobec partyzantów wrogo. Zwłaszcza, iż mieszkańcy Bałtowa serdecznie witali się z „Zawiślaninem”, który pochodził z tych stron, co uwiarygodniło oświadczenie „Lisa”, że nie są ani szpiegami, ani dywersantami, lecz żołnierzami AK. Niemniej zaprowadzono ich do sztabu. Tam, według relacji „Lisa”, doszło do rozmowy z dowódcą I AWP gen. Zygmunt Berlingiem, który dowiedziawszy się, że przybyli „prawdziwi”, jak mu powiedziano, partyzanci, kazał ich do siebie przyprowadzić. Zameldowali się generałowi regulaminowo, Berling uważnie im się przyjrzał, a oględziny te musiały wypaść pozytywnie, bo uśmiechnął się życzliwie i odesłał żandarmów.

„Rozmawiał z nami długo — zapisał «Lis». — Wypytywał o oddział, o okres okupacji, o nasze stosunki z ludnością cywilną. Pytał o liczebność oddziału i o to dokąd idziemy. Nie na wszystkie pytania odpowiadaliśmy, o «Zagonie» też nikt z nas nie wspomniał. Powiedział, że powinniśmy wraz z całym oddziałem wstąpić do wojska, a gdy usłyszał, że skończyłem szkołę podoficerską, obiecał, że natychmiast dostanę stopień sierżanta. «My, wojsko polskie — powiedział — moglibyśmy iść dalej, ale musieliśmy się zatrzymać, żeby oczyścić teren z takich jak wy. Przychodźcie do wojska, długo się nie utrzymacie. Zwłaszcza, gdy nadejdzie zima». Odpowiedzieliśmy, że musimy wrócić do dowódcy, złożyć mu meldunek, a on niech decyduje. Potakująco skinął głową. Nie miał zamiaru nas zatrzymywać, dodał tylko, że w nocy w strefie przyfrontowej, w której jesteśmy, możemy mieć kłopoty, radzi więc, byśmy do rana zostali w sztabie”

Tak też uczynili. Noc upłynęła na rozmowach z oficerami Berlinga, które w miarę opróżniania butelek z samogonem i menażek z jadłem stawały się coraz bardziej bezpośrednie i szczere. Rankiem dwaj oficerowie doprowadzili ich do szosy Lublin-Warszawa, zatrzymali tam kolumnę sowieckich samochodów i wsiedli wraz z nimi do jednego z nich. Razem dojechali do Ryk, gdzie się rozstali. Przy pożegnaniu po raz kolejny powtórzyli to, co mówił Berling: przychodźcie do wojska, bo długo się nie utrzymacie.

„Orlik” nie komentował tych rad. Wysłuchał z uwagą relacji o rozmowie z Berlingiem i wiadomości o oddziale „Zagona”, który został rozwiązany o parę dni

wcześniej niż OP I. Poprzedziły to kilkudniowe

88

pertraktacje, rozpoczęte zaraz po zakończeniu bitwy o Końskowolę. Przybył tam wtedy sowiecki generał, który w rozmowie z „Przepiórką” i „Zagonem” zapowiedział, że wkrótce partyzanci przemienia się w żołnierzy. Z uznaniem mówił o walce, jaką stoczyli. Na jego polecenie ludzie „Za-gona” odprowadzili jeńców do punktu zbornego. Mieli tych jeńców wielu, prócz 40 z Końskowoli jeszcze ostlegionistów z lotniska w Gołębiu, którzy już po rozpoczęciu „Burzy” zameldowali się w oddziale. Teraz z przerażeniem myśleli o swym losie. Bolszewików bali się panicznie. Na prośbę tych z lotniska „Zagon” zaczął tłumaczyć generałowi, że uciekli oni od Niemców i chcieli z nimi walczyć, ale generał przerwał mu z irytacją, określając swych rodaków kilkoma bardzo dosadnymi słowami. Oficerowie z punktu zbornego nie kryli zdziwienia, gdy zobaczyli prowadzoną przez partyzantów jeniecką kolumnę. Pytali akowców po co przyprowadzili tę „swołocz” zamiast wszystkich od razu powiesić. Jeszcze tego samego dnia pognali ostlegionistów pod las i tam zastrzelili.

Oddział „Zagona” wrócił z Końskowoli do Młynek, a nazajutrz odszedł jeszcze bardziej na północ, do Borysowa koło Zyrzyna. Tam dołączyły samodzielnie dotychczas operujące patrole. Rozpoczęły się rozmowy z oficerami NKWD i armii Berlinga, którym towarzyszyli czło-nowie PPR i AL. Dowódcy jeszcze łudzili się, że po przebrojeniu i prze-mundurowaniu oddziału i podporządkowaniu go 1 Armii WP dane im będzie poprowadzić go jako zwartą jednostkę (2 kompanię I batalionu 15 pp „Wilków” AK) do dalszej walki z Niemcami. Nadzieję tę umocniła zgoda oficerów radzieckich na wyprawę do Puław, gdzie w magazynach „Społem” istniała jeszcze, o dziwo, składnica AK. „Maks” wziął z Borysowa podwozy, w Puławach załadował na nie cukier, stos granatowego drelichowego umundurowania, amunicję, inny sprzęt, był świadkiem, jak załoga składnicy z kwitkiem odprawiła domagających się cukru czerwonoarmistów, którzy odeszli bez sprzeciwu, co bardzo go podniosło na duchu i choć w drodze powrotnej konwój ostrzelały niemieckie samoloty, szczęśliwie doprowadził go do Borysowa.

Atmosfera gęstniała jednak z każdym dniem. Gdy do miejsca zakwaterowania oddziału dotarło kilku rozbitków z 27 Wołyńskiej Dywizji AK, przynosząc wiadomość o jej rozbrojeniu, gdy „Przepiórka” pojął, że i im nie uda się tego uniknąć, rozkazał ukryć najlepszą część uzbrojenia i sprzętu. W końcu ustalono, że OP II złoży broń 30 lipca, a jego żołnierze zostaną wcieleni do wojska. Ale nastąpiło to o -dzień wcześniej. Do Borysowa przybył oddział żołnierzy 1 Armii WP, któremu towarzyszyła grupa funkcjonariuszy NKWD. Przejęto od partyzan-

89

tów broń, jaką mieli przy sobie, „Przepiórkę” i „Zagona” wywieziono na jakieś „rozmowy”. W tym czasie partyzanci, także i dzięki temu, że żołnierze 1 AWP uznali, iż nie muszą być tak czujni jak czerwonoarmi-ści, zaczęli się rozchodzić. Gdy dowódcy pod jakimś pretekstem zdołali uwolnić się od swych „rozmówców” i

powrócili do Borysowa, rozpuścili pozostałych. Pozornie zgodne to było z zawartym porozumieniem, które przewidywało, że przed wcieleniem do wojska partyzanci wykorzystają należne im urlopy. „Przepiórka” i „Zagon” także opuścili Borysów jako wolni ludzie. Niedługo jednak cieszyli się tą wolnością.

Ppor. „Turnus” rozwiązał swój oddział wcześniej, bo już 26 lipca. Nastąpiło to w rejonie, w którym OP III działał w czasie „Burzy”, we wsi Skowieszyn koło Kazimierza. Broń ukryto.

Najdłużej, bo do 5 sierpnia, przetrwał oddział „Argila”. Jego rozformowanie nastąpiło na terenie Podobwodu „C”, we wsi Kraczewice koło Poniatowej, dokąd OP IV przybył po walkach pod Opolem Lubelskim. Uzbrojenie i wyposażenie, zgodnie z rozkazem Komendy Okręgu, zostało ukryte.

Tak skończył się sen żołnierzy zgrupowania OP 15 pp AK o tym, że walczyć będą do końca wojny i zanoszą ją na terytorium Niemiec. W odróżnieniu od większości innych oddziałów partyzanckich *znalezli* się jednak w sytuacji o tyle lepszej, że nie wywieziono ich do sowieckich łagrów, nie wcielono wbrew ich woli do wojska i zachowali swą broń, której tylko małą część oddali ludzie „Zagona”.

Również w pierwszych dniach sierpnia rozwiązany został oddział por. „Małego”, od lipca 1944 r. podporządkowany zgrupowaniu OP 15 pp. Nastąpiło to w kilka dni po opanowaniu przez oddział Urzędowa.

Nie dane było powojować żołnierzom placówek z północnych rejonów podobwodu „A”, którzy stawili się na koncentrację w lasach koło Nowodworu, gdzie miano odtwarzać I batalion 15 pp AK. Kompanie i plutony szły tam forsownymi marszami, a za nimi ciągnęła młodzież, dla której zabrakło broni. Łącznie w koncentracji wzięło udział około czterystu uzbrojonych ludzi. 29 lipca, po przeglądzie przybyłych oddziałów dokonany przez komendanta podobwodu kpt. Piotra Ignacaka, w trakcie polowej mszy św. odprawianej przez kapelana 15 pp AK ks. „Ordon”, zjawili się w miejscu koncentracji oficerowie Berlinga. Zażądali złożenia broni. Propozycję oficerów AK, by z ich żołnierzy utworzyć jednostkę podporządkowaną wprawdzie dowództwu I AWP, ale nadal pozostającą pod zwierzchnictwem Wodza Naczelnego i rządu RP, kategorycznie odrzucili. Kpt. „Sawa”, do którego nieustannie napływały

90

wiadomości o rozbrajaniu AK, nie wydał rozkazu złożenia broni, lecz natychmiast rozwiązał koncentrację, polecając poszczególnym oddziałom powrót w ich rejony. Tak też się stało. Po powrocie zostały rozformowane.

Epilog „Burzy” w Inspektoracie Puławy nie różnił się więc od jej finału na innych ogarniętych nią obszarach.

17 lipca 1944 rozpoczęła się droga krzyżowa partyzantów AK z brygad wileńskich i batalionów nowogródzkich, uczestniczących w bitwie o Wilno („Operacja Ostra Brama”). W dniu tym podstępnie aresztowano gen. „Wilka” wraz z jego sztabem oraz uwięziono — wezwanych rzekomo na odprawę — większość dowódców liniowych. Oddziały AK usiłowały schronić się w Puszczy Rudnickiej, którą zablokowały przeważające siły sowieckie. W rezultacie nielicznych akowców

wcielono do wojska, wielu wywieziono w głąb ZSRR, niektórzy rozeszli się do domów, część — z różnymi wynikami — próbowała przedrzeć się przez linię frontu i dotrzeć do centralnej Polski, pozostali z bronią w ręku zaszyli się w ostępach Puszczy Grodzieńskiej, stawiając tam opór idącym w ślad za nimi formacjom NKWD.

We Lwowie i na terenie obszaru lwowskiego wydarzenia nie miały tak -dramatycznego przebiegu, ale i tam większość oddziałów AK rozbrojono, a oficerów — na czele z komendantem obszaru, gen. Władysławem Filipkowskim („Janka”) i członkami jego sztabu wywieziono do łagrów. Część oddziałów uniknęła rozbrojenia, przeszła przez San i znalazła się w Podokręgu Rzeszów, gdzie utworzyła Zgrupowanie Oddziałów Leśnych Obszaru Lwowskiego „Warta”, liczące ok. 1500 ludzi w czterech batalionach.

Stosunek Armii Czerwonej do AK nic się nie zmienił po przejściu przez nią Bugu. Gdy trwały walki z Niemcami, korzystała ona chętnie z pomocy i współdziałania oddziałów AK, po zakończeniu walk natychmiast przystępowała do rozbrajania i internowania jej żołnierzy.

25 lipca zakończyła swój długi i chlubny szlak bojowy największa polska jednostka partyzancka, 27 Wołyńska Dywizja AK. Jego ostatni rozdział zapisała w czasie „Burzy”, zajmując Firlej, Kock i Lubartów. To właśnie w Lubartowie, który opanowała po ciężkim boju, doszło do spotkania jej dowództwa z oficerami AL na czele z płk. Grzegorzem Korczyńskim (Stefanem Kilianowiczem). Podobnie jak gdzie indziej (także i w Rykach) zachowywali się oni agresywnie. Ich postawa wobec AK była o wiele bardziej wroga niż postawa oficerów radzieckich. Korczyński, wkrótce jeden z naczelnych oprawców UB, a w grudniu 1970 r. sprawca

91

krwawej masakry w Trójmieście, oświadczył, że tylko on jest tu prawowitym gospodarzem, występującym „w imieniu narodu polskiego” i rozkazał dowódcy 27 DP płk. Janowi Kotowiczowi („Twardy”) natychmiastowe opuszczenie przez jego oddziały Lubartowa. Pułkownik odparł, że uczyni to wtedy, gdy sam uzna to za stosowne.

Dalsze rozmowy z dowództwem 27 DP prowadzili oficerowie sowieccy. Wyrażali zdziwienie, że Polacy zamiast wspólnie bić Niemca, kłócą się ze sobą i do końca utrzymywali płk. „Twardego” w przekonaniu, że dywizja nie zostanie rozwiązana, lecz otrzyma zadania operacyjne, które realizować będzie pod sowieckim dowództwem, zachowując swój autonomiczny charakter.

Skończyło to się w ten sposób, że 25 lipca płk. „Twardego”, później oficerów dywizji, a po nich całą dywizję ściągnięto do m. Skrobów pod Lubartowem, gdzie sowiecki generał miał dokonać jej przeglądu. Tam została rozbrojona. Jej dowódca, wiedząc, że Skrobów otaczają sowieckie jednostki pancerne, zaapelował do żołnierzy o to, by nie stawiali oporu. Broń składano późnym wieczorem, na oświetlonym dziedzińcu. Wielu żołnierzy płakało. Radiotelegrafista zdołał jeszcze, mimo sowieckiego nadzoru, nadać otwartym tekstem do Warszawy i Londynu krótką depezę: „Sowieci nas rozbrajają. 27 DP”.

Była już noc, gdy płk „Twardy” wyprowadził długą kolumnę swych pozbawionych broni żołnierzy na szosę, wiodącą do Lublina. Mieli stawić się na Majdanku, w bazie

uzupełnień I AWP. Po przejściu kilku kilometrów pułkownik *zarządzili* postój, odbył krótką odprawę z oficerami, po czym dał żołnierzom rozkaz rozejścia się, życząc im i sobie szybkiego spotkania w wolnej Warszawie.

W tym samym czasie, w ostatnich dniach lipca, została rozbrojona większość oddziałów partyzanckich, wchodzących w skład dwóch innych zgrupowań dywizyjnych AK, operujących na Lubelszczyźnie, to *znaczy* 3 Zamojskiej i 9 Podlaskiej DP. Dzięki opanowaniu dowódców i zdyscyplinowaniu ich podkomendnych nigdzie nie doszło do użycia broni. Było natomiast wiele dramatycznych momentów. Jeden z najslawniejszych partyzantów Zamojszczyzny por. Tadeusz Kuncewicz („Podkowa”) w czasie rozbrajania jego kompanii w Szczebrzeszynie demonstracyjnie rozstrzaskał pepeszę z pamiątkową plaketką, ofiarowaną mu przez dowództwo I Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej, której wiele dopomógł, gdy znalazła się na Lubelszczyźnie.

Rozprawa z oddziałami AK trwała i po wybuchu Powstania Warszawskiego. 7 sierpnia w rejonie Mińska Mazowieckiego rozbrojono ok.

92

750 żołnierzy Grupy Operacyjnej „Wschód”, sformowanej przez Pod-okręg Warszawa-Wschód. W dniach „Burzy” opanowali oni szereg miejscowości, wśród nich Siedlce, Wołomin, Mińsk Mazowiecki i Tłuszcz, wspólnie z radzieckimi czołgistami uczestniczyli w wielkiej bitwie pancernej pod Wołominem i Radzyminem. Oficerów, z dowódcą GO, komendantem podokręgu ppłk Hieronimem Suszczyńskim („Szeli-gą”) wywieziono do Rosji.

19 sierpnia w m. Siwianka koło Otwocka, a więc już na przedpolach Warszawy, zakończyło swą daleką drogę, wiodącą z Polesia zgrupowanie 30 Poleskiej DP AK. Podzielone na kilka idących różnymi trasami grup zdołało dotrzeć aż tu, by — po ponownej koncentracji — paść ofiarą sowieckiego podstępu. Oficerowie Armii Czerwonej poinformowali bowiem dowództwo zgrupowania, że otrzymali od swych przełożonych zgodę na przerwienie przez Wisłę do objętej powstaniem Warszawy oddziału szturmowego, złożonego z 200 najbardziej doświadczonych i najlepiej uzbrojonych żołnierzy 30 DP. Oddział szybko sformowano i załadowano na sześć samochodów ciężarowych. Zamiast do przeprawy, partyzantów zawieziono do Dębów Wielkich, gdzie stacjonował sztab I AWP. Tam oficerowie sowieccy zorganizowali wiec. Padło pytanie:

— Za jakim wy, towarzysze, jesteście rządem, tym demokratycznym Wandy Wasilewskiej, Bieruta czy tym reakcyjnym Sosnkowskiego, Mikołajczyka i innych?

— Za londyńskim! — chórem odkrzyknął „oddział szturmowy”*.

Wiec zakończył się rozbrojeniem oddziału, którego los podzieliło całe zgrupowanie. Szeregowych i podoficerów zawieziono samochodami na Majdanek. Po drodze wielu uciekło. Większość oficerów pojechała do Rosji. Niektórzy wrócili szybko, bo po upływie zaledwie dwóch lat. Inni znacznie później. Cichociemny mjr Stanisław Trondowski („Grzmot”) dowódca OP/82 pp AK dopiero w 1956 r. Kilku zostało tam na zawsze.

Stosunkowo obronną ręką wyszedł z tych opresji Okręg Białostocki, który w czasie „Burzy” ujawnił przed jednostkami Armii Czerwonej tylko część swych sił. Niemal wszystkich ujawnionych oficerów, z wyjątkiem tych, którzy w porę zdążyli się ulotnić, wywieziono do łagrów. Trafili tam również Delegat Rządu RP na województwo białostockie Józef Przybyszewski („Grzymała”) i komendant Inspektoratu Rejonowego

„Białystok” mjr Władysław Kaufman („Bogusław”), którzy jako pierwsi zgłosili się na rozmowy do sowieckiego dowództwa.

Dziś można krytycznie oceniać decyzję KG AK o kontynuowaniu — mimo tak złych doświadczeń Wilna i Lwowa — akcji „Burza” na Lubelszczyźnie w nie zmienionym schemacie, a więc łącznie z ujawnianiem sił AK przed Armią Czerwoną. Ale wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze tyle, ile wiemy obecnie, nie oceniamy zatem KG zbyt surowo. Wychodząc z założenia, iż powodem tego, że na Wileńszczyźnie i w Obszarze Lwowskim „Burza” zakończyła się tak fatalnie, było to, że ZSRR uważał te ziemie za część swego terytorium państwowego, KG sądziła, iż za Bugiem, na ziemiach etnicznie polskich, o których włączeniu do ZSRR nie było mowy, stosunek Armii Czerwonej do AK będzie inny. „Burza” na Lubelszczyźnie miała więc być sprawdzianem prawdziwych intencji ZSRR. I takim sprawdzianem rzeczywiście się stała. Po jej zakończeniu sytuacja wyjaśniła się całkowicie, nie pozostał nawet cień wątpliwości.

Wkrótce żołnierze 15 pp AK poderwali się raz jeszcze.

Nastąpiło to, gdy do Obwodu dotarł rozkaz gen. „Bora” z 14 sierpnia 1944, w którym dowódca AK nakazywał „skierować natychmiast najbardziej pospiesznymi marszami wszystkie rozporządzalne, dobrze uzbrojone jednostki z zadaniem bicia sił nieprzyjaciela znajdujących się na peryferiach i przedmieściach Warszawy i wkroczenie do walki wewnątrz miasta”.

W teren ruszyli gońcy, odszukując przebywających na kwaterach partyzantów, z różnych skrytek zaczęto wydobywać skrzynie z bronią, amunicją, materiałami saperskimi. Ładowano to na wzmocnione wozy, zaprzężone w silne konie, starannie je maskując sianem i słomą, obwiązując plandekami. Szli na Warszawę różnymi trasami. Ciągnęli ze wszystkich rejonów, z wielu placówek. Ci od „Orlika” z okolic Zalesia, „Zagon” ze swoimi z Babie, partyzanci „Argila” aż spod Opola Lubelskiego. Nieco bliżej miały drużyny z rejonów Sobolew i Żelechów. Wozy, konwojowane przez partyzantów w cywilnych ubraniach, z bronią krótką, posuwające się bocznymi drogami, poprzedzali rowerzyści, też uzbrojeni w pistolety. Gdy na ich drodze pojawiali się milicjanci to albo udawali, że niczego nie widzą, albo po krótkiej perswazji, wzmocnionej widokiem tkwiącego za paskiem pistoletu, potulnie odsuwali się na bok.

A była to *znaczna*, siła. Jak obliczył znawca tematu dr Zbigniew Gnat-Wieteska, idące z odsieczą powstańczej Warszawie cztery oddziały partyzanckie zgrupowania 15 pp AK „wzmocnione oddziałami pogo-

towia bojowego, plutonami dywersyjno-sabotażowymi i bojowymi, liczyły łącznie ok. 5000 ludzi. Oddziały były dobrze wyposażone w sprzęt bojowy i broń, od karabinów po działka przeciwpancerne". Wprawdzie liczba ta wydaje się znacznie zawyżona, ale i tak skala mobilizacji 15 pp AK, przeprowadzonej w najbardziej niekorzystnych warunkach, musi zadziwiać i imponować.

Żołnierze OP I, prowadzeni przez „Szarego”, „Sępa” i „Spokojnego”, dotarli do Garwolina, a ich ubezpieczenie przednie jeszcze dalej, do m. Łagodne. W Garwolinie dowiedzieli się, że kontynuowanie marszu jest niemożliwe, gdyż drogę blokują jednostki radzieckie. Patrol, który dzięki pomocy oficera I Armii WP zdołał do nich dotrzeć, powrócił z wiadomością, że nie przepuszczą one jakiegokolwiek oddziału partyzanckiego, a akowcy, pragnący walczyć z Niemcami, winni wstąpić do wojska gen. Berlinga. Ppor. „Sęp” zaproponował wtedy, by przeprowić się na lewy brzeg Wisły i maszerować do Warszawy przez teren będący jeszcze we władaniu Niemców. Uczestniczący w naradzie komendant Obwodu Garwolin mjr „Helena” wybił im to jednak — i słusznie — z głowy. Trzeba było wracać. „Spokojnego” aresztowali enkawudziści, ale szybko im uciekł.

„Zagonowi” poszło jeszcze gorzej. NKWD zabrało mu wozy z bronią ciężką, wrócił więc już spod Gończyc. Partyzanci „Argila” i improwizowanej kompanii dowodzonej przez komendanta Podobwodu „C” kpt. Agenora Walusińskiego („Kiel”), doszli dość daleko, bo do Troja-nowa, lecz tam zatrzymał ich mjr „Żeliwa” i kazał wracać. „Żeliwa” cofnął i pozostałe grupy.

Niepowodzeniem skończył się także marsz sił innych obwodów. Nie zdołało przejść silne zgrupowanie I pułku strzelców konnych AK z Garwolina. Rozlew krwi przyniosła próba marszu na Warszawę podjęta przez oddziały z bardzo odległego Obwodu Hrubieszów, którymi dowodził jego komendant, cichociemny kpt. Marian Gołębiowski („Irka”). Liczyły one ponad tysiąc ludzi, prowadziły tabory z bronią, amunicją i żywnością. Kpt. „Irka” uzgodnił z sowieckim komendantem miasta, że skoncentruje je w koszarach w Hrubieszowie, skąd wyruszą na Warszawę. Gdy jednak idąca w straży przedniej kompania por. Karola Bojarskiego („Wyga”) zbliżyła się do Hrubieszowa i jej dowódca wysłał do miasta patrol — okazało się, że Rosjanie zastawili pułapkę. Wszędzie

było pełno oddziałów sowieckich, w rejonie koszar czekały na partyzantów czołgi. Patrol usiłowano rozbroić. Kpt. „Irka” zarządził odwrót i ukrycie oddziałów w okolicznych lasach. W ślad za odchodzącymi akowcami ruszyły czołgi, które w okolicy Trzeszczan dopadły stanowiącą teraz ubezpieczenie tylne kompanię por. „Wygi” i ostrzelały ją gwałtownym ogniem swych dział i kaemów, zadając jej znaczne straty. Sowietnicy zagarnęli drużynę dziewcząt z WSK, które następnie wielokrotnie zgwałcono w koszarach w Hrubieszowie.

Wiadomości o blokadzie dróg do Warszawy sprawiły, że poniechały marszu oddziały z Zamojszczyzny, mimo iż były już do niego przygotowane.

Ruszyło natomiast liczące ok. 500 ludzi zgrupowanie „San”, złożone z oddziałów,

które przeszły z Obszaru Lwowskiego na tereny Podokręgu Rzeszów. Dotarły tylko w rejon Sarzyny i Rudnika i tam zostały rozbrojone. Jednej drużynie udało się dotrzeć do Kocka, drugiej — do Podobwodu „C”, pod Urzędów. Wszystkich rozbrojonych partyzantów wywieziono do ZSRR. Taki sam los spotkał próbujących przedostać się do Warszawy żołnierzy z oddziałów sformowanych w Inspektoracie Rzeszów.

Bariera, jaką na wschód od walczącej stolicy postawiła Armia Czerwona, była tak szczelna, że nawet jeden pluton nie zdołał jej przeniknąć. Próbujący to uczynić żołnierze AK przeżyli kolejny bolesny zawód: znając wrogi stosunek bolszewików do Powstania, pogodzili się już z myślą, że Armia Czerwona nie udzieli mu pomocy, ale wydawało im się, że przynajmniej nie będzie przeszkadzać tym, którzy z tą pomocą powstańcom pośpieszą.

Zapewne nie mieliby takich złudzeń, jeśliby wiedzieli, że w czasie, gdy los toczony przez AK bitwy o Warszawę nie był jeszcze do końca przesądzony, przywódcy PKWN gotowi byli — w razie ewentualnego zwycięstwa powstańców — rozprawić się z nimi siłą. M.in. świadczy o tym protokół z posiedzenia PKWN, które odbyło się w Lublinie 15 września 1944 r. Szef resortu bezpieczeństwa Stanisław Radkiewicz powiedział wtedy:

„Nie do pomyślenia jest, żebyśmy pozwolili na wzięcie władzy komuś, mając cztery dywizje do dyspozycji. Wojsko porwie za sobą wszystko i wszelką próbę nieprawnego zagarnięcia władzy trzeba ukrócić z pomocą gen. Kieniewicza i całej naszej I armii”*.

Identyczne stanowisko zajmowali Bierut, Rola-Żymierski, Berman, Minc i inni. Decyzja o utworzeniu korpusu, który miałby spacyfikować zwycięską Armię Krajową była już podjęta. Na dowódcę tej wielkiej jednostki wyznaczono wspomnianego gen. Bolesława Kieniewicza, oficera Armii Czerwonej, w tym czasie dowodzącego 4 DP im. Jana Kilińskiego, która niemal bezpośrednio po zakończeniu wojny stała się podstawą formowanego wtedy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To, że do takiej zbrodni nie doszło, nie jest zasługą przywódców PKWN. Naiwną jednak była nadzieja, że zarówno oni, jak i ich mocodawcy wyrażą zgodę na wzmocnienie sił AK w Warszawie o oddziały, znajdujące się na obszarach, na których, osłaniani przez Armię Czerwoną, sprawowali władzę.

Ale partyzanci, przedzierający się ku płonącej stolicy, nie mieli o tym pojęcia.

Nie wszyscy powrócili z owego marszu. Wielu wywieziono do łagrów. Wśród nich co najmniej około 70 ze zgrupowania OP 15 pp AK.

Kpr. podch. Kazimierz Żochowski („Grab”) z oddziału „Orlika” został aresztowany już na początku drogi, w Dąbi Nowej koło Ryk. Wraz z Waldemarem Burdzanowskim („Szczipak”) i Zygmuntem Kulikiem („Zemsta”) kwaterowali w gospodarstwie Jana Głodka. Konwojowany przez nich wóz z bronią i amunicją stał w stodole. Ktoś zadenuncjował. Przewieziono ich do wsi Bazanów Stary, gdzie na polu Czesława Rybaka, ogrodzonym drutem kolczastym, NKWD urządziło jeden z tych prowizorycznych obozów, o których historycy do dziś nic nie wiedzą, a których były

wtedy setki: kilkanaście prymitywnych, pilnie strzeżonych ziemianek. Akowców rozdzielono, „Grab” dzielił ziemiankę z trzema oficerami Armii Czerwonej: jeden z nich sam się postrzelił, pragnąc uniknąć frontu, drugi, intendent pułku, sprzedał na lewo 200 litrów wódki, trzeci po pijanemu wjechał ciężarówką do rowu, w wyniku czego poniósł śmierć stojący na stopniach wozu żołnierz, też zresztą pijany. Gwoli prawdy trzeba dodać, że nie traktowano ich lepiej, niż „Graba”, a wyroki dostali większe.

Parodia sądu odbyła się w wiejskiej chacie. „Grab” stał przed stołem, za którym siedziało trzech enkawudzistów. Jeden z nich odczytał mu po rosyjsku wyrok. Zrozumiał tylko tyle, że dopuścił się „wielce hańbiącego czynu” i że „udowodniono mu terroryzm i zdradę ojczyzny”, za co został skazany na 10 lat poprawczego obozu pracy w ZSRR. Gdy na pytanie o to, czy ma coś do powiedzenia, odpowiedział, że chciałby wstąpić do wojska, usłyszał: „W armju? Nie Izja!” i było po „rozprawie”, trwającej może dwie, może trzy minuty.

97

„Grab” przez ponad cztery lata rąbał tajgę w Kraju Krasnojarskim. Wrócił do Polski w listopadzie 1948. Razem ze „Szczupakiem” i „Zemstą”. Pochodził z Dębłina, był synem zawodowego podoficera 15 pp „Wilków”, zapalonym szybownikiem, tuż przed wybuchem wojny ukończył kurs szybowcowy w Ustianowej, chciał służyć w lotnictwie, lecz wojna pokrzyżowała te plany. Jako szesnastolatek ochotniczo uczestniczył w kampanii wrześniowej, dostał się do niemieckiej niewoli, uciekł, wrócił do Dębłina, pracował tam na lotnisku i w parowozowni, gdzie zdobywał wiele wiadomości cennych dla konspiracji, w której działał niemal od jej zarania. Od lutego 1944 w oddziale „Orlika”. Dobrze mówił po niemiecku, więc w różnych akcjach przebrany w odpowiedni mundur udawał Niemca. Cieszył się w oddziale dużą popularnością, bo komponował melodie i pisał teksty piosenek śpiewanych przez partyzantów. Zmarł w Warszawie w 1994 r. Został po nim maszynopis jego wspomnień z zesłania, którym dał trafny tytuł, zaczerpnięty ze znanej sowieckiej pieśni: *Ja drugoj takoj strany nie znaju...*

Do ZSRR wywożono nie tylko tych, którzy szli z odsieczą Warszawie. Pojechał tam również, uwięziony jeszcze przed rozpoczęciem marszu, komendant Podobwodu „B” kpt. Stanisław Węglowski („Le-chit”). Powrócił w listopadzie 1947. W r. 1952 został aresztowany i skazany na długoletnie więzienie.

Do obozu w Diagilewie k. Riazania trafił oficer wywiadu Inspektoratu Puławy kpt. Jan Mickunas („Sterling”), znany przed wojną jeździec, olimpijczyk. Zabrano go ze stacjonującego na Majdanku 3 zapasowego pp. Kpt. Mickunas, żołnierz Września, jeńiec Woldenbergu, wsławił się ucieczką z tego oflagu 28 marca 1940 r., przedsięwziętą wraz z ppor. Jerzym Fularskim. Była to pierwsza udana ucieczka z oflagu. Niemal dokładnie w sześć lat później, bo na początku marca 1946 r., powtórzył ten wyczyn w znacznie trudniejszych warunkach: podczas ciężkiej rosyjskiej zimy uciekł z Diagilewa.

Z obozu tego uciekł latem 1945 r. również kpt. Paweł Łaskiewicz („Zbigniew”), kadet z Chełmna, w latach okupacji komendant bazy lotniczej AK Dęblin. Była to jego

trzecia, wreszcie udana, próba odzyskania wolności. Po powrocie do kraju kpt. Łaskiewicz, awansowany do stopnia majora był — pod pseudonimem „Rawicz” — aż do ujawnienia się wiosną 1947, inspektorem należącego do Okręgu Lubelskiego WiN Inspektoratu „Północ”, obejmującego obwody: Biała Podlaska, Radzyń, Łuków i Siedlce.

98

Na 10 lat łagrów skazany został ppor. Edward Szanc („As”) z oddziału „Hektora”, jeden z tych, którzy ocalili w Owczarni. Aresztowany przez UB, wydany NKWD, w ZSRR przebywał pod nazwiskiem „Leżnicki”.

Długo można by ciągnąć tę listę. Otwiera ją, w przypadku Okręgu Lubelskiego, jego komendant, płk (gen.) Kazimierz Tumidajski („Marcin”), oficer zawodowy, uczestnik wojny 1920 r. i kampanii wrześniowej, w której w stopniu majora dowodził batalionem 2 pułku strzelców podhalańskich.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Lublina, w toku rozmów z jej wyższymi oficerami, postawiono mu ultimatum: albo wyda rozkaz wcielający podległe mu siły do wojsk Berlinga, albo zostaną one rozbrojone.

Gen. „Marcin” wybrał ten drugi wariant.

Został wywieziony do ZSRR. Więziono go w Moskwie, Charkowie i Diagilewie. Zakończył życie 4 lipca 1947 r. Nastąpiło to w obozowym szpitalu w m. Skopino, gdzie gen. „Marcina” przewieziono wraz z innymi osadzonymi tam generałami AK, uczestniczącymi, jak i on, w trwającym w obozie strajku głodowym. Zadużony został w trakcie zabiegu przymusowego karmienia. Żona i córka przez kilkadziesiąt powojennych lat daremnie poszukiwały jego grobu. Dopiero w 1991 r. zlokalizowali go działacze riasańskiego „Memoriału”. W tym samym roku, we wrześniu, szczątki generała zostały ekshumowane i pochowane na cmentarzu w Lublinie. 24 września 1944 r. Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski nadał „Marcinowi”, przebywającemu już wówczas za drutami, Order Virtuti Militari IV kl. „za całokształt pięcioletniej pracy konspiracyjnej, doskonałe przygotowanie do walki i dowodzenie oddziałami okręgu”. „Marcin” nigdy się o tym nie dowiedział.

Kolejne pozycje na owej liście zajmują dowódca 3 DP AK gen. Adam Świtalski („Dąbrowa”), dowódca 9 DP AK gen. Ludwik Bittner („Halka”), delegat Rządu RP na województwo lubelskie, ludowiec Władysław Cholewa („Paśnik”), jego zastępca Ottmar Poźniak („Tyr”) ze Stronnictwa Narodowego. Po nich następują setki i tysiące nazwisk pracowników Delegatury i jej agend, dowódców i żołnierzy AK, działacze stronnictw politycznych, nauczycieli, ziemian, rolników.

Nowa władza szybko, zdecydowanie i skutecznie czyściła obszar, na jakim się instalowała, nie tylko z ludzi, którzy mogliby czynnie przeciw niej wystąpić, ale ze wszystkich, którzy wątpili w jej legalność i inaczej niż ona widzieli kształt powojennej Polski. W większości przypadków posługiwała się jednak obcymi rękami, gdyż nigdy nie przestała

99

być — jak mówiono wówczas — „władzą przywiezioną w sowieckich taborach”.

Jej dysponentem i absolutnym władcą ziem polskich, wolnych od Niemców był Wódz Naczelny Wojsk Radzieckich, czyli generalissimus Stalin. Gwarantowało mu to pierwsze porozumienie, jakie PKWN 26 lipca 1944 r., a więc wkrótce po swym powstaniu, zawarł z rządem ZSRR. Jurysdykcji sądów Armii Czerwonej poddawało ono całą polską ludność cywilną. Zastrzeżenie, iż dotyczy to „przestępstw popełnionych w strefie operacji wojennych”, było jedynie retorycznym ozdobnikiem, gdyż głębokości owej strefy nigdy nie określono, co w praktyce oznaczało, że wszyscy Polacy na obszarach zajętych przez Armię Czerwoną podlegają jej sądownictwu.

Namiestnikiem Stalina na obszar „Polski Lubelskiej” był marszałek Nikołaj Bułganin, od początku sierpnia 1944 jego przedstawiciel przy PKWN (w latach 1955-1958 premier ZSRR), a głównym szefem sowieckich siepaczy zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych, czyli Berii, gen. Iwan Sierow, pełnomocnik NKWD przy I Froncie Białoruskim, którym dowodził wtedy marszałek Konstanty Rokossowski. Później Sierow został „doradcą” Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Rządzili przy pomocy posłusznych im działaczy KRN, PKWN i PPR, ekspozytur NKWD i UB oraz radzieckich komendantów wojskowych, których marszałek Rokossowski instrukcją z 23 sierpnia 1944 r. wyposażył w uprawnienia dające im dyktatorską władzę.

Jeden za drugim zaczęły rodzić się dekryty i zarządzenia, wydawane prawem kaduka. Już 15 sierpnia PKWN zarządził mobilizację do armii Berlinga, którą gen. „Bór” rozkazem wydanym w objętej powstaniem stolicy określił jako „bezprawie”, stwierdzając, że „jedyną władzą uprawnioną do *zarządzenia* mobilizacji jest polski rząd w Londynie oraz jego przedstawiciele w kraju”. Ponowną mobilizację PKWN ogłosił 30 października.

Równie nielegalny w świetle prawa międzynarodowego był dekret PKWN z 24 sierpnia o rozwiązaniu tajnych organizacji wojskowych. Istniał przecież rząd RP, uznawany przez wszystkie — z wyjątkiem ZSRR — państwa koalicji antyhitlerowskiej i tylko on, poprzez Naczelnego Wodza, mógł decydować o losie sił zbrojnych w kraju, toczących właśnie wtedy swą największą bitwę.

Podobny charakter miał dekret PKWN z 31 sierpnia o wymiarze kary „dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy” oraz „dla zdrajców narodu polskiego”, który rychło stał się instrumentem walki z ludźmi z AK, kłamliwie oskarżanymi o współpracę z Niemcami. To właśnie na

mocy tego dekretu w 1952 r. skazano na śmierć i zamordowano gen. Emila Fieldorfa.

Kolejnym dekretem PKWN z 23 września rozciągnięto na ludność cywilną drakońskie przepisy obowiązującego już w armii wojskowego kodeksu karnego, grożące najwyższym wymiarem kary nie tylko za zbrojne występowanie przeciw państwu, ale także za „wyszydzanie” ustroju państwowego, a nawet za czyny skierowane „przeciw jedności sojuszniczej Państwa Polskiego z państwem z nim sprzymierzonym”, co w praktyce miało uniemożliwić jakąkolwiek krytykę ZSRR,

NKWD, czy Armii Radzieckiej.

Haniebnym zwieńczeniem owej twórczości legislacyjnej był dekret PKWN z 30 października 1944 r. o ochronie państwa, który kompetencji sądów wojskowych poddawał osoby cywilne, oskarżone o popełnienie przestępstw „o charakterze politycznym”. Za takie zaś uznawał m.in. utrudnianie reformy rolnej, pomoc udzieloną członkowi nielegalnego związku czy nawet posiadanie bez zezwolenia radia. Zbrodnie te zagrożone były wysokimi karami, łącznie z karą śmierci. W praktyce na podstawie przepisów tego dekretu, które sądy mogły bardzo dowolnie interpretować, każdego niemal obywatela można było ukarać więzieniem lub śmiercią. Na dodatek te kuriozalne przepisy obowiązywały z mocą wsteczną, bo od 15 sierpnia 1944 r. Dekret, stanowiący obrazę prawa i praworządności, podpisany został, co warto przypomnieć, przez przewodniczącego KRN Bolesława Bieruta, przewodniczącego PKWN Edwarda Osóbkę-Morawskiego, szefa resortu obrony narodowej gen. Michała Rolę-Żymierskiego i szefa resortu bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza.

Całe to ustawodawstwo swym ostrzem wymierzone było przede wszystkim w Armię Krajową, uważaną przez rodzimych komunistów za ich śmiertelnego wroga. W tym punkcie komuniści, którzy okupację spędzili w ZSRR, niczym nie różnili się od swych towarzyszy pozostałych w kraju. Pokaz tej jednomyślności dali już na początku sierpnia 1944 r. w Moskwie w trakcie rozmów ze Stanisławem Mikołajczykiem, kiedy to Wanda Wasilewska, wbrew oczywistym faktom, twierdziła, że w Warszawie „od czterech miesięcy panuje spokój”, we Lwowie „Polacy nie zamienili z Niemcami ani jednego wystrzału przed oswobodzeniem miasta przez Armię Czerwoną”, a na Wileńszczyźnie „oddziały AK są w porozumieniu z Niemcami, mają z nimi kontakt radiowy” i wołała: „mamy niezbite dowody o współpracy AK z gestapo”, a gen. Rola-Żymierski jej wtórował, tłumacząc, iż „AK nie może być dopusz-

101

czona do mobilizacji, ponieważ nie walczyła z Niemcami. Z Niemcami walczyła tylko Armia Ludowa”.

Ta godząca w dobre imię AK kampania szytych grubymi nićmi kłamstw, insynuacji i zwyczajnych bzdur nasilała się przez cały czas istnienia „Polski Lubelskiej”. Jej naczelnym architektem był Władysław Gomułka, o którego artykułach i referatach z tego okresu, dotyczących tej problematyki, historyk dr Edmund Dmitrów tak napisze po latach:

„Zdaniem Gomułki AK «została spłodzona przez klan sanacyjny dla hańbienia imienia Polaka», dla obrony interesów obszarników i bankierów. Walka z Niemcami była pozorowana, w istocie AK zmobilizowała się dopiero po to, aby wystąpić przeciwko PPR, popełniając przy tym «ogrom zbrodni» na walczącym narodzie polskim, jeńcach radzieckich i Żydach. Elementem gry pozorów było kilka «dostyć ładnych akcji zbrojnych», wykonanych przez ZWZ. Walkę z hitlerowskim okupantem rozwinęła w miastach i na wsi PPR. (...). Silnie akcentowana jest teza, że pod koniec wojny reakcja polska jawnie sprzymierzyła się z okupantem.

Otrzymujemy depeze ze wszystkich stron, że AK i NSZ, w mundurach dostarczonych przez Niemców, idą do walki na wszystkich frontach z partiami walczącymi o oswobodzenie Polski. Kapitulację powstańców warszawskich określa Gomułka jako «przejście na stronę niemiecką», zaś dowództwo powstania nazywa najczęściej zbrodniarzami, którzy celowo i świadomie wydali stolicę na zniszczenie"*.

Cytat jest przydługi, ale chyba należało go przytoczyć, bo wiernie oddaje treść i formę tych wypowiedzi, przez wiele powojennych lat kształtujących w Polsce wizerunek Armii Krajowej. A ponadto chroni autora przed zarzutem tendencyjnego interpretowania tego, co o AK mówił i pisał ówczesny sekretarz generalny KC PPR, który to zarzut wysunąć mogą dzisiejsi apologetci towarzysza „Wiesława”.

W tej pełnej nienawiści nagonce na AK niechlubny udział wzięło także ludowe Wojsko Polskie, a ściśle jego Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy, którego szefem był wtedy płk Wiktor Grosz, do niedawna oficer Armii Czerwonej. Podpisana przez niego tajna instrukcja, wydana po posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR, które odbyło się w październiku 1944 r. wytyczająca zasady nowej polityki PPR i PKWN w wojsku, stwierdzała m.in.:

„Mamy liczne dowody zbieżności haseł głoszonych przez AK i propagandę Goebbelsa, mamy liczne dowody współdziałania AK-NSZ z bandami bulbowskimi i gestapo, nie pora więc okazywać im «rozumienie», «szacunek» i tolerować «przywiązanie do przeszłości» (...). Każdy pracownik pol.-wych. musi pojąć, że dzisiaj nie ma miejsca na żadne kompromisy z AK w wojsku. Jeśli byli akowcy chcą pracować z nami, nie zawieramy z nimi żadnych układów o nieagresji w stosunku do ich dawnej ideologii. Oni muszą ze swoją przeszłością zerwać, potępić ją i odgrodzić się od niej, a wtedy będzie dla nich miejsce w Wojsku Polskim. To nie jest układ równych z równymi (...). Zwolenników «neutralnego» czy pojednawczego stosunku do AK traktować jak akowców, dopóki się nie wykażą w najbliższym czasie aktywną walką przeciw AK"*.

Nie tylko instruowano w tym duchu, mówiono i pisano. Wszystkie paragrafy urągających prawu dekretów były stosowane, wszystkie wytyczne wcielane w życie. Było to możliwe jedynie dzięki temu, że w drugiej połowie 1944 r. na obszarze „Polski Lubelskiej”, zajmującym około 78 tys. km², stacjonowało prawie dwa i pół miliona żołnierzy Armii Czerwonej — nie licząc NKWD, grup operacyjnych kontrwywiadu „Smiersz” czy rodzimych UB i MO. Taka to była wolność.

Również dla żołnierzy AK z obwodu Puławy nastąpiły ciężkie dni.

Front stanął na linii Wisły, którą na początku sierpnia daremnie próbowali sforsować jednostki I Armii WP. Operacja ta zakończyła się niepowodzeniem wskutek wielu błędów popełnionych przez dowództwo, I Armia poniosła duże straty, sięgające ok. 1500 poległych, rannych i zaginionych. Na rozkaz marszałka Rokossowskiego przekazała swe pozycje wojskom radzieckim i wieczorem 6 sierpnia odeszła w rejon Łaskarzewa i Garwolina, by przejąć tam obronę północnej części przyczółka warecko-magnuszewskiego.

Niemiecka artyleria nadal ostrzeliwała miejscowości położone na prawym brzegu Wisły. Jeszcze 18 sierpnia ogniem ciężkich dział obłożyła Ryki, zabijając pięć osób, wiele innych raniąc. Ludność zamieszkała w pasie przyfrontowym, od Wisły po szosę Warszawa-Lublin, z wyjątkiem niektórych wsi i osób, które wódką zapłaciły za prawo pozostania w swych domach, została wysiedlona. Nie udzielono jej przy tym żadnej pomocy, ludzie ewakuowali się na własną rękę, próbując zabrać ze sobą jak najwięcej dobytku. Dochodziło do rabunków i gwał-

tów ze strony żołnierzy sowieckich. Wszystkiego brakowało, życie z każdym dniem stawało się trudniejsze. Zarówno dla przesiedlonych, jak i dla tych, którzy udzielili im gościny, trwającej, czego nikt wówczas nie przypuszczał, aż do połowy stycznia 1945 r.

Akowcy czuli się jak tropiona zwierzyna. Nadal uważali się za żołnierzy i rzeczywiście nimi byli. Obowiązywały ich rozkazy, wydane w poszczególnych podobwodach już na przełomie lipca i sierpnia, w okresie rozwiązywania i rozbijania oddziałów AK. Zabraniały one dowódcom opuszczania terenu, nakazywały utrzymywanie łączności konspiracyjnej, dalsze funkcjonowanie wywiadu i kontrwywiadu, zachowanie rezerw żywnościowych i sanitarnych. Przypomnijmy, że rozwiązanie Armii Krajowej nastąpiło dopiero po upływie ponad pięciu miesięcy.

Dla tych z PPR i AL przyszedł wreszcie czas, na który długo czekali. Żaden z nich nie poszedł do wojska i na front. Sięgnęli po absolutną władzę i natychmiast ją przejęli. Oni, lub ludzie przez nich wskazani, opanowali wszystkie stanowiska w administracji, do jej najniższych szczebli oraz w rozbudowywanych szybko strukturach milicji i bezpieczeństwa. Stanowili prawa i je egzekwowali, decydowali o tym, kto jest „reakcjonistą”, a kto „demokratą”, kogo ograbić, a kogo pozostawić w spokoju. Nad nimi byli tylko funkcjonariusze NKWD i sowieccy komendanci. Prześcigali się w gorliwości w ich służbie, dostarczając im listy osób przeznaczonych do aresztowania, na których umieszczali nazwiska nie tylko akowców, ale każdego, z kim mieli na pieńku. Byli oczami i uszami NKWD. A także rodzimych komunistów, wyselekcjonowanych i przeszkolonych przez NKWD na specjalnych kursach w Kujbyszewie, którym powierzono kluczowe stanowiska w aparacie bezpieczeństwa.

Mało który z akowców odważył się wtedy nocować we własnym domu. Wpadali na chwilę, by powiedzieć, że jeszcze żyją i są na wolności, zmienić bieliznę, wziąć trochę prowiantu. Ukrywali się zazwyczaj we wsiach znanych im z okresu partyzantki. Wyposażeni wprawdzie byli w fałszywe dokumenty, ale mogli się nimi legitymować tylko przed sowieckim patrolem, który ich nie znał. Gdy patrolowi towarzyszył ktoś z miejscowych komunistów lub z ich popleczników — fałszywa ken-nkarta mogła jedynie jeszcze bardziej zaszkodzić.

„Powracamy do poprzednich kwater, do chłopskich zagród — wspomina «Lis». — Do gospodarzy, którzy nas przetrzymywali, żywili, przyjmowali serdecznie i życzliwie, narażając swoje i swoich rodzin życie. To oni wystawiali warty przed domami i z uwagą nasłuchiwali, czy

nie zaczyna szczekać psy u sąsiada lub w sąsiedniej wiosce. Teraz robili to samo. Ale pytali ze zdziwieniem: «Za co was tak ganiają? Czy wam przeznaczone tułać się tak aż do śmierci?». Nie potrafiłem na te pytania odpowiedzieć. Nie byłem przecież synem dziedzica czy fabrykanta. Ojciec jako brukarz dorabiał do sześciu hektarów piaszczystej ziemi, żeby 11-osobowej rodzinie zapewnić skromny byt".

Należało podjąć jakieś środki zaradcze, ratować ludzi. To właśnie sprawiło, że w połowie września 1944 r. przystąpiono do odbudowy Komendy Okręgu Lubelskiego AK. Na jej czele stanął dotychczasowy szef sztabu KO płk Franciszek Żak („Wir"). W pierwszej kolejności zajęła się ona rekonstrukcją inspektoratów, obwodów i rejonów. Organizację tę niektórzy historycy określają jako Ruch Oporu Armii Krajowej (ROAK), stwierdzić jednak trzeba, że w terenie nazwa ta nie przyjęła się, była niemal nieznaną. Jej cel główny stanowiło umożliwienie ludziom z AK samoobrony przed ich fizyczną eksterminacją. Potwierdza to m.in. następująca depesza płk. „Wira", przekazana 19 października 1944 r. do Londynu:

„NKWD i Milicja Obywatelska chcą za wszelką cenę zniszczyć AK jako reakcję i faszystów. Prasa PKWN całymi szpaltami opluwa nas, nazywając: bandyci, pacholki Hitlera, faszyci i nakazuje bezwzględną walkę z nami. Na całym terenie okupacji sowieckiej zwołuje się w tych dniach wiece dla zaprotestowania przeciwko reakcjonistom i faszystom londyńskim i nakazania bezwzględnej walki z londyńczykami. Nakazałem samoobronę".

Rząd RP i sztab Naczelnego Wodza nie zamierzały terrorem odpowiadać na terror. Wbrew temu, co przez 45 lat powojennych na ten temat w kraju pisano, dążyły one do uniknięcia walki zbrojnej i do zastąpienia jej działalnością cywilno-wojskowej sieci konspiracyjnej o ograniczonych zadaniach, polegających głównie na propagandowym oddziaływaniu na społeczeństwo, informowaniu rządu o sytuacji w Polsce oraz przenikaniu „elementu szczerze polskiego" do różnych struktur władzy, administracji terenowej, wojska itp. Odpowiednie instrukcje dotarły z Londynu do kraju na początku grudnia.

Tylko nieliczni spośród dowódców terenowych mieli się o nich dowiedzieć. Większość uznała — nie bez racji — że pozostawiono ich samych, że nikt się za nimi nie ujmie, że sami, na własną rękę, muszą swych ludzi bronić.

Znowu więc sięgnięto po broń. 12 września, w biały dzień na ul. Poniatowskiego w Rykach, „Spokojny" wykonał wyrok na kpt. Nikołaju

Paramonowie, który pracował wtedy w KW MO w Lublinie i z jej ramienia sprawował pieczę nad Rykami, kontrolując działalność miejscowego posterunku MO i wspomagając go swym doświadczeniem w walce z reakcją. Towarzyszący mu Julian Gransztof, komendant MO w Rykach, został także trafiony kilkoma pociskami, ale cudem przeżył. Do Ryk już nie wrócił. Ryki i okolice odetchnęły z ulgą. Paramonow i Gransztof byli wtedy najbardziej tu nienawidzonymi ludźmi, szczególnie aktywnymi w tropieniu i likwidowaniu żołnierzy AK, w terroryzowaniu mieszkańców.

Narastała wola oporu. Ukrywający się żołnierze AK i NSZ zaczęli łączyć się w kilkusobowe, uzbrojone w broń krótką grupy i ciosem odpowiadać na cios. Zazwyczaj bez wiedzy dowódców wyższego szczebla. Bronili siebie, swych bliskich, swych gospodarstw. Wieści o tym nadchodziły z Zamojszczyzny, z Białostoczczyzny, z Podlasia.

Ale zakrojone na ogromną skalę polowanie, w którym nagonkę stanowiła gęstniejąca ciągle sieć konfidentów, a myśliwymi byli funkcjonariusze NKWD, UB i MO, zaczęło wreszcie przynosić rezultaty. Także i tu.

W listopadzie aresztowany został szef Inspektoratu Puławy mjr Stanisław Kowalski („Konrad”). Pojmany pod fałszywym nazwiskiem „Bolesław Trębicki”, uwięziony na Zamku w Lublinie, został tam zamordowany 25 lutego 1945 r. Na stanowisku szefa Inspektoratu zastąpił go dotychczasowy komendant obwodu mjr Zygmunt Żyłka-Żebracki („Żeliwa”).

Los mjr. „Konrada” podzielił szef Kedywu Obwodu por. Marian Sikora („Przepiórka”). Uwięziony w listopadzie, skazany na karę śmierci, został stracony — także na Zamku w Lublinie — wcześniej od swego przełożonego, bo 12 grudnia 1944 r.

Więcej szczęścia miał dowódca II OP/15 pp AK, por. Jerzy Franciszek Jaskulski („Zagon”). Aresztowany w tym samym czasie, co tamci, uwięziony jak oni na Zamku Lubelskim, także został skazany na karę śmierci, ale wyrok ten zamieniono mu na 10 lat więzienia. „Zagon” wpadł w ręce NKWD i UB wraz z kilkoma dowódcami placówek z Podobwodu „B”, w trakcie odprawy w majątku Góry koło Nałęczowa.

W Kurowie zastrzelony został przez Rosjan jeden z najstarszych stażem partyzantów OP II Edmund Kotyza („Grot”), podharc mistrz z Dębłina. Gdy w czasie obławy otoczono dom, w którym kwaterował — wyskoczył przez okno. Zginął w ogrodzie, ostrzeliwując się do końca. Powiodła się natomiast ucieczka Czesławowi Szlendakowi („Maks”). Zatrzymano go w Dęblinie, miał lewe dokumenty, parabellum. Zaprowa-

106

dzony przez enkawudzistów do jakiejś chaty, gdy zorientował się, że jest z nimi człowiek, który go zna i że fałszywy dowód nic mu nie pomoże — także wyskoczył przez okno. Doszło do wymiany strzałów, ale „Maks” zdołał zbiec.

Zygmunt Kultys („Lis”) kilkakrotnie wychodził cało z poważnych opresji. Na początku września wraz z Władysławem Kisielem („Krakus”) i Ryszardem Pawelcem („Splonka”) dość nieopatrznie wybrał się do domu „Krakusa” na kolonii Ryki, by zmienić bieliznę. Był późny wieczór, gdy budynek otoczyła przyprowadzona przez Gransztofa silna grupa milicjantów. Akowcy wymknęli się drzwiami, o których Gransztof nie wiedział, powalili stojącego przed domem wartownika i rozpierchnawszy się każdy w inną stronę zniknęli w ciemności, gonieni bezładnym ogniem. Mieli pistolety, ale będąc w budynku, walki nie mogli podjąć nie tylko ze względu na dysproporcję sił, lecz przede wszystkim dlatego, że spowodowałyby to spalenie zabudowań. Często tak się zdarzało, iż dla ściganych i dopadniętych ważniejszą niż zachowanie wolności była obrona życia i mienia ludzi, którzy ich do siebie przyjęli.

Na początku listopada do ukrywających się żołnierzy OP I dotarła wiadomość o

zamordowaniu przez milicjantów ppor. Władysława Anto-szczaka („Szary”), w latach okupacji zastępcę „Orlika”.

Było to 2 listopada, w Zaduszki. „Szary” jechał furmanką do Urszulin, gdzie przebywała wtedy jego żona, która musiała opuścić Ryki, i ukrywało się kilku jego żołnierzy. Wiózł im zimową odzież i prowiant. Zapadł już wieczór, gdy koło wsi Kobyliczyk natknął się na jadącą mu naprzeciw furmankę z kilkoma milicjantami z Ryk. Zatrzymali go, zapalili latarki. W ich świetle jeden z nich, dawny uczeń porucznika, Henryk Dąbrowski, rozpoznał „Szarego” i bez ostrzeżenia otworzył ogień.

Zwłoki rzucili w piach między Rososzą a Leopoldowem. Zastawili przy nich zasadzkę, zamierzając ująć tych, którzy po nie przyjadą. Mimo to zdołano je *zabrać* i po katolicku pochować na cmentarzu w Rykach. Milicjant Dąbrowski wkrótce został zlikwidowany.

Śmierć „Szarego” zaboląła partyzantów OP I, bo wielu z nich było jego uczniami, ale także wzburzyła. Utwierdziła ich w przekonaniu, że jakiegokolwiek pertraktacje i negocjacje z mordercami nie mają sensu.

„Orlik” wiedział o tym od dnia, w którym wkroczył ze swym oddziałem do Ryk. Paramonow, Gransztof, prowadzeni przez nich Rosjanie i ubowcy przy pomocy sfory agentów tropili go z niezwykłą zaciętością na terenie całego obwodu. Wiedzieli, że tu jest, nie mogli jednak wpaść na jego ślad. Przerzucał się z jednego krańca obwodu na

107

drugi, dzięki pomocy i współdziałaniu wielu życzliwych mu ludzi ciągle był dla tamtych nieuchwytny.

Brali więc odwet na jego rodzicach. Dom Bernaciaków w Zalesiu zajęło NKWD, rodzice gnieździli się w warsztacie rymarskim, z którego musieli wychodzić przez okno, bo wyjście prowadzące przez sień Rosjanie zamknęli. Ciężko chory na ischias Michał Bernaciak miał wówczas ponad 61 lat, co parę dni o dwóch laskach kuśtykał na przesłuchania do odległego o ponad siedem kilometrów Kłoczewa, gdzie go lżono, straszono, niekiedy bito.

„Nadchodziła wyjątkowo mroźna zima 1944/1945 — zapisał «Lis». — Strefa przyfrontowa, pola podziurawione okopami i ziemiankami, widać tylko uchodzący z ziemianek dym i wartowników w papachach. Żołnierze sowieccy kwaterowali niemal w każdym domu, z którego wysiedlono jego mieszkańców. Wpychano ich także tam, gdzie gospodarze zostali. Możemy ukrywać się tylko pojedynczo. Zaufani rolnicy przygotowali nam meliny w stodołach, oborach, spichrzach, rzadko na strychach domów. Ja melinę mam we wsi Blizocin, ponad 20 km od Ryk, rodzina serdeczna, uczciwa, gościnna. Mam dwie kryjówki: w stodole i w brogu siana na łące przed oknem. W stodole siedzę w dzień, w brogu w nocy. Gdy nadchodził czas posiłku, gospodarz wychodził na podwórze z wiadrzem z karmą dla świń, a w wiadrze trzymał talerz z kluskami dla nas. Sowietci przychodzili niemal codziennie i przetrząsali wszystkie zakamarki. Któregoś dnia przed świtem wróciłem z wizyty u kolegi, ukrywającego się w sąsiedniej wiosce i zamiast do stodoły poszedłem do brogu. Wchodziło się na ten bróg po drabinie, opuszczało otworem na dół i tam była kryjówka. Drabinę trzeba było

przynieść z podwórza, a później gospodarz odnosił ją z powrotem. Na szczęście uczynił to i tym razem, gdy rankiem zobaczył ją przy brogu. W chwilę później przyszli żołnierze NKWD. Ponakładali bagnetki na karabiny, chodzili wokół brogu i kłuli go tymi bagnetkami, po każdym pchnięciu sprawdzając, czy na czubku bagnetki nie ma śladu krwi. Gospodyni, widząc to przez okno, uklękła z różańcem w dłoni i modliła się o moje ocalenie".

Ocalał. Ale z każdym dniem bardziej poniewierka ta dawała im się we znaki. Przyszła zima, a wraz z nią mrozy sięgające 25 stopni. Ci, którzy w takich warunkach — w stodołach, w brogach, często w wykopanych w lesie ziemiankach — zimę tę przeżyli, do dziś mówią o niej ze zgrozą.

„Onuce przymarzały do butów, skarpety do spodni — wspomina «Lis». — Ruskie mieli czas, nudzili się, szukali więc naszych bez przer-

108

wy. Wiedzieli, że akowców jest więcej niż ich dotychczas pochwycili. Nie było dla nas życia. Dom rodzinny odwiedzałem bardzo rzadko, nie chciałem narażać matki, która przy każdym spotkaniu mówiła: po co zmarnowałeś młode lata, dlaczego teraz spokoju ci nie dają, ja już w końcu nie wiem, gdzie ty byłeś, w jakiej organizacji, w jakiej partyzantce, czemu ci z UB i NKWD tak często do naszego domu przychodzą, a ty tak rzadko! Nie mogła tego zrozumieć i nie zrozumiała aż do swej śmierci w 1967 roku".

I tak dobiegł końca rok 1944. Pamiętny dla wszystkich, którzy go przeżyli, ale nie dla wszystkich z tego samego powodu.

Dla znacznej części mieszkańców ziem polskich położonych na wschód od Wisły szczególnie bolesne było to, co wydarzyło się w drugiej połowie tego roku, a dokładniej w ciągu pięciu miesięcy, które upłynęły od przekroczenia Bugu przez Armię Czerwoną. Wielu uważa ten okres za najczarniejszy fragment swych życiorysów. To bowiem, że w czasie okupacji niemieckiej byli represjonowani i więzieni, że tracili najbliższych, że nie wiedzieli, co im jutro przyniesie — mogli zrozumieć. Hitlerizm był wrogiem, z którym prowadzono walkę na śmierć i życie. Trudniej było pojąć, że podobnie dzieje się i teraz, gdy tamtego wroga już nie ma.

A działo się podobnie. Jak przypominał świetny znawca tej problematyki dr Andrzej Chmielarz*, według oceny Komendy Okręgu Lubelskiego AK w okresie tym na Lubelszczyźnie aresztowano ponad 20 tys. osób, z czego przeszło połowę wywieziono do ZSRR, a Wojskowe Sądy Specjalne skazały na śmierć „za działalność antypaństwową” 140 oskarżonych. Liczby te nie obejmują ofiar jednostek NKWD, „Smerszu” i sowieckich sądów wojennych.

Wiemy, jaki był los tych, których wywieziono do sowieckich łagrów. Ale — choć zabrzmi to paradoksalnie — na ogół mieli oni większe szansę przeżycia niż działacze podziemia oraz dowódcy i żołnierze AK i innych formacji Polski Walczącej więzieni przez UB w kraju. Nie był to już czas, w którym Katyń mógłby się powtórzyć. Większość deportowanych w tym okresie wróciła, część stosunkowo szybko, natomiast więzionych w kazamatkach UB mordowano dziesiątkami i setkami.

W tej części Polski, która w drugiej połowie 1944 r. była już wolna od Niemców, największą katownią stał się Zamek w Lublinie. Ta ogrom-

na budowla, wzniesiona w latach 1824-1826 na wzgórzu, w miejscu, gdzie już we wczesnym średniowieczu stał warowny gród, od początku swego istnienia przeznaczona była na więzienie i taką funkcję pełniła zarówno w czasach zaboru rosyjskiego, jak i w II Rzeczypospolitej oraz w okresie okupacji niemieckiej, w ciągu którego przeszło przez zamek ok. 40 tyś. więźniów. Był on wtedy także miejscem karni i zbiorowych egzekucji. 22 lipca 1944 r., w dniu, w którym radio Moskwa powiadomiło o powstaniu PKWN i o tym, że to właśnie ten twór będzie jedyną, rzekomo legalną władzą na zajętych przez Armię Czerwoną ziemiach polskich, hitlerowcy przystąpili do mordowania osadzonych w Zamku ludzi. Zginęło ich wówczas ok. 450. W dwa dni później, 24 lipca, Armia Czerwona, przy liczącej się pomocy AK, zajęła Lublin.

Cele Zamku nie zdążyły jeszcze obeschnąć z polskiej krwi, gdy znów zapełnili je Polacy. W ogromnej większości żołnierze AK. Zdarzało się, że trafiali do tych samych cel, w których trzymali ich hitlerowcy. W pierwszym okresie powojennym panowała w nich straszliwa ciasnota. Wystarczy powiedzieć, że przed wojną na Zamku jednorazowo przebywało maksymalnie 700 więźniów, a w latach okupacji 2-3 tyś., natomiast wiosną 1945 r. ich liczba zbliżyła się do 8 tyś. Łącznie do końca pierwszego półrocza 1954 r., kiedy to Zamek przestał być więzieniem, przeszło przez jego kazamaty co najmniej ok. 30 tyś. osób. Mniej niż za Niemców, co tłumaczyć należy tym, że w okresie władzy ludowej rotacja więźniów była znacznie wolniejsza niż w czasie okupacji, a w latach pięćdziesiątych cele się rozluźniły.

Wielu więźniów trzymano bez sankcji prokuratorskich, większość bez wyroków. Poddawani byli ciągłemu śledztwu, poniżani i bici. Dziesiątkowały ich wilgoć, brud i choroby. Dokuczał głód, dręczyły wszy, pluskwy, szczury. Było to prawdziwe piekło.

Od wczesnej jesieni 1944 r. więźniów Zamku zaczęto mordować. Na podstawie urągających prawu wyroków, często bez nich. Zginęli tam niemal wszyscy członkowie Komendy Lubelskiego Okręgu AK, których zdołano ująć, a nie deportowano do ZSRR.

Byli wśród nich: szef Oddziału II ppłk dypl. Aleksander Bieniecki („Łodzia”), zamordowany wraz z żoną; szef okręgowego Kedywu mjr Janusz Nawrat („Lucjan”); jego zastępca por. Henryk Witkowski („Andrzej”); szef saperów por. inż. Tadeusz Lisiecki; referentka Wojskowej Służby Kobiet, nauczycielka Zofia Pelczarska („Ciotka”); adiutant dowódcy OP/8 pp AK por. Wacław Krasnopolski („Huba”); ostatni inspektor zamojski mjr Janusz Pruszkowski („Wacław”); oficer sztabu KO

mjr Jakub Hałas („Głaz”); adiutant komendanta Okręgu por. Antoni Wiczorek („Ścibor”). W marcu 1945 r. stracony został ppłk Edward Ja-siński („Nurt”), inspektor lubelski. Po śledztwie, które przeszedł w areszcie NKWD nie mógł chodzić o własnych

siłach. Na miejsce kaźni zanesiono go na noszach.

W grudniu 1944 wykonano wyrok na legendarnym partyzancie kpt. Konradzie Schmedingu („Młocie”), dowódcy zgrupowania oddziałów partyzanckich 8 ppLeg. AK. Tuż przed nim stracono trzech liczących po 19-20 lat partyzantów AK : Edwarda Jelenia („Krakowiak”), Stanisława Jankowskiego („Staj”) i Stefana Karolaka („Motyl”), których jedyną winą było to, że w sierpniu 1944 r. usiłowali przedostać się do walczącej Warszawy. Wszystkich kolejno zabijał strzałem w tył głowy podpisujący się w protokołach jako „dowódca plutonu egzekucyjnego” funkcjonariusz UB Antoni Dalecki, którego nazwisko też warto upamiętnić.

W tym samym dniu, a działo to się wieczorem 1 grudnia, w piwnicy budynku administracyjnego Zamku, w podobny sposób dokonano egzekucji plut. podch. AK Alojzego Bialika, skazanego na śmierć za to, że nie zgłosił się do poboru i że na polecenie dowódcy rozwiązanego oddziału partyzanckiego por. „Małego”, pośredniczył w przekazywaniu jego żołnierzom należnych im niewielkich kwot pieniężnych.

Stracono w tej katowni trzech cichociemnych. Pierwszym był por. Aleksander Kułakowski („Rywal”), oficer Kedywu Okręgu AK Tarnopol, później w ludowym Wojsku Polskim. Zginął 13 grudnia 1944 r. Z wojska nie zdezerterował, oficerowie Informacji zabrali go z jego jednostki, 3 Brygady Artylerii Haubic, i zawieźli na Zamek. Po wojnie wszystkie jego biogramy kończono słowami: „zaginął bez wieści”.

Dwaj pozostali to kpt. Mieczysław Szczepański („Dębina”) oficer VII batalionu 77 pp AK, działającego na Nowogródczyźnie i kpt. Czesław Ros-siński („Jemioła”), ostatni — po aresztowaniu kpt. „Młota” — dowódca zgrupowania partyzanckiego 8 ppLeg. AK. Obydwu aresztowano w przeddzień Wigilii 1944 r. wraz z kilkoma innymi żołnierzami AK. Był wśród nich ppor. Bolesław Mucharski („Lekarz”), dowódca OPIV/8 pp AK, operującego w Obwodzie Lubartów. Razem byli sądzeni. M.in. oskarżono ich o przygotowywanie zamachu na siedzibę PKWN w Lublinie i jego przewodniczącego Edwarda Osóbkę-Morawskiego. 9 kwietnia 1945 r. „Dębinę”, „Jemiołę” i „Lekarza” skazano na karę śmierci. W dwa dni później, nie zezwalając skazanym nawet na złożenie próśb o łaskę, wyroki wykonano.

Ostatnia egzekucja w dziejach więzienia na Zamku nastąpiła 18 stycznia 1954 r. Powieszony został wtedy b. żołnierz AK Edward Bukowski

111

z Lubartowa. Ze względu na to, że w wyniku ciężkiej rany, jakiej doznał podczas aresztowania, przed którym bronił się zaciekle, stał się inwalidą, wykonanie wyroku śmierci, który otrzymał, odkładano prawie przez dwa lata. Wszystko wskazywało na to, że egzekucji uniknie. Nie uniknął. Już wtedy była podjęta decyzja o likwidacji więzienia. Przesądził

0 niej Bolesław Bierut. *Zbliżała* się bowiem 10 rocznica Manifestu PKWN i jednym z głównych punktów organizowanych z tej racji uroczystości miało być otwarcie wystawy na lubelskim Podzamczu, obrazującej dorobek Polski Ludowej. Bierut uznał, że dorobku tego nie wypada prezentować u stóp więzienia. Sam miał zresztą z Lublinem liczne związki (był nawet pomysłodawcą przemianowania Lublina na Bierutowo) i wrócił tam

w postaci koszmarnego pomnika ze spiżu spoglądającego na Zamek, a odsłoniętego latem 1980 r. przez Edwarda Gierka na krótko przed po czątkiem strajków, które zrodziły „Solidarność”. Na szczęście pomnik zmienił lokalizację i znajduje się dziś, w towarzystwie innych mu podobnych, w parku pałacu w Kozłówce, znanym jako „skansen PPvL”.

Zamordowanych i zmarłych więźniów Zamku grzebano w różnych miejscach, skrycie, ani nie oznaczając grobów, ani nie nanosząc ich na plany. Większość zakopano w zbiorowych mogiłach na cmentarzu przy ul. Unickiej. Później przez tę właśnie część cmentarza przeprowadzono, niszcząc wiele mogił, nową ulicę, nazwaną imieniem Lenina. Rodziny ofiar przez 35 lat nie wiedziały, gdzie leżą ich bliscy, w którym miejscu zapalić im znicz pamięci. Śmiałka, który o to zapytał, odprowadzono z kwitkiem.

Dopiero w 1981 r. sprawą zajęła się „Solidarność”. Na krańcu cmentarza utworzono kwaterę więźniów zamordowanych lub zamęczonych w latach 1944-1954 na Zamku i zabudowano ją za zebrane na ten cel pieniądze. Centralne jej miejsce zajmuje zbiorowa mogiła z dużym krzyżem i orłem, z cytatem ze Słowackiego: „Bogurodzico! Wolnego ludu krew zanieś przed Boga tron”, z odpowiednią inskrypcją. Z obydwu jej stron 21 mogił. Umieszczono na nich tylko niewielką część nazwisk ofiar Zamku, nie uniknięto przy tym pomyłek, ale najważniejsze jest to, że choć władzy ludowej udało się zabić tych, których szczątki tam leżą, nie zdołała — mimo wielu wysiłków — zabić o nich pamięci

l okryć ich niesławą.

Drugą taką katownią, choć na mniejszą skalę, była w Lublinie siedziba Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i NKWD, mieszcząca się przy ul. Chopina. Wprawdzie wyroków tam nie wykonywano, lecz ludzie ginęli i bez nich, mordowani w czasie przesłuchań. Tak zginął w li-

112

stopadzie 1944 r. jeden z najwybitniejszych oficerów Lubelskiego Okręgu AK mjr Stanisław Prus („Adam”), inspektor zamojski i dowódca zgrupowania oddziałów partyzanckich 9 ppLeg. AK. Załuczonego na śmierć przez przesłuchujących go oprawców wyrzucono przez okno z drugiego piętra, pozorując samobójstwo. Szefem Wydziału Śledczego WUBP Lublin był wówczas kpt. Adam Humer. Scenariusz, zastosowany przy zabójstwie mjr. „Adama”, powtarzano wielokrotnie. Między innymi w Warszawie, w ponad cztery lata później w przypadku jednego z najmężniejszych żołnierzy batalionu „Zośka”, por. pdhcm. Jana Rodowicza („Anoda”).

Eliminowano dowódców, eliminowano ich podkomendnych, okrutne represje stosowano wobec tych, którzy uchylali się przed wcieleniem do armii gen. Berlinga i wobec tych, którzy do tej armii ochotniczo się zgłosili.

Szesnastu spośród tych ostatnich witało rok 1945 w ziemiankach, w których więziono ich ponad dwa miesiące. Dziewięciu czekało na egzekucję. Ziemianki, a właściwie doły, przykryte bierwionami, były tak głębokie, że gdy więźniów z nich wyprowadzano, musieli wychodzić po przystawionej przez wartowników drabinie. Leżeli na gołej ziemi, na kilku garściach słomy, trzęśli się z zimna, karmiono ich

odpadkami, w czasie przesłuchań niemiłosiernie bito.

Tak zakończyli swą służbę w Ludowym Wojsku Polskim partyzanci „Szarugi”. Ostatni rozdział dziejów tego oddziału jest tak nietypowy, że — w największym skrócie — warto to przytoczyć.

Oddział „Szarugi” (por./kpt. Aleksander Sarkisow) był oddziałem specjalnym Inspektoratu „Lublin”, przeznaczonym do odbioru zrzutów, których kilkanaście przyjął. Liczył ok. stu ludzi, w dużej części podchorążych, uzbrojonych w zrzutową broń, umundurowanych w zrzutowe bat-tledressy. Uważano go za oddział elitarny i takim rzeczywiście był. Po akcji „Burza” został, jak i inne, rozbrojony, ale gdy „Szaruga” wyraził zgodę na wstąpienie wraz ze swymi podkomendnymi do armii Berlinga, oddziału nie rozwiązano. Reprezentujący tę armię płk Robert Satanowski, uprzednio dowódca podporządkowanego Ukraińskiemu Sztabowi Ruchu Partyzanckiego Zgrupowania Polskich Oddziałów Partyzanckich „Jeszcze Polska nie zginęła”, operującego na Wołyniu, a później na Lubel-szczyźnie (po wojnie światowej sławny dyrygent), którego „Szaruga” poznał w czasie „Burzy” oświadczył mu, że gen. Rola-Żymierski wydał 4 sierpnia 1944 r. rozkaz formowania nowej dywizji, złożonej z partyzantów, także i z AK. Miała to być 8 DP. Satanowski, któremu Ży-

113

mierski obiecał jej dowództwo, zaproponował „Szarudze”, by wraz ze swymi partyzantami przystąpił do formowania jednego z pułków tej „partyzanckiej dywizji” mianowicie 32 pp i objął jego dowództwo. „Szaruga” propozycję przyjął.

Jego stanowiska nie zmieniła rozmowa z ówczesnym — po wywiezieniu gen. „Marcina” — komendantem Okręgu Lubelskiego AK płk. „Wirem”, który go zbeształ, jego decyzję nazwał haniebną i oświadczył, iż wyklucza go z szeregów Armii Krajowej. „Szaruga”, niewątpliwie działając w dobrej wierze, pozyskał dla swej koncepcji kadrę oddziału i większość partyzantów. Nie przyszło mu to łatwo, ale jego autorytet i popularność przeważały szalę. W rezultacie w końcu sierpnia kilkudziesięciu żołnierzy „Szarugi” pod dowództwem jego zastępcy por. Apolinarego Repsa („Żegota”) *znalazło* się w rejonie formowania 8 DP w m. Mordy koło Siedlec. Przydzielono ich do 32 pp, podchorążych awansowano do pierwszego stopnia oficerskiego, powierzając im stanowiska dowódców kompanii i plutonów, „Żegota” awansował na kapitana, wyglądało na to, że sprawy potoczą się tak, jak zapewniał Satanowski.

Wkrótce jednak okazało się, że i „Szaruga” i jego żołnierze — także Satanowski — padli ofiarą perfidnego oszustwa. W końcu sierpnia do rejonu formowania 8 DP przybyło ok. 90 oficerów sowieckich, większość po specjalnych kursach NKWD w Kujbyszewie, którzy objęli wszystkie stanowiska dowódcze. Akowcy poddani zostali prymitywnej indoktrynacji politycznej, inwigilowano ich na każdym kroku, zaczęło dochodzić do coraz ostrzejszych konfliktów między nimi a nowo przybyłymi.

23 października kilkunastu z nich, w tym wszystkich oficerów, podstępnie aresztowano. Przewiezieni do Kąkolewnicy, gdzie mieścił się sztab 8 DP, wepchnięci do ziemianek, poddani zostali morderczemu śledztwu. Głównym zarzutem, jaki im stawiano, było przygotowywanie zbiorowej dezercji. Na nic zdały się interwencje

„Szarugi” podejmowane u gen. Roli-Żymierskiego. Już nie był dla nich rozmówcą. Awansowano go wprawdzie do stopnia majora, ale jednocześnie zepchnięto na boczny tor, mianując — nie dowódcą 32 pp, jak miał zapewnione — lecz zastępcą dowódcy 3 zapasowego pp, stacjonującego na Majdanku.

Wieczorem 30 grudnia 1944 r. w szkole w Kąkolewnicy odbyła się parodia sądu. Oskarżonych było szesnastu. Miało ich być więcej, ale trzech uciekło podkopem z jamy, w której byli trzymani, a paru wywieziono do obozu w Skrobowie, co ocaliło im życie. Rozprawę prowadził przewodniczący Sądu Wojennego 2 Armii WP płk Stefan Piekarski. To-

114

warzyszyło mu dwóch sędziów: ppor. Zawirski i ppor. Dancyg. Usunięto z sali kilku delegatów pułków, bo płk Piekarski zarządził tajność rozprawy. Głównym oskarżonym był „Żegota”, wspaniały żołnierz, kilkakrotnie ranny w partyzantce, kawaler Virtuti Militari. To właśnie on przyprowadził partyzantów „Szarugi” do ludowego wojska, w którym został dowódcą kompanii fizylierów 34 pp.

Pospiesznie odczytano akt oskarżenia, podsądnych w ogóle nie dopuszczono do głosu, obrony nie było. Wyrok ogłoszono natychmiast: dziewięciu, z „Żegota” na czele, skazano na karę śmierci, pozostałych na 10 lat więzienia. Płk Piekarski oświadczył, że „wyrok jest ostateczny i zaskarżeniu nie podlega”.

Zamknięci ponownie w ziemiankach napisali do dowódcy 2 AWP gen. Karola Świerczewskiego prośby o ulaskawienie. Jedną uwzględnił, na ośmiu napisał, z datą 2 stycznia 1945, „odmawiam”. Skazanych na karę więzienia wywieziono tam, gdzie mieli ją odbywać. W nocy z 4 na 5 stycznia po pozostałych przyjechał wielki Studebac-ker. Powiózł ich w głąb lasu, w jego część zwaną przez miejscową ludność uroczyskiem Baran. Tam pluton pod dowództwem sowieckiego oficera ppor. Eugeniusza Łarenowa dokonał egzekucji. Żołnierze chyłkiem obserwujący powrót Studebackera stwierdzili, że przyjechali nim tylko konwojenci. Ich towarzyszy broni nie było. Wróciły natomiast należące do nich oficerskie płaszcze, które konwojenci sprawiedliwie między siebie podzielili.

Po wojnie i na tę zbrodnię opuszczono zasłonę milczenia. Rodziny pomordowanych przez wiele lat daremnie poszukiwały ich mogił. Okazało się jednak, że jest w okolicy kilka osób, znających dobrze tutejsze lasy, które przynajmniej w przybliżeniu mogą określić miejsce egzekucji i pochówku. Nikt nie powiedział słowa na ten temat, języki paraliżował strach. Paraliż ten ustąpił dopiero wtedy, gdy epoka strachu minęła. W rezultacie w końcu kwietnia 1990 r. przystąpiono do prac ekshumacyjnych. Doprowadziły one do odsłonięcia czterech jam grobowych, w których odnaleziono szczątki 12 mężczyzn, z czego wynika, że wraz z zamordowanymi tam żołnierzami „Szarugi” zastrzelono cztery inne osoby, też już zidentyfikowane. Jak wynika ze sprawozdania ogłoszonego po ekshumacji oraz materiałów Prokuratury Rejonowej w Radzynie Podlaskim, niektóre ofiary były dobijane w grobach.

„Z dokonanych ustaleń (...) — napisał prokurator z Radzyna — wyłonił się obraz wyjątkowej brutalności wykonawców egzekucji i ogromu cierpień ich ofiar. Skazani mieli związane ręce i nogi kablami

metalowymi, przy czym ręce wiązane były od tyłu. Ustalono, że w chwili zgonu niektóre ofiary miały obrażenia w postaci złamań kości ramion, podudzi itp. Niektóre czaszki nosiły ślady urazów mechanicznych zadanych z dużą siłą narzędziem tępym i twardym"*.

30 maja 1993 r. w Kąkolewnicy został odsłonięty i poświęcony pomnik ku czci ofiar tamtej zbrodni. Odsłonięcia dokonał ppłk mgr inż. Aleksander Sarkisow „Szaruga”, który nie zapomniał o swych żołnierzach. Ci spośród nich, którzy jeszcze żyją, też nie zapomnieli o swym dowódcy, lecz utrzymywali z nim bliski kontakt aż do jego śmierci — zmarł w Warszawie w sierpniu 1994 r. Jego pamięć niezmiennie darzą szacunkiem. Wiedzą, że wtedy padł ofiarą oszustwa. Nie on jeden.

W styczniu 1945 r. milionowe armie sowieckie ruszyły na zachód. W ślad za nimi pociągnęły „grupy operacyjne”, złożone z funkcjonariuszy NKWD i UB, które miały instalować władzę ludową na terenach wolnych od Niemców i czyścić je ze wszystkich rzeczywistych, potencjalnych czy tylko domniemyanych owej „władzy” przeciwników. W „Polsce Lubelskiej” zrobiło się nieco luźniej. Natychmiast też pojawiły się pierwsze, nieliczne jeszcze, patrole i drużyny partyzanckie.

Również i „Orlik” przystąpił, w połowie marca 1945 r., do odtwarzania oddziału. Tworzyło go wówczas ok. 50 ludzi, niemal bez wyjątku mających za sobą staż partyzancki, doskonale uzbrojonych, działających w kilku grupach. Rosły one szybko. Szli do nich, bez jakiegokolwiek rozkazu, z własnej woli, dawni partyzanci i ludzie poszukiwani przez NKWD i UB. Nie sądzili, że ta wojna, na którą znów wyruszają, zakończy się ich zwycięstwem. Ale dość mieli ukrywania się w stogach siana, w oborach i piwnicach. Nie chcieli ginąć przykryci snopkiem słomy od ciosu sowieckiego bagnetu, gnić w więzieniach, rąbać tajgi. Stokrotnie lepsza wydawała się im śmierć na własnej ziemi, wśród swoich, z bronią w ręku.

Pierwszy pluton

Minęła północ i rozpoczęła się sobota, 31 marca 1945 r. Nazajutrz przypadała Wielkanoc. Płynęli przez ogromne rozlewiska Wieprza, na jego północny brzeg. Noc była chłodna, lecz bezwietrzna, cicho pluskały wiosła przewoźników.

Byli niełudzko zmęczeni, ale rozluźnieni i szczęśliwi. Z każdym uderzeniem wiosła zbliżali się do zbawczego brzegu, ku któremu szli przez cztery dni, przez trzęsawiska i bagna, klucząc wśród obławy, czując na plecach oddech pościgu. Mało kto wierzył, że dojdą. Ale doszli. Pościg został daleko w tyle. Za nimi było co najmniej 60 kilometrów morderczego marszu. Za nimi był Skrobów.

Przywieziono mnie do obozu w Skrobowie 6 listopada 1944 r. spod Jabłonny, z pierwszej linii frontu. Służyłem wówczas w kompanii ckm, wchodzącej w skład 2 Samodzielnego Zmotoryzowanego Przeciwpancerneho Batalionu Miotaczy Ognia, przydzielonego do 1 Armii WP, w którym znalazłem się po rozwiązaniu naszego zgrupowania AK w rejonie Mińska Mazowieckiego. Oficerów, wśród nich mego ojca, wywieziono do ZSRR, młodsze szarże wcielono do 1 i 2 AWP.

Batalion zajmował obronę nad Wisłą, na zachód od Garwolina, po czym marszem pieszym przerzucony został w rejon Starej Miłosnej, walczył na Pelcowiźnie, Anopolu i Starym Bródnie, poniósł znaczne straty nad Kanałem Żerańskim, uczestniczył w zwycięskim natarciu na Jabłonne. W nocy przybył do okopu goniec z rozkazem dowódcy batalionu, bym natychmiast z całym dobytkiem zameldował się w sztabie. Podobno miałem jechać do szkoły oficerskiej. W sztabie zostałem rozbrojony, pozbawiony pasa, zamknięty w piwnicy. Nazajutrz wywieziono mnie do Skrobowa.

Skrobów leży koło Lubartowa, przy szosie Lubartów-Kamionka-Michów, w odległości ok. 30 km od Lublina. Przed wojną mieściła się w nim szkoła zawodowa, w której w czasie okupacji początkowo stacjonowała jednostka Wehrmachtu, a później był obóz jeńców sowieckich.

777

25 lipca 1944 r. Armia Czerwona podstępnie rozbroiła tam 27 Wołyńską Dywizję AK. Na początku listopada 1944 r. z rozkazu naczelnego Dowódcy WP gen. Roli-Żymierskiego utworzono w Skrobowie I Specjalny Obóz *Zarządu* Informacji Naczelnego Dowództwa WP, *przeznaczony* dla wyłuskanych z wojska akowców. Punkt pierwszy tego rozkazu polecał: „Stworzyć obóz internowanych, do którego są kierowani wszyscy wojskowi, okazujący nielojalność w stosunku do KRN, PKWN, Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego i innych naczelných organów władzy państwowej i wojskowej Odrodzonego Państwa Polskiego”.

W obozie, pozostającym pod ścisłą kontrolą NKWD, uwięziono ok. 500 służących w wojsku żołnierzy AK. Większość, ponad 300, stanowili oficerowie. Wszystkich zabrano z jednostek pod różnymi kłamliwymi pretekstami: szkoła oficerska, jakieś kursy, zaszczytne wyróżnienie, polegające na włączeniu w skład delegacji na obchody kolejnej rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Kpr. podch. Jerzy Lipnicki wytypowany został na spotkanie ze Stalinem, który miał zaszczyścić swą wizytą Lublin.

Wśród internowanych przeważali żołnierze lubelskiej AK, ale byli i z innych okręgów, z Wileńszczyzny, z Nowogródziny, z Obszaru Lwowskiego, z Polesia, z 27 DP AK. Było kilku powstańców warszawskich, którzy sforsowali Wisłę i zgłosili się do LWP. *Znalazło* się tam paru znanych dowódców partyzanckich, między nimi z Inspektoratu „Puławy” kpt. Stanisław Łokuciewski („Mały”).

Teren obozu, bezpośrednio przylegający do szosy Lubartów-Kamionka, ogrodzony był płotem z drutu kolczastego wysokości 4 m. W czterech rogach stały wieżyczki, w których przy ckm typu Maxim czuwali wartownicy. Wewnątrz ogrodzenia stało pięć murowanych budynków. W największym z nich, dawnym internacie, dodatkowo ogrodzonym wysokim i szczelnym płotem drewnianym,

trzymano więźniów. W pozostałych mieściły się koszary, kuchnia, łaźnia z pralnią i komendantura. Ochronę stanowił wzmocniony batalion, liczący 1100-1200 żołnierzy. Jedną jego kompanię stacjonowała w niedalekiej Kozłówce, w której znajduje się perła zabytków tego regionu — rezydencja hrabiów Zamoyskich, skąd codziennie o zmierzchu przychodziła na nocną służbę. Otaczała wtedy obóz łańcuchem uzbrojonych w erkaemy posterunków, zaciąganych w specjalnie w tym celu wykopanych rowach strzeleckich. Okolice Skrobowa pełne były wojska zarówno radzieckiego, jak i polskiego.

118

Komendantem obozu był major NKWD, noszący jednak polski mundur, Aleksander Kałasznikow, brutalny prostak, z reguły pijany.

Robiono wszystko, by internowanych odizolować od miejscowej ludności, którą powiadomiono, że w obozie przebywają esesmani, gestapowcy i Yolksdeutsche. Początkowo ludzie w to wierzyli, ale później poznali prawdę, co ułatwiło internowanym nawiązanie kontaktów ze światem zewnętrznym.

Warunki były ciężkie: głodowe wyżywienie, zimno, straszne warunki higieniczne, wszy, pchły i pluskwy, choroby. Najbardziej jednak dokuczala niepewność jutra. Nikomu z internowanych nie postawiono żadnego konkretnego zarzutu, część tylko doprowadzano na przesłuchania, w czasie których indagowano ich o obecne kontakty z AK, o dawnych dowódców, o magazyny broni. Podchorążowie i podoficerowie wychodzili do pracy na teren części gospodarczej. Rąbali drzewo, obierali ziemniaki, obsługiwali pralnię. Raz, w końcu listopada, wizytował obóz zastępca Naczelnego Dowódcy WP ds. Polityczno-Wycho-wawczych gen. Aleksander Zawadzki. Nie tań swjej wrogości wobec internowanych i AK, zachowywał się w ten sposób, że w końcu go wygwizdano.

Nastroje zdecydowanie pogorszyły się, gdy ruszyła styczniowa ofensywa. Więźniowie ciężko przeżywali to, że zamiast walczyć na froncie, tkwią za drutami. Gdy przyszedł marzec, a wraz z nim przedwiośnie, wśród podchorążych zaczęła dojrzewać od dawna już kiełkująca myśl

0 ucieczce. Przygotowania do niej zaktywizowały krążące od pewnego czasu pogłoski o rychłym wywiezieniu internowanych do ZSRR.

W Niedzielę Palmową, 25 marca, podchorążowie, czując się nadal związani dyscypliną wojskową, zameldowali o zamiarze ucieczki starszemu obozu. Był nim oficer kawalerii ppłk Edward Pisula, we wrześniu 1939 r. zastępca dowódcy 23 p.uł. Grodzieńskich, żołnierz konspiracji, szef Kedywu Tarnopolskiego Okręgu AK, przywieziony do Skrobowa z frontu, gdzie dowodził jednym z pułków 1 Brygady Kawalerii. Meldunek, w towarzystwie dwóch podchorążych, złożył mu ppor. Piotr Mierz-wiński („Wierny”), przed wojną plutonowy w 4 dywizji pancernym w Brześciu nad Bugiem, w czasie okupacji dowódca jednego z oddziałów partyzanckich 30 Poleskiej DP AK, przebywający w Skrobowie jako „sierż. podch. Jan Jarocki”.

Ppłk Pisula meldunek przyjął, oświadczył, że wojna dobiega końca i obecnie sprawą najważniejszą jest to, by internowani akowcy dnia jej zakończenia dożyli, dyskusji nie podjął, dodał jedynie, że podziwia

wprawdzie determinację podchorążych, ale nie może brać odpowiedzialności za życie kilkuset ludzi. Życzył powodzenia.

Akcję przeprowadzono w Wielki Wtorek, 27 marca. Do pracy wyszło wtedy ok. 60 podchorążych-podoficerów i szeregowych. Większość, ale nie wszyscy, wiedziała o tym, co ma nastąpić. Podzieleni byli na cztery grupy, które skierowano do kartoflami, do rąbania drzewa, do kopania i noszenia piasku, do prac porządkowych w łaźni.

Tuż po godz. 11.00 zaczęła kartoflarnia. Kpr. podch. Zdzisław Jarosz („Czarny”) zaatakował wartownika, odebrał mu pepeszę i wybiegł z nią na zewnątrz kuchni. W tej samej chwili pozostałe grupy zaatakowały strzegących je wartowników. Z zabraną im bronią próbowano zdobyć wartownię. Szturm jednak nie powiódł się, zdołano ją tylko zablokować. Opanowano natomiast koszary, w których spała nocna zmiana. Po steryoryzowaniu żołnierzy zdobyto tam broń i amunicję, które błyskawicznie rozdzielono wśród uczestników akcji. Po sforsowaniu głównej bramy, pod ogniem bijących z wieżyczek i wartowni cekaemów, więźniowie przeskoczyli szosę i — rozsypani w tyralierę — pobiegli przez mokre, orne pole w stronę odległego o trzy kilometry skraju Lasów Kozłowieckich.

Cała akcja trwała 20-25 minut. Uciekło nas 48. Mieliśmy trzech rannych, w tym jednego ciężko. Niesiono go na płaszcach. Jeden poległ i został na placu obozowym. Grupa była nieźle uzbrojona: 2 erkaemy Diegtiariewa, 12 pepesz, 2 dziesięciopistoletowe karabiny powtarzalne, 17 kb. Straty przeciwnika nie są znane, ale były minimalne, bo nikt nie chciał zabijać wartowników.

Dowódca, ppor. „Wierny”, uporządkował grupę, przekształcając ją w partyzancki pluton i zarządził marsz na północ, w stronę Wieprza. Za Wieprzem, jak wiedział, wznowił już działalność „Orlik”. Zgodnie z uprzednim planem uciekinierzy postanowili do niego dołączyć. Prowadził internowany w Skrobowie partyzant z jego oddziału, kpr. podch. Antoni Jabłoński („Jasieńczyk”).

Zakrojona na wielką skalę obława ruszyła niemal natychmiast. Uczestniczyły w niej jednostki zaporowe Armii Czerwonej, funkcjonariusze NKWD, UB i MO, szwadron sowieckiej kawalerii, samochody pancerne. Uciekinierów tropiły samoloty kukuruźniki. Zablokowano wszystkie drogi, zaalarmowano garnizony w całej okolicy.

Mimo to uciekinierzy zdołali przedrzeć się do Wieprza. W ręce obławy wpadło tylko sześciu z dziewięciu, którzy odłączyli się od grupy, uważając, że pojedynczo łatwiej się przemkną. Dwóch z nich zamordowano, los pozostałych do dziś nie jest znany.

Morderczy marsz przez podmokłe lasy, moczary i sięgające niekiedy do piersi rozlewiska zakończył się wieczorem w Wielki Piątek. Grupa dotarła wówczas nad Wieprz, do wsi Składów. Stamtąd wyruszył patrol celem nawiązania kontaktu z „Orlikiem”. Odnaleziono jednego z jego najstarszych stażem partyzantów, „Teka” (Tadeusz Osiński), który szybko i sprawnie zorganizował przeprawę grupy na północny brzeg szeroko rozlanej rzeki.

Ucieczka 48 internowanych zatrzęsła całym Głównym Zarządem Informacji WP. Jego szef, stary czekista i enkawudzista płk Piotr Kozuszek, zapewne z inspiracji najbardziej obciążonego komendanta obozu mjr. Kałasznikowa, meldował swym przełożonym, że akcja internowanych była skoordynowana z działaniami jakiegoś operującego w okolicach Skrobowa oddziału partyzanckiego AK. Tę absolutnie nieprawdziwą wersję powtórzył w skierowanej do gen. Roli-Żymierskiego i gen. Iwana Sierowa, wówczas zastępcy Berii, prośbie o wyrażenie zgody na wywiezienie pozostałych w obozie internowanych do ZSRR. Motywował ją tym, że według wiadomości, jakie posiada (całkowicie, jak widać, błędnych) uciekinierzy „połączyli się z oddziałami AK w Lasach Parczewskich i przygotowują się do zbrojnego napadu na obóz w celu oswobodzenia wszystkich internowanych”*.

Drugim fałszywym tropem, wskazanym przez Kozuszkę i Kałasznikowa, było oskarżenie o współudział w buncie oficerów batalionu ochronnego i ich podwładnych. Nie miało to nic wspólnego z prawdą, ale dla wielu tych ludzi zakończyło się tragicznie.

Natychmiast po ucieczce Główny Zarząd Informacji rozesłał za zbiegami list gończy, skierowany do wszystkich szefów podległych mu komórek. Zawierał on dane personalne 48 uciekinierów, pełne zresztą przekłamań, co świadczy o niemałym bałaganie, panującym zarówno w komendzie obozu, jak i w GZI. Jednocześnie wszczęto intensywne śledztwo, mające na celu znalezienie winowajców owej kompromitacji.

Pierwszymi jego ofiarami stali się internowani oficerowie i podchorążowie, którzy pozostali w głównym budynku i po rozpoczęciu akcji próbowali przebić przejście w ścianie, dzielącej ich pomieszczenia od wartowni. Było ich kilku. Ujętych zakatowano niemal na śmierć i zamknięto w piwnicach komendantury. Gdy trochę przyszli do siebie, wywieziono ich, powiązanych drutem, do Lublina, gdzie śledztwo było kontynuowane.

Epilogiem były dwie rozprawy. Pierwsza odbyła się 23 kwietnia w Lublinie przed Sądem Wojennym Lubelskiego Okręgu Wojskowego. Na ławie oskarżonych zasiadło wtedy 12 żołnierzy batalionu ochronnego. Główne przeciw nim zarzuty to: „niestawianie oporu buntownikom”, „nie strzelał do uciekających”, „oddał internowanym broń”. Trzech skazano na karę śmierci, pozostałych na kary więzienia.

Druga rozprawa odbyła się 9 czerwca 1945 r. we Włochach pod Warszawą, gdzie mieścił się Główny Zarząd Informacji. Oskarżonych było czternastu, ale przed Sądem Wojennym Warszawskiego Okręgu Wojskowego stanęło o dwóch mniej, gdyż ppłk Edward Pisula i bosmanmat Kazimierz Dobrzański zostali zamęczeni w śledztwie. Oskarżonymi byli żołnierze AK internowani w Skrobowie, których po zakończeniu śledztwa w Lublinie przewieziono do Włoch. Zarzucono im „udział w spisku”, przygotowywanie „powstania”, dodatkowo przypisując niektórym rolę, jakiej w rzeczywistości nie odegrali. Obrońców nie mieli, wyjaśnień nie składali. Sąd orzekł pięć wyroków śmierci i dziewięć długoletniego więzienia. Skazanych na śmierć ulaskawiono, zamieniając im wyroki na 10 lat więzienia. Na kary więzienia skazano także nieżyjących już ppłk. Pisulę i bosmanmata Dobrzańskiego. Ppłk Pisula

dostał 4 lata za to, że „wiedział o spisku, lecz nie doniósł o tym dowództwu”.

Internowanych pozostałych w Skrobowie, już 21 kwietnia, zgodnie z sugestią płk. Kozuszki i rozkazem gen. Sierowa, wywieziono do ZSRR. Przebywali w kilku obozach, m.in. w Stalinogorsku, Dubowce, Diagilewie. Pewnie, że panujące tam warunki nie przypominały Oświęcimia, ale były bardzo ciężkie i wielu internowanym na zawsze odebrały zdrowie. Większość wróciła do kraju już po upływie dwóch lat. Kpt. „Mały” w połowie roku 1948. Ten ogromny, potężnie zbudowany mężczyzna, absolwent Korpusu Kadetów, był wtedy cieniem samego siebie. Zmarł w 1973 r. w wieku zaledwie 59 lat. Pochowano go na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. Jego dawni partyzanci, w których pamięci pozostał jako dzielny żołnierz i troszczący się o swych podkomendnych dowódca, postawili mu piękny nagrobek.

Inni wracali znacznie później. Niektórzy dopiero po upływie dziesięciu lat. I to nie z obozów o łagodnym stosunkowo reżymie, lecz z miejsc prawdziwej katongi. Była wśród nich grupa oficerów, których osadzono w więzieniu na moskiewskiej Łubiance, a następnie postawiono przed sądem. Odbyło się kilka procesów, w wyniku których skazani zostali na kary od trzech do dziesięciu lat więzienia za to, że rzekomo

722

wstąpili do Wojska Polskiego na *rozkaz* swych przełożonych z AK i tylko po to, by wojsko to rozsadzać od wewnątrz i w jego szeregach kontynuować zapoczątkowaną w AK zbrodniczą walkę z obozem polskiej demokracji i z Armią Czerwoną. Większość skazanych odsiedziała wyroki do końca. Kilku zmarło w łagrach. Wielu innych skrobowiaków też pozostało na zawsze na nieludzkiej ziemi.

Istnienie obozu w Skrobowie przez wszystkie lata PRL spowite było tajemnicą. Ci, którzy przez ten obóz przeszli, a tym bardziej ci, którzy z niego uciekli, mieli wiele powodów, by o tym nie wspominać. Oficjalna historiografia też milczała. W żadnej z tak wielu książek, mówiących o historii LWP, nie ma na ten temat ani jednego słowa. Można to zrozumieć: była to karta zbyt haniebna, by ją przypominać. Obalała przecież kłamstwo, że władza ludowa represjonowała jedynie tych ludzi z AK, którzy uchylali się od wojska i od dalszej walki z Niemcami w jego szeregach.

Milczenie to przerwałem latem 1989, publikując w „Tygodniku Solidarność” obszerną, złożoną z pięciu odcinków, relację o Skrobowie. W kwietniu 1990 r., po uściśleniu i rozszerzeniu, ogłosił ją w wersji książkowej Instytut Wydawniczy PAX. Telewizja emitowała film dokumentalny Mariana Bekajły. Sprawą zainteresował się znany historyk, płk dr Jerzy Poksiński, który odnalazł i opublikował blok dokumentów, dotyczących tego obozu. Odezwali się pozostali przy życiu, a rozrzucony po całej Polsce — i daleko poza jej granicami — skrobowiacy, nadesłali listy, wspomnienia, relacje. Niezbyt liczna ich grupa stawiła się w niedzielę 28 lipca 1991 r. w Skrobowie, gdzie na terenie dawnego obozu odbyła się uroczystość poświęcona pamięci tych, których tam więziono.

Ogromnym własnym wysiłkiem zorganizował ją Jan Kobyłański („Dziubak”), który jako kapral podchorąży AK internowany był w Skrobowie, uczestniczył w ucieczce, walczył do końca w zgrupowaniu „Orlika”, a po wielu latach spędzonych

następnie w więzieniu, dziwnym zrządzeniem losu osiadł w Lubartowie, gdzie pracował jako inżynier geodeta. Gdy przygotowywał tę uroczystość, był już śmiertelnie chory. Znalazł jednak w sobie jeszcze tyle siły, by nadać jej odpowiednią skalę i rangę. Miała rzeczywiście przebieg imponujący. Zgromadziła tłumy okolicznych mieszkańców, młodzież, delegacje kombatanów, przybyli na nią przedstawiciele władz, były kompania honorowa i orkiestra WP.

Na ścianie budynku, w którym przebywali internowani, umieszczono dwie tablice. Pierwszą z napisem: „W tym miejscu od XI 1944 do IV 1945 r. znajdował się obóz NKWD, w którym więziono około 500 oficerów i żołnierzy AK. 27 III 1945 r. grupa 48 więźniów zorganizowała

123

udaną ucieczkę, podejmując w oddziale AK-WiN mjr. Mariana Berna-ciaka, ps. «Orlik», walkę z władzą komunistyczną. Pozostałych deportowano do łagrów w ZSRR, gdzie wielu zamordowano. Społeczeństwo Ziemi Lubartowskiej. W hołdzie patriotom walczącym o wolną Polskę koledzy-współwięźniowie". Druga tablica przypomina rozbrojenie w Skrobowie 27 Wołyńskiej Dywizji AK.

— Teraz mogę już umierać — powiedział po uroczystości „Dziubak".

Umarł w kilkanaście dni później.

W ten to sposób Skrobów po tylu latach wpisany został w naszą historię. Z pewnością na to zasługuje, gdyż stanowi niewielki, ale istotny, z tak ogromnym opóźnieniem ujawniony, fragment dziejów AK, a także mniej wprawdzie chlubny, lecz godny utrwalenia, fragment dziejów Wojska Polskiego.

Święta Wielkanocne uciekinierzy spędzili w Blizocinie, serdecznie goszczeni przez mieszkańców wsi, ubezpieczani przez członków tamtejszej placówki. Odwiedził ich tam „Spokojny" wraz z księdzem, który spowiadał i udzielał absolutionarium.

W poświęconej noc, wypoczęci, w wyczyszczonych i naprawionych mundurach, z wyniesioną ze Skrobowa bronią, ruszyli w rejon Ryk. Prowadził „Spokojny", dowodził nadal „Wierny". Po drodze opanowali bez strzału posterunek MO w Łysobkach, zabrali broń i amunicję.

Na nowych kwaterach poznali „Orlika". Średniego wzrostu, szczupły, z jasnym, krótko przystrzyżonym wąsem, w długich butach, wojskowych bryczesach i cywilnej marynarce zrobił na skrobowiakach doskonałe wrażenie. Szybko rozpoznali w nim urodzonego żołnierza i dowódcę. Pytał o ich akowskie biografie, o Skrobów, o więzionych tam oficerów. Szczególnie interesował go los kpt. „Małego", którego dobrze znał. Uciekinierzy musieli wzbudzić jego zaufanie, bo od razu podjął decyzję wcielenia całej grupy do odtwarzanego właśnie oddziału. Nie miał zamiaru jej dzielić. Stała się pierwszym plutonem kompanii, którą z ramienia „Orlika" dowodził por. „Świt" (Zygmunt Kęska). Dowódcą plutonu pozostał ppor. „Wierny". On też dokonał podziału na drużyny i mianował ich dowódców. Kilku odeszło. Gdy oznajmili tę decyzję, twierdząc, że wojny mają już dość, pozostali przyjęli ją ze zrozumieniem, nikt nie powiedział im jednego cierpkiego słowa. Po zamianie mundurów na cywilne ubrania, zaopatrzeni w fałszywe dokumenty i pieniądze, pożegnali się i odeszli.

Ze względu na to, że w plutonie skrobowiaków, jak go powszechnie nazywano, nikt nie znał terenu, „Orlik” przydzielił „Wiernemu” dwóch

124

podoficerów, mających mu służyć za przewodników i łączników zarówno z innymi pododdziałami, jak i z siecią placówek. Byli to „Lis” i „Krakus”, których „Orlik” darzył wielkim zaufaniem. Dziś można dodać, że poprzez nich chciał mieć także wgląd w życie plutonu, w nastroje jego żołnierzy, w poczynania jego dowódcy.

Nieznajomość terenu i ludzi, stanowiąca słabość pierwszego plutonu, była zarazem dużym jego atutem, podnoszącym wartość skrobowia-ków w oczach „Orlika”. Pluton mógł być bowiem używany w różnych akcjach bez obawy rozpoznania jego żołnierzy, co innym pododdziałom, złożonym w większości z ludzi miejscowych, groziło i mogło mieć fatalne następstwa i dla całej siatki organizacyjnej, i dla rodzin partyzantów.

Atut ten „Orlik” potrafił wykorzystać. Aż do jego śmierci pierwszy pluton był wszędzie tam, gdzie inni nie mogli się pokazać. Torował im drogę. Rychło okazało się, iż miał rację „Orlik”, że mu zaufał. Nigdy go nie zawiódł.

Skrobów był jedynym obozem, w którym więziono żołnierzy WP, służących uprzednio w Armii Krajowej. Ale był jednym z wielu, w których więziono akowców. W Polsce Lubelskiej obozów takich istniało co najmniej kilkanaście. Największe w Rembertowie, Kraskowie, Krześli-nie, Krzesimowie, Poniatojew, Sokołowie Podlaskim, Przemyślu, Treb-lince. Prócz nich każda komendantura sowiecka, każda placówka NKWD miały po kilka ziemianek czy piwnic, w których trzymano więźniów.

Warunki, w jakich tam przebywali, trudno opisać. W Skrobowie trzymano ich przynajmniej w budynku mieszkalnym, spali na pryzkach. Obóz w Krześlinie koło Siedlec składał się natomiast z dziesięciu wielkich i głębokich ziemianek z włączkami zabezpieczonymi drutem kolczastym. Więźniowie wchodziłi do tych jam i wychodzili z nich po drabinie. Co drugi dzień spuszczano im na linie pożywienie: bochenek chleba na jednego, wiadro zimnej wody na wszystkich. Na przesłuchania w pobliskiej szkole, gdzie NKWD odprawiało również swe „sądy”, prowadzono ich w workach na głowach. Mordowano w lesie wsi Seku-ła. Przez obóz w Krześlinie przeszło kilkuset działaczy podziemia i żołnierzy AK, NSZ oraz BCh z Podlasia. Większość wywieziono do ZSRR, wielu zadźwżono lub zastrzelono na miejscu. Ich pełnej listy nie ma i chyba już nie będzie. Podobnie działo się gdzie indziej.

Wydany 19 stycznia 1945 r. rozkaz gen. Leopolda Okulickiego o rozwiązaniu AK niczego w sytuacji jej żołnierzy nie zmienił. Nadal byli ścigani i represjonowani. Część z nich uznała go za zwykłą formalność, akceptującą stan, jaki zaistniał po wkroczeniu na ziemie polskie Armii Czerwonej. Inni uważali, że ma on jedynie znaczenie taktyczne, polegające na tym, że dowódca AK chciał usunąć pretekst, ułatwiający nowej władzy rozprawę z jego podkomendnymi. Ich zdaniem *rozkaz* ten zobowiązywał do kontynuowania walki.

Ta interpretacja, przez wszystkie lata PRL, a także i później podważana, była prawidłowa. Gen. Okulicki wyraźnie bowiem w swym rozkazie stwierdzał, że wejście

Armii Czerwonej do Polski jest „zamianą jednej okupacji na drugą”, dodając, że choć „walki z Sowietami nie chcemy prowadzić, ale nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym społecznie Państwie Polskim”. W drugiej części rozkazu pisał już zupełnie jednoznacznie: „Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą pracę swą i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami narodu i realizatorami niepodległości Państwa Polskiego. W działaniu tym każdy z Was musi być dla siebie dowódcą”.

Ci, którzy takie działania podjęli, nie uczynili więc tego — jak im często się *zarzuca* — wbrew rozkazowi. Przeciwnie: ich postępowanie w pełni było zgodne z duchem rozkazu. Przytłaczająca większość dowódców AK różnych szczebli uznała, że teraz, w tym dramatycznym momencie, na kolejnym wirażu polskiej historii, sami sobie muszą być sterem, żeglarzem i okrętem. Natomiast cel i kurs — odzyskanie pełnej niepodległości — wytyczał rozkaz ostatniego ich zwierzchnika.

Tak rozumowali również ci komendanci Okręgów AK, którzy byli jeszcze na wolności i mogli — choćby w ograniczonym stopniu — pełnić swe funkcje. Ich naczelną troskę stanowiło uchronienie młodzieży przed nowym rozlewem krwi, przed straceńczą walką, nie dającą żadnych szans zwycięstwa. Świadomi tego, że nasilające się represje działają w kierunku dokładnie odwrotnym, bo pchają młodzież do lasu, informowali o tym licznymi depeSZami Rząd RP w Londynie, łudząc się, iż zdoła on zastosować jakieś skuteczne środki zaradcze.

„Bolszewicy wszczęli duże aresztowania w Rzeszowskiem — depeSZował 7 marca 1945 r.r. ostatni komendant Krakowskiego Okręgu AK cichociemny płk Przemysław Nakoniecznikoff-Klukowski («Kruk II»). — Odbywają się one przeważnie w nocy. Aresztowani znikają bez śladu. Gorzej jak za czasów gestapo. Aresztowania przeprowadza NKWD

126

przy pomocy milicji w mundurach polskich żołnierzy. Pewna ilość młodych zamierza wrócić do lasu. Przeciwdziałam temu”*.

Nie dane mu było długo przeciwdziałać. Aresztowany 20 kwietnia 1945, wywieziony do ZSRR, prawie dziesięć lat spędził w łagrach. Wrócił ze zrujnowanym zdrowiem i wkrótce, w sierpniu 1957 r., zmarł w Krakowie. Jego szef sztabu, ppłk Jan Kanty Lasota — uprzednio jeden z budowniczych konspiracji na Lubelszczyźnie — aresztowany i deportowany w tym samym czasie, w ogóle nie wrócił. Zmarł w łagrze.

Podobne w treści depeSZy wysyłali inni. Także przedstawiciele funkcjonujących jeszcze cywilnych struktur polskiego państwa podziemnego z Krajową Radą Ministrów na czele. Stefan Korboński, p.o. Delegata Rządu na Kraj, w depeSZy z 26 kwietnia 1945 r. informując o pacyfikacji powiatów Garwolin, Łuków, Lubartów i Zamość, w trakcie której „wojska sowieckie otaczają wsie i wszystkich mężczyzn prócz nieletnich i starców wywożą na wschód”, dodawał, że spowodowało to „masową wędrówkę do lasu i tworzenie się dzikich uzbrojonych oddziałów”.

Stanowisko władz Polski Podziemnej było w tym czasie jednoznaczne i jednolite.

Wbrew temu, co w PRL pisali historycy, łącznie z tymi, którzy dziś piszą diametralnie inaczej, władze te nie pchały społeczeństwa do bratobójczej wojny, nie wzywały młodzieży do walki z komuną, nie chciały rozlewu krwi. Odwrotnie: robiły wszystko, co było w ich mocy, by rozładować lasy, rozbroić ludzi, położyć kres wzajemnemu zabijaniu. Nie tracąc sprzed oczu celu głównego, jakim było przywrócenie Polsce niepodległości, rozumiały, że nie przez walkę zbrojną prowadzi doń droga, lecz przez pracę — prowadzoną także w strukturach legalnych — mającą bronić społeczeństwo przed totalnym zniewoleniem, zwiększać jego podmiotowość i zakres uprawnień obywatelskich. W tym też duchu działał, co już przypomniano, rząd RP w Londynie. Dokumenty, które to potwierdzają, wypełniłyby kilka grubych tomów.

Mimo to Maria Turlejska potrafiła napisać, iż całkowita odpowiedzialność za to, że „zbrodniczą działalność terrorystyczno-polityczną” podjęli także ludzie, którzy uprzednio walczyli z okupantem hitlerowskim, „przekreślając tym swój dorobek z czasów wojny”:

„(...) spada na reakcyjnych, antydemokratycznych i antyradzieckich przywódców politycznych i wojskowych. Oni to przez swe nakazy po-

zostania w podziemiu po wyzwoleniu pchali na tę drogę swych podkomendnych, odcinając im drogę powrotu do społeczeństwa”*.

W rzeczywistości było akurat odwrotnie.

Podobny stosunek miały władze Polski Podziemnej do rządu komunistycznego. Był to już Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej, bo Krajowa Rada Narodowa, działając na polecenie Stalina, w taki twór przekształciła 31 grudnia 1944 r. sprawujący dotychczas władzę PKWN, co nastąpiło mimo protestów mocarstw zachodnich. Sytuacji politycznej kraju w niczym to nie zmieniło. Na czele owego rządu — natychmiast uznanego przez ZSRR, ale tylko przez ZSRR — stanął dotychczasowy przewodniczący PKWN Edward Osóbka-Morawski. Mimo to władze podziemia uznały wówczas, że zamiast do siebie strzelać, trzeba ze sobą rozmawiać.

Nie zmieniły tej postawy po konferencji Wielkiej Trójki, która od 4 do 11 lutego 1945 r. odbyła się w Jałcie i podjęła decyzje bardzo Polskę krzywdzące. Podczas gdy Rząd RP w Londynie kategorycznie i z oburzeniem odrzucił „jałtański dyktat”, przywódcy podziemia uznali, że trzeba się z nim, choć z bólem, pogodzić. Po kilku posiedzeniach Krajowej Rady Ministrów i Rady Jedności Narodowej, której przewodniczył legendarny przywódca PPS, uczestnik walk z caratem, wieloletni więzień Szlisselburga Kazimierz Pużak („Bazyli”), 22 lutego podjęto uchwałę, stwierdzającą, że RJN wprawdzie stanowczo protestuje „przeciwko jednostronności postanowień konferencji”, lecz „zmuszona jest zastosować się do nich”.

Dobra wola przywódców podziemia i ich dążenie do znalezienia kompromisu sprawiły, że wkrótce wpadli oni w pułapkę, zastawioną przez gen. Sierowa, który 27 i 28 marca podstępnie ściągnął ich do Pruszkowa na „konferencję”, po czym aresztował i wywiózł samolotem do Moskwy, gdzie umieszczeni zostali w więzieniu na Łubiance.

Wśród szesnastu porwanych był Kazimierz Pużak. Skazany na półtora roku

więzienia, już w listopadzie 1945 r. powrócił do kraju. W czerwcu 1947 r. został ponownie aresztowany i skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na dziesięć lat. W trakcie odsiadywania wyroku (skróconego dzięki amnestii o połowę) 30 kwietnia 1950 r. zmarł w szpitalu więziennym w Rawiczu, do którego został przeniesiony, gdy był już w stanie agonii, świadomie spowodowanym przez kierownictwo więzienia.

Wprawdzie struktury państwa podziemnego po porwaniu szesnastu jego przywódców jeszcze istniały (Pużaka na stanowisku przewodniczącego RJN zastąpił Jerzy Braun ze Stronnictwa Pracy), ale były one coraz bardziej bezradne i bezbronne. Paraliżowało je w dużym stopniu stanowisko mocarstw zachodnich, które obojętnie obserwowały to, co dzieje się w zniewolonej i opuszczonej przez nie Polsce.

Komunistyczny rząd, który w lutym przeniósł się z Lublina do Warszawy, umacniał się z każdym dniem. Popierali go już nie tylko kryminaliści i półanalfabeci, którzy z jego nadania sprawowali absolutną władzę na prowincji. Coraz liczniej opowiadali się za nim robotnicy i chłopci, omamieni obietnicą — w szerokim zresztą zakresie realizowaną — społecznego awansu. Współdziałali z nim przedstawiciele inteligencji, ludzie nauki i sztuki. Jedni z przekonania, że uda się go spolszczyć i udemokratyzować, drudzy ze względów koniunkturalnych. Mimo wszystko nie była to okupacja hitlerowska. Wojna dobiegała kresu, niemieckich wojsk w Polsce nie było, praca czekała, przyszła pora na rozpoczęcie nowego życia.

Nie dla wszystkich jednak. Polowanie na ludzi z AK kontynuowano z rosnącą zaciekleścią. Ich sytuacja była dramatyczna.

Dziś, po upływie przeszło pół wieku od tamtych wydarzeń, podziw i szacunek musi budzić postawa tych dowódców i żołnierzy AK, którzy mimo tak beznadziejnego położenia nie poddali się, nie uciekli ze swej ziemi na drugi kraniec Polski, nie wkupili się w łaski nowej władzy zdradą swych ideałów i swych towarzyszy broni, lecz raz jeszcze podnieśli się do walki. Już tylko w imię obrony własnej żołnierskiej godności.

Najpierw nastąpiło to na Białostocczyźnie, której losy po akcji „Burza” dość długo ważyły się, gdyż wszystko wskazywało na to, że zostanie ona przyłączona do ZSRR. W połowie lutego 1945 komendant Białostockiego Okręgu AK, płk Władysław Liniarski („Mściśław”), realizując rozkaz gen. Okulickiego rozwiązał Armię Krajową, lecz natychmiast utworzył „Armię Krajową Obywatelską”, która, mówiąc *szczerze*, od AK niczym się nie różniła, gdyż działała w tych samych strukturach i przejęła od AK ludzi i wszystkie jej zasoby. Jednocześnie przystąpiono tam do organizowania oddziałów samoobrony, które wkrótce przekształciły się w silne, doskonale uzbrojone oddziały partyzanckie.

Największym z nich, pozostającym w dyspozycji komendy Okręgu, była V Brygada Wileńska legendarnego mjr. „Łupaszki” (Zygmunt Szendzielarz), która przedarła się na teren Białostocczyzny już w sierpniu 1944 r. Jej dowódca podporządkował się wówczas płk. „Mściśławo-

wi". Zimą partyzanci „Łupaszkii" wraz z innymi żołnierzami wileńskiej AK, którzy dołączyli do nich po przejściu granicy, spędzili na kwaterach. Przeprowadzili w tym czasie wiele akcji o mniejszym znaczeniu. Na początku kwietnia, po zarządzonej przez płk. „Mścislawa" koncentracji, V Brygada znów wyszła w pole. Brygadą była wtedy tylko z nazwy, gdyż liczyła zaledwie ponad 80 ludzi, ale już po miesiącu stan ten podwoił się i później rósł nadal.

W lutym, marcu i kwietniu 1945 r. zbrojne podziemie przejawiało już na Białostocczyźnie dużą aktywność. Jego oddziały zajmowały wiele miejscowości, toczyły zwycięskie walki z grupami operacyjnymi NKWD, kolejno rozbrajały posterunki MO, likwidowały dziesiątki konfidentów i szczególnie zajadłych ubowców.

Podjęły walkę Podlasie, Rzeszowszczyzna, Podhale. Lotne oddziały partyzanckie znów pojawiły się na Zamojszczyźnie. Pierwszym z nich dowodził sławny mjr „Zapora" (Hieronim Dekutowski), drugim — jeden z bardziej znanych partyzantów 8 ppLeg. AK, ppor. „Ryś" (Stanisław Łukasik), który zyskał rozgłos ucieczką z czujnie strzeżonego aresztu NKWD w Lublinie. Wkrótce, gdy dołączyło do nich jeszcze kilka grup, powstało silne zgrupowanie pod dowództwem „Zapory".

Bolesnym ciosem dla Okręgu Lubelskiego stało się w tym czasie aresztowanie kilku jego dowódców, które nastąpiło 21 marca 1945 r. na Pradze w trakcie zwołanej przez płk. „Wira" odprawy inspektorów i komendantów obwodów. Aresztowany wtedy został także inspektor puławski, mjr „Żeliwa".

Był to dzielny żołnierz i mądry dowódca. W czasie okupacji jako komendant obwodu skutecznie rozładowywał liczne napięcia w stosunkach między AK a innymi formacjami zbrojnymi, AL nie wyłączając. Później główne swe zadanie upatrywał w ratowaniu swych podkomendnych, za których czuł się odpowiedzialny. Wiele uwagi poświęcał pracy wychowawczej z żołnierzami, kształtowaniu ich postaw.

— Konspiracja i partyzantka — mówił podczas rozmowy, którą wraz z „Maksem" przeprowadziliśmy z nim w Warszawie, w połowie lat osiemdziesiątych — wytworzyły nowy typ żołnierza, mianowicie żołnierza-ochotnika i nowy typ dowódcy. Warunkiem właściwego ich współdziałania była nie ślepa dyscyplina, lecz absolutne wzajemne zaufanie. Każdy żołnierz musiał być przygotowany na to, że może *znaleźć* się w sytuacji, w której sam dla siebie będzie dowódcą, sam sobie będzie wydawał rozkazy i sam będzie je wykonywał. Dowódca natomiast powinien to rozumieć i ufać w rozsądek i dobre intencje swych podko-

mendnych. Powinien też podporządkować swe sprawy osobiste interesom służby i wiele od siebie wymagać. Bo jeśli wiele wymagał od siebie, miał prawo wiele wymagać od innych. Nie tylko od swych żołnierzy. Także od społeczeństwa.

Mjr „Żeliwa", kawaler Virtuti Militari, oficer armii II RP, takim właśnie dowódcą był przez cały okres swej trwającej pięć i pół roku służby w ZWZ-AK, którą zawsze pełnił w pierwszej linii, na najbardziej zagrożonych posterunkach. I dlatego

wszyscy jego dawni podkomendni darzą go szacunkiem. W więzieniach, z krótkimi przerwami, przesiedział ponad sześć lat. Jeszcze w 1972 r. skazano go na rok więzienia w procesie „Ruchu”. W chwili, gdy piszę te słowa — dobiega do dziewiciędziesiątki.

Na stanowisku szefa inspektoratu zastąpił go jego towarzysz broni z 15 pp „Wilków” mjr Piotr Ignacak, uprzednio „Sawa”, a wtedy „Just”, w czasie okupacji komendant Podobwodu „A”, później komendant Obwodu Puławy. Nie miał prawej dłoni, którą przed wojną urwał mu odłamek granatu, źle rzuconego przez żołnierza w czasie ćwiczeń. Mimo inwalidztwa cechowała go ogromna energia. Doskonały konspirator i organizator, odporny na niepowodzenia i klęski, był szczególnie predestynowany do kierowania inspektoratem w tym złym czasie. Dotrwał jako inspektor do końca. Ostatni.

„Orlik” był jego zastępcą do spraw bezpieczeństwa, co praktycznie oznaczało, że kierował walką bieżącą na terenie inspektoratu. Z „Ju-stem” znali się i rozumieli dobrze, bo „Just”, przez cały czas okupacji niemieckiej jako komendant Podobwodu „A” (pod pseudonimem „Sawa”) był bezpośrednim zwierzchnikiem „Orlika” zarówno jako szefa Kedywu podobwodu, jak i dowódcy OP L

Komendantem Obwodu Puławy został kpt. „Kotlina”, w czasie okupacji komendant Rejonu IV (Ryki-Ułęż).

Administracja PKWN dokonała wprawdzie korekty podziału terytorialnego, przywracając stan sprzed wybuchu wojny, co oznaczało, że obszar od Wieprza na północ, wraz z Rykami, należący w czasie okupacji do powiatu puławskiego wchodzącego w skład dystryktu Lublin, ponownie znalazł się w powiecie garwolińskim i w województwie warszawskim, ale inspektorat działał w poprzedniej strukturze. Nie było czasu, możliwości i potrzeby, by ją zmieniać.

Wtedy, wczesną wiosną 1945 r., „Orlik” dysponował oddziałem partyzanckim pod dowództwem por. „Świta”, który to oddział po dołączeniu doń plutonu zbiegów ze Skrobowa, operował już jako jednostka

131

zwarta, a nie, jak poprzednio, kilkoma grupami oraz zmienną ilością istniejących w poszczególnych podobwodach drużyn dywersyjnych. Razem z członkami placówek, którzy nadal uważali się za żołnierzy AK, była to siła licząca ok. 800 ludzi. Dobrze uzbrojonych, znających żołnierskie rzemiosło, w większości z dużym doświadczeniem wyniesionym z konspiracji, sabotażu i dywersji, partyzantki.

Gdy po forsownym marszu oddział dotarł do zabudowań kolonii Wola Zadybska, było już po północy. Zaczął się piątek, 13 kwietnia. Rzeczywiście miał okazać się dniem feralnym. Ale nie dla nich.

Kilkanaście godzin przedtem w lesie koło Zalesia na przyczajony w zasadzce pierwszy pluton weszło sześciu milicjantów z Ryk. Po pierwszych seriach rzucili broń i podnieśli ręce do góry. Żadnemu nie spadł włos z głowy. Zapowiedziano im, żeby w tropieniu akowców i szykanowaniu ludzi akowcom sprzyjającym nie byli zbyt aktywni, bo przy następnym spotkaniu gorzej się to dla nich skończy i — pozbawio-

nych broni — wypuszczono. O to właśnie chodziło: o uświadomienie im, że skończył się czas ich absolutnej władzy i że za każdy popełniony gwałt będą musieli zapłacić. Nie o zabijanie.

Zanim jednak zdążyli wrócić do Ryk, dotarła tam, na posterunek MO, wiadomość, że „Orlik” wszystkich sześciu bestialsko zamordował. Komendant posterunku, sierż. Stanisław Kowalczyk, sądząc, że wkrótce „Orlik” przyjdzie i po niego, uciekł zatrzymanym na szosie samochodem aż do Garwolina i zameldował w PUBP o zbrodni. Szef urzędu powiadomił o tym Warszawę i przystąpił do montowania grupy operacyjnej, mającej ruszyć w pościg za mordercami. Kowalczykowi dał kilku ludzi i odesłał go z powrotem do Ryk.

Na posterunku sierżant zastał swoich milicjantów. Bez broni, skwaszo-nych, ale całych. Napastników widzieli z bliska, rozmawiali z nimi, lecz żadnego nie potrafili zidentyfikować. Było to dziwne, bo przecież ludzi „Orlika” na ogół znali. Ale o pierwszym plutonie nie mieli jeszcze pojęcia.

Po uwolnieniu milicjantów pluton wraz z całym oddziałem dowodzonym przez por. „Świta” ruszył na północ. Po drodze dołączył „Orlik” z nieodstępującym go „Spokojnym”.

Kolonia Wola Zadybska i wieś o tej samej nazwie są położone o około 7 km na południe od Żelechowa, mniej więcej w połowie drogi, łączącej tę miejscowość w Trojanowie z szosą Warszawa-Lublin.

Pierwszy pluton zakwaterował w dwóch chałupach na skraju kolonii. Widok zupełnie im nie znanych, umundurowanych ludzi wyraźnie

132

zaniepokoił gospodarzy. Wkrótce okazało się, że mieli powody do niepokoju: w sąsiednich zabudowaniach przebywało kilka młodych kobiet z AK, zbiegłych z obozu NKWD w Rembertowie. Chłopi byli przekonani, że to wojsko lub — co gorsze — „resort”.

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy śpiących obudziły strzały. Do izby wpadł gospodarz i zawołał:

— Panowie, uciekajcie, leśni idą!

To nie byli „leśni”, lecz żołnierze Wojsk Wewnętrznych (wkrótce przekształconych w KBW), osłaniający funkcjonariuszy UB z Żelechowa, którzy przed świtem przybyli do Woli Zadybskiej, by dokonać tu aresztowań. *Zaczęli* od skrajnej chaty, w której wraz z drugą drużyną I plutonu kwaterował „Spokojny”. W chwili, gdy zbliżyli się do niej, stojący na ubezpieczeniu partyzant, zniecierpliwiony przedłużającym się brakiem zmiany, zszedł z posterunku, aby przywołać zmiennika. Zostawił drzwi otwarte i dwaj ubecy bez przeszkód weszli do izby. W półmroku dojrzelili ludzi leżących na słomie i kogoś siedzącego za stołem. Był to „Spokojny”.

- Kto wy? — krzyknął jeden z ubowców.
- Wojsko! — odparł „Spokojny”.

Ubowiec skierował w niego lufę pepeszy, ale „Spokojny” był szybszy. Zastrzelił jednego i ranił drugiego, który zdołał wybiec z izby. Budynek był otoczony, rozpoczęła się strzelanina.

Obudziła ona pierwszy pluton, który natychmiast włączył się do akcji. Żołnierze WW nie spodziewali się ataku z sąsiednich zabudowań. Ostrzelani z trzech erkaemów i kilku pistoletów maszynowych zaczęli uciekać w głąb wsi. Ścigani przez pierwszy pluton wpadli pod ogień kwaterującego na drodze ich ucieczki drugiego plutonu, przy którym byli „Orlik” i „Świt”. Zrozumieli, że nie mają szans. Z liczącej 32 ludzi grupy operacyjnej tylko dwóm udało się uciec. Kilku poległo, kilku było rannych, reszta poddała się. Umieszczono ich w stodole pod strażą.

Ale to było dopiero preludium. „Świt” uporządkował oddział, zjedzono śniadanie, zarządzono odpoczynek. Rozstawione wokół wsi posterunki nikogo z niej nie wypuszczały.

Dochodziła godz. 10.00, gdy ubezpieczenie zameldowało, że drogą od Żelechowa zbliża się kilku umundurowanych i uzbrojonych ludzi. Padł rozkaz natychmiastowego ukrycia się w głębi zabudowań. Posterunki zwinięto. Tamci szli jak barany. Nawet ich nie zdziwiło, że wieś o tej porze jest całkowicie opustoszała. Gdy znaleźli się w jej centrum — zostali otoczeni.

133

Nie próbowali się bronić. Rozbrojono ich bez jednego strzału i zamknięto w następnej stodole. Byli to ubowcy z Żelechowa, którzy postanowili sprawdzić, dlaczego grupa operacyjna tak długo nie wraca.

„Świt” zarządził przygotowanie do wymarszu. Tuż przed nim z linii ubezpieczeń nadszedł meldunek, że z przeciwnego kierunku, bo od szosy lubelskiej, zbliża się kompania wojska. Zarządzono alarm, plutony zajęły dobrze wybrane stanowiska ogniowe.

Tamci szli gromadą, nie zachowując żadnych środków ostrożności, widać było, że są bardzo pewni siebie. Pierwsze serie, zgodnie z rozkazem, przeszły im nad głowami. Ktoś zawołał, by rzucili broń. Rozsypali się w tyralierę i zalegli na mokrym polu. Odpowiedzieli chaotycznym ogniem. Gdy odezwała się cała broń maszynowa oddziału, pojęli, że mają przed sobą nie kilku bandziorów, lecz dobrze uzbrojony i wyszkolony oddział, nie ustępujący im liczebnością. Trwała jeszcze wymiana ognia, ale z ich strony coraz bardziej niemrawa. Gdy ranny został ich dowódca, niemal w ogóle przestali strzelać.

Wtedy poderwał się I pluton. Żołnierze WW kolejno rzucali broń i podnosili ręce do góry. Ich dowódca, porucznik, w galowym (!) mundurze, dostał w koalicijkę na piersiach, pocisk wyszedł przez plecy, też ko-alicyjką. Polak. Błagał, by go nie zabijać. „Orlik” rozkazał odwieźć go do szpitala w Żelechowie. Przeżył. Odwieziono tam i pozostałych rannych jeńców. Reszta znalazła się w trzeciej stodole. Po odejściu oddziału zostali uwolnieni i odeszli. Zwolniono także jeńców wziętych uprzednio. Z wyjątkiem kilku funkcjonariuszy UB, znanych z okrucieństwa wobec akowców, z rozlicznych gwałtów i rozbojów, popełnianych na miejscowej ludności. W Woli Zadybskiej definitywnie zakończyli swój haniebny proceder.

Tym razem wymarsz nastąpił bardzo szybko. Zbiórkę oddziału obserwowali niemal wszyscy mieszkańcy wsi. Gdy oddział, serdecznie żegnany, ruszył, młodzież odprowadziła go daleko poza wieś. Wielu chłopców chciało do partyzantów dołączyć,

ale „Orlik” nie wyraził na to zgody.

Bilans tego obfitującego w wydarzenia dnia był dla oddziału niezwykle pomyślny: nie tylko nie pozwolił się rozbić, ale zagarnął i rozbroił trzy grupy operacyjne. I to w sposób kompromitujący dla przeciwnika. Niewątpliwie przesądziły o tym kardynalne błędy dowódców owych grup, ale także i to, że żołnierze WW nie kwapili się do walki i czekali tylko na sytuację, usprawiedliwiającą podniesienie rąk. W rezultacie oddział wziął kilkudziesięciu jeńców, bardzo dużo broni i oporządzenia. Przeciwnik miał kilku zabitych i kilku rannych. Ranni byli także w II plutonie.

134

Żeby nie narazić się na zarzut, że po tylu latach przebieg tych wydarzeń relacjonuje tendencyjnie, wyolbrzymiając partyzancki sukces, przytoczę odpowiedni zapis zawarty w pracy, którą o tego rodzaju tendencyjność podejrzewać nie sposób, bo w tomie pt. *Z walk przeciw zbrojnemu podziemiu 1944-1947*, wydanym pod auspicjami Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego i pod redakcją Marii Turlejskiej. W rozdziale pt. *Organizacja i działalność Wojsk Wewnętrznych (sierpień 1944-maj 1945)* jego autor Włodzimierz Nowacki pisze na s. 127:

„Za całkowicie nieudaną akcję trzeba uznać działania 13 kwietnia 1945 r. w rejonie Żelechowa w miejscowości Wola Zadybowska (sic!). Przeciwko jednej z grup oddziału «Orlika» została wysłana grupa 32 żołnierzy z 2 kompanii 3 batalionu 2 Brygady pod dowództwem st. sierż. Grosa. Operacyjnie dowodzili nią dwaj pracownicy UB z Żelechowa. Bez zwiadu i zabezpieczenia cała grupa weszła do miejscowości Wola Zadybowska i w niej została ostrzelana, okrażona, a następnie rozbrojona. Jedyne dowódca grupy i jeden pracownik UB zbiegli. Na drugi dzień wyruszył do tej miejscowości dowódca kompanii por. Mieczysław Dobek z resztą kompanii w celu uzyskania informacji o losach żołnierzy. Nie zachowując ostrożności, zmylony umundurowaniem wojskowym oddziału «Orlika», wpadł w zasadzkę wraz z kilkoma żołnierzami. W wyniku działań w dniach 13 i 14 kwietnia kompania straciła 4 zabitych, 6 rannych i 30 uprowadzonych. Uratowało się jedynie 13 żołnierzy, którzy wymknęli się z zasadzki”.

Są w tym zapisie przekłamania. Nie mówi on o rozbrojeniu i ujęciu grupy pracowników UB z Żelechowa, ale to można zrozumieć, bo w grupie tej nie było żołnierzy WW i prawdopodobnie o incydencie tym w archiwach WW-KBW nie ma wzmianki. Rażącym błędem jest natomiast rozciągnięcie owych wydarzeń na dwa dni. Żadnemu szanującemu się historykowi tamtych lat, znającemu choć trochę partyzanckie realia, nie trzeba chyba tłumaczyć, że dowódca partyzancki, który po rozbiciu jednej grupy i wzięciu do niewoli drugiej — trzymałby swój oddział przez całą noc na miejscu tych wydarzeń, byłby albo szaleńcem, albo samobójcą. „Orlik” z pewnością ani szaleńcem, ani samobójcą nie był. Nie było więc żadnego „drugiego dnia”, wszystko zamknęło się w jednym.

Niemniej cytowany tekst w porównaniu z bałamutnymi wzmiankami na temat Woli Zadybskiej, jakie znaleźć można w innych wydawanych w PRL pracach, jest najbliższy prawdy. Także w przypadku wysokości strat poniesionych przez kompanię WW. Pomija on natomiast straty UB z Żelechowa. Uważam, że warto

było go przytoczyć,

735

gdyż nie kryje on, że grupy operacyjne WW i UB zostały w Woli Zadybskiej nie tylko pobite, ale wręcz ośmieszane.

Inna sprawa, że na „szlaku bojowym” Wojsk Wewnętrznych Wola Zadybska nie była jedyną kompromitacją. Dokładnie w tym samym dniu 13 kwietnia-1945 r., dostały one jeszcze większe lanie w rejonie Sokołowa Podlaskiego, o czym pisze w cytowanej wyżej pracy Włodzimierz Nowacki (s. 128). Zaczęło się podobnie jak w Woli Zadybskiej: 30 żołnierzy 3 batalionu 2 Brygady WW pod „dowództwem operacyjnym” trzech pracowników UB wyruszyło 12 kwietnia z Sokołowa Podlaskiego do wsi Wyrozęby, gdzie ubowcy dokonać mieli aresztowań. Po drodze, w nocy, już 13 kwietnia, starli się z jakimś oddziałem zbrojnym, który po krótkiej wymianie ognia wycofał się. *Żadna* ze stron nie poniosła strat. Grupa operacyjna pomaszerowała dalej. Zadanie wykonała: ubowcy aresztowali trzy osoby. Wracali zadowoleni z siebie, silni owym sukcesem. Prowadzili aresztantów. Zapomnieli o ubezpieczeniu. Weszli prosto w zasadzkę, przygotowaną przez oddział, z którym starli się przed kilkoma godzinami. Na początku walki opętał ich jakiś amok i ze strachu albo ze złości zastrzelili wszystkich aresztowanych, wydając tym samym wyrok na siebie. Gdy bowiem nie mogąc przebić sobie drogi, rzucili się do bezładnej ucieczki i 14 żołnierzy WW oraz trzech ubowców wpadło w ręce tamtych — wszystkich zamordowano. W odwecie za tych bezbronnych, których zabili. Pozostałym udało się uciec.

Kiepskie więc to było wojsko. Niewyszkolone, fatalnie dowodzone, a co najważniejsze nie przejawiające najmniejszej ochoty do walki. Chyba że miało nad przeciwnikiem druzgocącą przewagę. Jak w Pio-trówku, gdy otoczyło „Orlika”. W boju z oddziałem partyzanckim, nawet mniej liczebnym i gorzej uzbrojonym, nie miało żadnych szans.

Po latach przyznał to gen. bryg. Włodzimierz Mus, w młodości żołnierz Armii Czerwonej, po wojnie dowódca specjalnego pułku KB W, a w latach 1951-1964 dowódca KBW, żołnierz z pewnością doświadczony. W rozmowie z Lechem Kowalskim powiedział:

„Tak, my, komuniści, byliśmy wspierani przez Armię Radziecką, inaczej strona przeciwna by nas zwyciężyła. Byli lepiej zorganizowani, przewyższali nas taktyką walki w mieście i w lasach, mieli duże poparcie społeczne, byli lepiej wyszkoleni i sprawniejsi w działaniu. Mieli lepsze kadry”*.

Gen. Mus powiedział to późno, bo dopiero w kwietniu 1989 roku. Lepiej jednak późno niż wcale. Zwłaszcza, że nawet i wtedy niewielu ludzi z jego formacji stać było na takie wyznanie.

W trzy dni po Woli Zadybskiej, 16 kwietnia, oddział pod dowództwem „Świta”

opanował posterunek MO w Adamowie w powiecie łukowskim. Na trzech znajdujących się tam pracowników PUBP z Łukowa wykonano wyroki śmierci. Łowna zwierzyna zaczęła polowanie na myśliwych.

Pomnik w Puławach

Siedzący za kierownicą czerwonoarmista, widząc przed sobą dwóch polskich żołnierzy, z których jeden podniósł czerwoną chorągiewkę, spojrzął na siedzącego obok niego majora, a gdy ten skinął głową, nacisnął hamulce. Ciężki Studebacker zatrzymał się na poboczu, do szoferki podszedł kpr. podch. Stanisław Szymański („Igołka”) i po rosyjsku zameldował majorowi, iż ze względu na to, że teren jest zagrożony przez bandytów muszą dokonać objazdu. Ręką wskazał kierunek: w stronę Puław i w prawo, drogą prowadzącą przez las. Major zaklął, ale kazał kierowcy wykonać polecenie. Tamci dwaj wskoczyli na stopnie i Studebacker ruszył.

W kilka minut później zajmujący stanowisko obserwacyjne kpr. Eugeniusz Ruta („Gryf”) po przepuszczeniu paru samochodów, które uznał za nie nadające się do ich celów, zasygnalizował dowodzącemu zasadzką kpr. podch. Jerzemu Michalakowi („Świda”), że nadjeżdża taki, jakiego potrzebują. Historia powtórzyła się. Tym razem obok kierowcy siedział lejtnant, a o objeździe meldował mu kpr. podch. Zdzisław Jarosz („Czarny”).

Działo się to na krzyżówce w Żyrzynie, w miejscu, gdzie z szosą War-szawa-Lublin łączą się drogi wiodące na północ do Baranowa i na południe do Puław. Był wtorek 24 kwietnia 1945, dochodziła godz. 10.00.

W lesie czerwonoarmistów rozbrojono i samochody ruszyły leśnymi duktami do Sachalina, małej i biednej wioski, położonej w głębi lasu.

Oddział przybył tam przed wschodem słońca i kwaterował w ubogich chatach. Rankiem „Orlik” rozkazał por. „Wiernemu”, by wysłał ludzi na krzyżówkę po dwa samochody.

— Najlepiej Studebackery — powiedział. — Z napędem na cztery koła. I oczywiście z pełnymi bakami.

Poszła pierwsza drużyna I plutonu. Rozkaz „Orlika” wykonała ściśle. W Sachalinie stanęły dwa Studebackery nie tylko z prawie pełnymi bakami, ale każdy z beczką zapasowego paliwa. Jeden z nich wiózł sorty mundurowe i prowiant, głównie konserwy.

Tego, po co ściągnięto te samochody, aż do obiadu nikt nie wiedział. Dopiero ok. godz. 14.00 „Orlik” zarządził zbiórkę oddziału i oświadczył, że zostanie przeprowadzona bardzo ważna, lecz bardzo ryzykowna akcja, w której uczestniczyć będą wyłącznie ochotnicy. Na rozkaz por. „Świta”: „ochotnicy wystąp!” — wystąpił cały pierwszy pluton, a za nim większość pozostałych. „Świt” wybrał 36 ludzi najle-

piej uzbrojonych i przeprowadził z nimi odprawę. Poinformował, że celem akcji jest zaatakowanie i opanowanie gmachu PUBP w Puławach oraz uwolnienie znajdujących się tam więźniów. Nie krył, iż akcja będzie trudna także z tej przyczyny, że w Puławach jest parę tysięcy żołnierzy sowieckich. Wprawdzie część z nich to rekonwalescenci, a reszta należy do jednostek tyłowych, ale w sumie stanowią siłę, z którą grupa uderzeniowa nie mogłaby nawiązać równorzędnej walki.

Na pierwszy samochód załadowało się szesnastu żołnierzy z I plutonu — wszyscy w mundurach — i sześciu partyzantów z dowodzonej przez Lolka „Kruka” (Aleksander Zdybicki) drużyny dywersyjnej z rejonu Garbatka. Był wśród nich Bogusław Jakubicki („Junior”). Ta szóstka występowała w roli aresztantów, ujętych przez wojsko i transportowanych do PUBP w Puławach. W kabinie siedział „Orlik” przebrany w mundur zatrzymanego na szosie lejtnanta, kierowca też był w mundurze czerwonoarmisty. Drugim Studebackerem dowodził „Świt”, który wraz z dwudziestoma umundurowanymi partyzantami ulokował się na jego krytej brezentem platformie. Obok przebranego za czerwonoarmi-stę kierowcy siedział „Igołka” w mundurze sowieckiego majora.

Samochody ruszyły, reszta oddziału pozostała w Sachalinie. W sąsiedztwie jednej ze stodół major i lejtnant oraz ich kierowcy, wszyscy w bieliźnie, posilali się amerykańską wieprzowiną z puszek, popijając ją bimbrem. Wieprzowinę sami przywieźli, ale bimber był partyzanckim poczęstunkiem.

Kilkunastokilometrowy odcinek do Puław „grupa operacyjna” przebyła bez przeszkód. Około godz. 15.00 znalazła się w Puławach. W mieście panował ożywiony ruch, na ulicach pełno było sowieckich żołnierzy. Na samochody nikt nie zwracał uwagi, codziennie widziano takich setki.

Z głównej drogi skręcili w prawo, gdzie samotnie, w sporej odległości od innych zabudowań, stał gmach będący siedzibą PUBP: solidny dwukondygnacyjny budynek, wyglądający jak twierdza; w oknach kraty i worki z piaskiem, wysokie ogrodzenie, przed wąskim wejściem uzbrojone posterunki. Studebackery stanęły, wyskoczyło z nich kilku umundurowanych ludzi, otworzyli klapy w pierwszym i zaczęli wyskakiwać

139

z niego aresztanci, poganiani okrzykami. Ci z drugiego samochodu też go opuścili.

„Igołka” podszedł do wartowników, a w tej samej chwili wybiegł z budynku oficer NKWD. „Igołka” krzyknął do niego po rosyjsku, że przyjechała grupa operacyjna z Warszawy i przywiozła sześciu bandziorów. Wskazał ich dłonią. Potargani i ubrudzeni, w poszarpanych ubraniach, z rękami założonymi na kark, szli w stronę wejścia, konwojowani przez uzbrojonych w pepesze partyzantów. Pozostali zaczęli okrążać budynek. Enkawudzista coś zwietrzył.

— Komandir pajdiot za mnoj — zawołał — ostalnyje ostanutsja zdzies!

„Igołka” nie zareagował i Rosjanin sięgnął do kabury. Stojący za „Igołką” „Orlik” był jednak szybszy i położył go jednym strzałem z colta. Rozbrojono pozostałych wartowników. Budynek był już otoczony.

Na tyłach budynku „Gzysm” (Zenon Owczarski) obserwujący wartownika, który

wyprowadził do ubikacji kilka aresztowanych kobiet, na odgłos strzału wbił wartownikowi w brzuch lufę stena, a kobietom kazał uciekać w stronę widniejącego w dali lasu. Puściły się biegiem.

Konwojowani „aresztanci” wraz ze swą eskortą sforsowali wejście i wtargnęli do budynku. Wdarła się tam także grupa pod dowództwem „Świta”. Szybko opanowano parter i część pierwszego piętra. „Świda” i kpr. podch. „Samopał” (Kazimierz Łukasik) z kilkoma innymi zbiegli do piwnic, gdzie mieścił się areszt. Z braku kluczy rąbali jakimiś łomami drzwi do cel, w których w straszliwych warunkach, w ścisłości, brudzie i smrodzie trzymano więźniów. Uwolnieni ruszyli na podwórze. Ubowcy zablokowani w kilku pomieszczeniach na piętrze zaciekle się ostrzeliwali. Oddaną z okna serią z kaemu trafili w brzuch jednego ze skrobowskiaków, sierż. podch. „Longinusa” (Feliks Tymoszek), który z erkaemem ubezpieczał akcję od strony miasta. Drugi erkaem kpr. podch. „Kotwicy” (Tadeusz Czajkowski) stanowił ubezpieczenie od strony sowieckich koszar. Po ranieniu „Longinusa” „Kotwica”, także skrobowskiak, ubezpieczał z obydwu kierunków.

„Orlik” rozkazał „Igołce” umieścić „Longinusa” w samochodzie i ewakuować obydwu Studebackery. Ruszyły pełnym gazem, na stopniach pierwszego stał w mundurze sowieckiego majora „Igołka”, machał trzymaną w ręce papachą i krzyczał na całe gardło:

— Tawariszczi! Poliaki naszych bijut!

Nie zatrzymywani wyjechali z Puław, kierując się na Sachalin. W całym mieście wybuchała bezładna strzelanina. Każdy z mających

140

broń czerwonoarmistów tłukł w niebo lub przed siebie. Jeden z przypadkowych pocisków dosięgnął kpr. podch. Mariana Sośniaka („Żaba”), który zginął na miejscu.

Po wypuszczeniu więźniów „Orlik” dał znak do zwinięcia akcji i odwrotu. Wprawdzie na piętrze zostali ostrzeliwujący się nadal ubowcy, ale próby wykurzenia ich stamtąd nie miałyby sensu. Cel akcji został osiągnięty i trzeba było spieszenie odszukiwać, bo sowieccy oficerowie zaczęli już porządkować sytuację. Na dachu pobliskiego budynku, zamienionego na koszary, ustawili ckm, który prażył po tylnej części gmachu PUBP.

Oddział, poprzedzany uwolnionymi więźniami, brnąc przez podmokłe pola, cofał się na wschód, w stronę lasu. W budynku została straż tylna i kilku uwolnionych, którzy widząc wybuchające granaty, rzucane z części nie zdobytego piętra, lękali się przebiec przez dziedziniec. Na domiar złego zaciął się erkaem, którym miał ich osłaniać kpr. podch. „Nieczuja” (Jerzy Śląski). W krytycznej sytuacji pomógł im por. „Świt”, który nigdy nie zostawiał swych żołnierzy. Wrócił i celnym rzutem granatu uciszył ubowców. Został wtedy ranny zastępca szefa PUBP, ppor. Aleksander Ligęza („Armata”). Po usunięciu zacięcia erkaemu i uciszeniu kilkoma seriami bijącego z dachu pobliskiego budynku sowieckiego Maxima, również i straż tylna miała otwartą drogę odwrotu.

Gdy oddział znajdował się w połowie drogi do lasu, zmasowany ogień otworzyły sowieckie cekaemy. Dwóch partyzantów i dwóch uwolnionych więźniów zostało

ranych. W trakcie wycofywania się kpr. podch. „Znicz” (Jerzy Skolimowski) i skrobowski kpr. „Finkarz” (Eugeniusz Radon), wzięli do niewoli sześciu wyższych sowieckich oficerów — od majora wzwyż — wracających z jakiejś libacji. Na rozkaz „Orlika” zostali uwolnieni.

W tym czasie oddział sowiecki zaatakował siedzibę PUBP, sądząc, że jest ona w rękach bandytów. Ubowcy, przekonani, że to bandyci wrócili, odpowiedzieli ogniem. Dopiero po kilkunastu minutach nieporozumienie wyjaśniono. Jednocześnie Sowieci zaczęli z dział przeciwlotniczych ostrzeliwać las na domniemanej trasie odwrotu „bandy”. Ale pociski rozrywały się daleko od partyzantów. Ten chaotyczny ostrzał sprawił, iż jeszcze dziś starzy mieszkańcy Puław opowiadają, że „Orlik” wtargnął wówczas do miasta z artylerią i z całym batalionem. W rzeczywistości miał 44 ludzi.

Do Sachalina dotarli szczęśliwie. Zadanie zostało wykonane. Uwolniono 107 więźniów, w tym 6 kobiet. Straty własne wyniosły dwóch

141

poległych (bo i „Longinus”, mimo przeprowadzonej operacji, zmarł) i kilku ranych. Po tamtej stronie zginęło pięciu funkcjonariuszy UB i dwóch milicjantów, pięciu zostało ranych.

Po zjedzeniu posiłku i krótkim odpoczynku samochody, które przybyły tam znacznie wcześniej niż cała grupa, przerzuciły oddział w rejon Ryk, po czym partyzanci kierowcy przyprowadzili je z powrotem do Sachalina i oddali prawowitym użytkownikom. Czerwonoarmiści opuszczali Sachalin w bardzo wesołych nastrojach.

Uderzenie na PUBP w Puławach, mądrze zaplanowane, precyzyjnie dowodzone przez „Orlika”, dobrze wykonane zyskało duży rozgłos w całym Okręgu Lubelskim. Przede wszystkim dlatego, że w odróżnieniu od wielu innych podobnych akcji, przeprowadzone zostało w biały dzień, w dużym mieście, w którym stacjonowało kilka tysięcy żołnierzy sowieckich, dosłownie tuż pod ich nosem.

Historycy PRL skwitowali tę akcję kiloma wzmiankami. Bardzo lakonicznymi, czemu dziwić się nie należy, bo przecież nie było czym się chwalić, ale jednocześnie zawierającymi wiele rażących kłamstw. I tak np. Władysław Góra i Zenon Jakubowski napisali w swej książce: „Przez kilka godzin pod huraganowym ogniem załoga broniła się. Mając zdecydowaną przewagę liczebną i w wyniku częściowego zaskoczenia atakującym udało się opanować część pomieszczeń jednostki oraz wypuścić z aresztu zatrzymanych. Zamiar zdobycia całego budynku udaremniła bohaterska obrona i pomoc z zewnątrz”*.

Nie było ani „kilku godzin”, ani „huraganowego ognia”, ani zamiaru zdobycia całego budynku, gdyż zadanie polegało na uwolnieniu więźniów i jak najszybszym odwróceniu. Władysław Paleń zakłamał się jeszcze bardziej.

„W lipcu 1945 r. (omylił się tylko o trzy miesiące — przyp. J.Ś.) banda «Orlika» przypuściła atak na Urząd Bezpieczeństwa i Komendę Powiatową MO w Puławach — relacjonuje. — Zdobyto areszt i zamordowano trzech funkcjonariuszy. Całego budynku nie zdobyto, gdyż funkcjonariusze bezpieczeństwa i MO kontratakem wyparli bandę z miasta, zadając jej dotkliwe straty. Na placu boju pozostało 12 zabitych, ranych zdążyli bandyci zabrać”**.

Budynek, w którym mieścił się PUBP, istnieje do dziś. I do dziś wygląda solidnie, a nawet groźnie, co sprawiają szczelnie zakratowane

okna. Ale jeśli wtedy stał właściwie na odludziu, jak samotny bastion, dziś znajduje się w sercu szybko rosnących Puław. Sąsiadują z nim bloki mieszkalne i pawilony handlowe. Ulica, przy której stoi, nazywa się teraz Aleją Zwycięzców. W budynku mieści się Wojskowa Komenda Uzupełnień. Gdy wiosną 1995 r. byliśmy tam z red. Hanną Kramarczuk i jej ekipą z TYP, realizując filmowy reportaż o dawnych latach, rozmawialiśmy z młodym chorążym. Tak, wie, że była tu ubecka katownia. Do dziś w mocnych drzwiach pomieszczeń piwnicznych, których jest wiele, zachowały się „judasze”.

O historii gmachu przypomina pomnik stojący przed nim, otoczony pięknie utrzymaną zielenią. Na niskim cokole orzeł, pod nim tablica z napisem: „W hołdzie żołnierzom AK i WiN oraz innych organizacji niepodległościowych, walczących o wolną Polskę, torturowanym i pomordowanym przez puławski Urząd Bezpieczeństwa w latach 1944—1956. *Gloria victis*”.

Upamiętnia on także tych, którzy za przywrócenie wolności więzionym tu towarzyszom broni zapłacili własnym życiem: podchorążych „Longinusa” i „Żabę”.

Obaj byli dzielnymi żołnierzami, „Longinus” wyróżnił się w czasie ucieczki ze Skrobowa, gdy — już na polu, między szosą a lasem — ogniem z wyniesionego z obozu erkaemu powstrzymał czoło ruszającego za zbiegami pościgu. Leży tam, gdzie go pochowano w 1945 roku: na cmentarzu w Bobrownikach nad Wieprzem. W marcu 1995 r. towarzysze broni „Longinusa” wraz z jego starszym bratem ppłk. Piotrem Tymoszukiem, ps. „Smolarz”, w latach wojny dowódcą specjalnego oddziału BCh w obwodzie włodawskim, postawili na grobie — w miejsce drewnianego i zmurszałego — duży żelazny krzyż z tabliczką zawierającą informacje, których uprzednio nie było: kim był „Longinus”, za jaką sprawę walczył i zginął.

Nie wiadomo natomiast, gdzie znajduje się grób podchorążego Mariana Sośniaka. Ale pomnik ma. Właśnie ten w Puławach, w miejscu, w którym wtedy poległ.

W latach okupacji niemieckiej wyzwalenie więźniów nie stanowiło pierwszoplanowego zadania Polski Walczącej. Jej dowódcy wiedzieli, że jeśli by nawet skierowali na ten odcinek wszystkie swe siły, to ze względu na skalę problemu efekty byłyby nikłe. A jednocześnie osłabiłoby to inne fronty walki bieżącej, zwiększyło groźbę dekonspiracji, nasiliło represje. W zasadzie przeprowadzano takie akcje bądź wtedy, gdy

w ręce Niemców wpadł człowiek, o którym gestapo wiedziało, że dysponuje wiedzą o podziemiu i istniało niebezpieczeństwo, iż wiedzę tę zdołają od niego wydrzeć, bądź wtedy, gdy inicjatywa wychodziła od towarzyszy broni uwięzionych, a dowódcy chcąc nie chcąc wyrażali zgodę. Taką genezę miała głośna akcja pod warszawskim

Arsenałem, przeprowadzona 26 marca 1943 r., a do dziś stanowiąca żywy symbol braterstwa i przyjaźni. Niemniej akcji takich było bardzo wiele i uznaje się je powszechnie za jedną z najpiękniejszych kart w dziejach AK.

Gdy Niemcy odeszli, a przyszli bolszewicy i niepodległościowe podziemie wznowiło działalność zbrojną, mającą od początku do końca charakter samoobrony przeciw terrorowi NKWD i UB, wyzwalenie więźniów stało się jednym z głównych jej zadań. Lista uderzeń dokonywanych w tym celu na więzienia, areszty, obozy, transporty — ciągle znana tylko fragmentarycznie — liczy z pewnością co najmniej kilkaset pozycji.

Jej początki sięgają pierwszego okresu po wygaśnięciu „Burzy”. I tak 19 sierpnia 1944 r. komendant Obwodu AK Hrubieszów, cichociemny kpt. Marian Gołębiowski („Irka”, „Korab”) na czele dużego oddziału wkroczył do tego miasta, zablokował siedziby UB i MO oraz sowiecki garnizon i uwolnił kilkunastu swych ludzi.

7 października 1944 r. grupa żołnierzy AK w biały dzień fortelem wdarła się do więzienia w Zamościu i uwolniła swych dowódców: jednego z najbardziej popularnych partyzantów Zamojszczyzny, por. „Norberta” (Jan Turowski) i dowódcę kompanii „Wiklina”, ppor. „Ryszarda” (Józef Kaczoruk). Z innych cel wypuszczono ponad trzydziestu akowców, w tym samym dniu uwolniono więźniów w Rzeszowie. Akcja w Zamościu zapoczątkowała ciąg głośnych na tamtym terenie wydarzeń, 1 listopada przed świtem dom w Zamościu, w którym ukrywał się ppor. „Ryszard”, został otoczony przez NKWD i UB. Po krótkiej wymianie ognia „Ryszarda” ujęto. Ponownie *znalazł* się w zamojskim więzieniu. Miał być wywieziony do ZSRR. Jego towarzysze broni, za zgodą swych przełożonych, rozpoczęli wówczas negocjacje z szefem PUBP, proponując mu w zamian za uwolnienie „Ryszarda” i innych żołnierzy „Wikliny” — ujawnienie i rozbrojenie się oddziału. Propozycja ta została przyjęta. 12 listopada przed siedzibę PUBP przemaszerowało ok. 300 uzbrojonych partyzantów, wywołując panikę wśród ubowców. Po uwolnieniu „Ryszarda” i pozostałych, z trudem udało mu się powstrzymać swych ludzi przed zaatakowaniem Urzędu i jego pracowników. Ale i z tej strony umowy dotrzymano: „Wiklina” złożyła

144

broń, przystąpiono do formalności związanych z ujawnianiem jej żołnierzy.

Oczywiście wielu z nich wkrótce znów znalazło się za kratami. Niektórych dzięki zastosowaniu różnych podstępów zdołano uwolnić. A *znacznie* później, bo 8 maja 1946 r., wieczorem, grupa pod dowództwem sierżanta „Urszuli” (Roman Szczur) po raz kolejny zaatakowała więzienie w Zamościu, z którego — dodajmy — w czasie okupacji niemieckiej więźniów uwalniano aż czterokrotnie. I tym razem akcja zakończyła się pomyślnie: uwolniono, według danych UB, 301 osób. Zginęło pięciu strażników, próbujących stawiać opór, zdobyto broń.

W nocy z 17 na 18 lutego 1945 r. z Zamku w Lublinie, uważanego za więzienie, z którego ucieczka jest w ogóle niemożliwa, zbiegło 11 żołnierzy AK. Umożliwili im to akowcy, głównie byli partyzanci „Kmicica”, którzy w sierpniu 1944 wcieleni zostali do armii gen. Ber-linga, otrzymali przydział do Batalionu Ochrony Jeńców i w

tę noc pełnili służbę w więzieniu. Z dwóch cel wypuścili najbardziej zagrożonych więźniów, wśród nich kilku oczekujących na egzekucje. Mimo że akcja miała być przeprowadzona bez strzału, zginęło w jej toku dwóch strażników, którzy z bronią w ręku przeciwstawili się żołnierzom.

Wśród uwolnionych byli znani i popularni oficerowie AK z Lubel-szczyzny: kpt. inż. Stefan Dębicki („Kmicic”), komendant Obwodu Lub-lin-miasto i dowódca OP IV/8 ppLeg. AK, trzy dni przed ucieczką skazany na karę śmierci; mjr Konstanty Witkowski („Miiller”), komendant Obwodu Radzyń i dowódca dużego oddziału leśnego, wchodzącego w skład 35 pp AK; ppor. Kazimierz Burski („Konrad II”), który po aresztowaniu kpt. „Kmicica” zastąpił go na stanowisku komendanta Obwodu Lublin-miasto oraz cichociemny ppor. Mieczysław Kwar-ciński („Ziut”), przed aresztowaniem dowódca radiostacji okręgu, utrzymującej łączność z rządem RP i sztabem Naczelnego Wodza w Londynie.

Wraz z nimi uciekło dwunastu żołnierzy Batalionu Ochrony Jeńców na czele z dowodzącym akcją plut. Józefem Mazurkiewiczem („Ryszar-dem”), dawnym partyzantem oddziału „Małego”.

Późniejsze losy większości uciekinierów były tragiczne. Kpt. „Kmicic”, dużego formatu oficer, kawaler Virtuti Militari, przez pewien czas ukrywał się w różnych miejscach Polski, w końcu osiadł pod Słupskiem, gdzie pod nazwiskiem „Stanisław Kaczorowski” rozpoczął pracę jako leśniczy. W lipcu 1946 r. odkryli go tam ubowcy. Stawił im opór i zginął w czasie aresztowania.

145

Podchorąży AK Jan Flisiak („Chłopiccki”), podobnie jak „Kmicic” tuż przed ucieczką skazany na śmierć, w kwietniu 1945 r. został ponownie aresztowany. Zwolniony w 1946 r., osiadł we Wrocławiu. W styczniu 1947 r., przed wyborami do Sejmu, zagrożony kolejnym aresztowaniem, wrócił w Lubelskie i objął dowództwo jednego z patroli w zgrupowaniu „Zapory”. W marcu 1947 r. ciężko ranny w potyczce, aresztowany, skazany na dożywocie. W trzy lata później zmarł w szpitalu więziennym we Wronkach.

Por. Antoni Wieczorek („Ścibor”), w latach okupacji adiutant komendanta okręgu płk. „Marcina”, po dwóch miesiącach został ujęty, po śledztwie w NKWD postawiony przed sądem, powtórnie skazany na karę śmierci i stracony.

Plutonowy Józef Mazurkiewicz, wraz z bratem Stanisławem, który do niego dołączył, *znalazł* się w oddziale NSZ, operującym w okolicach Janowa Lubelskiego. W sierpniu 1946 r. bracia zagrożeni obławą, która ich ogarnęła w Janowie, skryli się tam na strychu jednego z budynków. Okrażeni przez UB i KBW, po zacieklej obronie, obydwaj ciężko ranni, zostali ujęci. Przewiezieni do Lublina na Zamek przeszli, mimo ran, wyjątkowo okrutne śledztwo. Plutonowego skazano dwukrotnie na karę śmierci, po zastosowaniu amnestii zamienioną na 15 lat. Stanisław dostał o pięć lat mniej. Więżono i represjonowano członków ich rodziny. Odsiedzieli po dziewięć lat i wyszli na wolność jako inwalidzi. Stanisław, któremu w Janowie przestrelono kręgosłup, co spowodowało bezwład obydwu nóg, miał 95 proc. utraty zdrowia. W czasie rozprawy, na którą brat wniósł go na plecach, siedział na

podłódze. Zmarł w 1971 r.

Niemal o dziesięć lat przeżył go plut. Józef Mazurkiewicz. Zmarł w Lublinie 11 listopada 1980 r., a jego śmierć miała wymiar symbolu. Uczestniczył w tym dniu w zorganizowanym przez KPN uroczystym obchodzie Święta Niepodległości, pierwszym po tylu latach. To, co usłyszał i zobaczył, było dlań tak szokujące, a jednocześnie tak radosne, że serce nie wytrzymało.

9 marca 1945 r. odbito więźniów w Białej Podlaskiej, nazajutrz sami otworzyli sobie drogę na wolność akowcy trzymani w więzieniu w Sandomierzu. Kilku z nich, po uprzednim spiciu strażników dostarczoną z zewnątrz wódką, rozebrało w celi piec, którego tylna ściana wychodziła na korytarz. *Zabrali* strażnikom broń i klucze, po czym kolejno otwierali cele i wypuszczali z nich aresztowanych. Działo się to w biały dzień. Uwolnieni, łącznie około stu osób, po kilku, w krótkich odstęp-

146

pach, wychodzili na ulicę. Nikt ich nie zatrzymywał. Podobno w sprawę był wtajemniczony współpracujący z podziemiem naczelnik więzienia.

Również własnymi siłami wydostało się na wolność, w nocy z 21 na 22 kwietnia 1945 r., około trzydziestu byłych żołnierzy AK, więzionych w areszcie PUBP w Jędrzejowie. 26 kwietnia uwolniono więźniów w Miechowie, 6 maja w Kozienicach.

9 maja 1945 r. doszło do masowej ucieczki z więzienia w Białymstoku. Zbiegło wtedy trzystu więźniów, wśród nich wielu skazanych na śmierć. Umożliwił im to naczelnik więzienia przy pomocy kilku zaufanych strażników. Skorzystał z tego, że był to dzień, w którym hucznie fetowano kapitulację Niemiec, zezwolił więźniom na zakup wódki dla straży więziennej. Doszło do wielkiego pijaństwa. Uczestniczący w nim więźniowie, po upiciu strażników, zabrali im klucze i otworzyli cele. Oczywiście naczelnik też zniknął.

Wśród uwolnionych był por. Zbigniew Rećko („Trzynastka”), który jako podchorąży odegrał główną rolę w przygotowaniu i zrealizowaniu w nocy z 31 października na 1 listopada 1942 r. głośnej ucieczki z tego samego więzienia oficerów Komendy Białostockiego Okręgu AK. Po „Burzy” Rećko pozostał w lesie. W styczniu 1945 r. został ciężko ranny i osadzony w więzieniu. Skazano go na karę śmierci, która miała zostać wykonana, gdy będzie zdolny samodzielnie pójść na miejsce kaźni. 9 maja koledzy wynieśli go z celi na rękach. Po wykurów aniu się wrócił do oddziałów leśnych. Zginął 11 października 1946 r. pod Wysokiem [^]Mazowieckiem. Miał wtedy 23 lata, był odznaczony *Virtuti Militari* i trzykrotnie Krzyżem Walecznych.

20 maja wyzwolono więźniów w Ostrołęce, a w nocy z 20 na 21 maja, z niedzieli na poniedziałek, na które to dni w 1945 r. przypadały Zielone Święta, nastąpiło głośne uderzenie na obóz NKWD w podwarszawskim Rembertowie.

Obóz ten zlokalizowany był przy dzisiejszej ulicy Marsa, na terenie przedwojennej fabryki amunicji „Pocisk”. W latach okupacji Niemcy trzymali tam jeńców sowieckich, a w końcowym jej okresie Polaków zatrudnionych przy robotach fortyfikacyjnych.

Od późnej jesieni 1944 r. NKWD więziło w nim żołnierzy AK, działaczy różnych agend Delegatury Rządu, stronnictw politycznych, a także kolaborantów, *volksdeutsche* i jeńców z armii gen. Własowa. Przeciętnie przebywało w obozie od

1800 do 2500 więźniów. Warunki były zbliżone do tych, które panowały w hitlerowskich obozach koncentracyjnych: głód, szykany, terror. Ludzie umierali dziesiątkami na sku-

147

tek chorób, wyczerpania, śmiertelnego pobicia. Szczególnie ciężki był los kobiet. Co pewien czas z więźniów formowano transporty, wysyłane do ZSRR.

Okoliczne placówki AK wiedziały o tym wszystkim dobrze i od początku istnienia obozu kielkowała w nich myśl o jego rozbiciu. Ostateczną decyzję podjął komendant obwodu Mińsk Mazowiecki, kpt. Walenty Suda („Młot”). Wyznaczył w tym celu swój dyspozycyjny oddział partyzancki, złożony w większości z partyzantów, walczących w czasie „Burzy” w różnych jednostkach GO „Wschód”, utworzonej w Podokręgu Wschodnim Warszawskiego Obszaru AK. Oddział ten sformował ppor. Edward Wasilewski („Wichura”) i on był jego dowódcą. „Młot” wzmocnił go drużyną dywersyjną ppor. Edwarda Świderskiego („Wicher”). Łącznie ppor. „Wichura” miał ok. 50 bardzo dobrze uzbrojonych ludzi.

Późnym wieczorem na podwodach wjechali oni do Rembertowa i skrycie zajęli wyznaczone uprzednio pozycje wyjściowe. Akcja, poprzedzona szczegółowym i, jak się okazało, prawidłowym rozpoznaniem sił przeciwnika i ich rozmieszczenia, rozpoczęła się po północy, w trakcie zmiany wart. Grupy szturmowe, po zlikwidowaniu wartowników stojących na zewnętrznych posterunkach, sforsowały bramy, wdarły się do obozu, zajęły komendanturę i przystąpiły do uwalniania więźniów. Załoga NKWD, zablokowana w wartowni, ostrzeliwała się — także z granatników — gwałtownie, lecz chaotycznie.

Trwało to krócej niż pół godziny. Ze znajdujących się wówczas w obozie około 2000 więźniów uwolniono 600-800, dokładnej liczby nikt nie zna. Uciekali grupami w różnych kierunkach. W wyniku pościgu i obławy część z nich (ponad 200 osób) ujęto. Większość zamordowano na miejscu. Zamordowano również wielu pozostałych w obozie, zarzucając im udział w spisku. Wielu zostało przez NKWD w straszny sposób pobitych.

Gdy oddział wycofywał się, od strony Warszawy nadjechały samochody z odsieczą dla załogi obozu. Sowieccy żołnierze, sądząc, że wartownia jest w rękach napastników, zaczęli ją ostrzeliwać, na co znajdujący się w niej enkawudziści odpowiedzieli ogniem. Zanim wyjaśniono nieporozumienie, zaległa w pobliżu wartowni partyzancka straż tylna gwałtownie zaatakowała żołnierzy odsieczy, zadając im duże straty i otwierając sobie drogę odwrotu.

Dalszy odwrót przebiegał bez przeszkód. Oddział miał kilku rannych, załoga obozu i odsiecz aż 68 zabitych. Tak przynajmniej informo-

148

wał w kilka dni po akcji wywiad AK. Tę wysoką, aczkolwiek niezwy-fikowaną liczbę, może tłumaczyć jedynie to, że niespodziewany atak zaskoczył załogę obozu.

Oddział „Wichury”, lawirując w ciągłych obławach, tocząc ze zmiennym

szcęściem wiele potyczek, przetrwał do września 1945 r., kiedy to, w wyniku działań płk. „Radosława”, ujawnił się i rozwiązał.

Obóz w Rembertowie został zlikwidowany w końcu czerwca 1945 r. O ile przebieg uderzenia przeprowadzonego nań przez ludzi ppor. „Wichury” udało się, dzięki relacjom żyjących jeszcze uczestników tej śmiałej akcji, dość wiernie zrekonstruować, o tyle dzieje obozu, liczba więźniów, którzy przez obóz przeszli, tych, których tam zamordowano, a także nazwiska osób odpowiedzialnych za utworzenie tej katowni i za to, co się w niej działo — to wszystko nadal stanowi wielką białą plamę. Wiadomo jednak, że jest to plama szczególnie haniebna.

5 czerwca 1945 r. poakowska grupa zbrojna pod dowództwem Zacheusza Nowowiejskiego („Jeż”) odbiła kilkadziesiąt osób więzionych przez UB w Mławie.

6 sierpnia doszło do znanej akcji „Szarego” w Kielcach. Kpt. „Szary” (Antoni Heda) wjechał do Kielc w nocy zarekwizowanymi samochodami na czele ok. 400 ludzi zmobilizowanych w trybie alarmowym, wysadził gamonami wejście do więzienia i uwolnił około 300 osób. Mimo że akcja trwała aż sześć godzin, zablokowane w koszarach oddziały WP, KBW i baon szturmowy MO nie interweniowały, dzięki czemu nie było ofiar śmiertelnych.

W miesiąc później, w nocy z 8 na 9 września, por. Stefan Bembiński („Harnaś”), znany dowódca partyzancki z Inspektoratu Radomskiego, uczestniczący wraz ze swym złożonym z 90 ludzi oddziałem w rozbiciu więzienia w Kielcach, powtórzył akcję „Szarego” w Radomiu. „Harnaś”, który w 1989 r. wybrany został senatorem RP z Ziemi Radomskiej, w nadesłanej mi, a nigdzie dotychczas nie publikowanej relacji tak o tym napisał:

„Do miasta wjechałem czterema samochodami. Miałem 150 żołnierzy. Zadanie było opracowane przeze mnie według wszelkich zasad walk w mieście. Każda grupa wiedziała, co ma robić. Moje mp w bramie nr 6 przy ul. Malczewskiego. Straż więzienna nie broniła się. Grupa szturmowa gamonem wysadziła bramę wejściową od ul. Malczewskiego, drugim gamonem — kratę za tymi drzwiami. Drzwi do cel otwierano kluczami. Zresztą przywiozłem z sobą jednego strażnika, ujętego o 200 ni od więzienia na ul. Wałowej, gdy szedł na służbę. Więzienie nie zostało w ogóle zniszczone poza wysadzonymi drzwiami (bramą

wejściową) i kratą. Stałem o 100 m stamtąd. Łączne siły przeciwnika oceniane były przez nasz wywiad na około 3000 żołnierzy. Poszczególne punkty oporu były blokowane naszymi placówkami. Ani oddziały wojska, ani UB nie opuściły swych pomieszczeń. Jeden mój żołnierz zginął w bramie swego domu po akcji, zastrzelony przez przechodzącego ubeka, ale z własnej winy, gdyż nie dołączył do kolumny, a samowolnie poszedł do domu. Zginął także jeden, tak mi się wydaje, żołnierz oddziału pomocniczego, którego zadaniem była blokada obunkrowane-go posterunku milicji, ale znowu dlatego, że dowódca pokusił się, niepotrzebnie i wbrew rozkazowi, o zdobycie tego bunkra. Podobno były straty w NKWD przy ul. Mlecznej. Poza tym strat nie było.

Myślę, że wymyślono je, by dodać sobie ważności i bohaterstwa".

„Harnaś" uwolnił 292 więźniów.

13 listopada 1945 r. oddział WiN pod dowództwem ppor. Kazimierza Kosteckiego („Kostek") po krótkiej walce opanował siedzibę PUBP w Tomaszowie Lubelskim i uwolnił więźniów.

Natomiast 19 marca 1946 r. po raz kolejny wydarzyło się, iż więźniowie uwolnili się sami. Było to w Biłgoraju. Dwóch więźniów obezwładniło dwóch strażników i zabranymi im kluczami przystąpiło do otwierania cel. Wkrótce większość z nich opustoszała. Dodajmy, że w maju 1945 r. to samo więzienie oraz siedziba PUBP zostały zaatakowane przez silny oddział leśny. Walka trwała ponad cztery godziny. Partyzanci rozbili kilkunastu milicjantów i strażników, ale do więzienia nie udało im się wtargnąć. To jeszcze jeden dowód na to, iż bywało, że dwóch nie uzbrojonych ludzi, działających fortem i z zaskoczenia, potrafiło niekiedy osiągnąć więcej niż cała partyzancka kompania.

20 kwietnia 1946 r. partyzanci niezależnej zbrojnej organizacji niepodległościowej Konspiracyjne Wojsko Polskie, której twórcą i komendantem był kpt. Stanisław Sojczyński, wówczas pod pseudonimem „Warszyc", będący postrachem UB, MO i PPR na obszarze dawnego Inspektoratu AK Piotrków Trybunalski, weszli do Radomska. Było ich prawie 200, dowodził nimi por. Jan Rogulka („Grot"). Uwolnili z więzienia 57 osób, zajęli pocztę i bank, wykonali kilka wyroków śmierci. Nie udało im się jednak zdobyć siedziby PUBP. Po blisko trzech godzinach pobytu w mieście por. „Grot" *zarządził* odwrót. W czasie odwrotu oddział por. Henryka Glapińskiego („Klinga") rozbił kolumnę zaopatrzeniową KB W, a następnie rozgromił niemal trzykrotnie liczniejszą od niego kompanię KBW, która szła za nim w pościgu. Kompania dostała się w krzyżowy ogień partyzantów i straciła kilkunastu poległych,

150

w tym pięciu oficerów. Nazajutrz, 21 kwietnia, por. „Klinga" stoczył zwycięską walkę w Żytnie z inną kompanią KBW. Zginął wtedy jej dowódca, a kompania została rozbrojona. Po kilku kolejnych potyczkach oddział, ścigany przez przeważające siły KBW, został przez dowódcę podzielony na kilka mniejszych grup, samodzielnie przebijających się przez pierścień obławy.

Opanowaniem Radomska żołnierze KWP powtórzyli odważną akcję swego dowódcy „Warszyc" z czasów okupacji, kiedy to w nocy z 8 na 9 sierpnia 1943 r. uwolnił on na czele swego oddziału 41 osób z więzienia w Radomsku i po walce ogniowej z silnym garnizonem niemieckim, z minimalnymi stratami zdołał wycofać się z miasta.

Jeśli nie ostatnią, to z pewnością jedną z ostatnich akcji tego rodzaju na taką skalę było opanowanie 25 listopada 1946 r. więzienia w Pułtusku. Dokonał tego, liczący ok. 30 ludzi, oddział partyzancki WiN z obwodu Ostrów Mazowiecki pod dowództwem podchorążego Stanisława Łanec-kiego („Przelotny"). Był to oddział dyspozycyjny komendanta obwodu por. Hieronima Piotrowskiego („Jur"), jednego z wyróżniających się męstwem i determinacją dowódców liniowych WiN, który objął tę funkcję po

odejściu z Okręgu Białystok, gdzie znalazł się po opuszczeniu — wraz z grupą podkomendnych — Wileńszczyzny. Upřednio por. „Jur” był zastępcą dowódcy I Oddziału Samoobrony Czynnej Ziemi Wileńskiej, dzielnie potykające się z NKWD.

Grupa jego dawnych partyzantów znalazła się w oddziale „Przelotnego”. Wieczorem weszli do Pułtuska, obstawili PUBP i komendę MO, po czym udali się do więzienia, prowadząc zabranego ze sobą upřednio z mieszkania jego naczelnika. Sterroryzowany naczelnik kazał strażnikowi otworzyć więzienną bramę. Uwolniono 48 więźniów politycznych. Zlikwidowano czterech pracowników UB oraz dwóch strażników więziennych. Pościg podjęty przez KBW okazał się daremny.

W niespełna dwa miesiące później było już po wyborach do Sejmu. Ogłoszono amnestię i oddziały leśne, goniące resztkami sił, będące u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej, zaczęły się ujawniać. Z bronią w ręku pozostały nieliczne grupy gotowych na wszystko straceńców. Żołnierze AK i innych ugrupowań niepodległościowych, przebywający w coraz bardziej zatłoczonych więzieniach, nie mieli już na kogo liczyć. Byli wśród nich również skazańcy oczekujący na egzekucje, również ci, którzy zarówno w latach okupacji, jak i po niej wiele razy nieśli wolność innym: „Łupaszka”, „Zapora”, „Warszyc”.

Dla nich zgasła ostatnia iskra nadziei.

757

Płk Antoni Żurowski („Bober”, „Andrzej”) był jednym z tych oficerów AK, którzy już we wrześniu 1939 r. walczyli z bolszewikami. W stopniu majora dowodził wtedy batalionem „Bereźne” z pułku KOP „Sarny”, który stawiał zaciekły opór Armii Czerwonej na granicy, a następnie, wraz z całym zgrupowaniem gen. Wilhelma Orlika-Rueckemana wycofywał się na zachód. Zgrupowanie, tocząc nieustanne boje, atakowane z lądu i powietrza, przeszło Bug i po bitwie z bolszewikami pod Wytycznem zostało rozwiązane. Mjr Żurowski z grupą swych żołnierzy dołączył wówczas do SGO „Polesie”, a po jej kapitulacji dotarł do Warszawy, gdzie wstąpił do ZWZ. Był komendantem VI obwodu Praga Okręgu Warszawskiego AK. Dowodził powstaniem na Pradze, w porozumieniu z płk. „Monterem” przerwał nie mającą żadnych szans walkę i rozwiązał swe oddziały.

Po wyparciu Niemców z Pragi ujawnił się jako dowódca wojskowy i gospodarz tej dzielnicy i po trwających kilka dni negocjacjach z przedstawicielami PKWN i Armii Czerwonej wydał do swych żołnierzy odezwę, wzywającą ich, by zgłaszali się w szeregi Ludowego Wojska Polskiego. Czyniąc to, był przekonany, że jego propozycja odtworzenia w ten sposób stacjonującego przed wojną na Pradze 36 pp Legii Akademickiej została przyjęta. Gdy zrozumiał, że wprowadzono go w błąd — wycofał się z upřednich zobowiązań.

W listopadzie 1944 r. w Świdrze, gdzie przebywał po ciężkiej chorobie, został aresztowany przez NKWD i stawiony przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie, który skazał go na śmierć. Ze względu na jakieś uchybienia wyrok ten anulowano i ppłk. Żurowskiego wywieziono do Lublina na dalsze śledztwo. Powrócił do Warszawy w marcu 1945 r., ponownie stanął przed sądem i ponownie otrzymał karę śmierci, zamienioną jednak na 15 lat więzienia. Trzymano go w wię-

zieniu przy ul. Ratuszowej na Pradze.

„27 lipca 1945 r. — relacjonował w swych wspomnieniach, spisanych przez red. Andrzeja Wernica, a wydanych w 1991 r. pt. *W walce z dwoma wrogami* — około godziny 8 zaalarmowano nas i polecono zabrać swoje rzeczy i wyjść na dziedziniec więzienny. Tu, po wydaniu wody gotowanej bez cukru i porcji chleba na 2 dni, ustawiono nas ósemkami. Przypadło mi znaleźć się w towarzystwie kilku oficerów i podoficerów Ludowego Wojska Polskiego, skazanych za usiłowanie przejścia na stronę amerykańską pod Berlinem po jego zajęciu przez Armię Czerwoną. Wśród więźniów znaleźli się żołnierze z 27 Wołyńskiej i 30 Poleskiej Dywizji AK oraz partyzanci z terenu Wileńszczy-

752

zny. Mieli wiele nadziei, że jakoś razem dowleczeni się do miejsca przeznaczenia. Wiedzieli już, że mają nas transportować do więzienia we Wronkach, chociaż nie było to pewne".

W południe więźniów przewieziono krytymi samochodami na Dworzec Wschodni i tam załadowano do wagonów.

Oddział „Orlika” był wtedy podzielony na drużyny i zakonspirowany nad Wieprzem w rejonie Dębłina. Decyzja ta spowodowana została przerwaniem na ten teren kolejnych jednostek wojskowych, mających definitywnie rozprawić się ze zbrojnym podziemiem. Dowodzący oddziałem por. „Świt” utrzymywał łączność zarówno z „Orlikiem”, jak i z dowódcami poszczególnych plutonów i drużyn.

27 lipca w godzinach rannych, zanim jeszcze ppłk. Żurowskiego i jego towarzyszy niedoli załadowano do wagonów na Dworcu Wschodnim, kanałami wywiadu kolejowego dotarła do Dębłina wiadomość, że w Warszawie na Pradze formowany jest transport więźniów politycznych, który ma wyruszyć do Wronek trasą przez Dęblin i Radom. Kolejarze wyliczyli, że do Dębłina transport dotrze późnym wieczorem.

Powiadomiony o tym „Świt” polecił kolejarzom, by jak najdłużej zatrzymali go w Dęblinie i natychmiast zarządził alarm bojowy zakwaterowanych w okolicy plutonów.

III plutonowi pod dowództwem ppor. „Junacza” (Jerzy Jurkiewicz) rozkazał przeprowadzić się przez Wisłę i zająć stanowiska w lesie, w rejonie st. koi. Bąkowiec. Jest to stacja na linii Dęblin-Radom położona w odległości 8-9 km od Wisły, na wschodnim skraju Puszczy Kozienickiej. „Świt” na czele II plutonu też przeprowadził się łodziami przez Wisłę pod Dęblinem i wyteżonym marszem po północy dotarł do miejsca akcji. Łącznie miał ok. 75 ludzi.

Kolejarze w Dęblinie spisali się znakomicie i transport przybył do Bąkowca dopiero ok. godz. 2.30. Gdy stanął pod czerwonym światłem, oddano w jego kierunku kilka serii z broni maszynowej, strzelając bądź nad wagonami, bądź pod ich koła. To wystarczyło, by konwój — i tak nie przejawiający ducha walki — zrezygnował z oporu. Sześćdziesięciu żołnierzy, w tym dwóch oficerów, wyszło z wagonów, rzuciło broń, podniosło ręce do góry. Po akcji wszyscy zostali zwolnieni, kilku zostało w oddziale.

Uwolniono około 120 więźniów. Uzbrojonych w broń, odebraną konwojowi,

przeprawiono ich na wschodni brzeg Wisły i rozmieszczono w zaprzyjaźnionych wsiach. Spędzili tam, chronieni przez placówki, po kilka, niektórzy po kilkanaście dni. Sprowadzono fotografa, który

153

wszystkim wykonał zdjęcia. „Lis” pobrał od nich odciski palców i wydał im fałszywe kennkarty. Zaopatrzeni w cywilne ubrania i pieniądze odeszli każdy w swoją stronę.

Było wśród nich dwóch wyższych oficerów AK. Pierwszy to cichociemny płk Henryk Krajewski („Trzaska”, „Leśny”), od maja 1944 r. komendant Okręgu Poleskiego AK i dowódca 30 Poleskiej DP AK. Gdy dywizję rozbrajano pod Otwockiem, uniknął internowania, ukrywał się przez kilka miesięcy, w końcu jednak został aresztowany i skazany na 10 lat więzienia. Śledztwo, które przeszedł, sprawiło, że był w takim stanie, iż po uwolnieniu nie mógł poruszać się o własnych siłach i trzeba było go nieść. Drugim był ppłk Antoni Żurowski.

Ukrywano ich w kolonii Kozice koło Stężycy, gdzie kilkakrotnie dłuższe rozmowy prowadził z nimi „Orlik”. Obydwaj poważnie chorowali. Gdy nieco przyszli do siebie, zaopatrzeni w dokumenty i pieniądze, wyjechali do Warszawy pod eskortą trzech uzbrojonych partyzantów pod dowództwem kpr. podch. „Znicza” (Jerzy Skolimowski). Dotarli szczęśliwie, w ręce UB już nie wpadli. Ujawnili się po pewnym czasie i choć doznali wielu represji, uniknęli ponownego uwięzienia.

W cytowanych wspomnieniach ppłk Żurowski interesująco opowiada o tym, co działo się po opuszczeniu wagonów przez uwolnionych:

„(...) przyszedł jakiś krępy młody człowiek w furazerce z coltem u pasa i granatami i przedstawił się: — Jestem dowódcą oddziału AK, który was wyswobodził. Nazywam się «Świt». Odtąd tak proszę mnie nazywać. Wymagam posłuszeństwa i wykonywania wydawanych przeze mnie rozkazów. Jesteście wolni, jeśli chcecie, to możecie zostać żołnierzami podziemia, a jeśli nie, to odstawimy was w bezpieczne miejsce, skąd będziecie mogli, po zaopatrzeniu w potrzebne dokumenty, udać się tam, gdzie chcecie (...).

Oficerom, żołnierzom i ochotnikom wydano natychmiast broń i amunicję. Szybkim marszem skierowaliśmy się w stronę Wisły przez lasy, gdyż już od rana samolot wywiadowczy prowadził rozpoznanie naszej grupy odbitych akowców. W lesie, po krótkim postoju, wydano śniadanie — biała kawa, chleb grubo posmarowany masłem i dosyć sucha kiełbasa. Poza tym każdy pałacy otrzymał paczkę papierosów.

Po dojściu do Wisły ukryliśmy się grupami po kilku w nadbrzeżnych krzakach w oczekiwaniu na łodzie, które przewieźć nas miały na drugi brzeg Wisły”.

Wśród uwolnionych było również kilku akowców, internowanych uprzednio w Skrobowie, którzy po buncie i ucieczce grupy podchorążych

154

zostali oskarżeni o współudział w spisku, uwięzieni, po okrutnym śledztwie postawieni przed sądem i skazani na śmierć lub na wieloletnie więzienie, o czym była już mowa. Przypadek sprawił, że odzyskali wolność dzięki oddziałowi, którego pierwszy pluton

stanowili ich zbiegli ze Skro-bowa koledzy. Dodam, że dowódca tego plutonu, por. Piotr Mierzwiński, jako partyzant 30 Poleskiej DP AK, był podkomendnym uwolnionego w Bąkowcu ppłk. „Trzaski”. Niestety, do ich spotkania wtedy nie doszło. Jestem w posiadaniu relacji dwóch uwolnionych w Bąkowcu skro-bowiaków: kpr. Eugeniusza Gieraja (kara śmierci zamieniona na 15 lat więzienia) i kpr. Wojciecha Gutrego (10 lat więzienia), nie będę ich jednak cytował, gdyż niewiele do tematu wnoszą. Gieraj i Gutry nie bardzo wiedzieli dokąd ich wiozą, nie znali liczebności transportu ani — z nielicznymi wyjątkami — nazwisk współwięźniów. Trudno im się dziwić.

Do dziś nie znamy liczby przeprowadzonych przez zbrojne podziemia akcji uwalniania więźniów, nie wiemy, ilu przywrócono wolność i ilu żołnierzy AK zapłaciło za to własnym życiem. W PRL temat ten pomijano milczeniem, co z punktu widzenia rządzących nimi przez tyle lat spadkobierców PKWN i UB było zrozumiałe. Jeśliby bowiem zaczęto pisać o napadach band na więzienia i obozy, trzeba by jednocześnie ujawnić, jakie to były więzienia i obozy, kogo i dlaczego w nich trzymano, co się w nich działo.

Stosowano więc strusią taktykę, chowając głowę w piasek. Sądzone, że jeśli nie ukaże się żadna wzmianka na temat Zamku Lubelskiego, Rembertowa, Skrobowa lub wielu innych podobnych miejsc, to nikt się nie dowie o ich istnieniu. Mimo że liczba ludzi tam więzionych, a także ich bliskich, sięga wielu tysięcy. Dokumentów brak, a do tych, które zachowały się, dostęp nadal jest trudny, uczestników i naocznych świadków wydarzeń z każdym rokiem ubywa, wielu z nich nawet i obecnie nie chce do tamtych spraw wracać. Musiałem więc ograniczyć się do przytoczenia tylko kilku przykładów takich akcji.

Ale bliscy wszystkich tych, którzy w nich padli, powinni wiedzieć, że zginęli oni za dobrą sprawę, za wolność — a często życie — innych. Ludzi, których większości nawet nie znali, ale którzy byli im bliscy, byli ich towarzyszami walki, przyjaciółmi. A napisano przecież: „Nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”.

„To maszeruje «Orlika» piechota...’

Maszerowali nocami. Zdarzało się, że i po 40 kilometrów w ciągu jednej, ale na ogół mniej — 15-20 km. Gdy oddział szedł w pełnym składzie, towarzyszyły mu wozy taborowe z amunicją, sprzętem, medykamentami, prowiantem. Przeznaczone były także dla rannych i chorych, jeśli nie można byłoby zostawić ich w miejscu zakwaterowania.

Uzbrojeni byli dobrze: na jedną drużynę przypadło po kilka erkaemów. Broń zdobywali w walce, przynosili ją dezertrzy, niekiedy podrzucało ją wojsko, obfitym źródłem zaopatrzenia były idące do ZSRR transporty kolejowe.

W końcu października 1945 kilku ludzi z oddziału (wśród nich Walenty Olek, ps. „Wilk”, Zygmunt Czerniejewski, ps. „Drucik” i Bronisław Kuchnio, ps. „Śmiały”)

wyładowało z takiego transportu, stojącego na stacji Leopoldów cały arsenał: ok. 130 pistoletów maszynowych, ok. 50 rkm, 2 ckm i prawie 200 sztuk pistoletów. Ponadto znaczną ilość amunicji. Była to broń niemiecka, w doskonałym stanie. Uzbrojenie oddziału było więc nieporównywalne z tym, czym dysponował on w czasie okupacji. Wprawdzie nadal nie miał broni ciężkiej, ale w ówczesnych warunkach i tak nie byłoby z niej dużego pożytku. Dwa działka plot., pozyskane w trakcie „Burzy”, ciągle czekały na swój dzień w magazynie. Nigdy zresztą się nie doczekały.

Conocene marsze były dla ludzi mordęgą. Byli tak zmęczeni, że niektórzy potrafili w czasie marszu drzemać.

Przed świtem starano się dojść do wsi czy kolonii, w których oddział miał pozostać przez dzień. Ze względu na brak dużych kompleksów leśnych nie mieli, jak oddziały w innych częściach kraju, swych baz i obozowisk w lasach. Biwakowali tam jedynie wtedy, gdy zaciskały się wokół nich kleszcze obławy, a w okolicznych wsiach stacjonowały grupy operacyjne UB, KB W i WP.

Po przyjeździe na miejsce zajmowali kwatery nie w gospodarstwach należących do członków placówki, lecz w tych, które oni wskazali. Wieś blokowano posterunkami, które wszystkich do niej wpuszczały,

156

ale nikogo nie wypuszczały. Dzień, jeśli nie wykonywano żadnej akcji, przeznaczony był na odpoczynek, porządkowanie odzieży i rynsztunku, czyszczenie broni. Wychodzące na akcje plutony i drużyny po jej wykonaniu zazwyczaj wracały do miejsca zakwaterowania, by o zmierzchu opuścić je wraz z całym oddziałem. Gdy wykonanie wyznaczonego na dany dzień zadania wymagało zaangażowania wszystkich sił, po akcji już nie wracano na poprzednie miejsce postoju. Szybkim marszem oddział szedł gdzie indziej, starając się przebyć w ciągu nocy jak najdłuższy odcinek.

Za wszystko, co otrzymali w gospodarstwie — mleko, posiłki dla ludzi, paszę dla koni — płacono rzetelnie. Często z nawiązką. Bzdury wypisywali różni kronikarze „walk o utrwalenie władzy ludowej”, twierdząc, że „Orlik” nakładał na chłopów kontrybucje i ściągał z nich podatki. Jeśliby rzeczywiście tak czynił, sprawiając w ten sposób, że miałyby przeciw sobie również i chłopstwo, ani on, ani jego ludzie nie utrzymaliby się nawet przez kilka dni. Partyzanci rozliczali się z rolnikami co do grosza, a ich stosunek do nich zawsze był bez zarzutu, czego dowódcy bardzo uważnie pilnowali.

Dyscyplina w oddziale panowała surowa. Od samogonu partyzanci wprawdzie nie stronili, ale pito go w miarę i jedynie wtedy, gdy dowódcy wyrazili na to zgodę, nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, nie sposobiono się do akcji. Stojących na ubezpieczeniu obowiązywała absolutna trzeźwość. O jakichkolwiek zalotach w stosunku do kobiet i dziewcząt, które sobie tego nie życzyły, też nie było mowy. Ale jeśli nie miały one nic przeciw temu — a tak bywało często — wówczas dowódcy nie ingerowali. Wszelkie odstępstwa od tych zasad były surowo karane. Zdarzały się one rzadko, bo partyzanci nie byli przecież głupcami i rozumieli, że upijając się lub czyniąc sobie wrogów z gospodarzy — kręcą stryczek na własną szyję. Gdy jednak

dochodziło do takiego incydentu, „Orlik” był bezwzględny. Innym być nie mógł. Sprawców rozbojów, których parę się zdarzyło, ukarano śmiercią.

Ale to właśnie sprawiało, że obudzeni przed świtem chłopci, widząc za oknem partyzantów, nie zapierali drzwi, nie wszczynali alarmu, lecz życzliwie przyjmowali nie zapowiadanych gości, podejmując ich czym chata bogata. We wsiach, w których oddział często kwaterował, witano partyzantów, jak starych, dobrych znajomych. Chłopci zwracali się do nich po imieniu, przekazywali im różne informacje, kobiety z miejsca brały się do gotowania, prania i cerowania mundurów i bielizny. Głównym źródłem tej życzliwości było zaś to, że w partyzantach widziano

757

nie najemników, wykonujących rozkazy „ruskich”, nie funkcjonariuszy władzy, której nikt nie wybierał, a która szarogęsiła się coraz bardziej, nie złodziejasków i niepiśmiennych parobków, poprzebieranych w mundury i manifestujących swą ważność, lecz swoich, bliskich znajomych. Dziwić się temu nie sposób: przecież w całym obwodzie trudno byłoby wskazać wieś, w której żołnierze „Orlika” — z oddziału, z drużyn dywersyjnych, z placówek — nie mieliby krewnych, powinowatych, przyjaciół czy kolegów. Wśród nich rodziców, braci, siostry. Byli oni dla nich krwią z ich krwi i kością z ich kości.

Nie odnosi to się do przybyłego ze Skrobowa plutonu, który składał się z ludzi z różnych środowisk i z różnych części kraju, także i z dawnych kresów wschodnich, ale i oni szybko *znaleźli* wspólny język zarówno z żołnierzami „Orlika”, jak i z miejscową ludnością. Walnie im w tym dopomogli ich nowi towarzysze broni, doświadczeni, ostrzelani w licznych okazjach partyzanci: „Lis”, „Krakus”, „Tek” (Tadeusz Osieński), „Sosna” (Stanisław Królik) i wielu innych, znających tu każdy przysiółek i niemal w każdym z nich mających oparcie.

Ta życzliwość, okazywana oddziałowi przez ludność, pomoc, jaką mu niosła, wszechstronne z nim współdziałanie stanowiły jego siłę, czego nie doceniali ci, którzy chcieli go zniszczyć. To one ratowały partyzantów w najcięższych dniach: w pierwszą po odejściu Niemców zimę, w czasie obław i pacyfikacji, wtedy, gdy oddział trzeba było dzielić, a ludzi ukrywać we wsiach.

W sumie jednak było trudniej niż w latach wojny. Zaostrzyły się podziały wśród ludności, niełatwo przychodziło *rozróżnić* przyjaciół od wrogów.

W lipcu 1945 r., po przyjeździe do kraju Stanisława Mikołajczyka i jego wejściu do zdominowanego przez komunistów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, uznanego przez większość państw, po rozwiązaniu się Delegatury Rządu RP na Kraj oraz Rady Jedności Narodowej, aktywność zgrupowania „Orlika”, w poprzednich miesiącach ogromna, uległa przejściowemu osłabieniu. Część ludzi „Orlik”, zgodnie z przekazanymi mu rozkazami, rozpuścił, zapewniając im możliwość powrotu wtedy, gdy sytuacja będzie tego wymagać. W oddziale zostali partyzanci silnie wrośnięci w teren oraz ci, którzy bądź nie mieli dokąd odejść, bądź nie rokowali żadnych szans na to, że potrafią przystosować się do życia w nowych warunkach. Podzielonych na plutony i drużyny zakonspirowano w wybranych, najbardziej zaufanych wsiach.

Teren gęstniał od wojska, obława następowała za obławą. W czasie jednej z nich, 26 sierpnia 1945 r., w ręce UB wpadł brat „Orlika”, Lucjan Bernaciak („Janusz”). Pochwycili go w Woli Zadybskiej, gdzie był z kilkoma partyzantami. Zaskoczeni przez UB i KBW próbowali ratować się ucieczką. Ujęto „Janusza” i „Antona” (Antoni Antos), który w końcowym okresie okupacji zdezerterował z Wehrmachtu, znalazł się w armii Berlinga, skąd też zdezerterował i został przyjęty do oddziału. Pozostali, wśród nich „Lis”, zdołali zbiec. Zatrzymanych przewieziono do Kłocze-wa, gdzie w szkole poddano ich całonocnemu przesłuchaniu. Bito niemiłosiernie. Wieczorem tego dnia ubowcy zagarnęli magazyn broni w okolicy Kłoczewa. Wiedząc, że „Janusz” jest bratem „Orlika”, próbowali wykorzystać to i szantażem sprawić, by „Orlik” zaprzestał walki. Nic z tego nie wyszło. „Janusza” skazano na dziesięć lat więzienia. Dziewięć odsiedział.

Na początku września 1945 r., gdy powstało konspiracyjne Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość, struktura organizacyjna podziemia, do tego czasu niemal taka sama jak w latach okupacji, uległa istotnej zmianie. Inspektorat Puławy (kryptonim w WiN „Pułtusk”) podzielony został na trzy obwody; „Pułtusk I Dęby”, obejmujący powiat garwoliński, którego komendantem był kpt. Agenor Walusiński, absolwent Korpusu Kadetów w Chełmnie, oficer 7 ppLeg., podczas okupacji pod pseudonimem „Kieł” komendant Podobwodu „C”, w WiN używający nazwisk Zawadzki i Ruszczyk oraz pseudonimu „Willy”; „Pułtusk II”, czyli powiat puławski, z komendantem kpt. „Kotlina” (Henryk Piątkowski) i „Pułtusk III”, na obszarze powiatu kraśnickiego, pod dowództwem kpt. „Rymszy” (Bronisław Rębacz).

Wprawdzie nie odpowiadało to ówczesnemu podziałowi administracyjnemu kraju, ale było podyktowane zarówno rozmieszczeniem sił zbrojnych podziemia, jak i ich wzajemnymi powiązaniem. Obwody, jak dawniej, dzieliły się na podobwody, rejony i placówki. Całość sił podzielona była na dwa rzuty. Pierwszy stanowiła siatka terenowa. Jego głównymi zadaniami były wywiad, propaganda, logistyka. Drugi, bojowy, złożony z oddziałów partyzanckich i drużyn dywersyjnych, przy-znaczony był do walki bieżącej.

Komendantem Inspektoratu WiN „Pułtusk” pozostał mjr „Just”. Tzw. Referentem Bezpieczeństwa przy Inspektoracie, co w praktyce oznaczało zwierzchnictwo nad rzutem bojowym, był „Orlik”. Podlegały mu wszystkie siły zbrojne Inspektoratu. U schyłku 1945 r. liczyły one, wraz z drużynami dywersyjnymi, około tysiąca ludzi, podzielonych na

kompanie, plutony i drużyny. Dowództwo nad nimi „Orlik” sprawował bądź bezpośrednio, bądź poprzez podporządkowanych mu referentów bezpieczeństwa w obwodach, podobwodach i rejonach.

Również we wrześniu 1945 r. powrócił na teren Inspektoratu „Zagon”, który uciekł z Wronek, gdzie odsiadywał karę 10 lat więzienia, na jaką zamieniono mu wyrok śmierci. Wraz z drugim więźniem rozbroił strażnika i przebrany w jego mundur, z jego

karabinem, dotarł bez przeszkód do Dębłina. „Orlik”, który bardzo wysoko go cenił, powierzył mu dowództwo drużyn dywersyjnych w Podobwodzie „B”. Później „Zagon”, w porozumieniu z „Orlikiem”, przeszedł w radomskie, gdzie przystąpił do budowania Inspektoratu WiN, którym następnie dowodził.

Do taktyki, stosowanej w pierwszym półroczu 1945 r., kiedy to cały oddział działał jako zwarta jednostka, już nie wrócono. Nie pozwalało na to zbyt duże nasycenie terenu wojskiem. Poszczególne plutony, a niekiedy i drużyny, operowały samodzielnie, łącząc się w razie potrzeby. Po akcji wracały w rejony swego zakwaterowania.

Zimą 1945/1946 ich aktywność bojowa siłą *rzeczy* nieco osłabła. Wzmogła się z nadejściem wiosny. Partyzantom było jednak wtedy coraz trudniej i coraz ciasniej. Spotykał ich jeden zawód po drugim. Konferencja w San Francisco, w trakcie której utworzono Organizację Narodów Zjednoczonych, mającą — jak im mówiono — zmienić układ sił w Europie, a więc i w Polsce, niczego nie zmieniła. Płonnymi okazały się nadzieje, wiązane z przyjazdem Mikołajczyka i utworzeniem w kraju nowego rządu. Coraz powszechniejszą stawała się świadomość, że nie mogą już liczyć na pomoc z jakiegokolwiek strony i są skazani wyłącznie na własne, topniejące z każdym dniem siły.

Mimo to nadal nie chcieli się poddać. Jeszcze potrafili celnie uderzyć, przedrzeć się z okrażenia, odskoczyć o kilkanaście kilometrów i znowu uderzyć w innym miejscu. Jeszcze butnie śpiewali: *My młodzi, my młodzi, nam bimber nie zaszkodzi, my z władz lubelskich kpimy, na Londyn patrzymy*, choć wiedzieli, że z tego „patrzenia na Londyn” ani dla nich, ani dla Polski nic nie wyniknie i że owe władze, już nie lubelskie, lecz warszawskie, niewiele sobie z ich kpin robią.

Tym większy więc podziw budzić powinny ich niezłomność i determinacja.

Klimat tamtych dni dobrze oddają okresowe zbiorcze raporty wywiadowcze, sporządzane przez Inspektorat Puławy. Odpisy części z nich, przejęte przez UB, zachowały się z Archiwum Państwowym

160

w Lublinie (AK-WiN okręg lubelski inspektorat puławski, teczka 96, t. I i II). Pisane przez fachowców są bardzo szczegółowe i konkretne, zawierają mnóstwo informacji o nastrojach społeczeństwa, o siłach i rozmieszczeniu NKWD, UB, KB W i WP, o ich działaniach, stosowanych przez nie represjach, o sieci konfidentów, o przejawach zbrojnej samoobrony. Przytoczę fragmenty kilku z nich, z zachowaniem ich stylu i pisowni, rozwijając jedynie niektóre skrótory, nie dla wszystkich dziś zrozumiałe.

W raporcie za lipiec-sierpień 1945 czytamy:

„Do Dębłina dn. 29 lipca br. przybyło NKWD, ok. 200 ludzi, dobrze uzbrojonych w pistolety, kb, automaty, dwie tankietki, samochody, ckm-y, działka itp. Posiadają również radiostację nadawczo-odbiorczą. Współdziałają z resortem, który przybył w sile 50 ludzi w większości po cywilnemu ubranych (...). Wspomn. NKWD i resort kwaterują w bud. dawn. żandarmerii — gimnazjum, skąd wszyscy inni zostali usunięci, piwnice przeznaczono na areszty. Stąd robią wypadki w teren. W okolicy

st. koi. Dęblin odbyła się potyczka z oddziałem wycofującym się. Nie dali rady i zawezwali pomocy drogą radiową. Z lotniska wystartował samolot, który obsypał oddział ogniem karabinowym, lecz bez skutku.

(...) Na «C» akcji pacyfikacyjnej nie stwierdzono, jedynie wypadki resortu. W dniu 21.7 odbyła się w gminie Wąwolnica sesja sołtysów, na której bardzo ostro występował pewien oficer Berlinga w spr. kontyngentu. Jeden z obecnych, zdenerwowany wystąpieniem oficera, rozbroił go, zatrzymał naboje, a broń oddał. Oficer wyszedł i zawiadomił resort, który niebawem nadjechał i otoczył gminę. Przed gminą stał woźny i rozmawiał z innym. Jeden z resortu zamienił z nimi kilka słów, następnie odszedł od nich na kilka kroków, położył się, wymierzył automatem i oddał serię, kładąc jednego trupem, a drugiego ciężko raniąc. Ranny później zmarł. Po wylegitymowaniu odjechał resort do Buchałowic w poszukiwaniu dezertera. W domu zastano tylko brata, którego na miejscu zabito.

(...) Wypuszczani są z resortu z Puław, Garwolina, Ryk, Ireny ludzie, którzy jako handlarze czy też żebracy chodzą po wyznaczonych miejscowościach i patrolują je pytając o «Orlika». Inni udają dezertersów z wojska lub podszywają się za ludzi innych oddziałów i chcą nawiązać kontakt z «Orlikiem»".

Raport wymienia nazwiska kilku, których ujęto. Załącznikami do raportu są protokoły z ich przesłuchań, w pełni potwierdzające, że byli

161

konfidentami UB. Kolejny punkt raportu to długa lista konfidentów (imiona, nazwiska, dokładne adresy, zwięzła charakterystyka) oraz informacja o tych, których już zlikwidowano.

„W dniu 1.11 — czytamy w raporcie za październik-listopad 1945 r. — został zabity w Irenie z-ca komendanta milicji-politruk w czasie pewnego zajścia z krasnoarmiejcami. Podejrzenie padło na komendanta milicji, który uciekł po tym wypadku (...). W dniu 9.11 został zabity Nowak Jan, kapitan służby bezpieczeństwa przy sztabie głównym, który został przysłany na teren Opoła celem wykrycia komórek organizacyjnych. Wymieniony za czasów okupacji niemieckiej był w grupie «Cienia» oraz w czasie powstania warszawskiego wychwytywał żołnierzy AK, idących na pomoc powstańczej Warszawie".

„W dniu 12.11 została przez oddział opanowana stacja Dęblin, po czym skierowano się na budynek, gdzie mieści się urząd bezp. oraz resort. W wyniku kilkugodzinnej walki oddział prawie bez strat wycofał się. Rezultat — kilku uwolnionych więźniów. Akcja przyniosłaby o wiele większe rezultaty, lecz niespodziewanie zajęły krótko przed akcją 3 transporty wojsk sowieckich, które w czynnym oporze brały udział".

„W dniu 19.11 udał się do Baranowa pow. puławskiego oddział urzędu bezp. w sile 60 ludzi i przeprowadził obławę, w wyniku której aresztowano 22 ludzi. 6 z tych dopiero w Puławach puszczono. W czasie obławy zostało zabitych 2 ludzi zorganizowanych. Rozgoryczenie wśród społeczeństwa ogromne".

W raporcie za luty-marzec 1946 r., w części „B", zatytułowanej „Agentury obce i służby policyjne", czytamy:

„Metody pracy NKWD, jak i UB, w dalszym ciągu oparte na podstępnie, zakłamaniu i zbrodni. Znane są wypadki podszywania się poszczególnych agentów UB i MO pod oddziały leśne, przebierania się za żebraków, handlarzy, śpiewaków itp. Żołnierze Żymierskiego używani do akcji pacyfikacyjnej, karmieni są fałszywą propagandą: «Jeśli ty nie zabijesz akowca, to sam zginiesz z jego ręki na pewno, akowcy mordują wszystkich schwytych przeciwników». Jednocześnie zaś w swych tajnych raportach dowództwo melduje swoim władzom (zał. 6), że partyzanci puszczają zatrzymanych żołnierzy wolno, odbierając im tylko broń, a czasem i mundury.

Do pomocy władzom bezpieczeństwa stanęły tzw. drużyny lotne, zorganizowane przez PPR. Zadaniem tych drużyn jest wyśledzenie członków AK oraz ich likwidowanie, ale nie tylko wymienionych ludzi, a w ogóle niewygodnych przeciwników. Należy podkreślić, że każde no-

162

we zarządzenie władz bezpieczeństwa znacznie ułatwia względnie legalizuje dokonywanie mordów. W dniu 9.2 br. na *zjeździe* wójtów i sołtysów w Puławach przemawiał kierownik UB w Puławach, wzywając obecnych do wydawania reakcjonistów i bandytów, aby oczyścić społeczeństwo — jak się dosłownie wyraził — od kurwy reakcyjnej. W dalszym ciągu mówił, że wydał rozkaz strzelania do każdego uciekającego i ten rozkaz będzie stosowany z całą bezwzględnością. Również każdy napotkany z bronią będzie zastrzelony na miejscu. Następnie oświadczył, że pacyfikacje będą tak długo trwały, aż wszyscy reakjoniści znikną.

(...) W m-cu sprawozdawczym przeprowadzono aresztowania na terenie gmin Urzędów, Dzierzkowice, Trzydnik, Batorz, Wilkołaz, Goście-radów, Modliborzyce, Zaklików i Zakrzówek. Aresztowanych jest dotychczas kilkaset osób. Aresztowani badani są zaraz na miejscu, a następnie wywożeni do UB w Kraśniku, gdzie odbywa się dalszy ciąg badań. Sale i piwnice UB i MO w Kraśniku są przepełnione, wszystkim stawia się zarzut posiadania broni. Ponieważ nie mając broni nikt nie przyznaje się do jej posiadania, UB stara się wymusić pozytywne zeznania. Mianowicie aresztowanego kładą na ławie, na nim siada 2-ch z UB lub bolszewików, jeden siada na głowie, drugi na plecach, trzeci bije laską w pięty. Przeciętna ilość razy w pięty wynosi tysiąc. Po takim badaniu badany nie może chodzić ani stać, bo ma kości w piętach rozbite. Poza tym wygraża się badanemu rewolwerem oraz zastrzeleniem. W jednym wypadku takiego wygrażania z broni padł strzał i roztrzaskał badanemu kolano.

W Urzędowie została ludność powiadomiona, że na rynku odbędzie się publiczna egzekucja. Egzekucja nie odbyła się w obawie, że może ona odnieść skutek wręcz przeciwny niż zamierzony. Stracone miały być cztery osoby. Jednego zwolniono z poprzecinanymi żyłami.

W dniu 24.2 br. niejaki Jan Smok był w okolicy Urzędowa na weselu. Będąc w drodze z wesela natknął się na oddział UB i zaczął uciekać. Żołnierze strzelili do niego trafiając w plecy. Ciężko ranny Smok prosił o przewiezienie go do szpitala. Funkcjonariusze UB wrzucili go na sanie, na twarz rzucając snopek słomy, siedli na nim i przywieźli do Kraśnika. Oczywiście ranny zmarł, a pogrzeb jego odbył się przy wielkim udziale miejscowej ludności. Trumnę nieśli koledzy zamordowanego,

wojskowi na urlopie w mundurach. Natychmiast po pogrzebie zostali wezwani do UB do wyjaśnienia dlaczego nieśli trumnę bandyty.

(...) Pacyfikacja objęła Dęblin, Sobolew, Kośmin, Bobrowniki, Sędowice, Sarny, Bazanów, Czernic, Kawęczyn, Kębłow, Zadybie, Janówek i Żelechów. Aresztowano ogółem około 100 osób.

163

W dniu 4.2 dwaj ludzie z OP (oddział partyzancki) przechodząc koło miejscowości Chrustne zostali zaskoczeni przez milicję ukrytą w słomie na wozach. Napadnięci chłopcy zostali okrutnie zbici i w końcu zamordowani. Po dokonaniu mordu milicjanci udali się do sołtysa i zameldowawszy, że znaleźli jakieś zwłoki, kazali je rozpoznać.

Dnia 20 lutego br. zostali rozstrzelani mocą wyroku sądu doraźnego dwaj ludzie z OP, «Nowina» i «Oset». Przed egzekucją funkcjonariusze UB związali skazańcom ręce drutem i wrzucili ich do dołu. Działo się w lesie koło Kleszczówki. Po powrocie z tej morderczej wyprawy UB urządziło w Rykach zabawę (...).

W pacyfikacji południowej części pow. puławskiego brało udział ok. 600 ludzi UB, KBW i wojska Żymierskiego. Akcje przeszły przez Karczmiska, Kraczewice, Wymysłów, Budki i część Opolszczyzny. Aresztowano ok. 200 osób. Druga fala przeszła przez Ożarów, Skoków, Wandalin, Buszno, Opole; aresztowano ok. 200 osób w tym kilku członków PSL. W czasie akcji zabito jednego członka PSL. Wśród aresztowanych było wiele młodzieży szkolnej. Żołnierze Żymierskiego zachowywali się na ogół dość poprawnie. Często ostrzegali i ukrywali zagrożonych.

Dnia 19.2 br. odbyła się publiczna egzekucja w Karczmiskach. W tym celu zwołano wiec, na którym starosta puławski Lewtak i kpt. Szyszko przemawiali, nawołując ludność do pomocy przy tępieniu «bandytów». Po wiecu aresztowanego uprzednio Dyrbacha Bolesława rozstrzelano.

Ogółem w okresie sprawozdawczym aresztowano w pow. puławskim ok. 800 osób. W akcjach ze strony UB szczególną aktywność wykazali chorąży Chruścielewski oraz instruktor PW chorąży Pypcio. Dalej brali udział kpt. Parfilenko, por. Anders, por. Oleśnikow i kpt. Korol. O biernym zachowaniu się żołnierzy KBW świadczą następujące słowa raportu dowództwa (zał. nr 7): «O nadzwyczajnym męstwie naszych żołnierzy jeszcze żaden meldunek nie nadszedł».

Aresztowani w Puławach znajdują się w straszliwych warunkach. Jest ich tak wielka ilość, że śpią na zmianę, opieki lekarskiej brak, higiena poniżej wszelkiej krytyki. Metody badań bardzo okrutne, jak gniecenie rąk w prasie lub między drzwiami, bicie gumami w gołe stopy dotąd aż tworzy się w nich ropa, okrucenie rąk przewodnikiem elektrycznym i puszczanie prądu wysokiego napięcia dotąd aż badanemu zacznie płynąć krew z ust i nosa. Aresztowanego kierownika szkoły z Osin pow. puławskiego trzymano przez 48 godzin bez pożywienia, nie pozwalając

164

mu na załatwienie potrzeb fizjologicznych, przy tym zbity go tak okrutnie, że przyznał się do faktów, które nigdy u niego nie miały miejsca.

Ludzi likwiduje się bez wyroku, rabunki i kradzieże na porządku dziennym. W dniu 25 I br. UB puławskie przyjechało do wsi Księża. Ponieważ pewna część ludności uciekła, dokonano szczegółowych rewizji domowych, w czasie których zrabowano masę odzieży, artykułów żywnościowych, a Stanisławowi Bakalarzowi zrabowano nawet złote obrączki ślubne. W dniu 26 I br. w tej samej miejscowości obrabowano doszczętnie domy Głodkowskiego Zbigniewa i Dąga Stefana.

W dniu 16.2 br. w nocy przyjechał samochód z UB do Chodliska, skąd zabrano braci Kunów i Rusinka, na miejscu ich zlikwidowano, a gospodarstwa obrabowano, zabrano konie, świnie, artykuły żywnościowe. Na Bojarach koło Janiszowic funkcjonariusz UB zastrzelił Ba-nacha rzekomo za to, że ten jego chciał zastrzelić.

(...) W dniach 21, 22, 23 III spalono we wsi Krzówka pow. łukowskiego 15 zagród za nieoddanie w terminie kontyngentu, rabowano przy tym dobytek, ratujących swój dobytek bito i maltretowano".

Także i ten raport zawiera długi rejestr rozpoznanych konfidentów UB. I drugi, krótszy: tych, których zlikwidowano.

Autorzy innego raportu, również za marzec 1946 r. informują:

„Urzędy bezpieczeństwa działają pod wyłącznym kierownictwem NKWD. W działalności swojej posługują się podstępem. W końcu marca grupa cywilna UB, występująca jako grupa dywersyjna AK, powołując się na «Zaporę», zażądała kontaktu na komendanta placówki w Chodlu, lecz zapytani, zorientowawszy się w porę, podstęp udaremniłi. Grupa ta udała się następnie do Bełżyc, gdzie ułatwiono jej kontakt na komendanta placówki. Żądano od niego ściągnięcia ludzi celem rzekomego urzędzenia napadu wspólnego na posterunek MO. W wyniku rozstrzelano komendanta placówki oraz kilku jego ludzi.

W dniu 8 III br. silny oddział UB i KBW, dowodzony przez NKWD-zistę z pow. Lubartów przybył w nocy do wsi Sobieszyn i tu nad ranem rozpoczął aresztowania i rewizje. Spędzono wszystkich mężczyzn do szkoły, gdzie ich wylegitymowano, potem zostały wygłoszone przemówienia na temat zwalczania band i pomagania rządowi. Aresztowano trzy osoby, jedna z nich *zaczęła* uciekać, jednak po silnym zranieniu została schwytana. Wszystkich aresztowanych odstawiono do Lubartowa. Również strzelano do młodzieży z broni maszynowej, która na widok żołnierzy UB uciekała. W czasie rewizji zrabowano kilkanaście tysięcy zł. gotówki, wiele skóry oraz mięsa i produktów żywności-

165

wych. Wobec osób, u których przeprowadzono rewizję, zachowano się brutalnie.

W dniu 15 III przeprowadzono akcję w gminach Ryki i Kłoczew. W miejscowościach Dąbia Nowa, Dąbia Stara, Przykwa, Kłoczew aresztowano ok. 60 osób. Jak bezzasadne były zarzuty świadczy o tym fakt zwolnienia wszystkich. W tym samym dniu odbyła się oblawa w Lasach Gułowskich. Efektywnych wyników oblawa nie dała. Dn. 19 bm został zabity Zaborski Jan przez przypadkowo napotkanych żołnierzy UB.

Dnia 3 III UB puławskie po przeprowadzeniu bezskutecznej oblawy we wsi Stok skradło gospodarzom 4 świnie.

Również na południu powiatu trwała nieustająca pacyfikacja. Nawiedzone zostały nią tereny między Opolem, Niezabitowem, Bełzycami, Kraczewicami, Karczmiskami. Do ludzi uciekających strzelano bez ostrzeżenia, wszystkich mężczyzn od 18-50 lat zatrzymano. Na Głusku oprawcy wpadli do mieszkania Pietrasa Stanisława, wyprowadzili jego syna i na podwórzu zastrzelili, na odgłos strzału wybiegł ojciec, który też został zabity jak syn po katyńsku, strzałem w tył głowy. Łącznie w pięciu wioskach aresztowano 200 osób, z tego 190 zwolniono.

Dn. 18 III nawiedziła teren nowa pacyfikacja. Grasowało NKWD, UB, KBW przy udziale czołgów, artylerii i samolotów. Pacyfikacja wyników nie dała. Biorący udział w akcji żołnierze KBW byli dość przychylnie nastawieni do ludności. W jednej wsi żołnierze spotkali w jednym mieszkaniu «Mroza» w mundurze wojskowym z bronią w ręku. Po krótkiej chwili wahania kazali mu zdjąć mundur i wycofać się wskazaną przez nich drogą. U żołnierzy biorących udział w akcji wyczuwało się zdenerwowanie spowodowane ciągłymi akcjami i perspektywą przyszłej wojny. Wielu z nich zdradza chęć ucieczki do lasu. W przeciwieństwie do oddziałów KBW grupy UB i NKWD nieludzko szalały. Aresztowanym na miejscu zadawano tortury, nalewano do nosa wodę lub gnojówkę, bito, przepuszczano prąd przez język itp. Aresztowano ok. 140 ludzi i z wyjątkiem jednej resztę zwolniono, z zastrzeżeniem całkowitej tajemnicy badań. Pacyfikacja na tych terenach była przeprowadzana w dzień i w nocy. W tym celu UB i OBW obsadziły Opole, Karczmiska, Grabówkę i stamtąd robiły wypad.

(...) Dn. 21IV milicja z Wąwolnicy ostrzeliwała z posterunku przechodzącą grupę ludzi. W odwecie został tej nocy rozbrojony posterunek milicji. W akcji zginęło 2 milicjantów i 3 kobiety konfidentki.

(...) Ogółem na całym terenie pow. puławskiego aresztowano ok. 500 osób, zwolniono ok. 80 proc.

166

Dn. 11 IV do Ireny przywieziono kilkudziesięciu aresztowanych z okolicy Leopoldowa. Dn. 12 IV UB i NKWD aresztowały w Bo-brownikach «Szpałę» i «Damskiego», w akcji zginął jeden żołnierz z grupy dywersyjnej. Dn. 13 IV pacyfikacja Stawy, Lasoń, Krasnogli-ny, Wymysłów, Gołąb. Bez wyników. W potyczce zginęło kilku sowietów. Dn. 17 IV UB obstawiało Kośmin, Wymysłów, aresztowań nie było. W nocy z 21 na 22 IV (Wielkanoc) UB w sile 150 funkcjonariuszy urządziło nalot na Sędowice. Chodzono po domach w poszukiwaniu oddziału «Orlika». Przy okazji zażądano wódki i jedzenia. Nikogo nie aresztowano. (...) Dn. 25 IV grasowała w Bobrownikach grupa UB. Rabowano w domach. Zabrano resztę rzeczy z domu «Kory». Pijani żołnierze strzelali do krzyża przydrożnego.

(...) W okresie sprawozdawczym UB z Puław obstawił kościół w Baranowie w czasie mszy św., po czym kilku żołnierzy UB weszło do kościoła, aby tam głośno naśmiewać się z religii. Innym razem żołnierze UB, nocując w Baranowie, zdarli ze ściany obraz Matki Boskiej, porąbali go i spalili.

Do UB zaciąga się ludzi o najgorszej opinii oraz przestępców kryminalnych. Np. Tadeusz Kuna ze Sniadówki pow. puławskiego znany bandyta i złodziej. Obawiając się, że go sama ludność zlikwiduje, wstąpił do UB w Puławach, dostał awans, jeździ

na pacyfikację.

(...) Również po drugiej stronie Wisły, tak w powiecie kozienickim, jak i w sąsiednich trwa pacyfikacja. Od 8 IV bierze w niej udział NKWD, UB, KBW i saperzy w sile jednej dywizji. W lesie suskowskim przeprowadzono obławę przy pomocy I pułku wojska. Wisła jest stale obstawiona, a nawet wybudowano umocnienia. W Zwoleniu utworzono 2 punkty kontrolne na szosie Puławy-Radom. Dn. 31 III został aresztowany przez UB Kozienice Koźminski Jan. W drodze za Bąkowcem, w lasku został okrutnie pobity i następnie po dokładnym obrabowaniu z bielizny i gotówki został pięcioma strzałami zabity. Zbrodnia ta została wykryta. Trupa przysypano piaskiem w okopie tak, że nogi wystawały. Taki sam wypadek miał miejsce w Zielonce, gdzie UB, podszywając się pod partyzantów, aresztowało 12 osób, z których 2 zginęły. Stwierdzono, że organa bezpieczeństwa poszukują osób, które świeżo powróciły z Rosji.

Charakterystyczne zarządzenia wydały organa bezpieczeństwa w puławskim, mianowicie, że każdy jeżdżący konno w terenie będzie uważany za bandytę i bez ostrzeżenia zastrzelony.

(...) Dn. 28 IV został zabity w Karczmiskach podch. bezp. Osiak Władysław, który w celach wywiadowczych badał teren. W okresie

167

sprawozdawczym w toku samoobrony zginęło 10 osób, które z ramienia NKWD i UB penetrowały teren jako przebrani żebracy, handlarze, wróżbiści itd."

Na zakończenie jeszcze dwa fragmenty z ostatniego z posiadanych przeze mnie raportów, za sierpień 1946:

„Pacyfikacja w terenie z większą niż dotychczas zawziętością rozpoczęła się na nowo. UB z Puław otoczył wieś Drażgów i rozpoczął strzelaninę na polach do pracujących tam ludzi. M.in. strzelano z RKM-ów do gromady dzieci łowiących ryby w Wieprzu. W wyniku strzelaniny został zabity harcerz Pawlak Jan, uczeń szkoły powszechnej, syn robotnika.

(...) W dn. 19 VIII br. odbył się w Opolu pow. puławskiego pogrzeb jednego z członków dywersji, który został zabity przez UB puławskie, a zwłoki wydane rodzinie. Gdy kondukt pogrzebowy już był na cmentarzu, UB otoczył cmentarz, pobił księdza, licznie zgromadzoną ludność rozpedzono. Następnie zaczęto strzelać do trumny, aż ją rozbito, po czym zwłoki oblano benzyną i spalono".

Mimo że przytoczyłem tu zaledwie fragmenty owych raportów, zajęły one sporo miejsca. Sądzę jednak, że czytelnik zechce to autorowi wybaczyć. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zapisy te — zwięzłe, chropowate, o charakterze wyłącznie informacyjnym — więcej mówią o tamtych latach niż prace doktorskie, monografie, referaty naukowe czy indywidualne wspomnienia. Tym bardziej, że nie odnoszą się do wielkiej polityki i do poczynań kierujących nią ośrodków, lecz ukazują codzienność polskiej prowincji. Na dodatek nigdzie dotychczas nie były publikowane. Ułatwiają też znalezienie odpowiedzi na pytanie, dlaczego żołnierze AK w oddalonych od Warszawy obwodach, rejonach i placówkach, w skazanych na klęskę oddziałach leśnych, mimo tyłu apeli, kierowanych do nich z różnych stron, ciągle nie chcieli złożyć broni.

20 maja 1945 r., w czasie plenarnego posiedzenia KC PPR, komendant główny MO gen. Franciszek Jóźwiak mówił z goryczą i irytacją:

— W zagadnieniach tworzenia siły zbrojnej zaniedbaliśmy rozbudowę Wojsk Wewnętrznych kosztem rozbudowy Wojska Polskiego. Szliśmy na tym odcinku po linii najmniejszego oporu. Uważaliśmy, że sprawa jest rozwiązana wraz z pobytem na ziemiach naszych Armii Czerwonej. Byliśmy zbyt leniwi, aby sami organizować swoje bezpieczeństwo. Dziś w Białostockiem, Lubelskiem i Rzeszowskiem wojska sowieckie likwidują bandy akowskie. Powinny być u nas garnizony so-

168

wieckie, ale bandy akowskie powinniśmy sami likwidować. Nasza rola militarna była niewielka i niedostateczna. Nie jesteśmy u siebie gospodarzami.

W tym samym duchu wypowiedział się wówczas Władysław Go-mułka. Bolesław Bierut, który notował tezy jego wystąpienia, tak ten wątek streścił:

„Kryzys polityczny wyrasta z trudności. Odchodzą od nas bataliony Wojsk Wewnętrznych do lasu. Trudności wyrastają na tle określonej sytuacji w kraju. Akcja reakcyjnych oddziałów partyzanckich. W tych oddziałach jest dużo elementu chłopskiego. Przy kryzysie w łonie reakcji — jej baza w społeczeństwie się zwiększyła. Gdybyśmy nie mieli pomocy Armii Czerwonej tobyśmy nie poradziili własnymi siłami"*.

To szczere wyznanie jeszcze w rok później zachowało pełną aktualność. W akcjach pacyfikacyjnych nadal uczestniczyły formacje NKWD. Jeśliby ich w Polsce zabrakło, władza ludowa musiałaby ponieść klęskę, bo jedyna siła, na jaką mogła liczyć, resort bezpieczeństwa, zostałaby w ciągu kilku dni rozgromiona i unicestwiona. Zwłaszcza że wojsko, łącznie z KBW, po uwolnieniu się spod bezpośredniej sowieckiej presji nie udzieliłoby jej wystarczającego wsparcia. Przytoczone wyżej raporty wywiadowcze także i to potwierdzają.

Niemniej owa władza, działając pod parasolem rozpostartym nad nią przez siły zbrojne obcego mocarstwa, zdołała się w ciągu roku umocnić. 28 czerwca 1945 r. powstał całkowicie zdominowany przez komunistów Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Jego utworzenie poprzedziły rozmowy w Moskwie przedstawicieli komunistycznych władz krajowych z reprezentantami rządu RP w Londynie. Odbywały się one niemal dokładnie w tych samych dniach (17-21 czerwca), w których sądzono, również w Moskwie, porwanych przez NKWD przywódców polskiego podziemia (18-21 czerwca). Ta zbieżność, oczywiście nie przypadkowa, była — z jednej strony — demonstracją sowieckiej siły i pewności siebie, z drugiej — policzkiem dla rządu RP w Londynie i całego polskiego Państwa Podziemnego, na który przedstawiciele tych struktur, opuszczeni już przez zachodnich aliantów, nie byli w stanie godnie zareagować.

27 czerwca powrócił do kraju Stanisław Mikołajczyk. Mimo iż w nowym rządzie został on zaledwie drugim wicepremierem (pierwszym był

Władysław Gomułka) społeczeństwo zgotowało mu entuzjastyczne przyjęcie, nie kryjąc, że widzi w nim męża stanu i przywódcę, który powstrzyma komunistów oraz obroni niepodległość i suwerenność Polski. Mikołajczyk z miejsca przystąpił do budowy Polskiego Stronnictwa Ludowego, które w ciągu kilku miesięcy osiągnęło ponad 600 tyś. członków, stając się w pełnym znaczeniu tego słowa stronnictwem ogólnonarodowym z programem akceptowanym przez większość społeczeństwa.

Wydarzenia toczyły się bardzo szybko: 1 lipca nastąpiło samorozwiązanie Rady Jedności Narodowej, jednocześnie zlikwidowana została Delegatura Rządu wraz z wszystkimi jej agendami. 5 lipca Stany Zjednoczone i Wielka Brytania uznały TRJN, cofając tym samym uznanie rządowi RP w Londynie.

Rozwiązując się, RJN wystosowała odezwę „Do narodu polskiego i narodów sprzymierzonych”, której integralną część stanowił program działań na najbliższą przyszłość, znany jako „Testament Polski Walczącej”. Zawierał on szereg postulatów, z których najważniejsze to: opuszczenie terytorium Polski przez Armię Czerwoną i NKWD, zaprzestanie prześladowań politycznych, połączone z szeroką amnestią dla żołnierzy AK i powrotem osób wywiezionych do ZSRR, likwidacja Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, wolne, demokratyczne wybory. RJN zapowiadała walkę o realizację tego programu, ale „na jawnej arenie politycznej”.

Konsekwencją tego były czynione przez władze podziemia naciski na zaprzestanie walki zbrojnej. Płk Jan Rzepecki, Delegat Sił Zbrojnych na Kraj, wydał 24 lipca 1945 r. odezwę do „żołnierzy byłej Armii Krajowej”, w której m.in. pisał: „Nie dawajcie posłuchu namawiającym Was do jałowego szkodnictwa, do tworzenia zbrojnych oddziałów, do destrukcyjnego bandytyzmu politycznego, zwalczajcie psychozę dezercji z wojska i agitację za dezercją. Są to działania nieodpowiedzialne, warcholskie, społecznie i politycznie szkodliwe i całkowicie sprzeczne z konstruktywną zawsze postawą Polski Podziemnej”.

W niespełna dwa tygodnie później, 6 sierpnia, płk Rzepecki rozwiązał Delegaturę Sił Zbrojnych. Istniała krótko, niespełna trzy miesiące, niczym w historii się nie zapisała. Większość działających w terenie oddziałów zbrojnych nie uznawała jej zwierzchnictwa nad sobą, wiele w ogóle nie wiedziało o jej istnieniu.

Był to okres, w którym nawet Narodowe Siły Zbrojne uznały za celowe przerwać walkę.

„Ze względów politycznych — pisał w rozkazie z 5 sierpnia 1945 ich dowódca gen. NSZ «Bogucki» (Zygmunt Broniewski) — oraz ze

170

względu na bezpieczeństwo i spokój ludności jest na razie konieczne zawieszenie w okręgach działalności oddziałów leśnych. Aby akcja ta nie miała charakteru chaotycznego, tylko zorganizowany i przygotowany, Komendy Okręgowe muszą pomóc dowódcom oddziałów w rozmieszczeniu i ukryciu ludzi. Ludzie, którzy mogą wracać do swoich domów, względnie mogą samodzielnie się zabezpieczyć, muszą być urlopowani. Ludzi zdekonspirowanych i nie mających możliwości powrotu, należy przerzucić do innych powiatów lub nawet Okręgów”.

2 sierpnia, w dniu, w którym zakończyła się konferencja w Poczdamie, stanowiąca

kolejny sukces polityczny Stalina, ogłoszony został dekret o amnestii dla „członków nielegalnych organizacji politycznych i wojskowych”, obejmujący czyny popełnione przed 22 lipca 1945 r.

O ile ogromna większość działających w terenie żołnierzy podziemia przyjęła go z głęboką nieufnością, o tyle dowódcy wyższych szczebli, a zwłaszcza działacze wywodzących się z RJN stronnictw politycznych uznali, że stwarza on szansę, którą należy wykorzystać.

Stefan Korboński, ostatni Delegat Rządu na Kraj, kilka dni przedtem zwolniony z więzienia, jeden z najbliższych współpracowników Stanisława Mikołajczyka, w swojej książce *W imieniu Kremła* zapisał pod datą 3 sierpnia 1945 r.:

„Jeśli chodzi o amnestię, to ciekaw jestem, jakie da rezultaty. Z dwojga złego lepiej jest z niej skorzystać, niż tkwić beznadziejnie w lasach. Naturalnie powinni to zrobić tylko ci, którzy bez ujawnienia nie mogą wrócić do normalnego życia, chociaż takich jest większość. Jeśli kiedyś ujawnieni będą aresztowani, to w każdym razie zyskają na czasie. Dalsze pozostawanie w wojennym podziemiu nie ma już sensu

1 celu. Jakież to jednak upokarzające, że ludzie z podziemia, ci najlepsi z najlepszych, zostali potraktowani jak przestępcy, którym wybacza się zbrodnię walczenia o Polskę. To jest po prostu haniebne, ale trudno z tego powodu odrzucać ostatnią szansę”.

Korboński przynajmniej nie wykluczał, że ujawnieni „kiedyś” zostaną aresztowani. Możliwe, że podobnie myślał jeden z legendarnych dowódców AK płk „Radosław” (Jan Mazurkiewicz), szef Kedywu KG i zgrupowania, okrytego chwałą w walkach powstańczych, ale tego nie uzewnętrznił. Przeciwnie: aresztowany 1 sierpnia 1945 r. (był uprzednio delegatem Delegatury Sił Zbrojnych na Okręg Centralny), po rozmowach z UB, 21 sierpnia wydał z więzienia rozkaz, a następnie odezwę do swych dawnych żołnierzy, w których wzywał ich do wychodzenia z konspiracji i ujawniania się. Uwolniony, zasiadł wraz z przedstawicie-

171

łami bezpieczeństwa w tzw. Komisji Likwidacyjnej AK. Trzeba przyznać, że zabiegał w niej o stworzenie ujawniającym się akowcom jak najlepszych warunków: o uznanie ich stopni i odznaczeń, o umożliwienie im podjęcia studiów lub pracy. Ta inicjatywa płk. „Radosława” do dziś budzi kontrowersje. Według jednych była zdradą, bo przyczyniła się do rozbrojenia podziemia, według innych — była działaniem racjonalnym, które wielu ludzi uwolniło z więzienia, a wielu innych uchroniło przed zamknięciem w nim.

Pozostający na wolności wyżsi oficerowie AK oraz działacze Państwa Podziemnego rychło jednak pojęli, że wszystkie te poczynania, mające na celu uniknięcie rozlewu krwi, wykorzystywane są jedynie przez komunistów dla obezwładnienia przeciwnika, w najmniejszym natomiast stopniu nie przybliżają realizacji celów politycznych, wytyczonych w „Testamencie Polski Walczącej”. Zrozumieli, że pustkę, powstałą po rozwiązaniu Delegatury Rządu i Delegatury Sił Zbrojnych trzeba wypełnić, powołując organizację, która stanie się wykonawcą tego

testamentu.

W rezultacie 2 września 1945 r. powstało Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość, mające za zadanie prowadzenie „walki cywilnej o wolność obywatela i niezawisłość narodu”. WiN rezygnował z walki zbrojnej, a określone w swej deklaracji programowej cele, wśród których za najpilniejszy uważał „wywalczenie przeprowadzenia uczciwych i demokratycznych wyborów powszechnych do Sejmu Ustawodawczego” zamierzał osiągnąć poprzez prowadzoną legalnie bądź nielegalnie działalność propagandową i polityczną, jednoczącą społeczeństwo w opozycji przeciw sowietyzacji Polski. Dla podkreślenia cywilnego charakteru organizacji kierował nią Zarząd Główny (nie komenda), na czele z prezesem (nie komendantem). Podobnie miało to wyglądać w obszarach, okręgach i obwodach. Prezesem pierwszego ZG WiN został płk Jan Rzepecki.

Dzieje WiN (1945-1948) to temat odrębny, którego nie będę tu rozwijać. Powiedzieć jednak trzeba, że choć celów, jakie wyznaczili mu jego założyciele, nie osiągnął, bo osiągnąć nie mógł, to przecież wniósł wielki, do dziś nie doceniany wkład w walkę Polaków z komunizmem. Osiągnąć zaś tych celów nie mógł, gdyż władze komunistyczne nawet i takiej organizacji, odcinającej się od walki zbrojnej, tolerować nie zamierzały, co wkrótce udowodniły, rozbijając kolejne zarządy Zrzeszenia i mordując ich członków, a trwający w podziemiu ludzie z AK ani nie mieli możliwości odłożenia broni i zajęcia się pracą polityczną, ani nie widzieli w tym sensu.

Mimo to większość zbrojnego podziemia uznała zwierzchnictwo WiN i znalazła się w jego strukturach. Poza nimi pozostały jednak duże

772

jego odłamy. Przede wszystkim dotyczy to Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Pełną niezależność zachowała utworzona i dowodzona przez kpt. „Warszyca” (Stanisław Sojczyński) zbrojna organizacja pn. „Konspiracyjne Wojsko Polskie”, działająca od połowy 1945 r. do końca 1946 r. w województwach: łódzkim oraz — na mniejszą nieco skalę — śląskim, kieleckim i poznańskim. Liczyła około czterech tysięcy ludzi i w walce przeciw sowietyzacji Polski zapisała bardzo piękną kartę.

Wiele innych zgrupowań i oddziałów też nigdy do WiN nie weszło. Choćby istniejące przez dwa lata (od wiosny 1945 do wiosny 1947) na Podhalu zgrupowanie „Ognia” (Józef Kuraś), który do końca nie uznawał żadnych zwierzchników nad sobą.

Znalazła się natomiast w WiN pewna liczba dawnych żołnierzy Batalionów Chłopskich, które formalnie zostały rozwiązane dopiero 19 września 1945 r., a więc dokładnie o osiem miesięcy później niż AK. Rozliczne ewolucje ruchu ludowego sprawiły, że dziś mało kto wie, iż BCh — z bardzo nielicznymi wyjątkami — nigdy, ani w latach okupacji, ani po niej, nie sprzeniewierzyły się polskiej racji stanu i nie poparły komunistów. Z tego też powodu wielu dowódców i żołnierzy BCh zostało po wkroczeniu Armii Czerwonej skrytobójczo zamordowanych. Wielu deportowano do ZSRR, wielu — na czele z komendantem głównym BCh ppłk. (gen. dyw.) Franciszkiem Kamińskim („Zenon Trawiński”) — przez długie lata więziono. Niektórzy po rozwiązaniu ich organizacji walczyli nadal w oddziałach WiN.

Ale niemal cała konspiracja poakowska wraz z jej oddziałami zbrojnymi została przez WiN przejęta. WiN podporządkował się bez sprzeciwu nawet najbardziej krnąbrny Okręg Białostocki, którym po aresztowaniu 31 lipca 1945 r. jego komendanta płk. „Mścislawa” (Władysław Liniarski) dowodził ostatni komendant Okręgu Nowogródek cichociemny ppłk dypl. Stanisław Sędziak („Warta”). Odmówił on wykonania wymuszonego przez UB na uwięzionym „Mścislawie” rozkazu ujawnienia sił Okręgu i — po częściowej ich demobilizacji — kierował ich walką do grudnia 1945 r., kiedy to został zastępcą prezesa Obszaru Centralnego WiN, a następnie prezesa III Zarządu Głównego. Aresztowany w styczniu 1947 r., skazany na dożywocie. Szefem Okręgu WiN został po nim płk Marian Świtalski („Sulima”), aresztowany w noc sylwestrową 1946/1947.

Bez problemów podporządkował się centralnemu kierownictwu WiN Okręg Lubelski z jego dotychczasowym, z ramienia DSZ, komendantem mjr. Wilhelmem Szczepankiewiczem („Drugak”), w latach oku-

173

pacji komendantem Obwodu Tomaszów Lubelski. Wprawdzie pewne zamieszanie wywołał tu wydany w więzieniu, pod naciskiem UB, podobnie jak w przypadku płk. „Radosława” rozkaz poprzedniego komendanta okręgu płk. „Wira”, wzywający do ujawniania się, ale posłuchali go tylko nieliczni. Okręg Lubelski WiN, obejmujący województwo lubelskie oraz powiat garwoliński, podzielony na pięć inspektoratów (Lublin, Biała Podlaska, Chełm, Puławy, Zamość) już we wrześniu rozpoczął działalność.

Dowódcy liniowi zarówno na Lubelszczyźnie, jak i w pozostałych częściach kraju powstanie WiN powitali z zadowoleniem. Uznali, że kładzie ono kres trudnemu do zaakceptowania przez oficera stanowi rzeczy, w którym jego podporządkowanie służbowe jest niejasne, a struktura, w jakiej działa — mało czytelna. Wkrótce jednak okazało się, że reprezentowana przez kierownictwo WiN koncepcja zastąpienia walki zbrojnej oporem cywilnym w terenie zupełnie nie znajduje ani zrozumienia, ani odzewu. Dowódcy liniowi doskonale rozumieli — i mieli rację — że trwającego ciągle terroru nie powstrzymają ani działalnością propagandową, ani jakimikolwiek apelami. Wiedzieli, że pozbywając się broni, oddają się na łaskę i niełaskę tamtych i że tamci tylko na to czekają, by bezlitośnie się z nimi rozliczyć.

W maju 1945 r., w czasie wspomnianego już plenum KC PPR, szef resortu bezpieczeństwa Stanisław Radkiewicz z rozbrajającą szczerością powiedział o metodach stosowanych w śledztwie przez jego ludzi:

— Co taki chłopak może zrobić, gdy ma przed sobą pułkownika akowskiego? On nie dorósł do jego badania, oddziaływania na niego. Wobec tego leje go ze złości.

W kilka miesięcy później leli jeszcze mocniej. Ani powrót Mikołaj-czyka, ani utworzenie rządu z jego udziałem nie stępiły ostrza represji, godzących w akowców i tych, którzy byli po ich stronie. Tam, w Warszawie, mogli o tym nie wiedzieć, ale tu, w terenie wiedzano na ten temat tyle, że włos jeżył się ze zgrozy. Wiedzano, że w ciągu dwóch tygodni, od 11 do 25 lipca 1945 r., dwie wycofane z Niemiec dywizje Armii Czerwonej, wsparte przez UB, dokonały pacyfikacji rejonu Puszczy

Augustowskiej, nad którym władza całkowicie utraciła kontrolę. Aresztowano wtedy ok. 2000 osób, z których ponad 800 zamordowano. Wiedziano, że palono odporne wsi, strzelając z karabinów maszynowych do uciekających z nich chłopów, że bez ostrzeżenia zabijano spotkanych na drodze ludzi, których wygląd czy zachowanie jakiemś ubekowi wydały się podejrzane.

174

Dawni żołnierze AK mieli tylko dwie możliwości: albo rzucić wszystko i wynosić się, gdzie pieprz rośnie, albo —jeśli zdecydowali się pozostać na swojej ziemi, wśród swoich — kontynuować walkę. Nie cywilną, lecz zbrojną. Ci, którzy wybrali ten drugi wariant, przybrali wprawdzie barwy WiN, ale nie mogli i nie chcieli dostosować swych działań do jego programowych założeń. Zachowali wojskowe stopnie i funkcje, nie stali się „prezesami”, czy „wiceprezesami”. „Orlik”, formalnie „referent bezpieczeństwa” na szczeblu Inspektoratu, do końca pozostał dla swych żołnierzy „komendantem”. Ta dwoistość WiN, występująca przez cały czas jego istnienia, a polegająca na tym, że teoria, czyli program, nie pokrywała się z praktyką, czyli z codzienną działalnością jego ludzi, uważana jest przez niektórych za główną słabość Zrzeszenia. Niesłusznie. W rzeczywistości to ona bowiem sprawiła, że WiN pozostał na kartach historii. Jeśliby jej nie było, dawno odszedłby w niebyt, jak tyle innych grup, utworzonych przez naiwnych, bujających w obłokach polityków.

W to, że stało się inaczej, liczący się wkład wniosło także zgrupowanie „Orlika”.

Oddział szedł w kierunku Kocka. Było to rankiem 1 maja 1945 r., na tydzień przed zakończeniem — choć nie dla wszystkich — wojny w Europie. Dowodził „Świt”, ale „Orlik” był przy nim. Pod odległą o 5 km od Kocka wsią Annówka, na skraju lasu niemal przylegającego do szosy Kock-Radzyń, oddział podzielono. Część, wraz z „Orlikiem”, pozostała tam, reszta kontynuowała marsz. Nie była to duża siła: pluton skrobowiaków oraz kilku innych partyzantów, też mieszkańcom Kocka nie znanych. Razem ok. 40 ludzi. Prowadził ppor. „Alfred” (posługiwał się kilkoma nazwiskami, prawdziwego nie udało się ustalić), nauczyciel, komendant placówki w Kocku. Twarz miał obandażowaną, bo znali go tu wszyscy.

Około godz. 10.00 oddział wkroczył do miasteczka. Było w nim zaledwie kilku milicjantów i kilku funkcjonariuszy UB, którzy — zgodnie z zapewnieniami „Alfreda” — oporu nie stawili.

Partyzanci doszli opustoszałą ulicą do rynku, wypełnionego ludźmi spędzonymi na pierwszomajowy wiec. Najokazalszy w Kocku budynek, siedziba komitetu PPR i władz miejskich, był udekorowany flagami, widniały na nim wielkie portrety Stalina i Bieruta. Ludzie spoglądali spode łba na zbliżających się ku nim umundurowanych żołnierzy, sądząc, że to pododdział WW przysłany dla ochrony wiecu. Wszystkie

775

ważniejsze punkty miasteczka zostały opanowane bez strzału. Tych milicjantów, którzy nie *zdażyli* uciec, rozbrojono. Zatrzymano trzech ubowców.

Wiec na rynku odbył się, ale miał inny charakter, niż planowali jego organizatorzy. Portrety i transparenty spadły na bruk, jeden z partyzantów pojawił się na balkonie i wygłosił krótkie przemówienie. Powiedział, że zachodni alianci nie dopuszczą do sowietyzacji Polski, przypomniał o obowiązku dochowania wierności legalnemu rządowi RP, przestrzegł przed wspomaganiem PPR i UB w ich walce z AK. Dziś można powiedzieć, że było to bardzo naiwne, ale wtedy ludzie brali takie słowa za dobrą monetę. Słuchali z uwagą, kilkakrotnie przerywając mówcy oklaskami.

W tym czasie „Alfred” uzyskał z poczty połączenie telefoniczne z PUBP w odległym o 20 km Radzynie i poinformował ubowców, że do Kocka wtargnęło kilku bandziorów od „Orlika”, których bez trudu będzie można pojmać, jeśli Radzyń przyśle niewielką grupę operacyjną. Szefa PUBP interesowała głównie liczba owych bandziorów. Gdy „Alfred” zapewnił go, że nie ma ich więcej, niż dziesięciu, obiecał szybką pomoc. Po tej rozmowie łączność telefoniczna została przerwana.

Oddział odczekał przez czas potrzebny tamtym na dojazd, a gdy ich nie było widać, owacyjnie przez mieszkańców miasteczka żegnany, ruszył z powrotem w stronę Annówki. Gdy zagłębił się w las w miejscu, w którym czekała reszta, a przez pole, dzielące szosę od lasu, brnęło już tylko tylne ubezpieczenie, spoza zakrętu drogi wypadły dwa odkryte samochody ciężarowe, wiozące ubowców z Radzyna. Było ich, jak stwierdzono później, ok. 60. Na widok zbliżających się do lasu zaledwie kilku umundurowanych i uzbrojonych ludzi otworzyli do nich gwałtowny ogień. Ubezpieczenie zdążyło jednak skryć się między drzewami.

Wtedy zaczęły bić ustawione wzdłuż skraju lasu wszystkie karabiny maszynowe oddziału. Obydwa samochody niemal natychmiast znalazły się w rowie. Część ubowców rzuciła się do ucieczki, część skryła w dołach po kartoflach, a pozostali próbowali nawiązać walkę ogniową z oddziałem. Szybko jednak z niej zrezygnowali. Przygwożdżeni seriami kaemów zaczęli podnosić czapki na lufach karabinów, sygnalizując chęć poddania się.

Zginęło ich kilku, 24 dostało się do niewoli, reszta uciekła. Gdy uciekinierzy dotarli do Radzyna, trwała tam pierwszomajowa pijatyka. Przerwano ją, ogłaszając alarm i dzwoniąc, gdzie tylko się dało, o pomoc.

Paru funkcjonariuszy UB, na których ciążyły wyroki podziemia — zlikwidowano. Oddział nie poniósł żadnych strat.

776

W miejscu tego starcia, w 20 lat później, 1 maja 1965 r. położono tablicę z napisem: „Wieczna chwała bohaterskim funkc. MO i SB poległym w walce o utrwalenie władzy ludowej we wsi Annówka dnia 1 V 1945 r.” Rzekomo ufundowało ją, o czym informuje napis, „społeczeństwo powiatu radzyńskiego”. Widnieje na niej 12 nazwisk. Popękana, porośnięta chwastami leży tam do dziś.

Tak zakończyła się wyprawa „Orlika” na Kock. Druga w dziejach jego zgrupowania. Po raz pierwszy „Orlik”, bezpośrednio dowodząc oddziałem, opanował Kock 21 marca 1944 r. Dokonał tam dużej akcji zaopatrzeniowej i starł się z grupą żandarmów z Radzyna, tracąc w walce dwóch ludzi: „Wronę” (Stanisław Surmacz) i „Kubę” (Kazimierz Świtaj).

Natomiast do największej bitwy, stoczonej przez zgrupowanie „Orlika”, doszło 24 maja 1945 r. w Lesie Stockim (właściwie kolonia Zbę-dowice, gmina Celejów) w pobliżu Kazimierza i szosy prowadzącej z Bochofnicy do Nałęczowa i Lublina.

Kwatery w rejonie Bobrownik nad Wieprzem oddział opuścił 0 zmierzchu 22 maja i forsownym marszem ruszył na południe. Jeszcze dziś nie można dokładnie odpowiedzieć na pytanie, po co tam szedł. Prawdopodobnie po to, by odejść z terenu intensywnie przeczesywanego przez wojsko i UB, trochę odpocząć, zebrać siły, dokonać pewnych zmian organizacyjnych. Z oddziałem szli „Orlik” i „Spokojny”.

Maszerowano całą noc w gęstym deszczu po wertepach i bezdrożach, pokonując ponad 25 km. Po przybyciu na miejsce ludzie byli przemoczeni, zmęczeni i brudni. Gdy zajęto kwatery, „Świt” zarządził pranie bielizny.

W Lesie Stockim miała czekać grupa dywersji terenowej z Podob-wodu „B”, którą na rozkaz „Orlika” zebrał i prowadził ppor. „Maks” (Czesław Szlendak). Okazało się jednak, że jeszcze jej nie ma.

Las Stocki leży w terenie dogodnym do obrony, pociętym jarami i wąwozami, nawet i dziś trudno tam dojechać. Miejsce zakwaterowania wybrano więc właściwie. Niemniej duże zdziwienie wywołała wiadomość, że oddział będzie tu nocował^gdyż nigdy dotychczas nie zdarzało się, by spędzał noc tam, gdzie rankiem przyszedł. Powodem tej decyzji było opóźnienie się grupy „Maksa”. Przyszła ona dopiero rankiem 24 maja. Liczyła około 50 ludzi. Byli krańcowo wyczerpani, bo musieli kluczyć po bezdrożach, przemykając między przybyłymi w ten rejon jednostkami wojska oraz grupami operacyjnymi UB i MO. Były to znaczne siły, wydzielone z 4 Dywizji Piechoty, wsparte brygadą zaporową NKWD, dysponujące artylerią i bronią pancerną.

777

Dzień i noc minęły spokojnie, ale mimo że zbliżało się już południe 24 maja, rozkazu wymarszu nie było. Dowódca I plutonu por. „Wierny” zarządził zbiórkę, rozkazał wzmocnić ubezpieczenia i zachować pełną gotowość bojową. Starzy partyzanci byli wyraźnie zaniepokojeni. Czuli, że coś wisi w powietrzu.

I mieli rację. Intensywna penetracja terenu przez UB przyniosła skutek: zdołano ustalić miejsce postoju oddziału. Gdy to nastąpiło — grupa operacyjna wezwała na pomoc jednostkę NKWD w sile batalionu, dysponującą trzema samochodami pancernymi i dwoma transporterami opancerzonymi. Łącznie do uderzenia na Las Stocki przygotowano 680 ludzi. „Orlik” miał ich ok. 170.

Uderzyli niemal w samo południe. Szli szeroką ławą. Lewe rękawy kurtek mundurowych mieli podwinięte powyżej łokci, co stanowiło znak rozpoznawczy, zabezpieczający przed otwarciem ognia do swoich.

Pododdziałami NKWD dowodzili oficerowie sowieccy, ale przodem szli znający teren ubowcy i milicjanci. Posuwali się bez zachowania szczególnych środków ostrożności, byli pewni siebie, przekonani, że przewaga, jaką mają, z góry przesądza wynik starcia. Otaczali wieś szerokim półkolem. Część swych sił rozmieścili w

wąwozach za kolonią, sądząc, że zaatakowani frontalnie partyzanci tam właśnie będą szukać schronienia.

Mimo wzmoczonej czujności partyzanckich ubezpieczeń, nagłe pojawienie się nieprzyjacielskiej tyraliery wyraźnie je zaskoczyło. Zwłaszcza na tym skraju kolonii, na którym kwaterowała dywersja terenowa. Tam też rozpoczęła się bitwa. Przed tyralierę wysunęły się samochody pancerne i transportery, otwierając huraganowy ogień z ciężkiej broni maszynowej. Drewniane ściany wiejskich chałup nie stanowiły żadnej osłony przed pociskami. Dywersja odpowiedziała chaotycznym ogniem, który nie zdołał powstrzymać przeciwnika. Straciła kilku zabitych i rannych. „Maks” próbował uporządkować obronę, ale dostał dwa pociski rozrywające, które wyeliminowały go z walki.

Wtedy we flankę nacierających uderzył II pluton pod dowództwem por. „Świta”. Kpr. „Spłonka” (Ryszard Pawelec) z lotniczego km wybił załogę pierwszego transportera, sam transporter zniszczono granatami. Po chwili „Spłonka”, zajmujący stanowisko pod przydrożnym krzyżem, zginął przecięty seria km z samochodu pancernego. Samochód ten, zaatakowany przez II pluton, zniszczył gamonem kpr. podch. „Znicz” (Jerzy Skolimowski), który w akcji tej został ranny.

778

Zwolniło to tempo natarcia, ale go nie zatrzymało. Druga panczerka i drugi transporter, bijąc po zabudowaniach, przedarły się na wysokość kwater I plutonu, który zdążył uprzednio zająć stanowiska bojowe i powitał je zmasowanym ogniem. Pancerkę unieruchomił gamoń rzucony przez kpr. podch. „Świdę” (Jerzy Michalak), załogę transportera wybił z erkaemu kpr. podch. „Nieczuja” (Jerzy Śląski), a dzieła zniszczenia dopełnili granatami kpr. podch. „Samopał” (Kazimierz Łukasik) i kpr. podch. „Czarny” (Zdzisław Jarosz). Kierowca transportera zdołał go jednak wyprowadzić. Stał w odległości kilometra od miejsca walki i bezradnie bił w niebo seriami pocisków smugowych z ckm. Do boju już się nie włączył.

Sukces I plutonu uratował dywersję terenową, która przedarła się z okrażenia, wynosząc ciężko rannego dowódcę, siedmiu zabitych i kilku rannych.

W tym czasie próbował włączyć się do walki przybyły z opóźnieniem trzeci samochód pancerny, ale na skraju kolonii spaliło go ubezpieczenie pod dowództwem ppor. „Leonidasa” (Mieczysław Polak).

Po zażegnaniu największego niebezpieczeństwa por. „Wierny” na czele I plutonu ruszył w stronę, gdzie walczył „Orlik” wraz ze swym poczem. Pluton rozproszył otaczającą „Orlika” sowiecką tyralierę i w pościgu za uciekającymi dotarł do wąwozu. Tam doszło do niezwykłego spotkania: grupa, którą prowadził „Orlik”, szła ścieżką wiodącą pod górę, na szczyt zalesionego *zbocza*. Nagle zza załomu ścieżki wyszło naprzeciw niej kilku (jak później policzono ośmiu) ludzi w sowieckich i polskich mundurach. Ci drudzy mieli podwinięte lewe rękawy.

Obydwie grupy przystanęły. „Spokojny” krzyknął: „Hasło!” Usłyszał: „Leningrad”. O odzew nie zdążyli już zapytać. Zostali dosłownie rozniesieni seriami z broni maszynowej.

To był przełomowy moment bitwy. Zginęło wówczas całe dowództwo grupy

operacyjnej. M.in. bliski współpracownik Adama Humera, naczelnik Wydziału do Walk z Bandytyzmem WUBP Lublin kpt. Henryk Deresiewicz oraz zastępca szefa PUBP Puławy por. Aleksander Ligęza.

Po stracie dowództwa wśród napastników zapanowała całkowita dezorientacja. Biegali gromadnie, nie wiedząc, co począć. Erkaemy oddziału, dobrze ustawione nad wąwozem, były w nich celnymi seriami. Poszli więc w rozsypkę, kryli się w różnych dziurach i wykrotach, próbowali uciekać. Nie wiedząc, gdzie swój, a gdzie przeciwnik, ostrzeliwali się wzajemnie. W likwidowaniu rozproszonych grup pomagali partyzantom chłopci, wskazując ich kryjówki lub kierunek ucieczki. Dochodziło do walki wręcz. Jeńców nikt nie brał.

179

Jeszcze po zapadnięciu zmierzchu trwało likwidowanie poszczególnych grup nieprzyjaciela. Walka wygasła wraz z dopalającymi się zabudowaniami.

Było już po godz. 22.00, gdy „Świt” zarządził zbiórkę. Policzone straty: jeden zabity, siedmiu rannych (wśród nich kpr. podch. „Nieczu-ja” i kpr. „Ludwik” — Zdzisław Kieliszek) oraz siedmiu poległych i kilku rannych z dywersji terenowej. Zginął też jeden z mieszkańców kolonii.

„Orlik” wraz ze swym poczem i podwodami z rannymi ruszył na północ, nad Wieprz. Oddział pod dowództwem „Świta” pomaszerował na zachód, w stronę niedalekiej Wisły. Idąc tylko nocami z trudem przedzierał się przez obszary, na których gęsto było od jednostek KBW, WP, NKWD i grup operacyjnych UB oraz MO. W sumie operowało tam wtedy kilka pułków. Ułatwiały im zadanie samoloty, startujące z Dębłina i od świtu do zmierzchu penetrujące teren.

Mimo to, idąc nocą, odpoczywając w dzień w zagajnikach, żywiąc się śmierzdzącym mięsem, dotarli w rejon Maciejowie i tam, w nocy z 27 na 28 maja, przeprawili się promem na lewy brzeg Wisły, jak wielokrotnie to czynili znajdujący się w opresji partyzanci „Orlika”. Po spędzeniu dwóch dni na przyczółku magnuszewskim, w terenie zaminowanym i opustoszałym, powrócili nad Wieprz.

„Orlik” z rannymi dotarł tam wcześniej. Ciężko rannego „Maksa” umieścił w kolonii Kośmin, sam — wraz ze „Spokojnym” — też tam zakwaterował. W niedzielę, 27 maja, ogarnęła ich oblawa. Uratowali się z trudem, uchodząc — razem z niesionym na łożku „Maksem” — w zboże.

Kpr. podch. „Nieczuje” umieszczono w kolonii Bazanów Nowy. Po kilku dniach, gdy oddział powrócił zza Wisły, przybył mu do towarzystwa poważnie chory kpr. podch. „Samopał”. Kurację przerwała im oblawa. Z bronią w ręku przedarli się przez jej pierścień i wrócili do oddziału.

Po bitwie w Lesie Stockim przez cztery dni siły bezpieczeństwa pod osłoną sowieckich czołgów penetrowały rejon walki, szukając zabitych. Znajdowano ich w zbożu, w zaroślach, w różnych rozpadlinach. Poszukiwania ułatwiał fetor wydzielany przez rozkładające się na słońcu zwłoki.

Znaleziono 10 ciał funkcjonariuszy UB i MO oraz 62 oficerów, podoficerów i szeregowych NKWD. 28 spośród tych drugich pochowano w Kazimierzu, 34 w Puławach.

Zginęli niepotrzebnie, już po zakończeniu wojny, na obcej ziemi, daleko od własnych domów, za sprawę, której nie rozumieli. Ale przysłano ich tu przecież po to, by zabijali jej prawowitych gospodarzy.

180

W większości byli to młodzi chłopcy z republik kaukaskich, niedawno wcieleni do wojska, źle wyszkoleni, co także przyczyniło się do tego, że tak wielu z nich zginęło.

Dziejopisarze PRL bitwę w Lesie Stockim skwitowali kilkoma bałamutnymi i wzajemnie sobie przeczącymi wzmiankami. Roman Malinowski napisał:

„Na przełomie kwietnia-maja 1945 r. połączone przez «Orlika» siły zorganizowały rajd propagandowy, rozpoczęty z kierunku miejscowości Ryki w powiecie garwolińskim w kierunku południowym przez lasy puławskie aż do miejscowości Stok. W czasie przemarszu organizowano wiece, na których przemawiał «Orlik», nawołując ludność do uchodzenia w lasy. Rozrzucano ulotki, które między innymi zawierały hasła: «śmierć PPR-owcom! Precz z PPR!» itp.”*

Przemarsz oddziału trwał jedną noc, kiedy więc miano organizować owe wiece?

Zupełnie inaczej określają cel marszu „Orlika” na południe Władysław Góra i Zenon Jakubowski: „Miesiąc później (25 maja) «Orlik» skoncentrował jeszcze większe siły i zaplanował napad na Puławę, m.in., by pomścić nieudany atak poprzedni”**.

„Orlik” nie miał powodu, by się mścić, bo uderzenie na PUBP w Puławach przyniosło mu pełen sukces. Nie był też na tyle naiwny, by z jedną kompanią uderzać na duże miasto, w którym stacjonowało kilka tysięcy żołnierzy radzieckich i polskich.

Równie rewelacyjne są dane obydwu historyków, dotyczące samej bitwy. Według nich, po rozszyfrowaniu przez służbę bezpieczeństwa owego rzekomego zamiaru „Orlika” skierowano („By nie dopuścić do zaatakowania miasta”) przeciw jego zgrupowaniu liczącą zaledwie 30 ludzi grupę funkcjonariuszy UB i MO, wzywając jednocześnie na pomoc jednostkę Armii Czerwonej.

„Mimo znacznej liczebnej przewagi bojówek «Orlika» — piszą panowie Góra i Jakubowski — funkcjonariusze, nie czekając na przybycie dodatkowych sił, koncentrycznym ogniem prowadzą ponad dwugodziną walkę. Wkrótce przybywa pomoc. W wyniku stoczony walki ugrupowanie «Orlika» doznaje dużych strat — około 100 osób zabitych. Niestety, także funkcjonariusze i żołnierze radzieccy ponoszą bolesne

straty: zginęło 22 żołnierzy radzieckich, 8 funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa oraz 2 milicjantów. Jednakże miasto i jego mieszkańcy uniknęły niebezpieczeństwa”.

Równie nonsensownych zapisów można by przytoczyć jeszcze kilka.

To, że historycy PRL obraz tej bitwy oraz wysokość strat poniesionych przez uczestniczące w niej strony w tak rażący sposób zafałszowali, nie może dziwić. Musi natomiast dziwić, że wzajemnie sobie przeczą, że nie potrafili uzgodnić stanowisk, że każdy konfabuluje na własną rękę. Świadczy to nie tylko o niechlujstwie i

nieodpowiedzialności piszących. Także i o tym, że nawet wtedy, gdy się kłamie, trzeba kłamać mądrze.

Władza ludowa i tę klęskę upamiętniła pomnikiem. Odsłonięte go w 1964 r., ale nie w miejscu bitwy, bo tam nikt by go nie widział, lecz na szosie do Nałęczowa, przy styku B ochotnicy z Wierzchoniowem. Z lewej jej strony, u podnóża zalesionego stoku, zbudowano podłużną ścianę z nieregularnych płyt szarego piaskowca. Na niej, pod wielkim napisem: „Chwała poległym”, umieszczono tablicę z inskrypcją, informującą, że ów pomnik, poświęcony funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa oraz żołnierzom radzieckim „poległym w dniu 24 maja 1945 roku w walce z bandami reakcyjnymi w rejonie Lasu Stockiego” postawiło, w XX rocznicę PRL i MO, „społeczeństwo powiatu puławskiego”. Okoliczni mieszkańcy, zwłaszcza starsi wiekiem, pamiętający, co rzeczywiście wydarzyło się w Lesie Stockim, nie szczędzili owej budowli kpin i ironii. Dziś, mimo że nikt nie nakazywał jej rozbiórki, rozsypała się prawie zupełnie przy walnej pomocy miejscowej dzieciarni.

Jeszcze przez dwa miesiące po tej bitwie „Orlik” stosował taktykę, którą przyjął na początku kwietnia, gdy dołączył doń pluton skrobowa-ków: jego główna siła, lotny oddział partyzancki, działała jako jednostka zwarta. Zwiększało to jej moc uderzeniową i sprawiało, że posterunki MO i komórki UB były wobec niej zupełnie bezradne. W okresie tym niemal wszystkie zostały rozbrojone. Niektóre po parę razy. Także i w sporych miastach, jak np. 19 maja w Kazimierzu.

15 czerwca oddział bez strzału opanował Żelechów. Milicjantów rozbrojono, kilku funkcjonariuszy UB zlikwidowano.

Te liczne uderzenia na posterunki MO bynajmniej nie miały na celu ani mordowania milicjantów, bo tych, na których ciążyły wyroki śmierci potrafiiono i w inny sposób osiągnąć, a pozostałych z reguły puszczano wolno, ani zdobycia broni, bo wówczas było jej pod dostatkiem. Cho-

182

dziło przede wszystkim o uświadomienie milicjantom, że nie powinni uważać się za niepodzielnych władców i że są tacy, którzy —jeśli zajdzie taka potrzeba— potrafią się z nimi surowo rozliczyć. Cel ten w dużym stopniu został osiągnięty. Milicja, wiedząc, że w spotkaniu z oddziałem nie ma żadnych szans, wołała nie dawać „Orlikowi” powodów do udzielania jej lekcji wychowania obywatelskiego.

Ale nie tylko posterunki MO nie były w stanie oddziałowi sprostać. Także i poszczególne grupy operacyjne UB, KBW i WP nie były dlań równorzędnym przeciwnikiem. *Zagrozić* mu mogła jedynie siła przynajmniej kilkakrotnie od niego liczniejsza. Nawet jednak i wtedy potrafił rozstrzygnąć bój na swą korzyść, wyjść cało z opresji i zadać przeciwnikowi bardzo wysokie straty. Las Stocki stanowi najlepszy tego dowód.

Była to bezsprzecznie jedna z największych bitew, jakie poakowska partyzantka stoczyła z NKWD i UB. Zasluguje też na coś więcej, niż ów żaloszny pomnik w Bohotnicy. Choćby na rzetelne przypomnienie jej przebiegu.

Na czas, w którym „Orlik” stosował tę taktykę, zakończony w lipcu 1945 r.,

przypada apogeum działań zbrojnych jego zgrupowania. Później sytuacja uległa zmianie. Przemiany polityczne w kraju, a przede wszystkim utworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, brak jakiegokolwiek reakcji mocarstw zachodnich na to, co działo się w Polsce, spowodowane sierpniową amnestią osłabienie podziemia (wg danych MBP z amnestii skorzystało ponad 42 tys. osób, z tego na Lubelszczyźnie ok. 2 tys.) — utwierdziły komunistów w przekonaniu, że mogą robić, co chcą i że najwyższa już pora, by utopić we krwi ostatnie przejawy stawianego im oporu. A po powrocie wojska z frontu dysponowali siłą wystarczającą, by to uczynić.

Przez rejony działań partyzanckich zaczęły się przewalać fale zakrojonych na ogromną skalę akcji pacyfikacyjnych. W terenie robiło się coraz ciasniej, oddziałom większym niż pluton coraz trudniej było lawirować między masami wojska.

Wtedy i „Orlik” zmienił taktykę. Oddział podzielił na plutony i drużyny, które zakonspirował we wsiach, stanowiących jego najpewniejsze oparcie. Pozostając pod opieką placówek i członków dywersji terenowej, przez cały czas zachowywały one pełną gotowość bojową. Ich wzajemna łączność, a także łączność dowódców z „Orlikiem” funkcjonowały niemal bezbłędnie. W ciągu bardzo krótkiego czasu mogły się skoncentrować i ruszać do akcji.

183

Tak było do wiosny 1946 r. Dziennika działań bojowych zgrupowania ani wtedy, ani w poprzednim okresie nikt nie prowadził, a jeśli nawet w sposób fragmentaryczny ktoś to czynił, to śladu po tym nie zostało i dziś o jakiegokolwiek rekonstrukcji tamtych zapisków mowy być nie może, ale każdy tydzień przynosił wydarzenia, które na miejsce w takim dzienniku zasługują. Począwszy od akcji zaopatrzeniowych i propagandowych, poprzez likwidację szczególnie szkodliwych ubow-ców i ich konfidentów, na dużych starciach zbrojnych kończąc.

Ważną częścią tych działań od początku po ich kres była praca propagandowa, mająca podtrzymać w społeczeństwie ducha oporu. Jej istotną treść stanowiły druk i kolportaż wydawnictw ulotnych: informacji, apeli, komunikatów, tekstów okolicznościowych. „Orlik”, podobnie jak w latach okupacji niemieckiej, uważał to za jedno ze swych priorytetowych zadań.

W jego realizacji ogromnie mu dopomogło pozyskanie wiosną 1946 r. drukarni polowej. Zdobył ją dawny żołnierz AK z Bobrownik, Czesław Jakubicki, mieszkający w tym czasie w m. Łobez na Pomorzu Zachodnim, starszy brat „Juniora” (Bogusław Jakubicki), żołnierza oddziału partyzanckiego, wyróżniającego się męstwem w wielu akcjach zarówno w latach wojny, jak i później.

Powiadomiono o tym „Orlika”, który zlecił „Junaczowi” sprowadzenie drukarni do Ryk. Tego trudnego zadania podjęły się trzy młode kobiety, dwie łączniczki — żona „Żuka”, Halina Wilczyńska, ps. „Ciemna”, i narzeczona „Junacza” (później jego żona), Bogusława Beksińska, ps. „Jasna” przy pomocy Janiny Trajer. Opowieść o tym, w jaki sposób je wykonały, zajęłaby zbyt wiele miejsca. Istotne jest to, że drukarnia — po wielu perypetiach — dotarła do Ryk i dobrze służyła podziemiu.

Wiosną 1946 r., mimo ogromnego nasycenia terenu wojskiem, „Orlik” ponownie skoncentrował oddział i sam objął jego dowództwo, mając za zastępcę „Spokojnego”.

Było wtedy przy nim ok. 140 ludzi. Wkrótce jednak okazało się, że jest to grupa zbyt liczna, by skutecznie mogła wymykać się obławom i podzielono ją na dwa pododdziały. Pierwszy pod dowództwem „Spokojnego” operował na północy, drugi pod dowództwem „Żuka” (Zygmunt Wilczyński) na południu inspektoratu. Zwierzchnikiem obydwu pozostał „Orlik”. Taki układ zachował się do jego śmierci i trwał do końca, to znaczy do wiosny 1947 r.

Również w okresie pozornego wyciszenia działań, gdy rozczłonkowany oddział przebywał na w miarę stałych kwaterach, dochodziło do wielu krwawych potyczek. Jak np. 19 października 1945 r., gdy jeden

184

z plutonów zajął st. koi. Gołąb. Albo jak 5 lutego 1946 r., gdy w trakcie dużej operacji przeciwpartyzanckiej jedna z grup operacyjnych KBW ruszyła tyralierą, pozostawiając samochody, na wieś Czernic w gminie Kłoczew. Kwaterował w niej wówczas jeden z plutonów „Orlika”. Zaalarmowani w porę partyzanci powitali tyralierę tak silnym ogniem, że natychmiast zaległa, po czym rzuciła się do ucieczki, tracąc siedmiu poległych i kilku rannych. Ścigający ją pluton dopadł do samochodów i dwa z nich spalił. Zniszczono również samochód z radiostacją KBW. Samą radiostację zabrano. Dopiero, gdy do walki włączyły się główne siły obławy, rozpoczynając piekielny ostrzał z granatników, pluton bez strat odskoczył do Lasów Gułowskich.

Albo jak 10 marca 1946 r., gdy na szosie Warszawa-Lublin w rejonie Gończyc w pobliżu Garwolina usiłowano zdobyć potrzebny oddziałowi samochód osobowy. W pewnej chwili pojawił się od strony Warszawy taki, który im odpowiadał. Mimo dawanych przez partyzantów znaków kierowca nie chciał stanąć, więc oddali kilka serii po oponach. Samochód zdołał jednak zawrócić i ruszył z powrotem w kierunku Garwolina. Pobiegli za nim, przypuszczając, że daleko na dziurawych oponach nie zajędzie. Mieli rację. Szybko go dopadli. W samochodzie zastali starostę garwolińskiego i jego inspektora oświaty.

Niemal w tym samym momencie zostali zaatakowani przez silną grupę żołnierzy sowieckich, rozmieszczonych przy skrzyżowaniu szosy warszawskiej z drogą Sobolew-Żelechów. Doszło do zacieklej walki, którą partyzanci musieli przerwać i wycofać się, gdy od Sobolewa nadbiegła pomoc dla czerwonoarmistów, co ze względu na dysproporcję sił groziło plutonowi okrażeniem i likwidacją. Samochód zdobyto, starostę i inspektora puszczono wolno, pluton stracił jednego poległego. Był nim strzelec „Pościgowiec” (Kazimierz Lach), młody chłopak z Wileńszczyzny, który po wcieleniu do wojska uczestniczył w pościgu za zbiegami ze Skrobowa (stąd ten pseudonim), został przez nich ujęty i rozbrojony, po czym — na usilne jego prośby — *znalazł* się w oddziale „Orlika” i dzielnie się w nim spisywał, aż do owej potyczki pod Gończycami. Ranny został „Piorun” (Ludwik Posłuszny), zginęło kilku żołnierzy sowieckich.

Ogromna większość podobnych starć odeszła już w niepamięć, nikt dziś o nich nie wie i nigdy nikt się o nich nie dowie. Bo i bałamutne o nich zapiski, przechowywane w archiwach MO i SB, dawno zniknęły. A przecież takie właśnie epizody stanowiły codzienną rzeczywistość zbrojnego podziemia. Nie Puławy, nie Las Stocki. Liczba takich mniejszych akcji, wykonanych przez żołnierzy „Orlika”, idzie w

setki.

755

Natomiast wbrew temu, co w PRL pisano*, to nie „Orlik” w nocy z 23 na 24 stycznia zajął Łuków i rozbił tamtejszy Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Dokonało tego skoncentrowane w tym celu zgrupowanie oddziałów WiN z Obwodu Łukowskiego, liczące ok. 150 ludzi, którym dowodził Stanisław Miszczuk („Kłós”). Partyzanci zajęli kilka obiektów, m.in. pocztę, zablokowali siedzibę MO i opanowali budynek PUBP. Wykonano wyrok na znienawidzonym w całym powiecie szefie Urzędu i jego dwóch pomocnikach, zwolniono więźniów, zdobyto wiele broni. Była to akcja świetnie przygotowana i wykonana, co tym bardziej należy podkreślić, że przeprowadzono ją w warunkach zimowych, utrudniających domarsz i odskok.

„Orlik” nie był więc sam. Miał sąsiadów, którzy także walki nie zaprzestali. Na północy — oddziały Inspektoratu Radzyń Podlaski, na południu zgrupowanie „Zapory”, na wschodzie silny oddział „Uskoka” (Zdzisław Broński), operujący w Obwodzie Lubartowskim i na zachodzie, za Wisłą, aktywnie tam działającego, dawnego towarzysza broni „Zagona”. Przez tę część kraju biegła bowiem wtedy — obok niezłomnej Ziemi Białostockiej, słusznie dziś zwanej „polską Wandą” — pierwsza linia walki. Zgrupowanie „Orlika” zajmowało jeden z najtrudniejszych jej odcinków.

Latem 1995 r., podczas pewnej kombatanckiej uroczystości, uczestniczący w niej emerytowany generał, a pół wieku wcześniej młodziutki oficer ludowego Wojska Polskiego, spojrział na mnie i z goryczą westchnął:

- Tak, rzeczywiście był to czas paskudny. Ale przecież i wy, akowcy, do nas strzelaliście.
- Kiedy, panie generale? — spytałem.
- W 1945, w 1946. Wiem, bo tam byłem.
- A gdzie?
- Garwolin, Dęblin, Łuków.
- Możliwe. Tylko po coście tam przyszli?
- Jak to po co? — zdziwił się generał. — Taki był *rozkaz*.

Otóż to: rozkaz. Gen. Tadeusz Pióro, jeden z tych nielicznych wyższych dowódców WP, którzy w epoce PRL potrafili samodzielnie myśleć i wyciągać wnioski z tych przemyśleń, w swych wspomnieniach *szczerze* napisał:

„Udało mi się też nie uczestniczyć w akcjach pacyfikacyjnych, w operacjach przeciw ukraińskim oddziałom powstańczym, w zwalczaniu podziemia. Udało się, ponieważ jednostki, w których służyłem, nie były do tych akcji kierowane. Gdyby były — niewątpliwie podporządkowałbym się rozkazom tych, których uważałem za swoich przełożonych, tak jak podporządkowywali się służący w Ludowym Wojsku

Polskim oficerowie II Rzeczypospolitej"*.

O tych oficerach, bardzo zresztą nielicznych, była już mowa. To, że kilku z nich kierowało operacjami zbrojnymi przeciw podziemi stanowiło konsekwencję faktu, iż — z własnej przecież woli — wstąpili do tego wojska i objęli w nim eksponowane stanowiska. Młodzi byli w innej sytuacji. O zgodę na to, czy chcą wstąpić do wojska, nikt ich nie pytał. A rozkaz to rozkaz. Jeśli nakazywał wytropić, okrążyć i zniszczyć „bandytów”, czynili to. Niech więc dziś nie dziwią się temu, że tamci — wypędzeni ze swych domów, lecz trwający na swej ziemi, osaczeni przez nich, skazani na śmierć lub więzienie — próbowali się bronić.

Inna sprawa, że wojsko nie wykazywało nadzwyczajnej gorliwości w wykonywaniu tego rodzaju rozkazów. Przeciwnie: nie przejawiało chęci do walki z podziemiem, prowadziło ją zazwyczaj miękko i niemrawo, w zaciąganych przez nie sieciach obław zawsze można było znaleźć jakieś dziury. Żołnierze często ostrzegali ludność przed pacyfikacją, przymykali oczy na widok osób wymykających się z kotła, zwalniali zatrzymanych. Dotyczy to również młodszej kadry oficerskiej, wyłączając oficerów sowieckich, ale tych na niższych szczeblach dowodzenia, bezpośrednio zaangażowanych w walkę, już wtedy nie było. Niewątpliwy wpływ na taką postawę wojska miało i to, że bardzo niewielu w nim się znalazło — i to z reguły na wysokich i najwyższych stanowiskach — dawnych członków GL-AL, gdyż ogromna ich większość poszła do UB i MO.

Nie wojsko było więc głównym przeciwnikiem podziemia. Z nim często potrafiło ono *znaleźć* wspólny język.

Gdy 8 sierpnia 1945 r. pod wsią Sikorki w powiecie Sokołów Podlaski dwa bataliony wojska zaatakowały zgrupowanie partyzanckie i w pierwszym natarciu doznały klęski, tracąc kilkunastu poległych i kilkunastu jeńców — walkę przerwano i rozpoczęto pertraktacje, w wyniku których nastąpił rozejm. Partyzanci uwolnili jeńców, wojsko odstąpiło. Podobnych przypadków było wiele.

Niemal po każdym takim starciu liczne grupy żołnierzy zgłaszały swój akces do oddziałów podziemia. Do dowódców partyzanckich zgłaszali się oficerowie, proponując dołączenie do nich całych kompanii. Z pełnym uzbrojeniem, zapasem amunicji, sprzętem, często z samochodami. Z reguły odchodzili z niczym. Nie tylko dlatego, że dowódcy partyzanci lękali się zdominowania ich szczupłych sił przez nie znanych im przybyszów. Również i dlatego, że nie wiedzieli, co z tym wojskiem począć, jak je wyżywić i jakie mu postawić zadania, a rozumieli, iż masowe przechodzenie wojska do lasu musiałyby doprowadzić do eskalacji walk, w które natychmiast zaangażowałaby się armia sowiecka, co dla objętych tymi walkami obszarów i ich ludności byłoby potworną w skutkach katastrofą.

Niech zatem nikt nie mówi, że podziemie inspirowało i organizowało masowe dezercje z wojska. Przyjmowało w swe szeregi tylko bardzo nielicznych dezertersów. „Orlik”, który bez trudu mógłby sformować z nich co najmniej pułk, miał ich w oddziale — i to jedynie przez pewien czas — zaledwie kilkunastu. Oczywiście nie licząc plutonu skro-bowiaków, bo oni, choć oficerowie Informacji tak ich określali,

dezertkami nie byli. Nie uciekli przecież z wojska, lecz z obozu. Niektórych dezertków zaopatrywano w cywilne ubrania i dokumenty, ułatwiające nowe życie.

Stosunek wojska do zbrojnego podziemia symbolizuje scena, którą zapamiętało kilku żołnierzy AK, uczestniczących w akcji uwolnienia więźniów z obozu NKWD w Rembertowie: noc, jedna z partyzanckich drużyn wycofuje się, poprzedzając grupę uwolnionych. Mają przejść przez szosę prowadzącą do Sulejówka. Okazuje się, że zablokowało ją wojsko. Dowódca, po krótkim wahaniu, każe maszerować dalej. Żołnierze w milczeniu przepuszczają kolumnę. Jeden salutuje partyzanckiemu dowódcy.

Nie należy tego uogólniać, nie zawsze było tak idyllicznie. W walkach z podziemiem poległo wielu żołnierzy WP. Także w walkach ze zgrupowaniem „Orlika”. On sam też poniósł śmierć za ich przyczyną. Nigdy jednak nie zdarzyło się na terenie „Orlika”, by wzięty do niewoli żołnierz WP został zamordowany. Ci, którzy tak piszą i mówią — kłamią. Rozbrojeni odchodzili tam, dokąd iść chcieli. Tak zresztą postępowali dowódcy poakowskich oddziałów w całym kraju. Wyjątki od tej reguły jedynie ja potwierdzają.

Podobnie wyglądała sprawa z żołnierzami formacji wchodzących w skład Wojsk Wewnętrznych, przekształconych później w Korpus

188

Bezpieczeństwa Wewnętrznego. I one także nie cieszyły się zaufaniem ludzi rządzących wówczas Polską.

Na Plenum KC PPR, obradującym 20 i 21 maja 1945 r., z którego protokół już cytowałem, Władysław Gomułka informował towarzyszy: „Z Wojsk Wewnętrznych trzy bataliony odeszły do lasu. W ciągu kwietnia zdezerterowało 2000 ludzi”. Były to, jak wyjaśnił w przypisie autor opracowania, 2 Samodzielny Batalion Operacyjny WW w Lubaczowie, 2 Batalion I Brygady WW z Sokołowa Górnego k. Rzeszowa i Batalion WW z Biłgoraja. Również i później do podobnych przypadków, choć na nieco mniejszą skalę, dochodziło często.

O Milicji Obywatelskiej już pisaliśmy. Znalazło się w jej szeregach wiele kanalii, które podziemie bezlitośnie eliminowało. Większość funkcjonariuszy stanowili jednak ludzie, których obciążały wprawdzie różne przewiny, ale nie zbrodnie. Często byli to półanalfabeci, którzy do MO poszli, sądząc, że w ten sposób zapewnią sobie wygodne i dostatnie życie, władzę nad sąsiadami i znajomymi, rozliczne profity. Tych, którzy zbyt gorliwie z tych profitów usiłowali korzystać, przywoływano do porządku: ostrzeżeniem, rozbrojeniem, chłostą.

Ale nie było powodów, by ich zabijać, jeśli, rzecz jasna, sami zabijać innych nie zamierzali. Tym bardziej, że zarówno w Inspektoracie Puławy, jak i w całym kraju, duża część posterunków MO, nie wyłączając tych, które po kilka nawet razy rozbrajano, współdziałała z dowódcami partyzanckimi. Ostrzegano ich przed pacyfikacjami, informowano o różnych zagrożeniach, uwalniano związanych z nimi ludzi.

Co innego Urząd Bezpieczeństwa. Jeśli któryś z pracowników UB dostał się w partyzanckie ręce, to jego szansę na to, że cało z nich ujdzie, były równe zeru. Chyba

że uciekł, co zdarzało się rzadko, bo pilnowano ich szczególnie czujnie. Przy tym nie miało znaczenia, co w UB robił, w jakiego szczebla urządzie pracował, w powiatowym, wojewódzkim czy w samym ministerstwie, dlaczego i z jakich pobudek tam trafił. Tego nikt nie dociekał. Wystarczała legitymacja.

Zginęło więc ich wielu. Wśród nich spora liczba osób pochodzenia żydowskiego. Zarówno wysokich stopniem i funkcją, jak i wartowników czy członków grup operacyjnych. Żaden jednak, co trzeba silnie podkreślić, nie zginął dlatego, że był Żydem. Sprawiała to tylko i wyłącznie ich praca w UB.

Gdy w 1984 r. w Australii, w Melbourne, rozmawiałem z bardzo bogatą i bardzo dystyngowaną starszą panią, Żydówką z Białegostoku, która skarżyła się na polski antysemityzm, obciążając tym zarzutem

189

również Armię Krajową, i usiłowałem z nią polemizować, przygwoździła mnie takim oto argumentem:

- Jeśli pan nie wierzy, to mogę zaprowadzić pana do mego brata, który też tu mieszka. Akowcy chcieli go zabić i tak postrzelili, że do dziś jest inwalidą! I to już po wojnie!
- A co brat wtedy robił? — spytałem.
- Był oficerem. Polskim oficerem! Zastępcą szefa bezpieczeństwa w Białymstoku!

Czyż miałem jej tłumaczyć, że jeśli by ubowiec tego szczebla nie był z pochodzenia Żydem, lecz Hiszpanem lub Australijczykiem, to też by do niego strzelano? To zaś, że odsetek Żydów wśród tych funkcjonariuszy UB, których dosięgły kule podziemia, jest o wiele wyższy od odsetka osób tego pochodzenia w całej ówczesnej populacji Polski, wynika wyłącznie z tego, iż tak licznie obsiedli wtedy różne struktury UB, niektóre z nich całkowicie sobie podporządkowując. A na dodatek im wyższe to były struktury, tym więcej ich tam było. To także warto przypomnieć.

Bezwzględność podziemia wobec UB była reakcją na metody, jakie bezpieczeństwo, słusznie w 1994 r. uznane przez Sejm RP za organizację zbrodniczą, stosowało w walce z ludźmi, będącymi rzeczywistymi lub choćby tylko potencjalnymi przeciwnikami reżymu. W ostatnich latach ukazało się wiele książek i artykułów, które o tych metodach mówią, nie zamierzam więc rozwijać tego martyrologicznego wątku. Przypomnieć najwyżej można, zwłaszcza młodemu, że nie ma zbrodni, która by UB nie obciążała. Tortury i skrytobójcze mordy, prowokacje i zeznania fałszywych świadków, stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, więzienie i maltretowanie żon i rodziców osób poszukiwanych, branie zakładników, zmuszanie sędziów do wydawania określonych wyroków, gwałty i rozboje — to tylko niektóre pozycje z tego repertuaru.

Ze szczególną zaciekłością ścigano i represjonowano żołnierzy oddziałów partyzanckich i członków ich rodzin. To z inspiracji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a na rozkaz posłusznego mu marszałka Roli-Żymierskiego, w połowie 1945 r. zastosowano w walce z „bandami reakcyjnymi” metodę wyjątkowo

perfidną, łamiącą wszelkie międzynarodowe prawa i konwencje.

Mianowicie zorganizowano kilka specjalnych grup „operacyjno-kontrywiadowniczych”, zwanych również „oddziałami pozorowanymi”, bo pozorowały one oddziały podziemia. Złożone z pracowników UB i MO oraz specjalnie dobranych żołnierzy, dowodzone przez dawnych

190

partyzantów AL, znanych z nienawiści do AK (m.in. mjr Tadeusz Szymański, ps. „Lis”, mjr Edward Gronczewski, ps. „Przepiórka”, mjr Bolesław Kowalski, ps. „Cień”, pod ogólnym zwierzchnictwem płk. Grzegorza Korczyńskiego), umundurowane na modłę partyzancką, różnorodnie uzbrojone, pozorując poakowskie oddziały leśne, grasowały w terenie, posługując się prowokacją i terrorem. Gdy chłopci, u których ci „partyzanci” kwaterowali, po wysłuchaniu ich opowieści o rzekomo im znanych ludziach miejscowego podziemia — a wiedzieli o nich, dzięki przekazywanym im przez UB informacjom, sporo — otwierali się przed nimi, płacili za to cenę okrutną. „Oddziały pozorowane” ścigały bowiem natychmiast grupy operacyjne, dokonywały aresztowań i rekwizycji. Zdarzało się, że „partyzanci” mordowali na miejscu ludzi podejrzanych o współpracę z podziemiem, torturowali ich, grabili.

Musi zadziwiać, że i dziś ci spośród dowódców i członków owych „oddziałów”, którzy jeszcze żyją, zamiast ponieść — choćby symboliczną — karę za udział w tym zbrodniczym procederze, mają czelność upominać się o przywrócenie im uprawnień kombatanckich, jakimi PRL ich obdarowała.

Nie można natomiast dziwić się temu, że UB w walce z podziemiem posługiwał się szeroko rozbudowaną agenturą, bo tak czynią wszystkie tego rodzaju służby. Inna rzecz, że w większości przypadków metody, jakimi pozyskiwano agentów, też były zbrodnicze: szantaż, tortury, represje wobec najbliższych.

Najgroźniejszymi dla podziemia byli jednak agenci, którzy nie tylko dobrowolnie przystali na współpracę z UB, ale również — ze względu na to, że w latach okupacji tkwili w strukturach konspiracyjnych — dużo o AK wiedzieli.

Tacy np. jak Jan Kędra („Błyskawica”), przedwojenny kapral, w czasie wojny w AK, skąd odszedł zagrożony odpowiedzialnością dyscyplinarną i przyłączył się do BCh, gdzie mianowano go kapitanem i powierzono mu dowództwo oddziału partyzanckiego, który niemal do nogi został wybity w tragicznej bitwie w Puszczy Solskiej. Po nadejściu Armii Czerwonej Kędra stał się wyższym funkcjonariuszem PUBP w Tomaszowie Lubelskim i współpracownikiem NKWD. Miał na sumieniu wielu dawnych towarzyszy broni. Został zastrzelony w maju 1945 r.

Nieznane są natomiast losy innego zdrajcy, por. Romana Szyszko-wskiego („Wilhelm”), który pełnił różne funkcje w Komendzie Okręgu Lubelskiego AK, a po lipcu 1944 r. podjął współpracę z NKWD. Wydał on

w sowieckie ręce kilkunastu oficerów KO, z których większość zamordowano na Zamku. Zdemaskowany i usunięty z AK — zniknął z Lublina*.

UB miał również agentów w oddziałach leśnych, w rejonach i placówkach. Liczba ich rosła w miarę jak zbliżał się kres walki podziemia. Wielu, choć nie wszystkich, zdemaskowano. Na większości wykonano wyroki, niektórym udało się zbiec. W oddziale „Orlika”, już po jego śmierci, bo w sierpniu 1946 r., jednego z nich ujawnił „Lis”. Był to przyjęty do oddziału dezerterski z wojska, używający pseudonimu „Wulkan” (Ryszard Grondkowski), dobry, zdyscyplinowany partyzant. Gdy „Lis” przejął jego meldunek, adresowany na punkt kontaktowy WUBP Lublin, „Wulkan” ratował się ucieczką. Wyrządził oddziałowi wiele szkód: wydawał ludzi, meliny, schowki z bronią, występował jako główny świadek oskarżenia w procesach doraźnych przeciw partyzantom. Co działo się z nim później — nie wiadomo. Dopiero jesienią 1995 r. okazało się, że żyje i mieszka w Bydgoszczy**.

Przypadki pozyskiwania przez UB żołnierzy oddziałów leśnych zdarzały się jednak rzadko. Częściej natomiast załamywali się ludzie ujęci z bronią w rękę i poddawani torturom. Nie można się temu dziwić i nie nam ich sądzić.

Teoretycznie biorąc, ogromne siły, jakie władza komunistyczna rzuciła przeciw podziemiu — dywizje wojska, formacje UB i MO, „oddziały pozorowane”, watahy konfidentów — powinny w ciągu kilku dni doprowadzić do jego całkowitej likwidacji. W rzeczywistości, mimo tak druzgocącej przewagi, nie zdołałyby one tej władzy ani utrwalić, ani nawet obronić, jeśliby na placu boju stały sam na sam z podziemiem. Po prostu dlatego, że władza nie mogła liczyć, wyłączając UB, na ich wierność i lojalność. Wcześniej czy później, wiedząc, że nie grozi interwencja obcego mocarstwa, odmówiłyby wykonywania jej rozkazów i obróciły się przeciw tym, którzy z sowieckiego nadania objęli rządy w Polsce i kazali im strzelać do Polaków.

Jeżeli tak się nie stało, to jedynie z powodu obecności w Polsce wojsk sowieckich, początkowo liczących parę milionów żołnierzy,

a później wiele dywizji. Gdyby wojska te odeszły i Polskę pozostawiono samą sobie — szybko by sobie z komunistami poradziła. Do lasu szłyby nie bataliony, lecz pułki i dywizje, a kraj ogarnąłby płomień powszechnego powstania, który spopieliłby i władzę ludową, i jej nielicznych, ideowo z nią związanych obrońców.

Obecność wojsk sowieckich uniemożliwiła urzeczywistnienie takiego scenariusza. Dowódcy podziemia dobrze to rozumieli. Zdawali też sobie sprawę z bezsensu podejmowania choćby ograniczonej walki z jednostkami radzieckimi. Wprawdzie do walk takich dochodziło, ale tylko wtedy, gdy siły podziemia musiały się bronić. Przykładem bitwa w Lesie Stockim. Albo na skutek nieporozumień czy błędnej oceny sytuacji.

Na początku czerwca 1946 r. „Zagon”, zamierzając opanować Kozienice, skoncentrował oddziały swego zgrupowania i wydał rozkaz zdobycia samochodów, którymi chciał do Kozienic wjechać. W zasadzkę, zastawioną w lesie Podgóry koło Zwolenia, dostała się kolumna ciężarówek, załadowanych — ku zaskoczeniu partyzantów — czerwonoarmistami. Doszło do walki, w której zginęło kilkunastu Rosjan i kilku

żołnierzy WiN. Zdobytymi samochodami ludzie „Zagona” udali się do Zwolenia, rozbroili tam posterunek MO, przeprowadzili kilka akcji zaopatrzeniowych, po czym ruszyli w kierunku Kozienic. Po drodze sami wpadli w zasadzkę przygotowaną przez silny oddział sowiecki, konwojujący stada koni, pędzonych do ZSRR. Czerwono-armiści, wiedzący już o poprzednim starciu, mieli nad partyzantami znaczną przewagę. Zaciekły bój w rejonie wsi Stefanów, Strykowice i Błotne Górne trwał aż do wieczora. Oddziały „Zagona” poniosły w nim znaczne straty, zdołały jednak przebić się z okrażeń. Cała niemal wieś Błotne Górne spłonęła.

Nie ulega wątpliwości, że jeśliby „Zagon” wiedział, że samochody pełne są czerwonoarmistów, kazałby je przepuścić i czekać na następną okazję. Dla zdobycia kilku ciężarówek nie ryzykowałby tak wiele.

Nieco inaczej sytuacja wyglądała w Okręgu Białostockim, gdzie do starć z formacjami radzieckimi dochodziło częściej. Wynikało to, z jednej strony, ze specyfiki tego terenu, który przez długi czas Sowieci traktowali jako swój, nie uznając ani granicy, ani władz polskich, zainstalowanych na zachód od jej linii, z drugiej zaś z faktu, że znaczną część operujących tam oddziałów leśnych stanowili żołnierze AK przybyli na Białostoczczyznę z dawnych kresów wschodnich, mający do rozliczenia z bolszewikami wiele rachunków.

Niemniej dowództwo i tam starało się walki z Sowietami unikać. W Okręgu Lubelskim było to powszechnie przyjętą regułą. Także w zgrupowaniu „Orlika”.

193

Zdarzały się wprawdzie przypadki indywidualnego likwidowania czerwonoarmistów, ale dotyczyły one grasujących na obszarze Inspektoratu maruderów, deztererów i rabusiów, których było mnóstwo. Grabili chłopów, gwałcili kobiety, mordowali dla zdobycia zegarka czy pary porządnych butów. Ścigały ich także specjalne formacje sowieckie, a z ujętymi rozprawiały się bezlitośnie.

W końcu czerwca 1945 r. na dwóch takich natknęli się dwaj partyzanci wysłani z meldunkiem do komendanta rejonu. Jechali rowerami. W pobliżu kolonii Brzeziny, niedaleko Ryk, zatrzymało ich dwóch czerwonoarmistów, uzbrojonych w pepesze. Łakomie patrzyli na wysokie buty zatrzymanych, na ich marynarki, zegarki, rowery. Obejrzeni dowody, pokiwali głowami i oświadczyli, że muszą ich doprowadzić do dowódcy. Kazali im iść drogą, która — o czym tamci wiedzieli — prowadziła w głąb lasu, gdzie nie było żadnych zabudowań. Sytuacja była jasna. Na szczęście akowcy mieli pistolety. Po chwili, już sami, wyszli z lasu i udali się na kolonię, skąd wkrótce we wskazanym przez nich kierunku ruszyło dwóch chłopów z łopatami. Zdobyli dwie pepesze. Nazwiska i pseudonimy partyzantów są znane, ale nie widzę powodu, by je ujawniać. Jak dziś udowodnią, że działali w obronie własnej?

Ta powściągliwa postawa podziemia wobec formacji sowieckich niewątpliwie zmniejszyła rozlew krwi i uchroniła ludność od wielu represji, ale jednocześnie była dowodem jego bezbronności wobec tej potwornej mocy, która niczym gigantyczny młot wisiała wtedy nad Polską i w każdej chwili, pod jakimkolwiek pretekstem, mogła na nią runąć, miażdżąc i partyzantów, i wszystkie razem wzięte organizacje niepodległościowe i tysiące Bogu ducha winnych ludzi.

Niech więc nikt nie mówi, że była to wojna domowa. Przede wszystkim ze względu na dysproporcje sił. Do wojen domowych doszło w Rosji po rewolucji bolszewickiej i w prawie dwadzieścia lat później w Hiszpanii, ale tam walczyły przeciw sobie dwie armie o zbliżonej liczebności i podobnym uzbrojeniu. W Polsce ćwierćmilionowa armia, dysponująca artylerią, bronią pancerną i lotnictwem usiłowała zdusić opór najwyżej kilkunastu tysięcy partyzantów, uzbrojonych jedynie w broń strzelecką. Nie była to zatem wojna domowa, lecz gigantyczne polowanie i dziś można tylko wyrazić zdziwienie, że trwało tak długo.

Nie była to wojna domowa również i z tego powodu, że o ile jedna z uczestniczących w niej stron, ta zdecydowanie słabsza, mogła liczyć wyłącznie na własne wątłe siły, to drugiej, w razie jej ewentualnego niepowodzenia, w każdej chwili mogła przyjść z pomocą — i na szczęblu

194

taktycznym wielokrotnie to czyniła — najpotężniejsza armia ówczesnego świata.

W sobotę, 19 maja 1945 r., przy polnej drodze, prowadzącej z Nałęczowa do wsi Lubki zginęło siedemnastu młodych chłopców, żołnierzy AK. Padli od kul czekającej tam na nich w zasadzce grupy operacyjnej NKWD. Jej członkowie, zaczajeni w zagajniku nad wąwozem, mieli świetną widoczność i bili do tamtych jak do kaczek. Ocalało trzynastu, wśród nich kilku rannych. Grupa operacyjna ruszyła za nimi w pościg, niezbyt jednak skwapliwie, na dodatek sporo czasu zajęło jej obdarcie poległych z ubrań i butów. To uratowało pozostałą trzynastkę.

Taki był dramatyczny epilog niepotrzebnej akcji na Nałęczów, z nikim nie uzgodnionej, podjętej z inicjatywy kilku młodych ludzi. W akcji tej, o której poza Nałęczowem prawie nikt nie wie, uczestniczyła świetna dziewczyna z Wąwolnicy, harcerka, sanitariusza oddziału AK „We-nedy” Henryka Lewandowska (dziś Wawrzyniewicz) ps. „Iskra”.

Wychowana w głęboko patriotycznej rodzinie — czterech braci, żołnierzy WP, walczyło w kampanii wrześniowej, piąty, najmłodszy tuż przed wojną został przyjęty do Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie — wcześniej związana z konspiracją, brała udział w „Burzy”, następnie w marszu z odsieczą powstańczej Warszawie. Ludzi z tych okolic prowadził wówczas komendant Podobwodu „C” kpt. „Kieł”. Nie doszli, ale kilku zdołało przedrzeć się aż na Pragę. Był wśród nich partyzant „We-nedy” Tadeusz Frydrych („Kłosa”).

„Iskra” wróciła do Wąwolnicy, zatłoczonej wysiedleńcami z Kazimierza i ukrywając się przed UB przetrwała tam ciężką zimę. W marcu pojawił się tam „Kłosa”, a w ślad za nim, w kwietniu, przybyło kilku akowców z Pragi, zbiegłych z aresztu UB. Przewodził im Tadeusz Orłowski („Szatan”). Ukrywali się we wsi Łopatki pod Nałęczowem. Dołączyła do nich grupa miejscowych, mieli trochę broni, nawiązali — przez „Kłosa” — kontakt z „Wenedą” i „Iskrą”. I właśnie „Iskra” uprzedziła ich o obławie. Zdążyli zająć pozycje, powitali obławę ogniem, nie dali się ująć. Ale o powrocie na poprzednie kwatery nie było mowy. Narodził się więc kolejny, nie mający jeszcze swego miejsca w strukturze podziemia, oddział partyzancki. Znalazło się w nim kilkunastu ludzi, wśród

nich „Iskra”.

W kilka dni później, 16 maja, we wsi Buchałowice tamtejsi pepeerow-cy ciężko ranili Tadeusza Frydrycha (który pseudonim „Kłós” zmienił już na „Żbik”) i serią z pepeszy pocięli nogi „Szatanowi”. „Iskra” przewiozła obojgu do Wąwolnicy, gdzie Frydrych, mimo interwencji lekarza, zmarł

795

w nocy na plebanii. „Szatan” wrócił na wozie do oddziału. UB szalało, ale pogrzeb Frydrycha przybrał charakter patriotycznej manifestacji.

Wtedy „Szatan” postanowił go pomścić i uderzyć na Nałęczów. Wsparła go grupa z placówki w Puławach. Łącznie było ich ok. 60. Ci z Puław opanowali stację kolejową, opróżnili kasę. „Szatan”, dowodzący swoimi z wozu, zaatakował posterunek MO. Bezskutecznie jednak. Odstąpili, gdy po ostrzeleniu murowanego budynku zrozumieli, że bez granatów go nie zdobędą. Chaotycznie cofali się w stronę czekających na nich podwód. Już wtedy nikt nie dowodził. Ogień grupy operacyjnej, przybyłej z Puław po wiadomości o napadzie na Nałęczów, całkowicie ich zaskoczył. Nie mieli żadnych szans.

Poległych, obdartych do naga z ubrań i bielizny, enkawudziści wrzucili do remizy strażackiej w Nałęczowie. Nazajutrz pochowano ich w zbiorowej mogile. Było duchowieństwo, mnóstwo ludzi, mnóstwo kwiatów. Na krzyżu z głową Chrystusa zdołano, mimo protestów UB, umieścić napis, informujący, że tu leżą żołnierze AK, którzy walczyli o wolność ojczyzny. Większość poległych pochowano bezimiennie, wymieniono tylko cztery nazwiska. Wśród nich brata „Iskry”, niedoszłego kadeta Apolinarego Lewandowskiego, ps. „Pantera”.

W kilka dni później sprawą zajęli się oficerowie AK „Orlik” i „Weneda”. Doszło do rozmowy z „Szatanem” i paroma jego ludźmi. Dla „Szatana” była to rozmowa bardzo przykra. Zapowiedziano mu wszczęcie dochodzenia, mającego ustalić zakres jego odpowiedzialności za śmierć tylu żołnierzy.

W czasie tego spotkania ujawniła się różnica zdań między „Weneda” a „Orlikiem”. Pierwszy uważał, że trzeba zaprzestać walki, a zagrożonych aresztowaniem ludzi przerzucać w inne części Polski lub za granicę, drugi chciał do końca trwać i walczyć na swym terenie. W rezultacie grupa żołnierzy AK ruszyła z „Weneda” na Zachód. Kilku nie doszło. Po powrocie w rodzinne strony zostali ujęci i zamordowani. „Weneda”, absolwent Korpusu Kadetów we Lwowie, który ukończył w 1937 r., przedostał się do Włoch, służył w 2 Korpusie, następnie przez Anglię wyruszył do Kanady, gdzie — o czym nawet większość jego towarzyszy broni nie wie — osiedlił się, a w pierwszej połowie lat 80. zmarł w Vancouver. Część członków grupy „Szatana” rozeszła się. Sam „Szatan”, wraz z „Iskrą” i jeszcze kilkoma, został wcielony do oddziału „Orlika”. Był dzielny i zdyscyplinowany partyzantem. Dochodzenia przeciw niemu nie ukończono. Uniemożliwił to rozwój wydarzeń.

Walka toczona na obszarze Inspektoratu Puławy nie była więc jednym pasmem zwycięstw i sukcesów podziemia. Obfitowała także w klęski i porażki.

Niewątpliwą porażką było kolejne uderzenie oddziału „Orlika” na posterunek MO w Rykach, przeprowadzone w godzinach popołudniowych 17 czerwca 1945 r. Kilkakrotnie już rozbijani milicjanci i towarzyszący im funkcjonariusze UB przemienili posterunek w małą twierdzę: na zewnątrz zasieki z drutu kolczastego, w oknach zabezpieczające przed granatami siatki, worki z piaskiem. Dodatkowym utrudnieniem było to, że budynek, będący siedzibą posterunku, stoi tuż przy szosie Warszawa-Lublin, co wymagało zamknięcia jej z obydwu kierunków.

Na krótko przed rozpoczęciem akcji szosą przejechały dwie ciężarówki z grupą operacyjną UB i MO. Za nimi jechał willys z jej dowództwem. Jadący nim oficerowie dostrzegli uzbrojonych ludzi, zajmujących pozycje w położonym naprzeciw posterunku parku, zajechali na posterunek i wszczęli alarm. Akcję należało odwołać, ale na skutek jakiegoś nieporozumienia nie uczyniono tego.

Po zablokowaniu szosy, pierwszy pluton — zgodnie z poprzednimi rozkazami — ruszył do frontalnego natarcia. Powitany gęstym ogniem nie zdołał jednak opanować budynku. Wymiana strzałów przedłużała się, przed blokującymi szosę ubezpieczeniami stało coraz więcej samochodów. Oddział wycofał się na sygnał dany zieloną rakietą. Zginął wtedy skrobowski, cieszący się wielką sympatią kpr. podch. Zbigniew Manyś („Kola”). Dwaj inni żołnierze przybyłego ze Skrobowa I plutonu, kpr. podch. Adam Żurawski („Zawieja”) i kpr. Eugeniusz Ruta („Gryf”) zostali ranni.

Każda taka porażka, każda taka śmierć budziły pytania o sens dalszej walki. Ludzie zbliżali się już do kresu wytrzymałości. Każda akcja, każda oblawa, każde wymknięcie się z pułapki, zastawionej przez polujących na nich żołnierzy i ubowców, niszczyły psychicznie i fizycznie. Paraliżowała świadomość, że w przypadku rany czy choroby zamiast *znaleźć* się — jak żołnierz frontowy — na bezpiecznych tyłach, w prawdziwym szpitalu, trzeba będzie ukrywać się w stodole lub w piwnicy, wśród obcych ludzi, bez opieki lekarskiej, czekając tylko aż tamci przyjdą, odnajdą i dobiją.

Szczególnie ciężko żołnierze podziemia przeżywali akcje likwidacyjne, w których przyszło im uczestniczyć. Przekonanie o tym, że ten, którego mają zastrzelić, rzeczywiście na taką karę zasługuje, nie pomniejszało wstrząsu, jakim dla większości była konieczność wyprowadzenia skazańca z jego domu przy lamencie żony i płaczu dzieci, a przecież i tak bywało.

Coraz więcej było przypadków załamywania się ludzi — nie wyłączając tych o stalowych rzekomo nerwach — próśb o zwolnienie z ta-

kiej czy innej akcji lub nawet o pozwolenie na całkowite odejście z oddziału. Przeciwnik potrafił bezwzględnie to wykorzystać.

Tak złamano „Czarta” (nazwisko znane), jednego z najstarszych stażem partyzantów 15 pp AK. Wiosną 1946 r. „Orlik” wysłał go z kilkusobowym patrolem po broń i amunicję. W drodze powrotnej ogarnął ich silny oddział UB. Jeden wóz uciekł, drugi pochwycili. „Czart” ze swoim cofał się na północ, UB za nim. Dopadli ich na Krukówce koło Życzyna i wszystkich wybili. Z wyjątkiem „Czarta”, który skrył się w jakiejś dziurze. Zabici przez trzy dni leżeli w polu, bo ubowcy nie

pozwalali ich pochować i „Czart” przez trzy dni tkwił w swej kryjówce. Gdy z niej wyszedł — powiadomiono go, że ma się stawić przed wyznaczonym przez „Orlika” sądem, by odpowiadać za wygubienie powierzonych mu ludzi. Nie uczynił tego, wyjechał do Warszawy.

Podejrzewano, że już wtedy był skaptowany przez UB, ale były to tylko podejrzenia. Kategorycznie temu przeczył do końca życia. W połowie 1947 r. spotkał „Maksa” który wtedy po raz pierwszy wyszedł z więzienia, by wkrótce tam wrócić i przysięgał mu, że współpracę z UB rozpoczął dopiero wtedy, gdy został aresztowany w Warszawie. Według jego relacji powiedziano mu:

— U „Orlika” czeka ciebie czapa. U nas też. Chyba że pójdziesz na współpracę.

Poszedł. Dostarczył UB informacji, był świadkiem oskarżenia w kilku procesach, wyrządził dużo krzywdy swym dawnym towarzyszom broni. Gdy ubowcom był już niepotrzebny, zostawili go samego. Wyjechał na Zamojszczyznę, bo w swoich stronach nigdzie nie mógł dostać pracy i tylko czekał aż go zastrzeli któryś z dawnych kolegów. Szybko jednak wrócił, gdyż i na Zamojszczyźnie nie potrafił się urządzić. Wkrótce osiągnął dno: w karczmach i gospodach chodził od stolika do stolika i żebrał o kieliszek wódki. Kpiono z niego, zabawiano się jego kosztem. Ale nikt do niego nie strzelał. Przeciwnie: dawni żołnierze „Orlika” uznali, że mimo wszystko, mimo swej zdrady i swych przewin, był jednym z nich, więc trzeba mu podać rękę. Dzięki ich pomocy trwale otrzeźwiał i został zatrudniony w PKP jako konduktor. Zmarł w Dęblinie. Silna, jak widać, była partyzancka solidarność*.

Nie uchroniła ona jednak od kary Lolka „Kruka” (Aleksander Zdy-bicki), bezsprzecznie jednego z najbardziej ruchliwych i najdziel-

niejszych partyzantów zgrupowania. Ale jego wina była o wiele cięższa od winy „Czarta”: to on wydał w ręce UB, a tym samym spowodował jego śmierć, swego dowódcę „Zagona”.

„Kruk”, pochodzący z Dęblina, żołnierz Kedywu, partyzant OP 2/15 pp, celowniczy Ikm, uczestnik akcji „Burza” (wyróżnił się w bitwie w Końskowoli), jesienią 1944 r. zagrożony aresztowaniem wstąpił do wojska, ale już wiosną 1945 r. dołączył do oddziału „Orlika”. Cechowały go ogromna odwaga osobista, brawura, zamiłowanie do ryzyka. Brał udział w wielu akcjach, świetnie spisał się w Puławach. Dowodził lotnym patrolem, złożonym z kilku takich jak on zabijaków, umundurowanych, doskonale uzbrojonych. Przerzucali się z miejsca na miejsce, zazwyczaj pociągami, często działali na zachodnim brzegu Wisły w rejonie Kozienic.

I to właśnie sprawiło, że gdy po ucieczce „Zagona” z Wroniek i jego powrocie na teren Inspektoratu Puławy, zapadła decyzja przetrzucenia go w radomskie z zadaniem utworzenia tam siatki WiN, w trzydziestoosobowej grupie, którą „Zagon” zabrał za Wisłę, znalazł się również „Kruk”. Było to w pierwszych dniach stycznia 1946 r.

Poszła z nimi także „Iskra”. Po drodze zarekwirowali zawartość kasy na st. koi. Puławy. Doszło wtedy do strzelaniny, w trakcie której zginął jeden z żołnierzy „Zagona”, Sławomir Skrzetuski z Wąwolnicy. Pochowali go w Kraczewicach, a po pogrzebie, który zgromadził wielu mieszkańców okolicznych wsi, ponownie ruszyli na

zachód. W lesie puławskim stoczyli walkę z zamykającym drogę do Wisły oddziałem KBW, po czym na wysokości Gołębia i Garbatki przeprawili się łodziami na lewy brzeg rzeki.

Przyjęci przez ludzi z tamtejszych placówek, z miejsca przystąpili do poszukiwania i łączenia ukrywających się w lasach drobnych grup partyzanckich. Składały się one z dawnych żołnierzy AK i NSZ, wśród nich z uwolnionych przez „Harnasia” z więzienia w Radomiu.

Dla „Zagona” i jego towarzyszy był to czas bardzo ciężki. Spali w ziemiankach koło łanowca, wykopanych przez chłopów, których wysiedlono z domów w okresie, gdy istniał tu przyczółek. Ostra zima z mrozem i śnieżycami wszystkim dawała się we znaki. Mimo to „Zagon” (wówczas częściej używający pseudonimu „Zagończyk”) szybko rósł w siłę. Nawiązał odpowiednie kontakty w Radomiu, Jedlni i Pionkach, reaktywował działalność licznych placówek, utworzył zawiązki kilku oddziałów leśnych. W pracy tej przejawiał ogromną energię i duży talent organizacyjny. Dzięki temu już wkrótce powstał tam sprawnie

799

funkcjonujący Inspektorat WiN (kryptonim Związek Zbrojnej Konspiracji), obejmujący obwody: Kielce, Końskie, Kozienice, Radom i Starachowice. Na jego czele stał „Zagon”.

W połowie 1946 r. dysponował on kilkoma oddziałami zbrojnymi, których łączna liczebność była zmienna, ale zawsze rzędu kilkuset ludzi. Przejawiały one dużą aktywność. Likwidowano ubowców i konfidentów, rozbijano posterunki MO, przeprowadzano akcje zaopatrzeniowe. Oddziały „Zagona” kilkakrotnie zajmowały spore miejscowości, m.in. Pionki, Skaryszew, Szydłowiec.

Jedną z najbardziej brawurowych akcji było uwolnienie z wojskowego aresztu w Kielcach oficera WiN, trzy dni przedtem ujętego w zasadzce. Na początku kwietnia 1946 r. partyzanci wjechali do Kielc samochodami wojskowymi i po krótkiej walce odbili dowódcę. 24 lipca 1946 r. zastępca „Zagona”, ppor. „Orion” (Włodzimierz Kozłowski) pod Jedlnią uwolnił grupę członków WiN, transportowanych kolejną z więzienia w Radomiu do Lublina. Doszło wtedy do walki, w której zginęło paru strażników z konwoju. Szczególnie krwawe były wspomniane już bitwy z oddziałami sowieckimi w lesie Podgóry i we wsi Błotne Górne.

Prócz kierowania walką w swym inspektoracie „Zagon” utrzymywał stały kontakt z innymi ogniskami oporu. Przede wszystkim z Lubelszczyzną. „Iskra” kilkakrotnie przeprawiała się w tym celu przez Wisłę do „Orlika” i „Zapory”. Inni wysłannicy „Zagona” docierali do bardziej oddalonych części kraju.

Latem 1946 r. „Zagon” wysłał na Wybrzeże Gdańskie „Kruka”, do którego miał duże zaufanie i który w jego pracy w Radomskim był mu bardzo pomocny. „Kruk”, jak zwykle pewien siebie, lekceważący niebezpieczeństwo, paradował po Gdyni i Sopocie w mundurze oficera Marynarki Wojennej. Skończyło się tak, jak musiało się skończyć: aresztowaniem. Przewieziony do Kielc, bity tam i torturowany, załamał się i dobił z szefem WUBP haniebnego targu: w zamian za wydanie „Zagona” zostanie zwolniony i uzyska zgodę na wyjazd za granicę. Podobno zapewniono go, że „Zagon”

nie będzie skazany na śmierć.

Późnym wieczorem 25 lipca 1946 r. silna grupa operacyjna UB, w którą włączono „Kruka”, pod dowództwem szefa WUBP Kielce mjr. Jana Tataja, przybyła do m. Jedlnia-Letnisko, gdzie „Zagon” miał swe miejsce dowodzenia, i skrycie zajęła stanowiska bojowe w kilku punktach tej miejscowości i wokół. „Kruk”, konwojowany przez ubeków, udał się na kwaterę jednej z łączniczek „Zagona” — bo nie wiedział gdzie sam „Zagon” przebywa — i powiadomił ją, że przyjechało kilku

200

oficerów WiN z Warszawy, którzy chcą z „Zagonem” rozmawiać. Łączniczka odparła, że do tej rozmowy może dojść dopiero nazajutrz wczesnym rankiem.

Tak też się stało. „Zagon”, bez ochrony, którą zostawił w domu w pobliżu swej kwatery, tylko z ową łączniczką, przyszedł po szóstej rano do małego domu koło stacji kolejowej, gdzie tamci mieli na niego czekać. Po kilku pierwszych słowach stojący za nim ubowcy przystawili mu pistolety do pleców. Oporu nie stawiał. Według relacji funkcjonariuszy UB zapytał tylko:

- Kto mnie tak urządził?
- Ci, którzy pragną spokoju i dobra narodu — podobno odpowie dział mu mjr Tataj.

Po aresztowaniu „Zagona” ubowcy zmusili łączniczkę, by zaprowadziła ich na jego kwaterę. Zgodziła się, sądząc, że po drodze zdoła zaalarmować ochronę. I rzeczywiście uczyniła to. Doszło do walki między grupą operacyjną a żołnierzami ochrony. Po obydwu stronach byli ranni. Ochrona przerwała pierścień okrażenia i wycofała się, łączniczka — korzystając z zamieszania — zbiegła. UB przystąpiło do przeczesywania Jędrni, rewizji i aresztowań.

„Zagona” przewieziono do Kielc i umieszczono w areszcie WUBP przy ul. Focha. Mjr Tataj zaproponował mu uwolnienie w zamian za wydanie żołnierzom inspektoratu rozkazu zaprzestania walki i ujawnienia się. Jednocześnie uroczyście gwarantował, że ci, którzy złożą broń, nie zostaną aresztowani, lecz otrzymają odpowiednie zaświadczenia, chroniące ich przed jakimikolwiek represjami. Po kilkudniowych negocjacjach „Zagon” wyraził zgodę. W rezultacie ujawniło się kilkudziesięciu ludzi.

Wkrótce jednak „Zagon” zorientował się, że został przez UB oszukany. Wtedy postanowił uwolnić się własnymi siłami. Zaplanował rozbicie aresztu WUBP jednoczesnym uderzeniem z zewnątrz i od środka i przystąpił do realizacji tego planu.

Eugeniusz Dąbrowski („Genek”), jeden z najstarszych stażem partyzantów legendarnego „Jędrusia” (Władysław Jasiński), więziony w tym samym czasie co „Zagon” w areszcie WUBP i wprowadzony w jego zamiary, w swej relacji, znajdującej się w moim posiadaniu, tak o tym pisze:

„Akcja rozbicia aresztu śledczego w WUBP w Kielcach przy ul. Focha była przygotowana z ogromną precyzją. Por. «Zagończyk» miał dar zjednywania sobie ludzi. Udało mu się nakłonić do współpracy dwóch młodych funkcjonariuszy UB, pełniących służbę wartowniczą w piwnicach na Focha. Kpr. Henryk umożliwił

kontaktowanie się w piwnicach

201

z por. Jaskulskim przebywającej tam jego łączniczce Hałubek, co pozwalało im na uzgadnianie *zecznań*. Plut. Adam, na prośbę por. «Zagoń-czyka», nawiązał kontakt z Eugenią Prauss z Kielc, a także wysyłał grypsy do łączniczek: Jadwigi Kołodziejkiej i Zofii Janiszewskiej w Radomiu oraz Jadwigi Wierzbickiej w Jedlni-Letnisku.

Plut. Adam podjął się również przeniesienia do celi por. «Zagończyka»: stena, 2 pistoletów, amunicji oraz granatów. Nie wiem, czy broń ta znajdowała się już pod «7» w czasie mojej ostatniej rozmowy z por. Jaskulskim. Z rozmowy mogłem wnioskować, że tak. Wywózka więźniów z piwnic na Focha do więzienia na Zamku w dniu 30 IX 46, a więc dzień wcześniej przed zaplanowaną akcją, całkowicie zburzyła dopięty już plan por. «Zagończyka».

W ciągu następnych paru tygodni UB aresztował łączniczkę Eugenię Prauss, a także plut. Adama. Do piwnic na Focha przywieziono też ujęte łączniczki z Radomia i Jedlni-Letniska oraz inne osoby włączone w planowaną akcję. Aresztowano kpr. Henryka i kilku członków WiN, uprzednio nie ujawnionych. Wszyscy oni zostali skazani przez Rejonowy Sąd Wojskowy w Kielcach na długoletnie więzienie, a szef wywiadu Inspektoratu WiN — «Zawierucha» na karę śmierci. I ten wyrok został wykonany".

„Zagon" po przewiezieniu z aresztu WUBP do więzienia, pilnowany i obserwowany tam w dzień i w noc, 17 stycznia 1947 r. został skazany na karę śmierci. Stracono go po miesiącu, 19 lutego 1947 r. Miał wtedy 33 lata, w WiN awansował do stopnia majora. Należał do tych żołnierzy, którzy walczyli do końca, nawet w sytuacjach rzeczywiście beznadziejnych. W tej ostatniej swej walce nie mógł już jednak zwyciężyć. Pochowano go w miejscu, którego jego podkomendni mimo intensywnych poszukiwań do dziś nie są w stanie odnaleźć.

Lolek „Kruk" nie wyjechał z Polski. Omotany i szantażowany przez ubowców nadal im służył. Osobiście mogłem się o tym przekonać jesienią 1946 r. Wkrótce dawni towarzysze broni zastrzelili go na ulicy w Sopocie.

Podobnych załamania zdarzało się więcej. Nie brakowało też porażek, a nawet klęsk. Ale największą klęską Inspektoratu Puławy była śmierć „Orlika".

Ostatnie akordy

Po śmierci „Orlika" w inspektoracie nadal utrzymywały się dwa ogniska zbrojnego oporu: na północy, gdzie dowodził „Spokojny", i na południu pod dowództwem „Żuka". Obydwaj robili wszystko, by wraz z ludźmi, którzy przy nich zostali, przetrwać jeszcze przez pewien czas. Choćby do zapowiadanych wyborów, które — jak naiwnie sądziło wtedy wielu nie tylko żołnierzy, lecz i polityków — miały położyć kres wszechwładzy komunistów.

Ale było coraz ciężej. W sierpniu 1946 r. spadła na nich kolejna pacyfikacja. Rażąca dysproporcja sił uniemożliwiała zaatakowanie przybyłego na ich teren wojska i zwanie się z nim w bitwie, lecz dochodziło do wielu potyczek, z których partyzanci zazwyczaj wychodzili zwycięsko.

I tak 11 sierpnia w m. Okrzeja w pobliżu Woli Okrzejskiej, w której sto lat wcześniej urodził się Henryk Sienkiewicz, jedna z drużyn „Spokojnego” zaskoczona przez pododdział grupy operacyjnej „Kłoczew” stawiała mu skuteczny opór i przedarła się z okrzykami. Zginęło dwóch funkcjonariuszy UB i dwóch żołnierzy KB W. Partyzanci stracili jednego poległego. Wieczorem tego samego dnia ubowcy zatrzymali furmankę, którą wyjeżdżali do Okrzei „Spokojny” z żoną oraz „Lis” i „Sosna”. Zaskoczenie było obustronne, ale jako pierwsi zorientowali się w sytuacji partyzanci. W efekcie UB straciło dwóch ludzi. Do podobnych starć na niewielką skalę dochodziło często, bo w owym czasie partyzanci działali w nielicznych grupach, co poszerzało obszar zbrojnej konfrontacji.

Wraz z nadejściem jesiennych chłódów sytuacja ludzi, ukrywających się w lesie, uległa znacznemu pogorszeniu. Wielu szukało kwater u znajomych gospodarzy, niektórzy decydowali się na krótkie wprawdzie, ale też ryzykowne odwiedzin w rodzinnych domach. Na to tylko czekali idący ich tropem agenci UB. Trwały bezlitosne łowy na członków podziemia.

Nadal jednak budzili strach. Przejawiał się on i w tym, że UB atakowało ich jedynie wtedy, gdy dysponowało absolutną, druzgocącą przewagą. Tak było 9 października w Nałęczowie, gdy cała kompania otoczyła dom przy ul. Kolejowej, w którym przebywało zaledwie dwóch

203

uzbrojonych ludzi. Byli to bracia Wojanowie: Tadeusz („Michał”) i Witold („Pirat”), członkowie nałęczowskiej placówki WiN, którą wtedy dowodził doświadczony partyzant Zygmunt Brzozowski („Dąb”), jeden z organizatorów i najdzielniejszych uczestników buntu i ucieczki grupy akowców ze Skrobowa.

Bracia opuścili swą leśną kryjówkę i o zmierzchu przyszli do matki po prowiant i zmianę bielizny. Nieostrożnie zostali na noc. Spostrzegł ich obserwujący dom Wojanów miejscowy konfident i natychmiast powiadomił PUBP w Puławach. Przed świtem przyjechała do Nałęczowa kompania KBW. Żołnierze zostawili samochody na skraju miasteczka i skrycie otoczyli budynek przy ul. Kolejowej. Pierwszy dostrzegł ich „Pirat”. Wybiegł na podwórze i padł przecięty serią erkaemu. „Michał” natomiast zabarykadował się w domu i przez ponad godzinę stawiał opór żołnierzom. Dopiero, gdy po wybuchu rzuconego przez nich granatu stracił rękę, sam się zastrzelił. Zginął jeden żołnierz, dwóch było rannych. W pojedynkę przeciw kompanii. Nawet i wtedy nie podnosili rąk do góry.

Również jesienią nastąpiły aresztowania kilku członków sztabu Inspektoratu. Nie objęły one, na szczęście, inspektora „Justa”.

Gdy ubowcy nie mogli ująć tych, których ścigali, mścili się na ich rodzinach. Setkami aresztowano Bogu ducha winnych ludzi, ograbiono — pod pretekstem konfiskaty mienia „wrogów ludu” — setki gospodarstw. Było wśród nich

gospodarstwo Kultysów w kolonii Ryki.

„Przeprowadzono konfiskatę wszelkiego rodzaju mienia — zanotował «Lis» — należącego rzekomo do mnie, a przecież byłem tylko jednym z dziewięciorga dzieci. Członkowi organizacji podziemnej i członkowi bandy, który działał na szkodę Państwa Polskiego, zabrano wtedy krowy, konia, kury, świnie, wóz konny, sieczkarnię, bronę, pługi, wiadra, krzesła, szafę, pierzynę, poduszki, obrazy, makatki i inne. Konfiskaty dokonała grupa operacyjna UB i KBW. Po wejściu do mieszkania zobaczyłem na jedynym pozostałym łóżku chorą matkę. Ogarnął mnie głęboki żal, bo poczułem się winny tego, że z mojego powodu skrzywdzono całą rodzinę, która została bez środków do życia”.

W podobny sposób obrabowano w Rykach i ich okolicy wiele innych gospodarstw, należących do żołnierzy „Orlika”. Wśród nich gospodarstwa Królików, Owczarskich, Rodaków.

Przyszła zima. Już trzecia po „wyzwoleniu”.

Trwała walka i w innych częściach kraju. Z obydwu stron coraz bardziej bezwzględna i okrutna.

204

28 października 1946 r. oddział ppor. „Lufy” (Henryk Wieliczko), ścigany przez grupę operacyjną UB i MO, zaczął się na nią przy szosie koło Jedwabna w woj. olsztyńskim, rozbił ciężarowy samochód, którym jechała, zastrzelił kilku funkcjonariuszy, kilku ranił, kilkunastu rozbroił. 12 grudnia jeden z pododdziałów kpt. „Młota” (Władysława Łukasika) zatrzymał między Węgrowem a Sokołowem Podlaskim samochód z grupą aktywistów PPR i ich ochroną. Zabito dziesięciu ludzi.

Zwierzchnikiem „Lufy” i „Młota” był wówczas sławny mjr „Łupa-szka” (Zygmunt Szendzielarz). Trzon jego sił stanowiły dwa zgrupowania, zwane „brygadami”: V Brygada Wileńska, którą dowodził osobiście, i VI Brygada Wileńska, początkowo pod dowództwem ppor. „Wiktora” (Lucjan Minkiewicz), a następnie kpt. „Młota”. Mimo że były to siły nieliczne — ich łączny maksymalny stan nie przekraczał 200 ludzi — przez długi czas stanowiły postrach UB i PPR niemal w całej północnej Polsce. Obszar ich aktywnych działań rozciągnął się od województwa szczecińskiego aż po wschodnie krańce Białostoczczyzny, obejmując województwo gdańskie, Pomorze, Warmię i Mazury, Podlasie. Było to możliwe dzięki taktyce, jaką stosował „Łupaszka”. Jego pododdziały, zwane „szwadronami” — jak piszą najlepsi znawcy dziejów tego zgrupowania Tomasz Łabuszewski i Kazimierz Krajewski:

„Nie wiązały się dłużej z jakimś terenem, nie posiadały stałych baz. Działały jako grupy lotne, stale zmieniając miejsce pobytu. Pokonywały nieraz kilkusetkilometrowe odległości, wykorzystując w tym celu zazwyczaj zdobyczne samochody. Działały zespołami liczącymi od 15 do 30 ludzi. Przykładem ruchliwości pododdziałów V Brygady Wileńskiej może być 4 szwadron dowodzony przez ppor. Henryka Wieliczkę «Lufę». Zawiązek szwadronu został zmobilizowany w marcu 1946 r. z żołnierzy V Brygady, zamelinowanych zimą 1945/1946 r. na Białostoczczyźnie. Został on przerzucony zdobycznym samochodem na Mazury, a następnie na Pomorze — w

Bory Tucholskie (w kwietniu 1946 r.). Stąd w końcu maja przeszedł na Mazury. Tu operował do końca lipca, by w pierwszej połowie sierpnia przesunąć się w Bory Tucholskie, na koncentrację V Brygady. W drugiej połowie sierpnia powrócił na Mazury, gdzie działał około miesiąca, po czym 24 września przerzucił się samochodem na teren województwa białostockiego. Działał tam do 26 października, po czym ponownie przyjechał na Mazury, by w dniu 9 listopada przyjechać znów do województwa białostockiego. Pokonał łącznie kilka tysięcy kilometrów, wykonując po drodze ponad 30 akcji bojowych — w tym rozbięcie 12 posterunków milicji i kilka-

205

krotne pomyślne walki z grupami operacyjnymi KBW, UBP, MO. Stan szwadronu wynosił przeciętnie kilkunastu partyzantów, których całe zaopatrzenie mieściło się w chlebakach. Braki w amunicji, prowiancie i wyposażeniu uzupełniali w akcjach bojowych"*.

Była to taktyka zupełnie nowa, nigdy dotychczas nie spotykana w działaniach partyzanckich na ziemiach polskich. Jeśli dodamy do tego, że pododdziały mjr. „Łupaszki” składały się z doświadczonych partyzantów, ostrzelanych w wielu walkach, doskonale uzbrojonych i że panowała w nich *żelazna* wojskowa dyscyplina, łatwiej będzie zrozumieć, dlaczego przez tak długi czas tak nieliczni nie dali się zniszczyć tak wielu.

Mjr „Łupaszka” przybył do centralnej Polski z Wileńszczyzny. Jego śladem uczyniły to setki innych żołnierzy brygad wileńskich i batalionów nowogródzkich AK. Nastąpiło to wtedy, gdy zbrojny opór na ich rodzinnej ziemi, zagarniętej ponownie przez bolszewików, był już niemożliwy. A trwał on znacznie dłużej, niż powszechnie się sądzi.

Do 21 stycznia 1945 r. wytrwał na czele kilkunastu swych żołnierzy, odbudowując struktury konspiracyjne, legendarny komendant „Krysia” (por. Jan Borysewicz), dowódca II batalionu 77 pp AK. W dniu tym poległ pod wsią Kowalki koło Dubicz. Jego partyzanci zdołali wyrwać się z okrążenia. Nieco później, 2 lutego, pod wsią Rowiny w pobliżu Nowogródka doszło do jednej z większych bitew, stoczonych przez AK z NKWD na północno-wschodnich kresach w II RP. W Rowinach kwaterowały zmierzające tamtędy w stronę granicy polsko-sowieckiej z zamiarem jej przekroczenia w Puszczy Białowieskiej I Oddział Samoobrony Czynnej Ziemi Wileńskiej, którym dowodził wówczas rtm. Władysław Kitowski, ps. „Orlicz”, oraz 2 OSCZW pod dowództwem por. „Tumrego” (Witold Turonek, w latach okupacji pod pseudonimem „Tur” dowódca 8 Oszmiańskiej Brygady AK), liczące łącznie ok. 150 ludzi. Zostały one zaatakowane przez wielokrotnie od nich liczniejsze siły NKWD. Bitwa, toczona przy trzaskającym mrozie i w głębokich zapachach śnieżnych, trwała kilka godzin, aż do zmierzchu. Walczono wręcz, Sowieci dobijali rannych. Partyzanci ponieśli klęskę: zginęło ich 88, a 25 dostało się do niewoli. Wkrótce stanęli przed sądem, który kilku skazał na śmierć, a pozostałych na 20 lat łagrów. Nieliczni tylko je przetrzymali. Straty NKWD były wyższe, ale obydwa polskie oddziały zostały rozbite.

Ci, którzy ocaleli, nadal z bronią w rękę ukrywali się w wykopanych w lesie ziemiankach. Był wśród nich zastępca kpt. „Orlicza”, por. „Jur” (Hieronim Piotrowski), wspominany już w tej książce. Wkrótce przedostał się w Białostockie, był komendantem Obwodu WiN Sokółka, a następnie Ostrów Mazowiecka, zginął w styczniu 1947 r. Inni pozostali za kordonem granicznym, walcząc z NKWD jeszcze ponad rok.

Obwody Wołkowysk, Grodno Prawy Niemen i Grodno Lewy Niemen, tworzące w latach okupacji VI Inspektorat Grodno, który wchodził w skład Okręgu Białostockiego AK, prowadziły zorganizowaną walkę czynną aż do września 1945 r. Liczyły łącznie kilka tysięcy żołnierzy, dysponowały sporą ilością broni. Powstało tam parę niewielkich oddziałów partyzanckich, które wspólnie z patrolami samoobrony likwidowały enkawudzistów i ich agentów, zwalczały sowiecką administrację. Jesienią 1945 r. większość partyzantów przeszła linię Curzona i kontynuowała walkę na Białostoczczyźnie. Na miejscu pozostały lokalne grupy samoobrony, które wytrzymały aż do końca 1949 r.*

Ci dowódcy i żołnierze wileńskiej i nowogródzkiej Armii Krajowej, którzy przedostali się do Polski centralnej, natychmiast — w zdecydowanej większości — dołączyli do istniejących tu struktur zbrojnego podziemia. Stanowili szczególnie wartościowy ich segment. Mieli na ogół duże doświadczenie w pracy konspiracyjnej i walce partyzanckiej, a ponadto — co również było wtedy bardzo ważne — znali bolszewików i stosowane przez nich metody. Po przejściu linii Curzona pełnili różne funkcje w sztabach, organizowali zbrojny opór, kierowali nim, dowodzili oddziałami leśnymi.

Tak było przede wszystkim — ale nie tylko — na Białostoczczyźnie. Na początku września 1945 r. na Pomorzu utworzony został tzw. eksterytorialny Wileński Okręg AK (od marca 1947 — Ośrodek Mobilizacyjny Wileńskiego Okręgu AK), którego organizatorem i szefem był przybyły z Wilna ppłk dypl. Antoni Olechnowicz („Pohorecki”), w czasie okupacji komendant Inspektoratu „A” Okręgu Wileńskiego, a w okresie stoczony przez AK bitwy o Wilno dowódca I Zgrupowania Partyzanckiego. Ppłk „Pohorecki” do WiN nie należał, lecz był bezpośrednio podporządkowany szefowi Sztabu PSZ na Zachodzie gen. Stanisławowi Kopańskiemu. To właśnie ppłk. „Pohoreckiemu” podlegał od jesieni 1945 r. mjr „Łupaszka”, który wtedy, po nakazanej przez Ko-

mendę Okręgu WiN Białystok demobilizacji jego V Brygady, znalazł się w Gdańsku.

Żołnierze z północno-wschodnich kresów II Rzeczypospolitej do końca znajdowali się na pierwszej linii walki. Zapłacili za to cenę bardzo wysoką. Wielu, wśród nich ppłk „Pohorecki”, własnym życiem. Tym bardziej zasłużyli na to, by zachować ich w pamięci.

W centralnej Polsce znalazła się również znaczna liczba żołnierzy AK z Obszaru nr 3 Lwów. Część z nich, po wygaśnięciu „Burzy”, nie złożyła broni, lecz w zwartych

oddziałach przeszła za San. Oddziały te, tworzące Zgrupowanie „Warta”, przez pewien czas utrzymywały się na Rzeszowszczyźnie. Później oficerowie z Obszaru Lwowskiego budowali WiN i kierowali jego działalnością na Dolnym Śląsku. Szefem Okręgu Legnica był płk Franciszek Rekucki („Topór”), były dowódca Zgrupowania „Warta”.

Na Dolnym Śląsku istniał także eksterytorialny Okręg Lwowski WiN, na czele którego stał mjr Anatol Sawicki (używający wówczas pseudonimu „Cybulski”), w czasie okupacji szef Inspektoratu Południowego Okręgu AK Lwów. W końcu 1947 r. struktury te zostały rozbite przez władze bezpieczeństwa. Płk Rekucki i jego zastępca ppłk Bolesław Tomaszewski (ps. „Bat”, w latach wojny szef oddziałów I i III Komendy Obszaru Lwów) zostali skazani na karę śmierci, zamienioną na 15 lat więzienia. Wyszli na wolność po bez mała latach dziesięciu. Mjr. Sawickiego, w 1948 r. w nie wyjaśnionych okolicznościach, zamordowano w więzieniu we Wronkach.

W drugiej połowie 1946 r. najtwardszy opór władzy komunistycznej stawały Białostoczczyzna i Lubelszczyzna. Nie poddawał się — mimo aresztowania „Zagona” i wyjścia z lasu części partyzantów — Okręg Radomsko-Kielecki. Walczyło rzeszowskie. W Borach Tucholskich nękały UB, MO i komórki PPR błyskawicznie przerzucające się z miejsca na miejsce „szwadrony” V Brygady Wileńskiej mjr. „Łupa-szki”. Nadal gorąco było na Podlasiu. Na Podhalu szalał „Ogień”. Poczynał sobie coraz śmielej: 18 sierpnia jeden z jego pododdziałów wybrał się do Krakowa i z więzienia św. Michała uwolnił 63 ludzi. Nie złożyło broni pozbawione swego założyciela i dowódcy kpt. Stanisława Sojczyńskiego („Warszyc”) Konspiracyjne Wojsko Polskie. Por. Jerzemu Jasińskiemu („Janusz”) udało się po masowych aresztowaniach odbudować kilka komend powiatowych i kilka grup leśnych, które wznowiły działalność w powiatach radomszczańskim, częstochowskim i piotrkowskim.

208

Ale był to już zmierzch. Słabły siły podziemia, zmniejszała się liczba oddziałów partyzanckich, niektóre z nich zaczynały chodzić własnymi ścieżkami, ignorując swych przełożonych, zapełniały się cele więzienne, jeden nagłaśniany proces następował po drugim, egzekucja po egzekucji, siły bezpieczeństwa, pewne swej bezkarności, działały coraz bardziej brutalnie, nie licząc się z nikim i z niczym, umacniała się władza, życie — mimo wielu restrykcji i utrudnień — wracało do normy, gasła wola walki. Nie było żadnych szans na zwycięstwo ani nadziei na jakąkolwiek pomoc.

Centralne kierownictwo WiN, teoretycznie kierujące oporem, nie było w stanie zatrzymać tego procesu. Tym bardziej, że władze bezpieczeństwa coraz ściślej je osaczały i coraz celniej uderzały w należących do niego ludzi. Po rozbiciu w listopadzie 1945 r. I Zarządu Głównego WiN z płk. Janem Rzepeckim na czele, w październiku 1946 r. ten sam los spotkał II *Zarząd*. Aresztowano wówczas — wraz z kilkoma innymi osobami — jego szefa, którym był płk Franciszek Niepokólczycki („Teodor”), w latach okupacji szef Wydziału Saperów KG AK. Skazany na karę

śmierci zamienioną na dożywotnie więzienie wyszedł z niego dopiero w grudniu 1956 r., a więc po upływie przeszło dziesięciu lat.

II *Zarząd* Główny WiN i tak miał wiele szczęścia, że udało mu się przetrwać prawie przez rok. Ten, który go poprzedzał istniał zaledwie dwa miesiące, ten, który nastąpił po nim — o kilka dni dłużej. Prezesem III *Zarządu, a dla* większości członków WiN komendantem głównym, został dotychczasowy szef Obszaru Centralnego WiN ppłk Wincenty Kwieciński („Lotny”), znamienity oficer. Urodzony w Wigilię 1916 r., wychowany w Polsce niepodległej, służył jej przez całe swe życie: absolwent lwowskiego Korpusu Kadetów i Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu, którą ukończył z pierwszą lokatą, otrzymując złotą szablę od Prezydenta RP, w kampanii wrześniowej najmłodszy wiekiem w armii polskiej dowódca baterii, ranny pod Aleksandrowem Lubelskim tak ciężko, że został uznany za poległego, oficer SZP-ZWZ-AK, szef kontrwywiadu Komendy Okręgu Warszawa, uczestnik Powstania Warszawskiego, oficer do specjalnych zleceń ostatniego dowódcy AK gen. Okulickiego, w swej działalności konspiracyjnej nie miał ani dnia przerwy do chwili aresztowania na początku stycznia 1947 r. Skazany na dożywocie wyszedł na wolność dopiero w kwietniu 1957, a więc prawie dziesięć lat spędził w więzieniu.

Aktywnie zaangażowany w latach 1980-1981 w wielką sprawę „Solidarności”, ciężko przeżywał stan wojenny — o czym wiem, bo

209

miałem zaszczyt cieszyć się jego przyjaźnią — zmarł w Warszawie we wrześniu 1984. Powrotu niepodległej Polski nie dane mu było doczekać. Ale nawet oficer o takich walorach, jak ppłk „Lotny”, gdy jesienią 1946 r. stanął na czele WiN, nie mógł już odwrócić biegu wydarzeń. Zbrojny opór dogasał i nikt nie był w stanie ponownie go rozniecić.

Nowy 1947 rok żołnierze WiN powitali uderzeniem na Radzyń. Akcję tę, ostatnią tej skali na Lubelszczyźnie, przygotował i dowodził nią komendant tamtejszego obwodu WiN Leon Sołtysiak („Dzems”). Nie dysponując już wówczas oddziałem leśnym, zmobilizował około 300 ludzi z rejonów, których wsparł posiadający saperów i materiały wybuchowe, a liczący ok. 50 partyzantów oddział „Jastrzębia” (Leon Taraszkiewicz) z sąsiedniego Obwodu Włodawa.

Zadanie polegało na opanowaniu siedziby PUBP przy jednoczesnym zaryglowaniu oddzielonej od niej tylko jezdnią komendy MO i pobliskiej szkoły, którą zajmował silny pododdział KBW. Każdy z tych solidnych, murowanych budynków był starannie przygotowany do obrony. Uderzono w noc sylwestrową, w dwie godziny po rozpoczęciu się Nowego Roku. Walka trwała niemal do świtu. Miała trzy ogniska. Główny jej cel nie został osiągnięty, gdyż zawiódł ładunek wybuchowy, którym próbowano rozerwać mur gmachu PUBP. W każdej też chwili mogła przybyć odsiecz z Lubartowa, Łukowa czy Parczewa, której partyzanci — mimo zamknięcia przez nich wszystkich dróg dojazdowych do Radzynia — nie zdołaliby zatrzymać. Wycofali się więc z miasta, po czym koncentrację rozwiązano. Mieli paru rannych, strat przeciwnika dokładnie nie ustalono, wiadomo jednak, że zginęło kilku pracowników UB.

Akcja ta, mimo że nie przyniosła partyzantom sukcesu, miała duże znaczenie psychologiczne: zarówno władzy, jak i społeczeństwu zasygnalizowała, iż zbrojne podziemie, rzekomo już rozbite, jeszcze istnieje, potrafi szybko i sprawnie zmobilizować ludzi oraz silnie uderzyć. Mimo że ze względu na zbliżające się wybory do Sejmu wszędzie gęsto było od wojska.

Wynik owych wyborów był z góry przesądzony. Ich próbę generalną — referendum z czerwca 1946 r. — i władza, i społeczeństwo miały już za sobą. Dla władzy wypadła ona bardzo pomyślnie: wielkie oszustwo, jakiego dokonała, fałszując wyniki głosowania, zachodni alianci gładko przełknęli. Było oczywiste, że i teraz, po sfałszowaniu wyniku wyborów, jakiegokolwiek ostrzejszej reakcji ze strony wolnego świata także nie będzie, choć część Polaków nadal naiwnie w to wierzyła.

270

Powtórzono więc niemal dokładnie scenariusz, wypróbowany w trakcie referendum. Jego najważniejsze punkty to: uderzenie w legalną opozycję, jaką nadal pozostawało PSL; dobitnie zbrojnego podziemia, znacznie już słabszego niż w czerwcu 1946 r.; opanowanie aparatu wyborczego i wyeliminowanie z niego choćby potencjalnych przeciwników; monstrualna kampania propagandowa; presja na wyborców, zmuszająca do tego, by głosowano zbiorowo i jawnie; skreślanie z ich spisów osób uznawanych za wrogie „blokowi demokratycznemu”; zapewnienie uczestnictwa w komisjach wyborczych ludzi, gwarantujących, że wydobyte z urn głosy nie będą wskazywać listy rzeczywiście przez oddających je popieranej, lecz tę, którą powinni poprzeć.

Wszystkie te punkty zostały zrealizowane. I to z nawiązką. Główna w tym zasługa faktycznie kierujących całą kampanią władz bezpieczeństwa. Żołnierzy, robotników, mieszkańców poszczególnych bloków i całych osiedli, chłopów — zbiorowo pędzono do lokali wyborczych i zmuszano do jawnego głosowania. W teren wyruszyły wojskowe grupy ochronno-propagandowe, brutalnie ingerujące w życie lokalnych społeczności. Nasiliły się akcje pacyfikacyjne, mające zdławić do końca resztki podziemia. Bito, więziono, skrytobójczo mordowano działaczy PSL, których w toku kampanii zabito 135. Całe wsie pozbawiano prawa głosu. Zamieniano — to było zadanie ostatnie — zawartość urn.

Wybory, przypomnijmy, odbyły się w niedzielę 19 stycznia 1947 r.

„Obliczanie głosów — napisał po latach jeden z ówczesnych przywódców PSL Stanisław Wójcik — wykazywało, że wszystkie metody gróźb, terroru, zmuszanie do jawnego głosowania na blok zawiodły. Głosy oddane przez wyborców do urny wykazywały zdecydowaną większość na rzecz PSL. Wobec tego zgodnie z instrukcją Stalina, komuniści, a właściwie ich aparat wyborczy na czele z Radkiewiczem, zmuszony był uciec się do ostatecznego środka fałszowania woli wyborców, jakim było wnoszenie do protokołów komisji obwodowych liczb sprzecznych z wynikami otrzymanymi z obliczenia głosów. Dokonanie tego «cudu» wyborczego należało do obowiązków funkcjonariuszy UB i propagandzistów grup ochronnych. Dane cyfrowe, jakie żądali oni do wniesienia do protokołów, były w tak rażącej sprzeczności z obliczeniami, że nawet zasiadający w komisjach członkowie partii próbowali je

złagodzić. Oczywiście bezskutecznie"*.

Rezultat był taki, jaki być powinien: 80,1 proc. wyborców (przy ogólnej frekwencji 89,9 proc.) głosowało na „blok demokratyczny”, PSL otrzymało 10,3 proc., co w złożonym z 444 posłów Sejmie dało mu 27 miejsc. Pozostałe głosy przypadły związanym z reżymem listom zrekonstruowanego przez komunistów Stronnictwa Pracy, PSL Nowe Wyzwolenie, stanowiącemu dywersję wobec PSL Mikołaj czyka oraz liście prorządowych katolików. Dokonało się kolejne wielkie oszustwo.

22 lutego 1947 r. nowo wybrany Sejm jednogłośnie uchwalił ustawę o amnestii. Kary śmierci i dożywocia zamieniała ona na 15 lat więzienia, wyroki od 10 do 15 lat złagodziła o jedną trzecią, a od 5 do 10 o połowę, pozostałe anulowała. Tym członkom podziemia, którzy do 25 kwietnia ujawnią się i złożą broń, gwarantowała bezkarność.

Fakt, że w ciągu półtora roku była to już druga amnestia, pozornie świadczył o wyrozumiałości i wspaniałomyślności władzy. W istocie zamierzała ona na jednym ogniu upiec dwie pieczenie: rozładować podziemie i wziąć pod kontrolę jego ujawnionych przywódców i najbardziej aktywnych członków, by rozprawić się z nimi wtedy, gdy uzna to za stosowne. Oczywiście liczyło się także psychologiczne oddziaływanie na społeczeństwo.

Cele te władza osiągnęła. Wprawdzie trudno podać dokładną liczbę ujawnionych, gdyż różni autorzy różnie ją określają, co musi dziwić, bo przecież Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego niewątpliwie dobrze ją znało, ale przekraczała ona 50 tys. osób. Była więc znacznie wyższa niż liczba osób rzeczywiście zaangażowanych w walkę — zbrojną bądź cywilną — z komunistami.

Wyjaśnić to łatwo: większość ujawnionych stanowili ludzie, którzy w czasie okupacji należeli do AK lub innych organizacji niepodległościowych, po wejściu Armii Czerwonej nie występowali przeciw ustanowionej przez nią władzy, ale też nie chwalili się swą poprzednią przynależnością, teraz zaś uznali, że — dla świętego spokoju — trzeba o niej UB powiedzieć. Było to z ich strony logiczne. Jeśli bowiem stale słyszeli o zbrodniarzach z AK, których należy postawić przed sąd, to uważali, że i oni winni ujawnić, iż w czasie wojny byli członkami owej zbrodniczej organizacji. Ci, którzy w tamtym okresie siedzieli jak myszy pod miotłą, byli lojalni wobec Niemców, zajmowali się handlem, bądź wywozili gnój z obór niemieckich bauerów, mieli czyste sumienie.

Niewielki tylko odsetek ujawniających się stanowili żołnierze oddziałów leśnych, walczących z bronią w ręku z władzą ludową, jej mocodawcami i poplecznikami. Ogromna ich większość ujawniła się na

zadawało kłam głoszonej przez cały czas istnienia PRL tezie, jakoby rekrutowały się one ze środowisk obszarń-czych, kapitalistycznych, inteligenckich i burżuazyjnych, mających zakodowaną w genach nienawiść do komunizmu i socjalizmu.

Ujawniali się, składali broń, bo cóż mieli począć? Stefan Korboński w swych cytowanych już wspomnieniach, w zapisie pod datą 9 marca 1947 r., a więc z okresu, gdy akcja ujawniania była w toku, opowiada o kilkugodzinnej rozmowie, jaką w pewnym mieszkaniu na Żoliborzu odbył z „prawdziwym wysłannikiem oddziału leśnego”.

„Wpatrywałem się w młodego mężczyznę jak urzeczony — zapisał. — Człowiek z dawnego mojego świata, z którym niedawno się rozstałem. Bliski mi i zarazem już daleki. Przystojna, chociaż wymizerowana

I niewyspana twarz, śmiałe, palące spojrzenie, nerwowe ruchy. Cel roz mowy: mam doradzić, czy trwać w lesie czy porzucić partyzantkę”.

To, co Korboński wówczas usłyszał, głęboko nim wstrząsnęło: „Zamiast wiary w zwycięstwo, które tocząca się wojna w końcu przyniesie, topniejąca z każdym miesiącem nadzieja na konflikt, który wprowadzie na pewno wybuchnie, ale nie wiadomo kiedy się zacznie. Zamiast zapału do walki i nieustannego nękania przeciwnika, przygnębiające wymykanie się z obław i nocne wędrówki po leśnych wertepach. Zamiast otwartych drzwi do każdej chaty, gościny i noclegu, zamknięte wrota i prośba, by iść dalej, gdyż będą aresztowania i represje. Zamiast zrzutów broni i zaopatrzenia, stare, wystrzelane gruchoty i skąpa amunicja, liczona na wagę złota. A nad wszystkim góruje głód, brak snu i ogromne zmęczenie, którego nie można się pozbyć”.

Odpowiedź mogła być tylko jedna: trzeba wracać do normalnego życia, dalsze tkwienie w lasach nie ma sensu i celu. Stefan Korboński tak właśnie powiedział wysłannikowi partyzantów, „skręcając się w środku — jak dodał — od uczucia bezsilnej rozpacz”. I skomentował to następująco: „Bo naprawdę wierzę, że, niestety, nie ma innego wyjścia”.

Istotnie nie było. Rozumieli to także ostatni żołnierze „Orlika”. Długie, całonocne rozmowy o tym, co począć, doprowadziły do zgodnego wniosku: innego wyjścia rzeczywiście nie ma. Tak również uważali dowódcy: „Spokojny” i „Żuk”.

Rozpoczęły się długie i trudne negocjacje z władzą — z jej zresztą inicjatywy — reprezentowaną przez oficerów UB. „Spokojny” kilka-

krotnie rozmawiał z zastępcą szefa PUBP Garwolin ppor. Zygmuntem Krasieńskim, dawnym partyzantem AL, absolwentem Centralnej Szkoły Oficerskiej MBP, szefem referatu PUBP do walki z bandami, człowiekiem niegłupim. Do spotkań tych dochodziło w Dęblinie, również na terenie Oficerskiej Szkoły Lotniczej. Obydwu rozmówcom towarzyszyła uzbrojona ochrona. Patrzyli na siebie nieufnie, świadkowie owych spotkań szeroko otwierali oczy ze zdziwienia, widząc pokojowo rozmawiających ze sobą „leśnych” i ubeków, ale do żadnego incydentu nie doszło. „Spokojny” stale powtarzał, że ujawnienie oddziału przekracza jego kompetencje i musi w tej sprawie otrzymać odpowiedni rozkaz od swych przełożonych. W końcu

rozkaz taki dostał. Przywiózł mu go, na polecenie inspektora „Justa”, ostatni komendant Podobowodu „A”, kpt. Agenor Walusiński (używający w tym czasie pseudonimu „Willy”), który prowadził rokowania w WUBP w Warszawie.

25 marca 1947 r. „Spokojny” wraz ze swymi ludźmi ujawnił się w Garwolinie. W ciągu następnego dnia grupowo ujawniali się jego podkomendni. Oddali sporo broni: dwa działka plot., z których tak byli dumni, choć ani razu z nich nie wystrzelili, 270 pocisków do nich, 8 rkm, 58 pistoletów maszynowych, 120 kb, 49 pistoletów, ok. 5 tys. sztuk amunicji, ok. 200 kg trotylu, maszynę do pisania, telefon wojskowy. Łącznie w PUBP w Garwolinie ujawniło się około 200 ludzi: partyzantów z oddziałów leśnych, członków drużyn dywersyjnych, członków placówek.

W kilka dni później ujawnił się w Puławach „Żuk” wraz z południową częścią zgrupowania, nadal zwanego zgrupowaniem „Orlika”. Liczba ujawnionych ludzi i zdanej broni (oczywiście bez działek) była podobna.

Oddawali tę broń w milczeniu, z zaciśniętym gardłem, z rozpaczą w sercu. Ci z nich, którzy jeszcze żyją — nie chcą o tym mówić. To była ich klęska. Prawdziwy koniec długiej wojny, trwającej dla wielu ponad siedem lat. Mało kto wierzył, że teraz będą mogli żyć w pokoju. Bezbronni, zdani na łaskę i niełaskę wroga, wiedzieli, że za ich opór wystawi on im jeszcze rachunek.

I właśnie dlatego nie wszyscy w Polsce broń oddali. Kilka oddziałów leśnych nadal nie zamierzało kapitulować.

W Obwodzie Włodawskim nie złożył broni oddział „Jastrzębia”. Miał on za sobą kilka śmiałych akcji, które na całej Lubelszczyźnie zyskały mu duży rozgłos. W nocy z 2 na 3 lutego 1946 r. wdarł się do Parczewa i na pięć godzin opanował miasto, likwidując kilku ubowców

214

i konfidentów i wywożąc dwa samochody ciężarowe potrzebnego w lesie zaopatrzenia. 22 października 1946 r. oddział „Jastrzębia”, wsparty przez kilkunastu ludzi z oddziału „Ordon” (Józef Strug), poruszając się skonfiskowanymi samochodami, rozbroił bez walki dwa posterunki MO, a następnie w godzinach popołudniowych wjechał do Włodawy, gdzie opanował komendę MO i siedzibę PUBP. Zginęło wtedy kilkunastu ubowców, „Jastrząb” miał dwóch zabitych i pięciu rannych. Uwolniono 70 więźniów UB.

3 stycznia 1947 r. zginął „Jastrząb”. Dowodził wtedy akcją przeciw grupie ochronno-propagandowej KBW, przybyłej w związku z nadchodzącymi wyborami do m. Siemień koło Parczewa i kwaterującej w siedzibie tamtejszego urzędu gminnego oraz w sąsiednich zabudowaniach. Padł po serii, oddanej do nadchodzących partyzantów przez jednego z wartowników. Rana okazała się śmiertelna. Zmarł na furmance w drodze do lekarza. Miał zaledwie 22 lata. Innych strat jego oddział w tym dniu nie miał. Opanował bez walki budynki zajmowane przez żołnierzy KBW i wszystkich ich rozbroił.

Po śmierci „Jastrzębia” dowództwo oddziału objął jego starszy brat Edward Taraszkiewicz („Żelazny”). O skorzystaniu z amnestii ani on, ani nikt z jego ludzi

nawet nie myśleli. Dobrze wiedzieli, iż są tak znienawidzeni przez UB, że w ciągu kilku godzin po złożeniu broni wystrzelano by ich wszystkich.

„Żelazny” wytrwał aż do jesieni 1951 r. Zginął w walce godnej pamięci. Wraz z trzema ludźmi ukrywał się we wsi Zbereż nad Bugiem koło Sobiboru w gospodarstwie rodziców jednego ze swych partyzantów. O świcie 6 października zostało ono otoczone przez grupę UB i KBW o sile wzmocnionej kompanii, którą dowodził doświadczony w działaniach przeciw polskiej partyzantce oficer NKWD mjr Wołków. Mimo piekielnego ognia „Żelaznemu” i jego towarzyszom udało się przedrzeć przez pierwszy pierścień okrażenia. Uczyniwszy to „Żelazny”, wraz z dwoma ludźmi, dobiegł do kilku stojących przy drodze samochodów grupy operacyjnej. Żołnierze KBW, sterroryzowani partyzanckimi pistoletami maszynowymi, nawet nie próbowali stawiać oporu, gdy tamci wskoczyli do terenowego gazika i kazali kierowcy ruszać. Ten z dużą prędkością skierował wóz w stronę miejsca postoju dowództwa grupy operacyjnej. W chwili, gdy na polnym trakcie ukazali się żołnierze, kierowca krzyknął: „Ognia, to bandyci!” i wyskoczył z gazika. Samochód wjechał w grupę żołnierzy, partyzanci z niego wyskoczyli, rozpoczął się piekielny, obustronny ogień.

275

„Żelazny” zginął na miejscu. Zdążył jeszcze zastrzelić wilczura, którego na niego puszczone i jego przewodnika. Zginął również, ostrze-liwując się do końca, jeden z najstarszych partyzantów „Jastrzębia” i „Żelaznego”, Stanisław Torbicz („Kazik”). Trzeci z gazika Józef Do-mański („Łukaszek”) został ranny i dostał się do niewoli. W ręce UB wpadli również Stanisław Marciniak („Niewinny”) i łączniczka „Żelaznego”. Wiele osób aresztowano. Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie na sesji wyjazdowej we Włodawie wziętą do niewoli trójkę skazał na karę śmierci. „Łukaszka” i „Niewinnego” stracono. W innym procesie karę dożywotniego więzienia otrzymał Stanisław Kaszczuk („Daleki”), syn właścicieli gospodarstwa, których ubowcy zabili na początku walki.

Grupa operacyjna, jak wynika ze sporządzonego przez WUBP Lublin meldunku*, miała sześciu zabitych, w tym dwóch oficerów, jednego z WUBP, drugiego z KBW. Taki był rezultat walki czterech ludzi otoczonych przez kompanię.

21 lutego 1947 r. ostatnią swą walkę stoczył „Ogień”. Było to w Ostrowsku w pobliżu Nowego Targu. „Ogień” przybył tam poprzedniego dnia wraz z czterema swymi partyzantami i łączniczką. Nazajutrz przed południem Ostrowsko otoczyła licząca kilkudziesięciu ludzi grupa operacyjna UB, MO i ICBW. Tamci bronili się w góralskiej chacie. Gdy zaczęła płonąć, „Ogień” przedostał się do pobliskiego murowanego budynku i ukrył na strychu. Ubowcy poszli jego tropem. Widząc, że im nie umknie, strzelił sobie w głowę. W stanie agonii przewieziono go do szpitala w Nowym Targu, gdzie mimo natychmiastowej operacji wkrótce po północy zmarł. Zwłoki przetransportowano do Krakowa i przekazano klinice Akademii Medycznej jako niezidentyfikowane, władze nie chciały bowiem, by Podhale wiedziało, gdzie „Ogień” został pochowany, gdyż miejsce to niewątpliwie stałoby się celem pielgrzymek.

W walce w Ostrowsku zginęło dwóch ludzi z grupy operacyjnej, kilku zostało

ranych. Padli dwaj partyzanci, dwóm udało się przedrzeć przez pętlę okrażenia. Żadnego więc nie ujęto żywym. Twardzi byli ci ostatni z „żołnierzy wyklętych”, nie poddawali się do końca.

W kilkanaście godzin po śmierci „Ognia”, w Warszawie uchwalono amnestię „Ogień” z pewnością by z niej nie skorzystał.

Takich desperatów było więcej. Nadal nie chcieli złożyć broni. To, że nie trafiały do nich apele wzywającej do tego władzy, można zrozu-

mieć. Nie ufali jej, a najbliższa przyszłość wykazała, że mieli rację. Ale nie trafiały do nich także argumenty Mikołajczyka i innych przywódców PSL, rządu emigracyjnego, kierownictwa WiN.

Działalnością WiN kierował wtedy, przez cały niemal rok 1947, czwarty już zarząd. Na jego czele stał ppłk Łukasz Ciepłiński (używał wielu pseudonimów), człowiek i oficer równie wysokiego lotu, jak jego poprzednik, przewodniczący III *Zarządu* ppłk Wincenty Kwieciński, aresztowany na początku stycznia 1947 r. Ppłk Ciepłiński również należał do pokolenia wychowanego w II Rzeczypospolitej. Od wczesnej młodości nosił mundur (też był absolwentem Korpusu Kadetów), w kampanii wrześniowej, dowodząc jako podporucznik kompanią działek ppanc. 62 bydgoskiego pp, przeszedł cały szlak bojowy Armii „Pomorze”. Okrył się chwałą w bitwie nad Bzurą, gdy — broniąc przeprawy — ogniem obsługiwanego przez siebie działka zniszczył sześć niemieckich czołgów, za co gen. Tadeusz Kutrzeba na polu bitwy odznaczył go *Virtuti Militari* i awansował do stopnia porucznika. Następnie bronił Warszawy, nie poszedł do niewoli, lecz rozpoczął działalność konspiracyjną. Od wiosny 1941 r. do rozwiązania AK, a więc prawie przez cztery lata, był szefem Inspektoratu ZWZ-AK Rzeszów.

Po wejściu Armii Czerwonej pozostał w konspiracji, w WiN był początkowo kierownikiem Krakowskiego Okręgu, później Obszaru Południowego, a od stycznia 1947 r. prezesem Zarządu Głównego. Kierował m.in. zespołem, który w 1946 r. opracował obszerny „Memoriał WiN do Rady Bezpieczeństwa ONZ”, zawierający ocenę sytuacji w Polsce i wykazujący w sposób niezbity, że Polska nie jest krajem niezawisłym i suwerennym, a podstawowe prawa człowieka są w niej ustawicznie i brutalnie gwałcone. Memoriał, wraz z licznymi załącznikami, przetłumaczony został na język angielski, przetrzymany na Zachód i doręczony odpowiednim agendum ONZ oraz Międzynarodowemu Trybunałowi Sprawiedliwości w Hadze. Żadnego echa nie wywołał.

Ale i ppłk Ciepłiński, mimo swej niezłomności, hartu i ogromnego zaangażowania, nie mógł powstrzymać szybko postępującej erozji WiN. Wiosną 1947 r. po amnestii, IV *Zarząd* Główny nie bardzo czym miał już zarządzać. Skurczyły się jego wpływy, osłabił autorytet. Istniejące jeszcze oddziały leśne, praktycznie biorąc, nie uznawały jego zwierzchnictwa.

Koniec WiN nastąpił u schyłku 1947 r. Coraz głębsza infiltracja UB w jego szeregach, zeznania wymuszane od uwięzionych, doprowadziły do masowych aresztowań we wszystkich okręgach. Ppłk Łukasz Cie-

pliński został aresztowany 28 listopada 1947 r. w Zabrzu, 1 marca 1951 r. stracono go w więzieniu na Mokotowie w Warszawie. Wprawdzie istniał jeszcze — i to prawie przez cztery lata — V *Zarząd* Główny WiN, ale był to twór Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, kierowany przez jego agentów, wykorzystujący dla jego celów dawne kontakty zagraniczne i drogi przerzutowe. Wraz z aresztowaniem ppłk. Ciepłińskiego skończyła się działalność WiN jako ośrodka rzeczywiście kierującego oporem społeczeństwa przeciw sowietyzacji Polski.

Nieco wcześniej przestała istnieć legalna opozycja. 21 października 1947 r. brytyjskim statkiem „Baltavia”, na który potajemnie dostał się w Gdyni, opuścił Polskę prezes PSL Stanisław Mikołajczyk, zagrożony pozbawieniem immunitetu poselskiego, aresztowaniem i pokazowym procesem o z góry przesądzonym wyroku. W ślad za nim uczynili to inni czołowi działacze Stronnictwa. Kilku aresztowano, kilku — z Józefem Niecko na czele — utworzyło neo-PSL, przekształcone w listopadzie 1949 r. w wasalne wobec komunistów Zjednoczone Stronnictwo Ludowe. Prawdziwe PSL, stronnictwo wielkich, lecz nie spełnionych nadziei, definitywnie zeszło ze sceny dziejowej i do dziś na nią nie wróciło.

Sytuacja stała się przerażająco jasna. Wszechwładzy komunistów nikt już nie mógł zagrozić.

Mimo to niedobitki oddziałów leśnych jeszcze dawały znać o sobie.

Do połowy 1948 r. wytrwał w radomskim oddział „Igły” (Tadeusza Zielińskiego). Jego dowódca, dawny partyzant „Szarego”, uczestnik m.in. rozbicia więzienia w Kielcach, potrafił wielokrotnie wyprowadzać swych ludzi z matni i wymykać się z obław. Duży rozgłos zyskała jego ostatnia na większą skalę walka, jaką na początku maja 1948 r. w rejonie Skaryszewa stoczył z wielokrotnie od jego szczupłych sił liczniejszą grupą operacyjną UB i KB W. Stracił wtedy kilku ludzi, lecz zdołał przedrzeć się z okrążenia. Ale dalsze pozostawanie zwartego oddziału w tamtym terenie groziło rychłą jego zagładą. Zwłaszcza że był to czas, gdy w każdej z grup leśnych UB miał swych informatorów. „Igła” oddział rozwiązał, wyjechał w Piotrkowskie, gdzie w końcu czerwca 1948 r., czując, że tropiący go ubowcy są coraz bliżej i nie widząc wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazł, popełnił samobójstwo. Rozerwał się granatem.

O cztery miesiące przeżył go jego przyjaciel i zastępca „Wicher” (Antoni Suliga), który po wyjeździe objął dowództwo nad resztkami dawnego oddziału i śmiało sobie poczynał w powiatach radomskim, iłżeckim

i kozienickim. Też wybrał śmierć z własnej ręki. 10 października 1948 „Wicher” został ranny w potyczce z MO. Koledzy umieścili go w kryjówce u zaprzyjaźnionych gospodarzy pod Radomiem. W dwa tygodnie później funkcjonariusze UB z Radomia otoczyli gospodarstwo i przeprowadzili rewizję, w czasie której znaleźli skrwawiony mundur. „Wicher”, gdy wchodzili do jego kryjówki, zastrzelił się z pistoletu.

Najdłużej, bo aż do końca września 1950 r., przetrwała na ziemi radomskiej grupa „Draęła” (Aleksander Młyński). W okresie poprzedzającym jej kres, topniała bardzo

szybko i w końcu przy „Draгалu” zostało tylko dwóch ludzi. Ale i wtedy UB nie potrafił ich ująć. Zastosowano więc podstęp: jeden z dawnych podkomendnych „Draగాła”, współpracujący wówczas z UB, przyprowadził do swego byłego dowódcy czterech przebranych po cywilnemu oficerów, twierdząc, że są to dawni akowcy, pragnący przyłączyć się do jego grupy. „Draగాła”, ufając tamtemu, wyraził zgodę. Któregoś słonecznego dnia, gdy cała grupa licząca już ośmiu ludzi wypoczywała na leśnej polanie w pobliżu Kolonii Wawrzyszów w gminie Wolanów, zdrajca i czterej „dawni akowcy” nagle otworzyli do pozostałych ogień z automatów. „Draగాła” i jego dwaj towarzysze zginęli na miejscu.

Takie grupy jak „Wichra” czy „Draగాła” trudno jednak uznać za oddziały partyzanckie. Składały się z niedobitków, pozostałych po tych oddziałach i rozpaczliwie walczących o życie.

Dotyczy to również resztek organizacji Konspiracyjne Wojsko Polskie, utworzonej przez kpt. „Warszyca”. Wprawdzie zdołano ją odbudować po jego aresztowaniu, ale w noc sylwestrową 1946/1947 zadano jej ostateczny cios, aresztując w Częstochowie niemal całe dowództwo. Kilku ocalałych jego członków ujawniło się w marcu 1947 r. Niedobitki zebrał wokół siebie sierżant Jan Małolepszy („Murat”). Podzielił je na kilka bojówek, liczących łącznie ok. 80 ludzi. Działy one na obrzeżach województw kieleckiego, łódzkiego, poznańskiego i śląsko-dąbrowskiego. Z ich ręki zginęło kilkudziesięciu funkcjonariuszy UB i MO oraz aktywistów PPR. Dokonały wielu akcji zaopatrzeniowych, z których część miała charakter zwyczajnych rabunków. W listopadzie 1948 r. „Murat” wpadł w ręce UB i po procesie został stracony. Jego bojówki poszły w rozsypkę. Ale parę kilkusobowych grup, nadal występujących pod znakiem KWP, utrzymało się aż do 1954 r. Z pewnością nie można ich jednak *zaliczać* do zbrojnego, niepodległościowego podziemia.

Ostatnim, znanym jeszcze z lat wojny, dowódcą partyzanckim Lubelszczyzny był por. „Uskok” (Zdzisław Broński). Chłopski syn ze wsi lubartowskiej, podoficer WP, organizator konspiracji na swoim rodzinnym

219

terenie, dowódca oddziału partyzanckiego wchodzącego w skład zgrupowania 8 ppLeg. AK, którym dowodził również po wkroczeniu Armii Czerwonej, był zastępcą mjr. „Zapory” w czasie, gdy „Zaporze” podlegały wszystkie oddziały i grupy zbrojne WiN w Inspektoracie Lubelskim. Po aresztowaniu „Zapory” stanął na ich czele. Zginął 21 maja 1949 r. w otoczonym przez UB bunkrze, w którym mieścił się magazyn broni. Bunkier wskazał ubowcom zmuszony do tego torturami jeden z jego aresztowanych ludzi. „Uskok”, podobnie jak „Igła”, rozerwał się granatem.

Walka partyzancka najdłużej trwała na Białostocczyźnie i Podlasiu. Prowadziły ją niewielkie ilościowo pododdziały i patrole, koncentrujące się w razie potrzeby. Największą aktywność przejawiała tzw. VI Brygada Wileńska, podporządkowana mjr. „Łupaszce”. Wprawdzie „Łupaszka” w marcu 1947 r. zaprzestał walki i wyjechał na południe kraju, ale VI Brygada istniała nadal. Dowodził nią od jesieni 1946 kpt. „Młot” (Władysław Łukasik).

„Łupaszka” wyjechał w okresie, kiedy i wśród jego żołnierzy żywe były dyskusje

na temat tego, czy skorzystać z ogłoszonej niedawno amnestii. Sam był temu przeciwny. Uważał wprawdzie, że dalsza walka nie rokuje żadnej nadziei, godził się na wyjście ludzi z lasu, ale nie chciał, by oddawali się, po złożeniu broni, w ręce UB.

Na krótko przed wyjazdem dotarł do niego list od ministra bezpieczeństwa publicznego, wzywający, by ujawnił się wraz ze swymi ludźmi. Po dłuższych wahaniach major postanowił odpowiedzieć na tę propozycję. Odpowiedni list wystosował — z upoważnienia „Łupaszkii” — ppor. Lucjan Minkiewicz („Wiktor”), pierwszy dowódca VI Brygady. „Łupaszkii” informował, że skłonny jest ujawnić swe oddziały, jeśli MBP zagwarantuje zwolnienie wszystkich uwięzionych żołnierzy jego dwóch brygad, zapewni zaopatrzenie rodzinom po poległych, uznanie ujawniających się ich stopni i odznaczeń, pełne bezpieczeństwo i stosowną pracę. Zażądał też, by ciężko rannym partyzantom przyznać uprawnienia inwalidów wojennych.

List ten dotarł do MBP i nawet przysłała nań odpowiedź, w której proponowano ustalenie daty i miejsca spotkania, gwarantując wysłannikowi „Łupaszkii” nietykalność. Ze względu na to, że propozycja ta napłynęła już po wygaśnięciu terminu ujawniania się, nie została przez „Młota” podjęta*. Wiedział, że MBP warunków tych nie przyjmie i że żadne rozmowy nie uchronią jego i jego ludzi przed odwetem.

W tym czasie „Łupaszkii” był już na Śląsku, skąd przeniósł się na Podhale, gdzie 29 czerwca 1948 r. we wsi Osielec koło Jordanowa został aresztowany przez UB.

Niemal dokładnie w rok później, bo 27 czerwca 1949 r., zginął „Młot”, najślawniejszy partyzant Podlasia. Przedwojenny podoficer kawalerii, żołnierz AK, awansowany do stopnia podporucznika czasu wojny, następnie porucznika i kapitana, należał do ścisłego grona najwybitniejszych dowódców partyzanckich, walczących przeciw władzy komunistycznej. Po „Burzy”, zagrożony wywiezieniem do ZSRR, powrócił do lasu, był żołnierzem przybyłej w białostockie V Brygady, a następnie zastępcą dowódcy i dowódcą VI Brygady. Zgromadził wokół siebie wielu doświadczonych partyzantów i dużą grupę patriotycznej, rwącej się do walki młodzieży.

Należał do niej Józef Oleksiak („Wichura”), dowódca patrolu w pododdziale „Sokolika” (Kazimierz Wyrozębski). „Wichura” był młodszym bratem por. Henryka Oleksiaka z Sokołowa Podlaskiego, w latach okupacji komendanta grupy dywersyjnej tamtejszego Kedywu, oficera o ogromnej brawurze, organizatora i dowódcy wielu akcji zbrojnych, o którym do dziś Podlasie pamięta. Por. Henryk Oleksiak, używający także pseudonimu „Wichura”, zginął w grudniu 1943 r. Jego brat Józef w 1944 r., gdy miał zaledwie 16 lat, znalazł się w oddziale partyzanckim por. „Sokoła” (Tadeusza Ruszczyńskiego). Był jego najmłodszym żołnierzem, dostał pseudonim „Mały”. Po wejściu Sowietów znów poszedł do lasu. Dla uczczenia pamięci brata przybrał pseudonim „Wichura”. Walczył jeszcze przez okres ponad trzech lat. Poległ 14 maja 1948 r. w starciu z KBW i UB w Wymysłach w pobliżu rodzinnego Sokołowa. Przeżył trzeci z braci Oleksiaków, Stanisław („Kozic”), żołnierz Kedywu

Obwodu Sokołów, Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, III batalionu 77 pp AK, kawaler Virtuti Militari.

Rejestr akcji, wykonanych przez „Młota”, zawarty w zestawionym przez Tomasza Łabuszewskiego i Kazimierza Krajewskiego kalendarium działań V i VI Brygady, zadziwia zarówno ich liczbą, jak i rozmachem. Szczególnie dotyczy to najtrudniejszego okresu, który zaczął się wiosną 1947 r., po złożeniu broni przez ogromną większość oddziałów leśnych. W ciągu dwóch lat i czterech miesięcy, które upłynęły od ogłoszenia amnestii do jego śmierci, „Młot” potrafił nie tylko utrzymać oddział, ale i skutecznie walczyć, wielokrotnie przeprowadzając śmiałe akcje ofensywne.

Jak np. zasadzka pod Łochowem, a więc niemal na przedpolach stolicy w dniu 1 kwietnia 1948 r., na konwój UB, wiozący więźniów z Węgrowa

227

do Warszawy. Partyzanci „Młota” zastrzelili wtedy kilku ubowców i uwolnili wszystkich aresztowanych.

„Młot” zginął z rąk własnego żołnierza w okolicznościach do dziś nie w pełni wyjaśnionych. Według najbardziej prawdopodobnej wersji zastrzelił go brat partyzanta, którego uprzednio „Młot” ukarał śmiercią za odmowę wykonania rozkazu. Miał wtedy 43 lata, był więc mężczyzną w pełni dojrzałym.

„Od zimy 1947 r. — piszą w poświęconym mu artykule, którego maszynopis znajduje się w moim posiadaniu wymienieni autorzy — na tle zupełnego rozpadu podziemia, partyzantka «Młota» zaczęła urastać do rangi zjawiska o znaczeniu w skali państwowej. W maju 1947 r. powołano wspólny sztab MBP i dowództwa KBW do walki z oddziałami «Młota». W 1947 r. prowadzono przeciw nim, przy użyciu wielkich sił, operację pod kryptonimem «M». W 1948 r. kolejną operację «Z». Przeciw «Młotowi» działały pododdziały I, II i III Brygady KBW, pododdziały wydzielonego pułku LWP o kryptonimie «Bug», przeznaczonego do blokady tej rzeki, znaczne siły MO i UB z terenu trzech województw. Tymczasem szwadrony «Młota» dosłownie szalały na Podlasiu po obu stronach Bugu”.

Przy czym, co wydaje się wręcz niewiarygodne, łączny stan liczbowy owych „szwadronów” w okresie lat 1947-1949 nie przekraczał — nie licząc oczywiście zaplecza — 70 ludzi.

Po śmierci „Młota” większość jego podkomendnych zaprzestała walki. Broni nie złożyła kilkunastoosobowa grupa pod dowództwem Czesława Pieleckiego („Jaskółka”), która wkrótce podporządkowała się kpt. Kazimierzowi Kamieńskiemu („Huzar”), dowódcy oddziału operującego niemal do końca 1952 r. głównie w powiatach Bielsk Podlaski i Wysokie Mazowieckie. „Jaskółka” zginął wcześniej, bo 8 czerwca 1950 r. „Huzar”, po rozbiciu przez UB i KBW jego pododdziałów, wyjechał do Warszawy, gdzie wiosną 1953 r. został aresztowany. Sądono go w Łapach na sesji wyjazdowej warszawskiego WSR. Otrzymał karę śmierci. Wyrok wykonano.

Wspomnieć jeszcze trzeba o innym sławnym partyzancie, który stracony został wcześniej. Był nim ppor. „Bury” (Romuald Rajs) z Wileńszczyzny, w czasie okupacji niemieckiej dowódca kompanii szturmowej w III Brygadzie rtm. Gracjana Fróga („Szczerbiec”, 11 maja 1951 r. zamordowany w więzieniu mokotowskim w

Warszawie), uczestnik bitwy AK o Wilno, w której jego kompania walczyła na najtrudniejszym odcinku. Po zakończeniu operacji „Ostra Brama” został wcielony do wojska,

222

z którego zdezerterował, gdy jego jednostka znalazła się na Białostoczczyźnie. Dołączył wtedy do V Brygady mjr. „Łupaszki”, a po jej rozwiązaniu był szefem Pogotowia Akcji Specjalnych (PAS) białostockiego okręgu Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Był żołnierzem o niebywałej odwadze, świetnym dowódcą. Śmiałe akcje, jakie przeprowadzał, odbijały się echem w całym kraju. W listopadzie 1948 r. wpadł w ręce UB. Sądzonego w Białymstoku, skazano na karę śmierci i tam stracono.

Ostatnim oficerem Armii Krajowej, który zginął w walce, był mjr Jan Tabortowski („Bruzda”). Urodzony w 1906 r. pochodził z głęboko patriotycznej, kresowej rodziny, która dla sprawy niepodległości Polski wiele uczyniła i wiele wycierpiała. W czerwcu 1920 r., przed rozpoczęciem ofensywy Tuchaczewskiego, Tabortowscy opuścili Mińsk Litewski i przenieśli się do Warszawy. Na początku lat trzydziestych obydwaj synowie, Jan i Albert, zostali oficerami WP. Obydwaj walczyli w kampanii wrześniowej.

Por. Jan Tabortowski był zastępcą dowódcy pociągu pancernego „Danuta”, walczącego na Pomorzu i nad Bzurą. Gdy załoga pociąg zniszczyła, nie chcąc, by wpadł w ręce Niemców, por. Tabortowski z wymontowanych z „Danuty” dział 75 mm zorganizował baterię, na czele której przez dwa dni w rejonie st. koi. Jackowice koło Łowicza powstrzymywał niemieckie natarcia. Skapitulował po wyczerpaniu zapasu amunicji. Trzykrotnie ranny, umieszczony przez Niemców w szpitalu w Warszawie zbiegł z niego i rozpoczął działalność w konspiracji. Por. Albert Tabortowski, oficer I pal z Wilna, dostał się do niewoli sowieckiej. Trafił do Starobielska. Zginął od strzału w potylicę w podziemiach gmachu NKWD w Charkowie.

Por. (od sierpnia 1942 r. kpt., od marca 1944 r. mjr) „Bruzda” w Armii Krajowej służył w Okręgu Białostockim. Już jesienią 1939 r. zorganizował obwód SZP-ZWZ Bielsk Podlaski, od lipca 1942 r. był szefem Inspektoratu III Łomżyńskiego, obejmującego obwody Łomża i Grajewo. Świetny organizator, wykonał tam ogromną pracę, dzięki której Inspektorat Łomżyński wysunął się — w dziedzinie budowania siły zbrojnej, walki bieżącej i szkolenia — na czoło okręgu. Na początku stycznia 1943 r. wraz z kilkoma innymi oficerami został aresztowany przez Niemców. Był inicjatorem ucieczki z więzienia w Łomży, do której doszło w nocy z 12 na 13 stycznia. Dzięki pomocy polskich strażników zbiegł wraz ze swym zastępcą, komendantem obwodu Łomża por. Stanisławem Cieślewskim („Lipiec”) i dwoma innymi oficerami ze sztabu Inspektoratu.

223

Po ucieczce „Bruzdę”, zdekonspirowanego w Łomży, przeniesiono na stanowisko inspektora Inspektoratu IV Suwalskiego (obwody Suwałki i Augustów). Zajął się tam przede wszystkim organizowaniem oddziałów leśnych. Dowodził kilkoma

uderzeniami partyzanckimi na niemieckie punkty oporu, prowadził kilka rajdów za kordon graniczny na obszar ówczesnych Prus Wschodnich. Dobrze mu się układała współpraca z operującą w Puszczy Augustowskiej partyzantką sowiecką.

Wiosną 1944 r., w związku z nadchodzącą „Burzą”, mjr „Bruzda” powrócił na teren Inspektoratu Łomżyńskiego. W czasie „Burzy” dowodził jego siłami. Na czele liczącego ponad 600 ludzi zgrupowania OP 33 łomżyńskiego pp walczył nad Narwią, zadając Niemcom duże straty. W walkach tych został dwukrotnie ranny. Był jednocześnie zwierzchnikiem odtwarzanego przez obwód Grajewo 9 psk AK, wślawnego dwudniową bitwą na Czerwonych Bagnach w rejonie Grzędy-Osowe.

Po spotkaniu z Armią Czerwoną gen. Fiodor Zacharow, dowódca 81 korpusu 50 armii, bardzo wylewnie dziękował mjr. „Bruździe” za skuteczną pomoc, jakiej udzielił jego wojskom. Ale jednocześnie dał mu do wyboru: albo partyzanci dobrowolnie złożą broń i pójdą do wojska, albo rozbrojenie i deportacja. „Bruzda” pozostawił decyzję swym żołnierzom. Część wstąpiła do armii Berlinga, grupę opornych wywieziono do ZSRR, pozostali — z majorem na czele — rozeszli się po okolicznych wsiach.

Mjr „Bruzda” pozostał w konspiracji. Gdy komendant Okręgu Białostockiego ppłk Władysław Liniarski („Mścisław”), formalnie podporządkowując się rozkazowi gen. „Niedźwiadka” o rozwiązaniu AK, utworzył na swym terenie tzw. Obywatelską Armię Krajową — mjr „Bruzda” powrócił na dawne stanowisko inspektora łomżyńskiego. Zajmował je i później, po utworzeniu WiN.

To dzięki niemu Inspektorat Łomżyński stał się jednym z największych w całym kraju ognisk zbrojnego oporu przeciw sowietyzacji. Istniały w nim silne oddziały leśne, prowadzono zakrojoną na dużą skalę pracę propagandową, wykonywano wiele zuchwałych akcji bojowych. I tak np. w maju 1945 r. partyzanci rozgromili we wsi Wyrzyki grupę operacyjną UB i MO, zabijając w walce prawie dwudziestu funkcjonariuszy, uwolnili wszystkich aresztowanych osadzonych w więzieniu w Łomży, opanowali Grajewo, gdzie także rozbili więzienie oraz zdobyli siedziby PUBP i komendy powiatowej MO. Większością takich akcji — trudniejszych i o dużym znaczeniu — dowodził mjr „Bruzda”. Tak działo się do początku 1947 r.

224

W kwietniu mjr „Bruzda” ujawnił się, opuścił łomżyńskie i wyjechał w głąb kraju, by znaleźć dla siebie miejsce w nowej, nie chcianej, ale istniejącej rzeczywistości. Nic z tych usiłowań nie wyszło. Zawodowy oficer broni pancernej, przez swe całe dojrzałe życie chodzący w mundurze, na dodatek skażony AK i WiN, nigdzie nie mógł otrzymać pracy, wszędzie odprawiano go z kwitkiem. Nie ma z czego żyć, nie ma gdzie mieszkać. Ze Szczecina wraca do Warszawy, tuła się po znajomych, pracuje dorywczo, śpi w przedpokojach lub na stole w biurze. UB ciągle ma go na oku. Regularnie musi meldować się w komisariacie MO, stale wzywany jest na różne indagacje i rozmowy, coraz bardziej brutalnie nakłaniany do agenturalnej współpracy.

Wytrzymał to przez dwa lata. W kwietniu 1949 r., po otrzymaniu poufnej wiadomości, że w trakcie następnego spotkania w UB zostanie zatrzymany i przewieziony na Rakowiecką — mjr „Bruzda” wraca w łomżyńskie. Walka zbrojna

już wygasła. Nie ma AK, nie ma WiN, nie ma żadnej organizacji, która mogłaby pomóc w zakotwiczeniu się, w przystosowaniu do nowych warunków. Są zwycięscy i wszechwładni ubowcy, podejrzliwie obserwujący każdego przybysza. Niektórzy z nich dobrze wiedzą, jak wygląda dawny inspektor łomżyński.

Ale są też ludzie, myślący jak on i znajdujący się w podobnej jak on sytuacji. Wokół „Bruzdy” zbiera się kilku dawnych żołnierzy AK i WiN. Wśród nich jego stary towarzysz broni „Lipiec” (już kapitan).

„W krótkim czasie — pisał o tym fragmencie biografii «Bruzdy» jeden z historyków PRL — zdołał on skupić wokół siebie grupę ludzi, w skład której weszli m.in. kpt. «Lipiec» (Bronisław Ciesielski), były komendant łomżyńskiego obwodu AK, oraz «Rawicz» (Józef Ramoto-wski), były komendant batalionu (rejonu WiN). Sam już skład grupy wykazuje, że nie była to banda rabunkowa, ale organizacja o wyraźnym obliczu politycznym”*.

Organizacja? Po prostu mała (od 6 do 11 osób) grupa dawnych towarzyszy broni, którzy w zniewolonym kraju chcieli być ludźmi wolnymi. I udawało im się to przez kilka lat. Dobrze uzbrojeni przerzucali się z miejsca na miejsce na obszarze trzech powiatów: grajewskiego, łomżyńskiego i kolneńskiego. Kwaterowali w wykopanych w lesie ziemiankach, bywali we wsiach, u gospodarzy znanych im z lat walki. W prowiant i inne artykuły potrzebne do życia zaopatrywali się —

oczywiście nie płacąc — w państwowych sklepach. Byli postrachem nadgorliwych wójtów, sołtysów, milicjantów. Likwidowali ubowców znanych z okrucieństwa.

Co to było? Na pewno, jak słusznie napisał p. Majecki — nie banda rabunkowa. Ale także nie partyzantka. Nie ma odpowiedzi na to pytanie. Jak i na inne: na co czekali, co chcieli osiągnąć, co myśleli?

Siostra mjr. „Bruzdy” w przekazanej mi relacji o swym bracie też to pytanie stawia. „Setki dni i nocy jakże ciężkich do przeżycia — pisze — szczególnie zimą w ciemnym, lodowatym bunkrze. W sytuacji tropionej i osaczonej zwierzyny. Co czuł wtedy?” I sama sobie odpowiada: „O tym już tylko Pan Bóg wie”.

Prawda. Nikt więcej. Żaden z nich nie pozostał przy życiu i nigdy już nie poznamy odpowiedzi na te pytania. Ale trwali. Ostatni Mohika-nie pokonanej armii.

27 marca 1952 r. w czasie obławy w powiecie Kolno zginął kpt. „Lipiec”. Mjr „Bruzda” z kilkoma ludźmi nadal wędrował po trzech powiatach. Trwało to jeszcze, w co trudno uwierzyć, dwa lata i pięć miesięcy. Poległ 23 sierpnia 1954 r. Jestem w posiadaniu kopii pisma, które w pięć dni później szef PUBP w Łomży, por. J. Czerniawski, wysłał do Centralnego Laboratorium Ekspertyz w Warszawie. Oto jego treść (z zachowaniem oryginalnej pisowni):

„Pow. U.B.P. w Łomży w załączeniu przesyła do ekspertyzy materiały z miejsca dokonanego napadu przez bandę «Bruzdy» w dniu 23 VIII 1954 r. o godz. 20.00 na Posterunek M.O. Przytuły pow. Łomża, na skutek czego zostało 2-ch rannych i jeden zabity oraz jeden został zabity bandyda pod ps. «Bruzda». Materiały są to: Trzy łuski i jeden niewypał z PP-sza oraz jeden pocisk, dwie łuski i dwa pociski do pistoletu produkcji niemieckiej, jedna łuska i dwa pociski do pistoletu (Bert-man) celem

stwierdzenia czy poza powiatem łomżyńskim nie była używana wspomniana broń".

Jest i drugi dokument: sporządzony przez ppor. Henryka Poświętowskiego, oficera śledczego WUBP Białystok, spis przedmiotów znalezionych „przy zabitym bandycie Tabortowskim Janie”. Oto one: „1) Kabura skórzana do pistoletu w stanie zniszczonym, 2) Pas skórzany wojskowy w stanie zniszczonym, 3) Granat zaczepny produkcji niemieckiej Nr. 952 A-022, 4) 30 sztuk amunicji wraz z dwoma magazynkami do pistoletu maszynowego (Bertman), 5) jedna manierka aluminiowa koloru białego”.

To po nim zostało. Takie bogactwo. Ale i coś więcej: Virtuti Militari i trzykrotnie nadany Krzyż Walecznych. Powinna jeszcze zostać pa-

226

mięć. Bo był nie tylko wybitnym dowódcą partyzanckim, ale także prawym człowiekiem, wzorem dla innych.

„Wiadomo, że zginął od kuli z polskiej ręki jeden z najdzielniejszych synów Polski — pisze siostra mjr. «Bruzdy» w cytowanej relacji. — I nie tylko żołnierz. To był człowiek o wielkim sercu. Sentymentalizm, czułość były mu zupełnie obce, ale był głęboko uczuciowy i wrażliwy, krył to jednak w sobie. W stosunku do ludzi był życzliwy, uczynny, koleżeński. Dowodem tego niech będzie następujący fakt: gdy w końcu lata 1938 poborowi w Legionowie po odbytej służbie odchodzili do cywila, odnieśli por. Tabortowskiego do koszar na rękach. Tylko jego jednego.

W stosunkach rodzinnych był serdeczny. Przeżywał głęboko straty w rodzinie, bardzo bolała go śmierć młodszego brata Alberta, który zginął w Starobielsku. Szczególnie mocno kochał matkę i zawsze bardzo się o nią troszczył.

Nie wolno pominąć też jednego, najważniejszego dla takiego człowieka rysu osobowości — wiary. Wychowany w rodzinie tradycyjnie katolickiej, z biegiem lat, żyjąc w środowisku wojskowym, odszedł od życia religijnego, zagadnienia te zubożyły mu. I właśnie w latach partyzanckich zetknięcie się z mądrym i gorliwym kapłanem doprowadziło do całkowitego zwrotu na tej drodze. «Zmieniłem się pod względem fizycznym i duchowym. Odnalazłem swą duszę» — pisze w pierwszym liście po nawiązaniu kontaktu z rodziną w 1947 r. I to jest zasadnicze dla niego. Jeśli wierzy, to do głębi i konsekwentnie. Różaniec ma stale przy sobie. I to na pewno jest promieniem w beznadziejnej pomroce lat 1947-1954”.

Opowiedziałem nieco szerzej — choć starałem się ograniczyć do najważniejszych informacji — o mjr. Janie Tabortowskim nie tylko dlatego, iż wydaje mi się, że w Polsce, o jaką tak długo walczył, należy przypomnieć całkowicie zapomnianą postać tego ostatniego z „żołnierzy wyklętych”. Pragnąłem również, by czytelnik wiedział, kim rzeczywiście był ten, którego przez cały czas swej egzystencji PRL uważała za bandytę.

Jego śmierć była ostatnim akordem walki zbrojnego podziemia.

Vae victis

W Rykach, po wschodniej stronie przecinającej miasto szosy z Warszawy do Lublina, naprzeciw dworca PKS, znajduje się stadion sportowy. Jego dobrze utrzymana zieleń niemal łączy się ze stawem zwanym Buksa. Tuż nad brzegiem stawu stoi duży żelazny krzyż. U jego stóp tablica z napisem:

„15.01.1947 r. w tym miejscu w okresie terroru stalinowskiego zostało zamordowanych 4-ech żołnierzy Armii Krajowej 15 pp «Wilków»: szer. Filipek Jan lat 23, szer. Kamarek Stefan lat 29, szer. Warowny Władysław lat 24, szer. Zdrojewski Adam lat 27 za to, że walczyli o wolną i niepodległą Polskę. Ku czci zamordowanych, potomnym dla pamięci — koledzy i społeczeństwo 23.09.1991 r.”

Wydarzyło się to na cztery dni przed wyborami do Sejmu. Mróz znacznie przekraczał 20 stopni. Proces, jeśli te kpiny ze sprawiedliwości można tak nazwać, odbywał się w zbudowanym krótko przed wojną „Domu Strażaka”, do którego przybył — w silnej asyście UB i MO — skład orzekający Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie na czele z sędzią kpt. Biedrzyckim. Był to przedwojenny strażnik więzienny, uczyniony sędzią w ramach awansu społecznego. Towarzyszy mu prokurator (por. Zalewski, aelowiec ćwierćanalfabeta, też z awansu społecznego) i protokolant. Obrońców nie dopuszczono. Na rozkaz prezesa WSR w Warszawie, płk. Władysława Garnowskiego, zastosowany został tryb doraźny. Wyroki śmierci miały być natychmiast wykonywane, bez przedstawiania prezydentowi próśb o ułaskawienie.

Dziewięcioro podsądnych (siedmiu młodych mężczyzn, dwie młode kobiety) doprowadzono z aresztu MO w Rykach, dokąd poprzedniego dnia przewieziono ich z PUBP w Garwolinie.

„Powiązani byliśmy kablem po dwie osoby — pisze w swej relacji jedna z nich, która, co znamienne, jeszcze po tylu latach prosi, by nie ujawniać jej nazwiska — i jednym kablem wszyscy razem jak na smyczy. Tak prowadzili nas z aresztu na proces pokazowy do remizy stra-

228

żackiej (obecnie sala kina) około 400 metrów”. Byli zmaltratowani, ciężko pobici, zmarznięci.

Rozprawa ograniczyła się do odczytania aktu oskarżenia, którego zarzuty potwierdził występujący jako świadek „Wulkan”, dawny partyzant „Orlika”, a następnie agent UB, maksymalnie skróconych wypowiedzi podsądnych i ogłoszenia wyroku. Czterech skazano na śmierć, pozostałych na długoletnie więzienie. Dziewczyna, której relację przytoczyłem, dostała dziesięć lat, odsiedziała połowę.

W dwie godziny później, po godz. 17.00, już po zapadnięciu zmierzchu, skazanych na śmierć — tylko w bieliźnie, bo ubrania i obuwie uprzednio z nich zdarto — powiązanych drutem zaprowadzono nad brzeg zamarzniętego stawu i tam zastrzelono. Zwłoki zakopano w bagnie przy stawie i zasypano cienką warstwą ziemi. Nie dano im ani możliwości odwołania się od wyroku, ani złożenia próśb o ułaskawienie. Nadchodziły wybory, należało więc zastraszyć społeczeństwo.

Wiosną, już po ujawnieniu się, żołnierze „Orlika”, upoważnieni przez rodziny ofiar owego sądowego mordy, rozpoczęli starania o ekshumację swych towarzyszy broni i ich godny pochówek. Przede wszystkim należało ustalić dokładnie miejsce, w

którym znajdują się zwłoki. Rozmowy, toczone w Warszawie, Garwolinie i Rykach, długo nie dawały rezultatu. Ubowcy i milicjanci zasłaniaли się bądź niewiedzą, bądź brakiem rozkazu. Zwodzili, stale przesuwali termin podjęcia przez ich szefów decyzji. Byli nawet tacy, którzy przysięgali się, że tamtych nie zamordowano, lecz wywieziono do jakiegoś więzienia. Mimo licznych interwencji ciągnęło się tak aż do lipca.

Gdy „Żuk” z „Lisem” po raz kolejny w ostry sposób interweniowali u rezydującego w Rykach oficera PUBP z Garwolina, siedzibę posterunku MO otoczył gęstniejący szybko tłum mieszkańców miasta i okolic. Jego postawa wskazywała na to, że już teraz ludzie nie pozwolą zbyć się. I to chyba przesądziło. Ubowiec, po rozmowie telefonicznej z PUBP Garwolin, zgodził się wskazać miejsce, w którym tamci leżą. Prosił jedynie „Lis”, by spowodował rozejście się tłumowi. „Lis” to uczynił. Ludzie odeszli, ale niedaleko: do parku, na drugą stronę szosy. Tam nadal czekali.

„Wracam na posterunek — pisze w swych wspomnieniach «Lis» — i widzę, że już się namyślili, który wie o miejscu pochowania zwłok i ma nam je wskazać. Z «Żukiem» i ze mną idzie czterech, pozostali za nami. Idziemy za posterunek w stronę stawu. Dochodzimy do bagna. Milicjanci przystają. To tu, nie ulega wątpliwości. Za nami ciągnie co-

229

raz więcej ludzi. Chwytają za łopaty, nadjeżdża wóz z czterema już dawno zamówionymi trumnami. Przy szlochaniu kobiet kopacze wydobywają z bagna cztery ciała. Zamordowano ich strzałami w tył głowy. Po katyńsku. Ręce mają z tyłu związane kablem, na nogach drewniaki”.

Nazajutrz odbyły się ceremonie żałobne: uroczyste nabożeństwo, pogrzeb na cmentarzu w Rykach. Tłumnie uczestniczyła w nich okoliczna ludność. Przybrały charakter odważnej manifestacji patriotycznej.

Po upływie przeszło 43 lat, bo dopiero 11 grudnia 1990 r. Izba Karna Sądu Najwyższego rozpatrzyła złożoną przez ministra sprawiedliwości, którym był wówczas Aleksander Bentkowski, rewizję nadzwyczajną od tamtego wyroku i uniewinniła wszystkich dziewięcioro skazanych.

Vae victis — biada zwyciężonym.

3 kwietnia 1946 r. w więzieniu przy ul. 11 Listopada na warszawskiej Pradze stracono por. „Świta” (Zygmunt Kęska). Zwłoki pochowano w nie oznaczonym miejscu pod murem cmentarza na Brodnic. Pochodził z Dębłina, we wrześniu jako podchorąży walczył w 15 pp, w czasie okupacji dowodził plutonem w oddziale „Orlika”, a od wiosny 1945 r. podporządkowanym „Orlikowi” oddziałem. Odszedł z niego po demobilizacji w sierpniu 1945 r. Aresztowano go w Warszawie. Próba wykupienia aresztowanego nie powiodła się, UB wziął pieniądze, „Świta” nie zwolniono.

Proces odbył się na początku marca 1946 r. w celi więziennej. Obrońców nie dopuszczono. „Ze względu — jak powiedział przewodniczący złożonego z trzech umundurowanych sędziów kompletu orzekającego — na bezpieczeństwo państwa”. „Świta” sądzono wraz z czterema innymi żołnierzami „Orlika”. Był wśród

nich brat „Orlika” Lucjan Bernaciak („Janusz”), który dostał 10 lat. Pozostałych również skazano na kary długoletniego więzienia. Wyrok był ostateczny, rewizji nie podlegał. Por. Zygmunt Kęska przez prawie miesiąc oczekiwał w celi śmierci na egzekucję.

Zabijano dowódców, zabijano szeregowych. W lutym 1946 r. sąd doraźny w Puławach skazał na karę śmierci pięciu członków zgrupowania „Orlika”, w czerwcu tego roku sądy doraźne w Dęblinie i Garwolinie wydały sześć takich wyroków. Wszystkie wykonano.

Amnestia z lutego 1947 r. niczego nie odmieniła. Nadal tropiono i mordowano nie tylko tych, którzy nie chcieli ujawnić się, ale także tych, którzy to uczynili. Władza ludowa raz jeszcze zademonstrowała wtedy, co są warte jej zobowiązania i przyrzeczenia.

230

21 maja 1947 r. na szosie warszawskiej w pobliżu Trojanowa został postrzelony przez UB Stanisław Warowny („Mściciel”), jeden z pierwszych żołnierzy ZWZ-AK na tamtym terenie, bliski współpracownik „Orlika”. Pochodził z patriotycznej rodziny, od pokoleń prowadzącej wzorowe gospodarstwo w Dąbi Nowej koło Ryk, które w czasie okupacji było jednym z punktów oparcia dla AK. Świetny lekkoatleta (należał razem z Januszem Kusocińskim do „Warszawianki” i wspólnie z nim uczestniczył w wielu zawodach), przed wybuchem wojny zatrudniony był na lotnisku Okęcie jako pracownik cywilny I Pułku Lotniczego. We wrześniu 1939 r. ranny w czasie nalotu na lotnisko, powrócił do domu rodzinnego i szybko znalazł się w konspiracji. Był kwatermistrzem „Orlika”, opiekował się magazynami broni. Otrzymał stopień sierżanta i Krzyż Walecznych. Po wejściu Armii Czerwonej działał jeszcze w podziemiu, ale na początku 1946 r. zerwał z nim i wraz z żoną wyjechał na Dolny Śląsk do Bielawy. Jego młodszy brat Władysław („Dąb”) pozostał w domu. Był jednym z tych czterech, których zastrzelono nad stawem Buksa.

Po ogłoszeniu amnestii sierż. „Mściciel” uznał, że ujawnienie się jest także jego obowiązkiem. W tym celu przyjechał z Bielawy i uczynił to w PUBP Garwolin. Po ujawnieniu podjął starania o ekshumację zamordowanego brata.

21 maja 1947 r. przyjechał w tej sprawie do Ryk. Na posterunku MO powiedziano mu, że zgodę na ekshumację otrzyma, lecz jak najszybciej musi po nią jechać do WUBP w Warszawie. Wynajął taksówkę. W drodze, kilka kilometrów za Rykami, zatrzymali go funkcjonariusze UB i po wylegitymowaniu kazali jechać na posterunek MO w Trojanowie. Tam, po ponownym sprawdzeniu dokumentów, został zwolniony. Ruszył pieszo w stronę szosy warszawskiej, stanął na jej poboczu i czekał na okazję, którą mógłby *zabrać* się do Warszawy. W pewnej chwili zobaczył jadącą w jego kierunku taksówkę, którą wynajął w Rykach, a która została w Trojanowie. O tym, co było dalej opowiadają w posiadanej przeze mnie relacji siostra „Mściciela” Wanda Jakubik i jego żona Henryka Warowna:

„Taxi zatrzymała się na odległość kilkunastu metrów od stojącego na poboczu szosy Stanisława. Wskoczył z niej funkcjonariusz UB, wystrzelił serię kul z karabinu w stronę brata. Brat został postrzelony w podbrzusze. Natychmiast

przybiegł rolnik z pola, który widział to zajście i chciał mu udzielić pomocy. W tym czasie przybiegł również strzelający funkcjonariusz. Nie pozwolił udzielić pomocy, rolnika uderzył

231

kolbą karabinu. Brata broczącego krwią, nie udzielając pomocy, wepchnął do taxi i odjechał do Garwolina. W Garwolinie w UB brata przetrzymano od godz. 17.00 do godz. 21.00 nie udzielając pomocy. W stanie bardzo ciężkim o godz. 21.00 dowieziono brata do szpitala w Garwolinie. O godz. 2.00 w nocy 22 V 1947 Stanisław Warowny na skutek postrzału i upływu krwi zmarł śmiercią męczeńską".

Ppor. c.w. „Żuk” (Zygmunt Wilczyński), dowódca jednego z dwóch zgrupowań WiN, które działały w Inspektoracie Puławy po śmierci „Orlika”, został aresztowany w Lublinie dopiero w listopadzie 1948 r. Przedwojenny plutonowy rezerwy, zatrudniony w Składnicy Uzbrojenia w Stawach, uczestnik kampanii wrześniowej, po której przedostał się do Francji, gdzie następnie, w szeregach Wojska Polskiego, walczył w jej obronie, dostał się do niewoli, uciekł z niej i dotarł do rodziny w Krakowie. Działał w ZWZ, a gdy został zdekonspirowany, wrócił w rejon Dębina. Wkrótce objął dowództwo plutonu w oddziale leśnym „Zago-na”. Od wiosny 1945 r. był szefem kompanii, dowodzonej przez „Świta”, następnie dowódcą drużyn dywersyjnych w Podobwodzie „C”, a po śmierci „Orlika” dowódcą grup zbrojnych WiN, działających w południowej części Inspektoratu.

Wiosną 1947 r. „Żuk” nie tylko sam się ujawnił w PUBP Puławy, ale przyprowadził tam większość swych ludzi. Energiczny, szybko podejmujący decyzje, szczerze troszczący się o podkomendnych, uczynił wiele, by ułatwić im start do nowego życia, a rodzinom poległych jakąś egzystencję.

Po aresztowaniu „Żuka” przewieziono go z Lublina do Warszawy. Dołączono do niego kilku jego byłych podwładnych, którzy podobnie jak on ujawnili się i mieli zagwarantowaną ustawą niekaralność za czyny uprzednio popełnione. W końcu listopada 1950 r., po trwającym dwa lata śledztwie, postawiono ich przed sądem. Obok „Żuka” stanęli przed nim dwaj dowódcy plutonów u „Orlika”: Witold Andrzejewski („Zawi-sza”) i Jerzy Jurkiewicz („Junacz”), dowódca drużyn dywersyjnych Podobwodu „B” Czesław Szlendak („Maks”), dwaj uciekinierzy ze Skrobowa Zygmunt Brzozowski („Dąb”) i Jan Kobylański („Dziubak”) oraz Leon Nosiewicz („Zemsta”) z Nowogródzyczyny. Było jeszcze dwóch, ale ci umknęli ludowemu wymiarowi sprawiedliwości: Edmund Pawliszewski popełnił samobójstwo w celi, a Jan Piesiewicz zmarł w więzieniu.

Większość postawionych im zarzutów rozmijała się z prawdą. Wśród nich zarzut przygotowywania wykolejenia pociągu międzyna-

232

rodowego Moskwa-Berlin, do czego — zdaniem przewodniczącego sądu — jako dawni żołnierze Kedywu mieli odpowiednie kwalifikacje. Mimo to zapadły trzy wyroki śmierci. Otrzymali je „Żuk”, „Zawisza” i „Junacz”. Pozostałych skazano na

kary wieloletniego więzienia. Stracony został jeden ze skazanych: Zygmunt Wilczyński, „Żuk”. Do dziś nie wiadomo, gdzie go pochowano.

Czesław Szlendak („Maks”), skazany w tym procesie na 12 lat więzienia, trafił wtedy za kraty już po raz drugi. Po raz pierwszy aresztowano go w czasie obławy w rejonie lotniska w Dęblinie w połowie sierpnia 1945 r. Ciężko ranny w Lesie Stockim nie wrócił jeszcze do zdrowia, rana była nie zagojona, miał na niej opatrunek. Mimo to już w czasie wstępnego przesłuchania, do którego doszło w Bobrownikach przy cmentarzu żydowskim, został przez ubowców skatowany. Bili go kołkami, podtrzymującymi ogrodzenie dla bydła, złamali dwa żebra.

Przywieźli go na Pragę, do aresztu WUBP przy ul. Środkowej. Naciskany, by wysłał list do „Orlika” wzywający go do kapitulacji i rozkazał swym ludziom ujawnienie się, wskazał magazyny broni i miejsce ukrycia radiostacji, konsekwentnie odmawiał. Do przelożonego listu nie będą pisał, rozkazu wydanego przez aresztowanego nikt nie wykona, żadnych magazynów ani radiostacji nie mamy. Nie pomogła propozycja współpracy w zamian za wolność, mieszkanie w Warszawie, odpowiednie zatrudnienie, bezpieczeństwo dla rodziny. Więc katowali go noc w noc. Dostał wtedy — „za przynależność do nielegalnej organizacji” — pięć lat i powiedziano go do Rawicza. Wiosną 1947 r., po amnestii, wyszedł na wolność.

Wrócił do Dębłina. Walka już wygasła. Chciał żyć normalnie. Ujawnił się, przyznając do tego, o czym nie wiedzieli: że był dowódcą grup dywersyjnych w Podobwodzie „B”. Jesienią 1948 r. zapisał się na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej, ale — nieustannie inwigilowany przez UB — studiów nie podjął. Żadnej działalności nielegalnej nie prowadził. Utrzymywał natomiast kontakty z dawnymi towarzyszami broni. Zrozumiałe, trzeba było wzajemnie sobie pomagać. Wzięli go w marcu 1949 r. z kotła, jaki urządzili w mieszkaniu dawnego akowca Jana Piesiewieża w Warszawie przy ul. Żelaznej.

Po wyroku „Maksa” przewieziono do Wronek. W więzieniu w Grudziądzu przebywała w tym czasie jego żona, Leokadia z domu Jońska. Razem byli w konspiracji, razem w oddziale „Zagona”, w 1943 r. wzięli ślub. Za znalezione w jej mieszkaniu podziemne wydawnictwa z czasów okupacji i z okresu późniejszego — gazetki, ulotki, wiersze — dostała sześć lat. Cztery odsiedziała.

233

W 1954 r. „Maks” przeniesiony został do więzienia w Sieradzu. Reżym był tam lżejszy, strażnicy mniej wrodozy. Spotkał tam jednego z najwybitniejszych oficerów AK z Lubelszczyzny ppłk. Mariana Gołę-biewskiego („Irka”, „Ster”). Cichociemny, w czasie okupacji komendant Obwodu Hrubieszów, później w WiN, aresztowany na początku stycznia 1946 r. w ponad rok później stanął przed sądem wraz z członkami I Zarządu Głównego WiN na czele z płk. Janem Rzepeckim. Jako jedyny z oskarżonych został skazany na karę śmierci, zamienioną na wieloletnie więzienie.

Ppłk „Ster”, oficer niezwykle dynamiczny, szczęśliwie wychodzący z wielu opresji, opracował plan zuchwałej zbiorowej ucieczki z sieradzkiego więzienia. W jego realizacji mieli dopomóc więźniom wtajemniczeni strażnicy. Mimo że plan połowicznie został urzeczywistniony i na terenie więzienia doszło do walki zbrojnej,

epizod ten jest zupełnie nieznan. Warto więc go przypomnieć. Według posiadanej przeze mnie obszernej relacji „Maksa”, którą skracam do niezbędnego minimum, ta niezwykła akcja miała następujący przebieg:

3 grudnia 1955 r. przed północą wtajemniczony strażnik wyłączył światło i polecił oddziałowemu wypuścić z cel dwóch elektryków, których nazwiska mu podał. W rzeczywistości nie byli to elektrycy, lecz więźniowie uczestniczący w spisku. Związali oni oddziałowego, zabrali mu klucze i płaszcz, uwolnili trzech następnych więźniów, udali się do dyżurki oficera inspekcyjnego, obezwładnili go, zabrali mu pistolet, wyłączyli sygnały alarmowe i wtargnęli do wartowni, gdzie po sterroryzowaniu obecnego tam strażnika zaopatrzyli się w mundury i broń. Na więziennym dziedzińcu czekały dwie ciężarowe „Skody”, którymi zbiegowie mieli być przerzuceni w Góry Świętokrzyskie, w rejon Radomia i na Lubelszczyznę. Więźniów, wywołując ich nazwiska, wypuszczano z cel, otwieranych zabranymi strażnikom kluczami. Spiskowcom udało się opanować jedną z wieżyczek wartowniczych.

Ale więcej nie osiągnęli. Jak okazało się później, o przygotowywanej ucieczce dowiedział się funkcjonariusz UB, kierownik Działu Specjalnego. Nie przekazał tej wiadomości naczelnikowi więzienia, któremu nie ufał, lecz bezpośrednio dowódcy stacjonującej w Sieradzu jednostki KB W. Ten natychmiast *zarządził* w jednostce alarm. Kiedy jeden ze strażników zamykanych przez spiskowców w celi wyrwał się im i narobił wrzasku — żołnierze KBW ruszyli do szturm.

Ostrzelali opanowaną przez więźniów wieżyczkę, rzucili kilka granatów, więźniowie odpowiedzieli rzadkim ogniem z pistoletów. Zrozu-

234

mieli jednak, że przegrali. Skapitulowali po trwającej około dwudziestu minut strzelaninie.

Jeszcze niedawno akcja taka skończyłaby się krwawą masakrą wszystkich spiskowców, ale to był koniec 1955 r. Uczestniczących w niej więźniów zamknięto w pojedynczych celach, o godz. 5.00 przybyła z Warszawy ekipa oficerów MBP, rozpoczęło się śledztwo. Najpierw objęto nim należących do spisku strażników. Było brutalne i krótkie, dwóch z nich postawiono przed sądem, który skazał ich na karę śmierci. Wyroków jednak nie wykonano. Więźniów trzymano w pojedynkach jeszcze przez kilka miesięcy. Po tym czasie dochodzenie przeciw nim zostało umorzone.

Głównym pomocnikiem ppłk. „Stera” w przygotowaniu i realizacji tego zuchwałego planu był student z Warszawy, Andrzej Piotrowski, skazany na długoletnie więzienie za przynależność do jednej z nielegalnych grup młodzieżowych. Zmarł wkrótce po odzyskaniu wolności.

W połowie 1956 r., gdy rozpoczęła się agonia polskiego stalinizmu, który ponad trzy lata przetrwał samego Stalina, ppłk „Ster”, „Maks” i inni osadzeni w Sieradzu akowcy wyszli z więzienia. „Maks” miał wtedy 34 lata, z których prawie dziewięć spędził za kratami. Znalazł jakąś pracę, studiował architekturę.

Dziś mieszka wraz z rodziną w Warszawie, jest cenionym architektem. Ma w swym dorobku również i dzieła, utrwalające pamięć o tamtych latach. Wyróżnia

się wśród nich odsłonięty we wrześniu 1993 r. w Rykach pomnik poświęcony poległym i pomordowanym żołnierzom AK-WiN z Rejonu IV Ryki-Ułęż: wzlatający orzeł na dostojnym w swej prostocie i symetrii cokole z rdzawego granitu.

Ppor. „Maks” doczekał. Większości jednak nie było to dane. Zygmunt Brzozowski („Dąb”), skazany na 15 lat więzienia w tym samym procesie co „Maks”, podobnie jak on *znalazł* w sobie dość siły i wytrwałości, by po dziewięcioletniej katordze ukończyć wyższe studia — Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Zmarł nagle 18 września 1974 r., zaledwie na kilka dni przed obroną swej pracy doktorskiej.

Niemal wszyscy żołnierze „Orlika” przeszli przez więzienia. Większość spędziła w nich wiele lat. Ale ich zwierzchnik, ppłk „Just” (Piotr Ignacak) przebywał tam krótko. Ujawnił się w Lublinie, przeniósł do Anina pod Warszawą, w 1949 r. został aresztowany, wkrótce zwolniony. Tylko jednak dlatego, że już w chwili aresztowania był śmiertelnie chory na serce. Do więźniarki zaniecono go na noszach. Zmarł rychło po uwolnieniu.

235

Tak było w całej Polsce. Dowódcy zgrupowań i oddziałów leśnych ginęli bądź w walce, bądź schwytani zazwyczaj po ujawnieniu z wyroku sądów wojskowych. Do wyjątków należą ci, którym udało się przez zieloną granicę opuścić kraj, albo pod zmienionym nazwiskiem przetrwać do 1956 r. Ich podkomendni dzielili los swych przełożonych, z tym, że orzekane wobec nich wyroki śmierci częściej zamieniano na kary długoletniego więzienia. Po październikowym przełomie wielu z nich opuściło cele więzienne. Dowódców pogrzebano pod cmentarnymi murami, na wysypiskach śmieci, w miejscach, gdzie dziś wznoszą się stanowiące dumę PRL roje wieżowców.

Mjr. „Łupaszka”, mimo że w marcu 1947 r., po ogłoszeniu amnestii zaprzestał działalności, Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał 20 listopada 1950 r. na osiemnastokrotną (!) karę śmierci. Razem z nim skazano na śmierć trzech oficerów wileńskiej AK: ppłk. dypl. Antoniego Olechnowicza („Pohorecki”), ppor. Lucjana Minkiewicza („Wiktor”) i ppor. Henryka Borowskiego („Trzmiel”). Egzekucja odbyła się 8 lutego 1951 r. w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Obecni przy niej byli naczelnik więzienia kpt. Alojzy Grabicki, kanalia, jakich mało, oraz lekarz dr Kazimierz Jezierski. Skazańców zabijano w odstępach dzie-sięciominutowych. Jako pierwszy, o godz. 19.45, zginął „Trzmiel”. Ostatnim był „Łupaszka”.

Jak wynika z protokołu, wyrok został wykonany „przez rozstrzelanie” „Za pośrednictwem dowódcy plutonu egzekucyjnego”, który nazywał się Aleksander Drej. Podwójne kłamstwo. Skazańcy zostali nie rozstrzelani, lecz zastrzeleni. Nie było żadnego plutonu egzekucyjnego ani jego dowódcy. Był podoficer oddziału specjalnego, który uśmiercał skazańców strzałem w potylicę.

Podobny przebieg miały inne egzekucje w więzieniu mokotowskim. 7 marca 1949 r., a więc niemal dwa lata wcześniej niż mjr. „Łupaszka”, stracono tam — również wczesnym wieczorem — najslawniejszego partyzanta Lubelszczyzny, cichociemnego mjr. „Zaporę” (Hieronim Deku-towski) i jego sześciu podkomendnych.

„Zapora”, co warto przypomnieć, trzykrotnie próbował zaprzestać walki. Po raz pierwszy w lipcu 1944 r., gdy w czasie akcji „Burza” został ranny i wyjechał z

Lubelszczyzny do rodzinnego Tarnobrzegu. Gdy przyszła tam Armia Czerwona, zagrożony aresztowaniem, wezwany przez przełożonych, wrócił w lubelskie i objął dowództwo jednej z grup dywersyjnych, wkrótce przekształconej w oddział leśny. Został ponownie ranny. Latem 1945 r. po pierwszej amnestii, na rozkaz swego dowó-

236

dzstwa, rozwiązuje oddział, składa broń i ujawnia ludzi. Sam, nie wierząc UB, z niewielką grupą towarzyszy broni próbuje przedostać się przez Czechy na Zachód. Grupa zostaje rozbita przez UB w Górach Świętokrzyskich. „Zapora” znów zbiera kilku ludzi i na ich czele przedostaje się do Czech. W starciu z czeskimi siłami bezpieczeństwa zostają rozproszeni. Sam „Zapora”, mimo że udało mu się dotrzeć do Pragi, nie znając dalszej trasy wraca do kraju. Przez cały rok 1946 dowodzi dużym zgrupowaniem partyzanckim WiN, operującym w centralnej i południowej Lubelszczyźnie od Puław po Zamość.

W marcu 1947 r., po ujawnieniu się komendy Lubelskiego Okręgu WiN, mjr „Zapora” wprawdzie sam się w UB nie ujawnia, ale podpisuje deklarację amnestijną, kończy — po raz trzeci — działalność zbrojną, wyraża zgodę na ujawnienie się żołnierzy jego zgrupowania. We wrześniu 1947 r. w pełni świadomy tego, że i ta amnestia jest wielkim oszustwem, podejmuje kolejną próbę przedostania się na Zachód. Wraz z siedmioma ludźmi — byli to dowódcy pododdziałów jego zgrupowania oraz inspektor Lubelskiego Inspektoratu WiN, później znany mecenas Władysław Siła-Nowicki („Stefan”) — wyjeżdża z Warszawy na punkt przerzutowy pod Nysą. Docierali tam kolejno, prosto w ręce UB. Ktoś zdradził.

Proces tej grupy odbył się w listopadzie 1948 r. w Warszawie. Wszystkich skazano na śmierć. Najwyższy Sąd Wojskowy utrzymał ten wyrok w mocy, prezydent Bolesław Bierut zastosował prawo łaski jedynie wobec Siły-Nowickiego. Uczynił to na prośbę spowinowaconej ze skazańcem siostry Feliksa Dzierżyńskiego, Aldony.

Wyprowadzono ich na śmierć w trakcie przygotowywania ucieczki, której droga miała prowadzić przez otwór w suficie zbiorowej celi na strych, a stamtąd na dach.

Tym razem „dowódcą plutonu egzekucyjnego”, który zabijał skazańców, był psychopata, zamiłowany w mordowaniu ludzi st. sierż. Piotr Smietankiewicz. Prawdopodobnie nie miał na sobie skórzanego fartucha, jak ci, którzy w podziemiach siedziby Zarządu NKWD w Charkowie mordowali oficerów WP, przywiezionych ze Starobielska, ale czynił to w sposób identyczny: jednym strzałem w tył głowy.

Taką metodę zabijania — taśmową, w kilkuminutowych odstępach — stosowano wobec większości osób skazanych na śmierć w procesach grupowych.

Tak w lutym 1947 r. na trzy dni przed ogłoszeniem amnestii, stracono komendanta głównego organizacji Konspiracyjne Wojsko Polskie,

237

kpt. Stanisława Sojczyńskiego („Warszyc”) i jego pięciu podkomendnych.

Wcześniej, bo 8 maja 1946 r., w ten sam sposób wykonano wyroki śmierci na 12

żołnierzach KWP, skazanych poprzedniego dnia przez Sąd Okręgowy w Piotrkowie. Proces ten, w trybie doraźnym, odbył się na sesji wyjazdowej w Radomsku, w sali kina „Kinema”. Jednym ze skazanych był ppor. Jan Rogulka („Grot”), który wiosną tego roku dowodził śmiałym uderzeniem na Radomsko. Ścigany przez przeważające siły KBW, rozwiązał oddział i ukrywał się w Piotrkowie. Aresztowany, postawiony został przed sądem wraz z 16 członkami KWP. Po pokazowym procesie, stanowiącym parodię wymiaru sprawiedliwości, w oparciu o nie udowodnione zarzuty zawarte w zbiorowym akcie oskarżenia, do których podsądnym nawet nie pozwolono się ustosunkować, zapadło 12 wyroków śmierci. Pięciu pozostałych skazano na wieloletnie więzienie. W nocy, która nadeszła po ogłoszeniu wyroku, skazańców zamordowano w PUBP Radomsko, a ich ciała wywieziono do poniemieckiego bunkra, znajdującego się w odległości kilkunastu kilometrów od miasta.

W miesiąc później rodziny straconych pod ochroną oddziału leśnego KWP dokonały w nocy ekshumacji swych bliskich. Wszystkie zwłoki miały ślady bestialskich tortur, jakie skazańcom zadawano przed śmiercią. Pochowano je we wspólnej mogile na cmentarzu w Radomsku.

Władzom bezpieczeństwa udało się rozbić wszystkie cztery kolejne zarządy główne Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, a ich członków uwięzić. Odbyły się cztery procesy.

W pierwszym, zakończonym 3 lutego 1947 r., wkrótce po wyborach, gdy głównym oskarżonym był płk dypl. Jan Rzepecki, zapadły stosunkowo łagodne wyroki, co tłumaczyć należy przygotowywaną przez władzę amnestią, która do końca miała rozładować lasy. Zapadł tylko jeden wyrok śmierci, który otrzymał wymieniany już w tym rozdziale zastępca szefa WiN na Okręg Lubelski, ppłk Marian Gołębiwski. Prokurator nazwał go wówczas „hieną w ludzkiej postaci”, co ppłk „Irka” jeszcze dziś powtarza z satysfakcją. Po zmianie wyroku na długoletnie więzienie, poprzedzonej długim oczekiwaniem skazańca w celi śmierci na egzekucję, po upływie dziesięciu i pół roku spędzonych za kratami, „Irka” wyszedł na wolność. Posadzono go jeszcze w 1971 r. za przynależność do organizacji „Ruch”. Płk Rzepecki otrzymał wtedy, w lutym 1947 r., osiem lat. Ułaskawiony przez Bolesława Bieruta, został po procesie zwolniony. Ponownie aresztowany w 1949 r., spędził w więzieniu ponad sześć lat.

238

Proces II Zarządu WiN z płk. Franciszkiem Niepokólczyckim na czele toczył się w Krakowie od 11 sierpnia do 10 września 1947 r. Sądzone 17 osób. Prócz członków Zarządu byli to — podobnie jak w procesie poprzednim — aktywni członkowie WiN, których do sprawy włączono. Wśród nich jeden z przywódców konspiracyjnego ruchu ludowego („Roch”), członek Rady Jedności Narodowej Stanisław Mierzwa, sądzony w Moskwie w procesie szesnastu. Dostał wówczas tylko cztery miesiące więzienia. Polscy komuniści byli znacznie surowsi. Mierzwę, który po powrocie do kraju był zastępcą sekretarza generalnego PSL, skazano na 10 lat, z których ponad siedem odsiedział.

W procesie krakowskim zapadło osiem wyroków śmierci. Pięć z nich

zamieniono na długoletnie więzienie. Trzy wykonano. Stracono dawnego legionistę Alojzego Kaczmarczyka („Zośka”), przedwojennego posła na Sejm i członka ZWZ-AK Józefa Ostafina („Chudy”) oraz mjr. Waleriana Tumanowicza („Jagra”), legionistę, oficera AK, szefa Inspektoratu Mielec, który — jak w czasie rozprawy odpowiedział na pytanie prokuratora — był „z krwi Ormianinem, z duszy i przekonania Polakiem”.

Proces III Zarządu (grudzień 1947 r.) przyniósł dwa wyroki śmierci. Otrzymali je Włodzimierz Marszewski, działacz Stronnictwa Narodowego, oraz płk w st. sp. Wacław Lipiński, pilsudczyk, historyk, we wrześniu 1939 r. szef propagandy w Dowództwie Obrony Warszawy. Marszewski został stracony, Lipiński — po zmianie wyroku na dożywocie — znalazł się w więzieniu we Wronkach, gdzie w kwietniu 1949 r. na polecenie Działu Specjalnego kryminaliści powiesili go w celi.

Naj okrutniejszy los przypadł w udziale IV Zarządowi z ppłk. Łukaszem Cieplińskim. W październiku 1950 r., po trwającym niemal trzy lata morderczym śledztwie, dziesięcioro jego członków stanęło przed WSR w Warszawie, który orzekł siedem wyroków śmierci. Wszystkie wykonano. Wieczorem 1 marca 1951 r. w więzieniu mokotowskim w dziesięciominutowych odstępach skazańców zabijał st. sierżant Aleksander Drej, ten sam oprawca, który niespełna przed miesiącem zastrzelił mjr. „Łupaszkę” i jego trzech towarzyszy broni, 1 marca zginęli: ppłk Łukasz Ciepliński, mjr Adam Lazarowicz („Klamra”) w czasie okupacji komendant Obwodu AK Dębica, mjr Mieczysław Kawalec („Żbik”), dawny komendant Obwodu Rzeszów, kpt. Józef Batory („Ar-gus”), por. Karol Chmiel („Grom”) z BCH, por. Franciszek Błażej („Roman”) i adiutant ppłk. Cieplińskiego por. Józef Rzepka („Znicz”). Gdzie ich pogrzebano — nie wiadomo.

239

Zabijali i bez wyroków. W nocy z 12 na 13 kwietnia 1945 r. tzw. grupa operacyjna pracowników PUBP w Siedlcach zamordowała 1 C młodych ludzi, podejrzewanych o przynależność do AK i NSZ. Dwóch dalszych, mimo że zostali pocięci pociskami, zdołało się uratować. Ubowcy wyciągali ich z domów i zabijali z broni maszynowej na ulicach i podwórzach, pod murem cmentarza żydowskiego. W sprawie tej ówczesny premier rządu RP w Londynie Tomasz Arciszewski zwrócił się do Churchilla, który poruszył ją w liście do Stalina. Ten oczywiście odrzucił zarzut jako insynuację. Dochodzenie wszczęte w 1990 r. przez prokuraturę siedlecką potwierdziło fakt zbiorowego mordu, ale zostało umorzone wobec niemożności ustalenia jego sprawców. Wtedy, wiosną 1945 r., fala takich zbiorowych zabójstw przeszła przez wiele miast powiatowych całego kraju.

Represjonowano tych, którzy się nie ujawnili, ale także i tych, którzy tego dokonali. Płk „Radosław”, mimo że postawa, jaką zajął we wrześniu 1945 r., doprowadziła do ujawnienia się wielu ludzi z AK, w 1949 r. ponownie został aresztowany i spędził w więzieniu siedem lat, szykanowany psychicznie i fizycznie. Ppor. Kazimierz Chmielowski („Rekin”) ze zgrupowania mjr. „Łupaszki” wkrótce po ujawnieniu się, co uczynił w ustawowym terminie, został uwięziony, skazany na śmierć przez WSR w Białymstoku i na początku kwietnia 1950 r. stracony.

Rozstrzeliwano tych, którzy uchylali się od służby wojskowej bądź de-zerterowali z

wojska, ale także i tych, którzy lojalnie w wojsku służyli, oddając mu wszystkie swe kwalifikacje i całą swą wiedzę. Odnosi to się również do oficerów wyższych stopni, zajmujących kierownicze stanowiska w Sztabie Generalnym WP i w instytucjach centralnych MON. W latach 1951-1954 w tzw. procesach odpryskowych, do których doszło po procesie gen. Stanisława Tatara i ośmiu innych rzekomych spiskowców, skazano na śmierć 40 oficerów. Dwudziestu stracono, dwóch zmarło w więzieniu.

Ścigano, więziono i deportowano dowódców i żołnierzy oddziałów, które nigdy — ani w latach okupacji niemieckiej, ani po jej zakończeniu — nie walczyły z formacjami komunistycznymi, nie strzelały do funkcjonariuszy NKWD czy czerwonarmistów. UB i NKWD dokonały prawdziwego spustoszenia w szeregach „Jędrusiów” (zwanym tak od pseudonimu ich legendarnego dowódcy mgr. Władysława Jasińskiego, założyciela i komendanta organizacji „Odwet”, w listopadzie 1943 r. wcielonej do AK). Józef Wiącek („Sowa”), który zastąpił „Jędrusia” po jego śmierci, skazany został na długoletnie więzienie, jego brat Stanisław Wiącek („Inspektor”) — na śmierć (wyroku nie wykonano, odsie-

240

dział 10 lat). Wiąckom na dodatek skonfiskowano ich wzorowo prowadzone gospodarstwo rodzinne w Trzciance na ziemi sandomierskiej. Dziesiątki „Jędrusiów” trzymano w kazamatach UB, wywieziono w głąb ZSRR. Wielu zamordowano.

W czasie „Burzy” oddział „Jędrusia”, dowodzony wtedy przez Józefa Wiącka, stanowił 4. kompanię 2 ppLeg. AK, który toczył ciężkie walki na przyczółku pod Sandomierzem, skutecznie wspierając jednostki radzieckie. Gdy pułk znalazł się na obszarze zajętym przez Armię Czerwoną, gen. Muratów wezwał do swego sztabu dowódcę pułku mjr. Antoniego Wiktorowskiego („Kruk”) i zażądał od niego, by wraz ze swymi żołnierzami podporządkował się PKWN. Mjr „Kruk”, stary liniowy oficer, kategorycznie odmówił. Przeszedł na czele 2 ppLeg. AK niestabilizowaną linię frontu i kontynuował walkę z Niemcami. Sowietom tego nie zapomnieli. W święta wielkanocne 1945 r. został w rejonie Sta-szowa aresztowany przez UB i wkrótce zamordowany.

Zamykano w polskich więzieniach także i tych, których NKWD zwolniło z sowieckich więzień i łagrów. O przewodniczącym Rady Jedności Narodowej, Kazimierzu Pużaku, już wspominałem. Dowódca wileńskiej AK, ppłk Aleksander Krzyżanowski (gen. „Wilk”) wrócił do Polski w listopadzie 1947 r. po ponad trzech latach spędzonych w więzieniach i łagrach. Nie zaangażował się w działalność podziemia. Uznał, że dość już przelano polskiej krwi. Podjął pracę. W lipcu 1948 r. został aresztowany w Poznaniu, przewieziony do Warszawy i osadzony w więzieniu mokotowskim. Przez ponad trzy lata szykowano jego proces. Miał to być proces pokazowy, kompromitujący całą AK. Gen. „Wilk”, dręczony nieustannymi przesłuchaniami, odpierał jednak wszystkie zarzuty i do niczego się nie przyznawał, uniemożliwiając śledczym realizację zleconego im scenariusza. Był już wtedy bardzo ciężko chory: zaawansowana gruźlica. Nie wstawał z łóżka. Więzienna komisja lekarska stwierdziła, że w rozprawie sądowej mógłby uczestniczyć tylko w pozycji leżącej. Zmarł w szpitalu więziennym 29 września 1951 r. w okolicznościach

ciągłe nie w pełni wyjaśnionych.

Jeden z najwybitniejszych oficerów sztabowych AK, płk dypl. Kazimierz Pluta-Czachowski („Kuczaba”), szef Oddziału V (łączność operacyjna) Komendy Głównej, po powrocie z Niemiec, dokąd z nie-wygojonymi ranami wywieziono go po Powstaniu, deportowany do Kazachstanu, gdzie spędził prawie rok, następnie aż siedem lat przebywał w polskich więzieniach. Nie udowodniono mu żadnego z wysuniętych przeciw niemu zarzutów. Wystarczyło, że był wyższym oficerem AK.

241

To również doprowadziło do aresztowania i długoletniego uwięzienia komendanta Okręgu Śląskiego AK płk. dypl. Zygmunta Jankego („Walter”). Ujawnił się on w terminie wraz ze śląską AK, podjął pracę jako nauczyciel, działał w powołanej w wyniku inicjatywy płk. „Radosława” Centralnej Komisji Likwidacyjnej AK. Aresztowano go w styczniu 1949 r. Jemu także nie zdołano udowodnić niczego, co by go obciążało, gdyż nielegalnej działalności nie prowadził. Mimo to został dwukrotnie skazany na karę śmierci. W śledztwie znęcano się nad nim w sposób szczególnie okrutny. Osiem lat spędził za kratami, prawie połowę w nich w pojedynce. Wolność odzyskał dopiero w listopadzie 1956 r.

Nie szczędzono kobiet. I dojrzałych już wiekiem, jak te z Komendy Lubelskiego Okręgu AK, które stracono na Zamku w Lublinie, i młodych dziewcząt, jak osiemnastoletnia łączniczka „Łupaszki”, Danuta Siedzikówna („Inka”); została ona skazana w sierpniu 1946 r. przez WSR w Gdańsku na śmierć i stracona.

1 października 1945 r. w więzieniu w Łodzi oficer działu specjalnego ppor. Jan Wrona zastrzelił sanitariuszkę z oddziału „Zagona”, 24-letnią Helenę Wardal („Ramzesowa”), skazaną dwa dni przedtem na karę śmierci. Wdowa po żołnierzu AK, powieszonym przez Niemców w marcu 1944 r. w zbiorowej egzekucji w Kurowie, matka dwojga małych dzieci (pięć lat i rok), po zakończeniu „Burzy”, w której wyróżniła się odwagą i ofiarnością w bitwie o Końskowolę, przeniosła się do Łodzi. Tam została aresztowana, dołączona do kilkusobowej grupy żołnierzy AK i postawiona przed Najwyższym Sądem Wojskowym, orzekającym na sesji wyjazdowej w Łodzi.

Akt oskarżenia stanowił całkowite poplątanie. Zarzucano im przynależność do bandy „Orlika”, co było absolutną nieprawdą, stwierdzając przy tym, że „Orlik” należy do NSZ, co także wymyślili oficerowie śledczy. Zapadło pięć wyroków śmierci, cztery z nich wykonano. Wśród straconych był główny oskarżony, sierż. Marian Grabski („Spec”), w latach okupacji żołnierz dęblińskiego Kedywu. Składowi sędziowskiemu przewodniczył mjr Alfred Janowski.

Obok mężczyzn w sile wieku, o ukształtowanych poglądach, ginęli z wyroków sądów wojskowych młodzi chłopcy, wchodzący dopiero w samodzielne życie. Niekiedy, co było przejawem wyjątkowego cynizmu, zabijano ich za zniechęconych przez reżym ojców, którzy w danym okresie z różnych powodów znajdowali się poza zasięgiem UB.

Tak zginął, stracony w 1950 r. w więzieniu w Kielcach, młodzieńcy żołnierz AK Jan Stempkowski („Michał”), syn komendanta Łódzkiego

Okręgu AK płk. Michała Stempkowskiego („Barbara”), były kadet z Rawicza. Po zakończeniu wojny wyjechał z Kielecczyny do Warszawy, rozpoczął studia, zamieszkał u rodziców, od których pod zarzutem nielegalnego posiadania broni zabrała go ekipa kieleckiego WUBP.

Tak zginął 16 czerwca 1953 r. w więzieniu mokotowskim Tadeusz Klukowski, jedyny syn dr. Zygmunta Klukowskiego, dyrektora szpitala w Szczepleszynie, znanego nie tylko w Polsce bibliofila, w latach okupacji aktywnego członka AK i rzetelnego kronikarza wojennych dziejów Zamojszczyzny. Bezcenne prace dr. Klukowskiego na ten temat były materiałem dowodowym w procesie norymberskim.

Feliksa Antczaka, redaktora prasy podziemnej, stracono w więzieniu na Pradze 2 stycznia 1945 r. Jego ojciec, Antoni Antczak, przedwojenny działacz Stronnictwa Pracy, w czasie okupacji Delegat Rządu RP na Pomorze, był wtedy nieuchwytny dla UB, bo nie wrócił jeszcze z Niemiec, dokąd wywieziono go po Powstaniu Warszawskim. Po powrocie był wiceprezesem Stronnictwa Pracy i posłem do KRN, więc też nie mogli go ruszyć. Aresztowany został dopiero po odejściu z przebudowanego przez komunistów stronnictwa. Skazany na 15 lat więzienia, zmarł w sierpniu 1952 r. we Wronkach, zamęczony przez strażników.

Byli bezlitośni dla kapłanów. Jednym z pierwszych, który zginął po przekroczeniu przez Armię Czerwoną Bugu, był kapłan z obszaru Inspektoratu Puławy, mianowicie ks. Stanisław Zieliński, od jesieni 1940 r. wikary i katecheta, później rektor kościoła pod wezwaniem św. Ducha w Kraśniku. Starzy mieszkańcy Kraśnika porównują go z ks. Jerzym Po-piełuszką. Żarliwy patriota, wspaniała kaznodzieja, już w latach okupacji dawał dowody dużej odwagi cywilnej, głosząc kazania, potępiające niemieckie zbrodnie i gwałty. Czynił to i po zainstalowaniu w Kraśniku „władzy ludowej”. W wypełnionym szczelnie kościele piętnował nadużycia i bezprawie, przeciwstawiał się ateizacji, mówił, że oczekiwaliśmy nie takiej wolności i nie takiej władzy. Wielokrotnie wzywany na przesłuchania do PUBP, mimo gróźb i prób szantażu treści swych homilii nie zmieniał. 10 marca 1946 r. po północy został zastrzelony we własnym mieszkaniu przez „nieznanych sprawców”. Miał 34 lata.

Natomiast ostatnim kapłanem zamordowanym przez SB był bezspornie ks. Stefan Niedzielak, rektor kościoła pod wezwaniem św. Karola Boromeusza na warszawskich Powązkach. Kapelan AK i NÓW, członek WiN, który przez cały okres istnienia PRL publicznie głosił prawdę o zbrodni katyńskiej, o setkach tysięcy Polaków, poległych i po-

mordowanych na Wschodzie, troszczył się o upamiętnienie ich walki i męczeństwa, niezłomnie realizował testament Polski Walczącej. Wieczorem 20 stycznia 1989 r. został zamordowany we własnym mieszkaniu. Podobnie jak ks. Zieliński w Kraśniku — przez „nieznanych sprawców”.

Pierwsze z tych nazwisk otwiera, a drugie zamyka długą listę kapłanów diecezjalnych i zakonnych, skrytobójczo zamordowanych w Polsce przez NKWD i UB,

więzionych, zesłanych do łagrów.

W 1977 r. ukazał się w Warszawie pierwszy wolumen kilkutomowego dzieła opracowanego na polecenie Episkopatu Polski przez księży Wiktora Jacewicza i Jana Wosia pt. *Marty rolo gium polskiego duchowieństwa rzymskokatolickiego pod okupacją hitlerowską 1939-1945*. Otwierał go list księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego, w którym Prymas Tysiąclecia pisał:

„Bogata księga Imion Męczenników kapłańskich świadczy o tym, że dopełnili wyznaczoną im miarę Kielicha Chrystusowego — z godnością!”

Strat, zadanych Kościołowi w Polsce przez hitlerowców oczywiście nie można porównywać z tymi, jakich doznał on z rąk rodzimych komunistów i ich sowieckich dyrygentów. Jest jednak faktem, że do tej „bogatej księgi” właśnie komuniści dopisali ostatni, okazały rozdział.

Przebogata jest również księga zamordowanych, zamęczonych i więzionych przez reżym komunistyczny żołnierzy AK, WiN, NSZ, NZW, KPW BCh i innych organizacji niepodległościowych. Wymieniam w tej książce jedynie drobną część zawartych w niej nazwisk. To zrozumiałe. Wymienienie wszystkich to długa i ciężka praca dla całego zespołu historyków, która—ufajmy—zostanie wreszcie podjęta. Na razie dysponujemy danymi częściowymi. Ale i tych, które przypominałem, chyba wystarczy, by czytelnikowi, zwłaszcza młodemu, uświadomić skalę tej zbrodni.

Niewątpliwie mu w tym pomoże wyliczenie, jakiego dr Ireneusz Caban dokonał w swej książce, poświęconej 8 ppLeg. AK. Wynika z niego, że straty w kadrze dowódczej zgrupowania oddziałów partyzanckich tego pułku, liczących w czasie „Burzy” łącznie powyżej tysiąca ludzi, były w okresie okupacji kilkakrotnie mniejsze niż po jej zakończeniu. Z rąk Niemców zginęło dwóch młodych oficerów, cichociemnych (ppor. Stanisław Jagielski, ps. „Siapek”, i ppor. Jan Poznański, ps. „Ewa”), którzy kolejno dowodzili oddziałem dyspozycyjnym Kedywu Inspektoratu Lubelskiego, przekształconym w I pluton OP/8.

Po wkroczeniu na Lubelszczyznę wojsk sowieckich śmierć poniosło trzech kolejnych dowódców Zgrupowania OP/8 ppLeg. AK (ppłk Edward

244

Jasiński, ps. „Nurt”, mjr Konrad Schmeding, ps. „Młot” i ppor. c.w. Czesław Rossiński, ps. „Jemiola”) oraz pięciu z dwunastu dowódców poszczególnych oddziałów („Zapora”, „Lekarz”, „Ryś”, „Uskok”, „Kmicic”). Z tych ośmiu sześciu zostało straconych z wyroków sądów, jeden zginął z własnej ręki, jeden podczas aresztowania. Kolejnych dwóch represjonowano („Małego” wywieziono do ZSRR, „Szarugę” więziono w kraju).

Podobnie wyglądało to w Zgrupowaniu OP/15 pp „Wilków” AK w inspektoracie puławskim. I w wielu innych inspektoratach, zgrupowaniach i oddziałach.

Straszne, ale prawdziwe.

Zaczynało już świtać, gdy dwaj mężczyźni w długich cywilnych płaszczach weszli na teren posesji w podwarszawskiej Radości i skierowali się w stronę wejścia do stojącego nieco w głębi budynku. Jeden załomotał w drzwi, obydwaj wydobyli pistolety. Pewni siebie czekali aż gospodarz otworzy. I ta pewność ich zgubiła. Tym

bardziej, że gospodarzem był ppor. „Spokojny” (Wacław Kuchnio), jeden z najdzielniejszych żołnierzy „Orlika”, jego adiutant i prawa ręka, dowodzący po śmierci komendanta oddziałem partyzanckim, operującym w północnej części Inspektoratu WiN Puławy.

Była niedziela 6 czerwca 1948 r. „Spokojny” spodziewał się tej wizyty. Kilka dni przed nią w mieszkaniu w Radości, które zajmował wraz z żoną Zofią (z domu Mączyńska, ślub wzięli latem 1946 r.), sanitariuszką poznaną w oddziale, zjawiła się jakaś kobieta, pytając, czy mieszkają tu państwo Kuchnio, gdyż z ogłoszenia w gazecie dowiedziała się, że poszukują oni pomocy domowej. Żadnego ogłoszenia nie dawali, więc sprawa była jasna: UB sprawdza, czy adres jest właściwy.

„Spokojny” od chwili ujawnienia się wiedział, że taki dzień nadejdzie. Wyjechał wraz z żoną w okolice Wałbrzycha, ale i tam szybko go odnaleźli. Stale go obserwowali, chodzili za nim krok w krok. Wrócił zatem do Warszawy. Wspólnie z kolegą zaczął prowadzić na Bazarze Różyckiego budkę z tekstyliami. Mimo wszystko chciał żyć normalnie. Ale czuł, że mu na to nie pozwolą i wystawią rachunek.

Gdy przyszli w ten niedzielny, pogodny ranek i załomotali do drzwi, natychmiast pojął, że to właśnie oni. Otworzył drzwi, trzymając w ręku odbezpieczony pistolet, jednego położył trupem na miejscu, drugiego ciężko ranił.

Razem z żoną, w nocnej bieliźnie, zostawiając wszystko, co mieli, pobiegli w stronę nieodległej Wisły. Odnaleźli właściciela przycumowa-

245

nej do brzegu łódki, rybaka, który w lot pojął w czym rzecz. Dał im jakieś wierzchnie okrycia, przewiózł na lewy brzeg. Pieszko, chyłkiem przemykając się przez nierozbudzone jeszcze ulice, dotarli na Okęcie, gdzie pod znanym „Spokojnemu” adresem mieszkał jego stary towarzysz broni z oddziału „Krakus” (Władysław Kisiel). „Krakus” ubrał ich tak, by nie zwracali uwagi swym wyglądem i wiedząc, że jego mieszkanie również jest pod obserwacją UB, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności przewiózł na plac Mirowski, gdzie wraz z żoną mieszkał zaprzyjaźniony z nim żołnierz AK z okolic Ryk, Czesław Cygan.

Przyjął ich gościnnie. W mieszkaniu był także szwagier gospodarza przybyły z Ursusa. W Ursusie mieszkał wówczas „Tek” (Tadeusz Osieński), jeden z pierwszych żołnierzy „Orlika”, znany z męstwa i prawości. „Spokojny” postanowił sprawdzić, czy ubowcy przyszli tylko po niego, czy też — jak ryby z saka — wybierają i innych. Wysłał więc owego szwagra do „Teka”, wbijając mu uprzednio w głowę dość wiarygodnie brzmiące tłumaczenie tej wizyty, niezbędne wtedy, jeśliby w mieszkaniu Osieńskiego zastał ubowców. „Krakus” wrócił do domu, oni zostali u Cyganów.

Czekali przez cały poniedziałek. Daremnie. Zmęczenie mijało, napięcie rosło.

Tamci przyjechali we wtorek, 8 czerwca. Też przed świtem. Ale nie było ich dwóch, jak w Radości, lecz trzy samochody: UB, MO, KBW. W jednym, zбитy i załamany, siedział szwagier Cygana. U „Teka”, którego zabrano kilka dni wcześniej (dostał 12 lat) wpadł w kocioł. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Po ciężkim laniu powiedział co wiedział.

Otoczyli cały dom, zablokowali wszystkie wyjścia, kilku wbiegło do środka,

bezbłędnie trafiając pod właściwe drzwi. Prowadziły one do mieszkania, które Cyganowie dzielili z jakąś kobietą. „Spokojny” już wiedział, że to koniec. Stał przed drzwiami z granatem, który przyniósł z sobą z Radości. Cyganowie i żona byli pewni, że za chwilę odbezpieczy go, otworzy drzwi i rzuci, po czym otworzy ogień z pistoletu. Powstrzymała go Zofia.

— Nie rób tego! — krzyknęła. — Tu przecież są ludzie, sąsiadka!

Odłożył granat, wziął w rękę pistolet, strzelił sobie w skroń. Padł, pistolet potoczył się na podłogę. Podjęła go Zofia Kuchnio, padł drugi strzał. Także i ją śmierć zabrała natychmiast.

Ubowcy bynajmniej nie zamierzali forsować drzwi. Krzyczeli tylko, by je otworzyć, bo wrzucają przez okno granaty. Gdy tamtych dwoje padło, Czesław Cygan uchylił okno i zawołał, że już otwiera. Oddali kilka

246

serii z pepesz po otwartych już drzwiach i weszli do mieszkania. To, co ujrzeli, wywołało w nich atak wściekłości. *Zaczęli* kłać, któryś kopnął zwłoki „Spokojnego”. Zrozumieli, że i ten im się wymknął. Jak „Orlik” przed dwoma laty.

Tak zginął „Spokojny”, przedwojenny saper z Dębłina, podporucznik czasu wojny, podkomendny i najwierniejszy druh „Orlika”. Miał wtedy około 30 lat. Okoliczności, w jakich to nastąpiło, przez długie lata nie znali nawet jego towarzysze broni. Odtworzył je dopiero „Lis” na podstawie relacji „Teka”, „Krakusa” i naocznych świadków śmierci tamtych, to znaczy Kazimiery i Czesława Cyganów.

Zwłoki „Spokojnego” i jego żony wywieziono samochodem w nieznanym kierunku. Nikt nie wie, gdzie je pochowano.

Małżeństwo Cyganów zostało aresztowane. Aresztowano także „Krakusa”. Siedzieli w areszcie MBP przy ul. Koszykowej, później na osławionym X oddziale więzienia przy ul. Rakowieckiej. W ponad pół roku później, 20 stycznia 1949 r. stanęli przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. „Krakus” dostał siedem lat więzienia, Czesław Cygan cztery, jego żona półtora roku.

Dwa samobójcze strzały, które czerwcowym świtem zbudziły mieszkańców domów przy placu Mirowskim, były ostatnimi, jakie w swej długiej i tak ogromnie nierównej walce oddali żołnierze „Orlika”.

„Trzeba ich przynajmniej przypomnieć”

Nie wydaje się już dziś możliwe dokładne określenie wielkości sił, uczestniczących po obydwu stronach w tych walkach, liczby ofiar, rozmiarów represji. Różne dokumenty i różni autorzy podają liczby bardzo od siebie odbiegające.

W przypadku „obrońców władzy ludowej” sprawa jest nieco łatwiejsza. Jak już pisałem — w dyspozycji kierującej tą „obroną” Państwowej Komisji Bezpieczeństwa znajdowała się potężna armia, licząca łącznie około ćwierć miliona ludzi (UB, MO,

WP, KB W, ORMO, uzbrojony aktyw PPR), wyposażona w artylerię, także i ciężką, broń pancerną, lotnictwo. Zachowały się wiarygodne dokumenty, które to potwierdzają. Wspierały ją różne, o zmiennej liczebności, formacje sowieckie.

W przypadku sił zbrojnego podziemia sytuacja się komplikuje. Z reguły są one zawyżane, co rozumiałe, gdyż ludzie odpowiedzialni za walkę z nim, właśnie jego potencjałem usiłowali usprawiedliwić to, że tak długo nie potrafili go zniszczyć. Przypomnijmy, że jeszcze w latach pięćdziesiątych, gdy walka zbrojna już wygasła, a zorganizowane i centralnie kierowane podziemie nie istniało, Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego tworzyło dziesiątki fikcyjnych organizacji antypaństwowych, by w ten sposób wykazać potrzebę swego istnienia i usprawiedliwić swój wysoki budżet.

W maju 1945 r. szef MBP Stanisław Radkiewicz liczebność „band” określał bardzo dokładnie: 29 530 ludzi. Według Tadeusza Walichno-wskiego, który szacunek ten powtórzył kilkakrotnie, na przełomie lat 1945-1948 było ich nieco mniej: ok. 25 000. Według Ignacego Bluma nieco ponad 23 tys. (najwięcej, bo 6850 na Lubelszczyźnie). W swej książce, z której to wynika* Ignacy Blum zamieszcza sporządzone na podstawie danych MBP całościowe zestawienie owych „band” z podzia-

łem na województwa. Wszystkie je wymienia, podaje ich liczebność. Szkopuł w tym, że niektóre z nich występują kilkakrotnie, co wiarygodność tych obliczeń znacznie osłabia. Niemniej szacunek ten jest chyba najbliższy prawdy. Inni w ogóle się z nią nie liczyli. Jak pisze Krystyna Kersten:

„W latach sześćdziesiątych na podstawie raportów terenowych została przez historyków sporządzona statystyka podziemia: wyliczono, iż wszystkich grup łącznie było 1364, a skupionych w nim ludzi — 99 991”*

Zapewne razem z tymi, którzy przeczytali kiedyś nielegalną ulotkę, powtórzyli złośliwy dowcip o Bierucie czy mieli szwagra w lesie. Nie dziwny się jednak historykom. Po prostu przyjmowali oni za dobrą monetę łgarstwa preparowane i powielane przez UB. A były to łgarstwa niebotyczne.

Jeden z pracowników WUBP Kielce, Stefan Skwarek, w swych cytowanych już w tej książce wspomnieniach zamieścił „wykaz grup reakcyjnych atakujących władzę ludową na Kielecczyźnie, sporządzony na podstawie meldunków UB i MO oraz akt spraw karnych i ujawnień podczas amnestii”. Pomieszenie z poplątaniem. Wymienione są w nim oddziały partyzanckie AK, które rozwiązały się jeszcze przed wkroczeniem na tamte tereny Armii Czerwonej, a także i takie, o których na Kielecczyźnie nikt nie słyszał. Nic dziwnego, że łączna liczebność tych „grup” urosła do ok. 5850 ludzi (u Ignacego Bluma — 2126).

Jakby jednak nie liczyć, władza miała nad swymi przeciwnikami — jeśli chodzi o liczbę ludzi zaangażowanych w walkę — druzgocącą przewagę. O uzbrojeniu i wyposażeniu nie mówiąc. Wprawdzie wiosną 1948 r. wojsko (lecz nie KBW) wycofano z „frontu walk przeciw bandom”, ale już wtedy, praktycznie biorąc, „band” tych nie

było. Po lasach ukrywały się jedynie ostatnie ich niedobitki, co sprawiło, że dotychczasowa dysproporcja sił nie tylko zachowała się, ale zwielokrotniła, urastając do monstrualnych wręcz rozmiarów. Kilka ilustrujących to dokumentów Kazimierz Krajewski i Tomasz Łabuszewski opublikowali w 1995 r.**

Mówią one o operacjach UB i KBW przeciw resztkom oddziałów Narodowego Zjednoczenia Wojskowego na północnym i wschodnim Mazowszu oraz na Białostocczyźnie. Odsłaniają prawdziwe oblicze owej „wojny”.

I tak np. w przeprowadzonej 2 marca 1949 r. w rejonie m. Gostkowo w pow. przasnyskim operacji przeciw liczącej ośmiu ludzi „bandzie” Edwarda Dobrzyńskiego („Orzyc”) uczestniczyło... 984 żołnierzy KB W. Partyzanci przez ponad cztery godziny bronili się w stajni. Trzech zginęło w walce, czterech spłonęło wraz ze stajnią, jeden został ranny i ujęty. Straty KBW wyniosły trzech zabitych i pięciu rannych (w tym dwóch oficerów).

25 czerwca 1948 r. 40 (!) plutonów operacyjnych KBW okrążyło dwa bunkry leśnie w rejonie Kadzidla, w których ukrywało się 13 żołnierzy NZW na czele z por. Janem Kozłowskim („Las”). Czterech poległo, dziewięciu — w tym większość rannych — wzięto do niewoli.

W nocy z 13 na 14 kwietnia 1951 r. wojacy z KBW odnieśli kolejne zwycięstwo: 270 ludzi zdołało otoczyć w kolonii Szyszki w pow. pułuskim dwóch żołnierzy NZW, „Roją” (Mieczysława Dziemieszkie-wicza) i „Mazura” (NN), którzy zostali ranni i sami się zastrzelili.

Podobnym sukcesem zakończyła się „akcja operacyjna” przeciw „bandzie” Zbigniewa Żwańskiego („Noc”), przeprowadzona 4 sierpnia 1951 r. w powiecie Ostrów Mazowiecki. Banda liczyła wówczas dosłownie jednego człowieka. Był nim „Noc”, uzbrojony w pistolet i dwa granaty obronne. Przeciw niemu skierowano „grupę szturmową”, wspartą kompanią KBW. Po wymianie ognia, pościgu i długich poszukiwaniach Żwański został ujęty. Skazano go na karę śmierci i stracono.

Myślę, że warto było te dokumenty zacytować. Uświadamiają one — zwłaszcza młodemu czytelnikowi — jak bardzo beznadziejną, a zarazem heroiczną była walka prowadzona przez ostatnich „żołnierzy wyklętych”. Szokują również swym stylem i formą. Ich autorzy, wyżsi oficerowie KBW, pisali je tak, jak raporty o walkach frontowych: skrupulatnie wyliczają siły swoje i przeciwnika, określają ich położenie, omawiają plan działań i jego wykonanie, zaopatrują je w długie wykazy wyróżniających się w akcji żołnierzy, piszą o ich „bojowej postawie”, „odwadze i śmiałości”, „umiejętnym dowodzeniu”. Dziś czyta się to jak ponure kpiny. Ale to jest właśnie tytuł do chwały UB i KBW: kompania przeciw jednemu, batalion przeciw ośmiu.

Przejdźmy do liczb, ukazujących łączne straty obydwu stron. Przez wiele powojennych lat w historiografii PRL panowała co do tego duża zgodność: w trwające w Polsce „wojnie domowej”, bo tak tę nierówną walkę nazywano, straciło życie ok. 30 000 osób. W tym: 12 000 UB, MO, KBW, WP i ORMO; 10 000 aktywu PPR i jej rozlicznych agend, 8000 zabitych w walkach żołnierzy podziemia. Do tego około tysiąca funkcjonariuszy NKWD i czerwonoarmistów.

Dane te, zwłaszcza w odniesieniu do obrońców i tzw. utrwalaczy władzy ludowej, wydawały się bliskie prawdy, bo przecież owa władza dysponowała szczegółowymi rejestrami tych, którzy oddali za nią życie. Cytowany już Stefan Skwarek zwiłokrotnił wprawdzie siły zbrojnego podziemia w ówczesnym województwie kieleckim, ale zawarty w jego książce wykaz poległych i zamordowanych na terenie tego województwa funkcjonariuszy UB i MO oraz poległych żołnierzy WP i KBW, liczący 626 nazwisk (pierwszych 554, drugich 74), uznać należy za wiarygodny. Jest to bowiem, w odróżnieniu od wziętych z sufitu danych o liczebności „band”, wykaz udokumentowany. Są w nim nazwiska, daty urodzenia, daty, miejsca i okoliczności śmierci.

Dopiero w połowie lat osiemdziesiątych historycy doszli do wniosku, że łączna liczba 30 tys. ofiar jest znacznie zawyżona. Wyniki ich ustaleń zaprezentował w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” (1985, nr 1-2) ppłk dr Stefan Chojnecki. Według nich miałyby zginąć ok. 8800 funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa oraz żołnierzy KBW i WP, ok. 5000 zabitych przez podziemie cywilów (choć i ta liczba jest dyskusyjna) i ok. 8700 członków podziemia. Łącznie ok. 23 500 ludzi. A więc o ok. 6500 mniej niż podawano poprzednio. I tak o co najmniej dwadzieścia tysięcy za dużo, ale różnica jest istotna (liczby poległych i zamordowanych obywateli ZSRR nikt nie kwestionował). Mimo to w świadomości społecznej nadal funkcjonuje liczba 30 000. Nikt jej nie skorygował.

Nikt również nie rozwiał wątpliwości odnoszących się do szacunku strat podziemia. Po pierwsze płyną one z tego, że komuniści zawsze je zawyżali. Wyliczyli np., że w bitwie w Lesie Stockim „Orlik” stracił około stu poległych. W rzeczywistości ośmiu. Jeśliby, idąc za tym przykładem, zsumować podawane przez historyków PRL liczby o stratach, jakie w walkach z UB i NKWD w latach 1945-1946 poniósł znajdujący się w jego dyspozycji oddział, to okazałoby się, że reprezentował on siłę nie kompanii, lecz przynajmniej pułku, który wybito do nogi. Podobnie liczono straty innych oddziałów leśnych.

Z drugiej natomiast strony, wiadomo że do strat tych — to znaczy poniesionych na polu walki — komuniści nie wliczali ludzi mordowanych w pacyfikacjach, zabijanych na śródleśnej drodze tylko dlatego, że ubowcy uznali ich za podejrzanych, czy wywleczonych z domów, zabitych gdzieś w lesie i w nieznanym miejscu pogrzebanych. Prawdziwej wysokości tych strat nie znamy i wygląda na to, że nie poznamy jej nigdy.

A przecież najgorsze dopiero miało przyjść. Gdy skończyła się walka zbrojna, dla tych, którzy w niej zwyciężyli rozpoczął się czas dys-

kontowania tego zwycięstwa, awansów, odznaczeń, karier. Dla pokonanych — czas odwetu.

Ciągle nie znamy jego prawdziwych rozmiarów. Według jednych wliczeń w pierwszych latach powojennych przez polskie więzienia przeszło ponad 150 tys. osób, oskarżonych o działalność antypaństwową, 2,5 tys. z nich stracono po procesach, ok.

10 tyś. bez procesów. Według innych były to liczby o wiele wyższe. W połowie 1995 r. Centralny Zarząd Zakładów Karnych poinformował, że na sporządzonej przezeń liście osób straconych i zmarłych w więzieniach w latach 1944-1956 widnieje 24 tyś. nazwisk. Wśród nich 2810 nazwisk ludzi, na których wykonano karę śmierci. Wprawdzie wykaz ten obejmuje także przestępców kryminalnych i zbrodniarzy hitlerowskich, ale — zdaniem CZKK — stanowi on tylko wierzchołek góry lodowej. Powinien być kilkakrotnie dłuższy. Nie jest, bo brak dokumentacji. Zważywszy, że zapewne już się jej nie znajdzie, trudno przypuszczać, abyśmy kiedykolwiek taki pełny rejestr poznali.

Trzeba również pamiętać i o tym, że tylko część rachunku, który przyszło zapłacić pokonanym, stanowią pozycje wymierne, liczone latami spędzonymi w więzieniach czy wyrażające się liczbą wykonanych wyroków. Nie ma natomiast miary, przy pomocy której można by oszacować ogrom krzywd i zła, spowodowany rozbięciem rodzin, pozbawieniem — na długie lata — dzieci ojca, niemożnością ukończenia nauki czy studiów, samospelnienia się w pracy zawodowej, braku jakiegokolwiek szansy awansu, świadomością, że jest się obywatelem pośredniej kategorii.

Gdy Lucjan Bernaciak, brat „Orlika”, wrócił z więzienia do rodzinnego Zalesia, szybko przekazano mu ultimatum z PUBP w Garwolinie: albo natychmiast stąd się wyniesie, albo dostanie w czapę. Więc się wyniósł. Wynosili się i inni. Większość z nich wegetowała później na marginesie normalnego życia.

Październik 1956 r. wiele odmienił, to prawda, ale nie jest prawdą, mimo iż tak się twierdzi, że wszystkich byłych żołnierzy AK uwolnił z cel więziennych. Sporo ich tam jeszcze zostało. Wśród nich dwaj kolejni prezesi ZG WiN: płk Franciszek Niepokólczycki, zwolniony w grudniu 1956 r., i ppłk Wincenty Kwieciński, który więzienie opuścił w końcu kwietnia 1957 r. Swoistym rekordzistą został cichociemny, żołnierz „Wachlarza”, szef Kedywu Komendy Okręgu AK Wilno, jeden z najbardziej znanych partyzantów Wileńszczyzny, później kurier zagraniczny WiN kpt. Adam Boryczka („Brona”, „Tońko”). Skazany w maju

252

1955 r. na trzykrotną karę śmierci, zamienioną na dożywocie, opuścił więzienie — i to tylko dzięki licznym interwencjom — dopiero w listopadzie 1967 r., w ponad jedenaście lat po polskim Październiku, spędził więc w nim lat przeszło trzynaście.

Ostatnim żołnierzem „Orlika”, który wyszedł z więzienia, był ppor. Jerzy Jurkiewicz („Junacz”). Urodzony pod Tarnopolem, należał tam do AK, następnie wcielony został do armii Berlinga (11 pp 4 DP), skąd zagrożony aresztowaniem zdezerterował wiosną 1945 r. Przyłączył się do „Orlika”, uczestniczył w wielu akcjach, był dowódcą II plutonu. Odważny, zrównoważony, cieszył się dużym mirem wśród podwładnych. Ujawnił się w terminie, w końcu marca 1947 r., ożenił z jedną z łączniczek z oddziału i wraz z nią wyjechał na Ziemię Odzyskane. Osiedlił się w ówczesnym powiecie Głubczyce, w m. Pilszcz, tuż przy granicy z Czechami. Podjął pracę, wierzył, że zgodnie z zapewnieniami władz będzie mógł prowadzić normalne życie.

Jak wielu innych — fatalnie się omylił. W marcu 1949 r. został aresztowany.

Jedynymi zarzutami, jakie mu postawiono, było to, że przechowywał w domu niepełną zresztą kronikę oddziału i rzekomo planował ucieczkę na Zachód. Skazano go na karę śmierci, zamienioną na dożywocie. Wolność odzyskał też po Październiku, bo 27 lutego 1957 r. Żona por. „Junacza”, matka dwójki małych dzieci, również odsiedziała dwa lata.

Nie jest także prawdą, że polski stalinizm, którego kres nastąpił w październiku 1956 r., wraz z powrotem do władzy Władysława Go-mułki, rozpoczął się dopiero jesienią 1948 r., kiedy to tow. „Wiesława” pod zarzutem „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” usunięto ze stanowiska sekretarza generalnego PPR. Od tego czasu stalinizm istotnie zaczął dominować w ekonomii, kulturze, nauce, ale przecież najbrudniejszą robotę rodzimi stalinowcy wykonali uprzednio, rozprawiając się brutalnie i z opozycją parlamentarną, i z podziemiem. Tym „łamaniem kręgosłupa reakcji” kierował zaś tandem, złożony z sekretarza generalnego PPR tow. „Wiesława” i „bezpartyjnego” z woli Stalina prezydenta RP, Bolesława Bieruta.

Kres stalinizmu bynajmniej nie stał się kresem anatemy, jaką komuniści obłożyli dawnych żołnierzy AK. Zmieniły się tylko sposoby i metody jej realizacji. Z pewnością na łagodniejsze, ale nadal upokarzające i dotkliwe.

Uwidoczniła w życiorysie przynależność do AK ciągle stanowiła kulę u nogi. Liczyła się jedynie Armia Ludowa. Jej rzeczywiści i przy-

szywani członkowie nie tylko zawładnęli środowiskami kombatanckimi, lecz próbowali także przywłaszczyć sobie niemal cały czyn orężny Polski Walczącej. Dowodem tego są m.in. liczne kalendaria działalności GL-AL, w których przypisuje się jej wiele głośnych akcji zbrojnych, wykonanych przez AK. Aelowcy przypinali sobie wzajemnie do piersi najwyższe odznaczenia bojowe, a żołnierzom AK — wśród nich najdzielniejszym z dzielnych — odmawiano latami uprawnień kombatanckich, skwapliwie je przyznając ich oprawcom, a także wartownikom z UB, strażnikom więziennym, partyjnym agitatorom, kucharzom z KBW, ich żonom i pociotkom.

Postępujące z biegiem czasu rozluźnienie cenzury wobec tekstów mówiących o walce AK, w najmniejszym stopniu nie dotyczyło WIN i NSZ. Ich żołnierze zawsze byli określani jako „bandyci” i „faszyści”. Nie było takiej zbrodni i takiej niegodziwości, o które by ich nie oskarżano.

18 października 1945 r. zginął z rąk UB, skrytobójczo zamordowany, kpt. Wacław Rejmak („Ostoja”), odznaczony za męstwo w bitwie nad Bzurą *Virtuti Militari* V kl. Był jednym z owianych legendą dowódców partyzanckich AK w Okręgu Lubelskim. W sierpniu 1944 r. oddział (II/OP 35 pp AK) rozwiązał, ale ludzi nie ujawnił, sam też tego nie uczynił. Aresztowany w czerwcu 1945 r. w toku rozmów w WUBP Lublin zgodził się na ujawnienie swych podkomendnych, żądając w zamian zapewnienia im nietykalności i uwolnienia tych spośród nich, których poprzednio uwięziono. Uzyskał na to zgodę, gdyż ustalenia te pokrywały się z treścią dekretu o amnestii z sierpnia 1945 r. „Ostoja” zamierzał wraz z grupą swych partyzantów osiedlić się na Ziemiach Zachodnich. Podobno proponowano mu tam stanowisko starosty. Właśnie w tej sprawie wyjechał, wraz z adiutantem, por. Mieczysławem Kańskim („Czeczot”) z

Lublina do Warszawy.

Jechali zdobytym na Niemcach motocyklem Zundapp z przyczepą. W pobliżu wsi Pociecha koło Garbowa zaczęło się na nich trzech pracowników WUBP Lublin. Siedzieli w terenowym łaziku, ustawionym w lesie, na wzniesieniu szosy. Gdy wspinający się pod górę Zundapp zbliżył się na odległość skutecznego strzału — zaczęli bić z pepesz. „Ostoja” i „Czczot” zginęli na miejscu.

O popełnienie tej zbrodni UB obwiniał „Orlika”. Że niby w ten sposób ukarał on „Ostoję” za to, iż się ujawnił. To oskarżenie funkcjonowało niemal do końca PRL. Żołnierze „Orlika”, którzy znali prawdę, nie mogli jej publicznie ujawnić. Usta mieli zakneblowane. Musieli milczeć. Także i wtedy, gdy oskarżano ich o inne zbrodnie.

254

Próbowałem to milczenie przerwać, publikując w „Słowie Powszechnym”, którym wtedy kierowałem, w numerze z datą 30 X-l XI 1981 r., a więc na parę tygodni przed proklamowaniem stanu wojennego, artykuł pt. *Przekłęci i wykreśleni — Oni także byli Polakami*, poświęcony „Orlikowi”. Był to chyba pierwszy tekst wydrukowany w prasie legalnie ukazującej się w PRL, postulujący sprawiedliwą ocenę ludzi z WiN. Najpierw wywołał ostrą replikę ze strony niesławnej pamięci tygodnika ZBoWiD „Za Wolność i Lud”, później — już w stanie wojennym — serię pytań oficera MSW, przesłuchującego autora w gmachu przy ul. Rakowieckiej. O to, z czyjej inspiracji go pisał, o to, jak został przyjęty przez kombatantów.

Kończę tę książkę we wrześniu 1995 r. Z dawnych żołnierzy „Orlika” pozostało już niewiele. W rodzinnym Sanoku dożywa swych dni jego zwierzchnik ppłk Zygmunt Żyłka-Żebracki („Żeliwa”). W Tychach mieszka por. Zygmunt Matysiak („Sep”), absolwent Szkoły Podchorążych w Modlinie, żołnierz Września, w latach okupacji komendant saperów Podobwodu „A”, w Obwodzie Puławy, później dowódca plutonu OP 1/15 pp AK. Gdy wiosną 1945 r. „Orlik” odtworzył oddział, został dowódcą drużyn dywersyjnych Podobwodu „A”. Aresztowany, zwolniony dzięki pierwszej amnestii, wyjechał do Słupska, tam aresztowany ponownie odsiedział dwa lata, a przez kilka następnych, regularnie raz na tydzień, musiał meldować się w PUBP.

Ostatnim z żyjących dowódców oddziałów partyzanckich 15 pp AK jest mjr Jan Zdzisław Targosiński („Hektor”). W latach okupacji był dowódcą OP 111/15 pp AK. Unikając aresztowania przez NKWD, opuścił teren inspektoratu. Jest w dobrej kondycji, pełni funkcję prezesa działającego w ramach Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej środowiska 15 pp „Wilków”.

Zostało jeszcze kilku żołnierzy „Orlika” walczących w pierwszej linii aż do końca, którym dla jednych było aresztowanie, dla innych gorzki dzień złożenia broni: Henryka Lewandowska-Wawrzyniewicz („Iskra”), Zygmunt Czerniejewski („Drucik”), Lucjan Bernaciak („Janusz”), Stanisław Królik („Sosna”), Czesław Szlendak („Maks”), Zygmunt Kultys („Lis”), Bolesław Mikus („Żbik”), Henryk Gośniak („Cezary”).

Żyją Halina Rybakowska-Szule („Iskierka”), Zdzisław Marczak („Puchacz”), Edward Bednarczyk („Burza”), Adam Gawryjołek („Wiara”), Witold Lesicz

(„Lampart”), Piotr Pyt („Kwiatek”), Waldemar Burdżanowski („Szczupak”), Zygmunt Szlendak („Brzoza”), Zygmunt Kulik („Zemsta”), Stanisław Kulik („Salwa”), Jan Warowny („Wrona”).

255

Żyje Jerzy Skolimowski („Znicz”), w czasie okupacji partyzant że-lechowskiej 2 kompanii por. „Wrzoska”, absolwent szkoły podchorążych, w sierpniu 1944 r. wcielony do armii Berlinga. Aresztowany przez Informację zdołał uciec, przyłączył się do odtworzonego oddziału „Orlika” i dzielił z tym oddziałem jego późniejsze losy. Trzykrotnie ranny (raz w walce z Niemcami, dwukrotnie w starciach z NKWD i UB) ujawnił się na początku kwietnia 1947 r. w PUBP Garwolin. Później, jak tyłu innych, więziony był przez prawie pięć lat. Dziś por. Skolimowski, mimo że dawne rany ciągle dają mu boleśnie znać o sobie, jest prezesem Okręgu Warszawskiego Związku Inwalidów Wojennych RP.

Możliwe, że kogoś pominąłem. Jeśli tak, to proszę o wybaczenie.

Na palcach można policzyć pozostałych przy życiu skrobowskiaków, którzy po ucieczce z obozu znaleźli się w oddziale „Orlika”. Nasz dowódca por. Piotr Mierzwiński zmarł w Anglii 16 września 1981 r. Przedostał się tam przez zieloną granicę po pierwszej demobilizacji oddziału, która nastąpiła w sierpniu 1945 r. Ciężko chory, załamany psychicznie, z trudem stawał na nogi. Ale stanął. Założył rodzinę, zajmował się hodowlą drobiu, aktywnie działał w środowisku kombatanckim. Myślami jednak zawsze był w Polsce. Kontakt z nim udało nam się nawiązać dopiero w połowie lat siedemdziesiątych. W skierowanym do mnie liście z listopada 1977 r. sumitował się, że nie mógł przybyć na pogrzeb naszego towarzysza niedoli ze Skrobowa i towarzysza broni od „Orlika”, dowódcy 1 drużyny I plutonu, partyzanta o ogromnej fantazji i jeszcze większym męstwem, kpr. podch. Jerzego Michalaka („Świda”), który w tym czasie zmarł w Lublinie. Por. „Wierny” napisał wtedy:

„Wyrażam głęboki żal, że nie dane mi było oddać mu ostatniej posługi. Ale ja i grono moich najbliższych wiemy, że byłem na tym pogrzebie obecny, bo zawsze mam was w sercu i chodźcie ze mną wszędzie jak duchy”.

Gdy nastał czas pierwszej, jak to dziś mówimy, „Solidarności”, por. „Wierny” odmłodził i zaczął przygotowywać się do dłuższej wizyty w kraju. Zmarł nagle na trzy miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego. Może i lepiej. 13 grudnia 1981 r., gdy zgasła nadzieja rozbudzona w Sierpniu 1980, odczułby zapewne jako największą w swym trudnym życiu klęskę.

Kilku jeszcze trwa. Wśród nich ten, który rozpoczął akcję w Skrobowie, Zdzisław Jarosz („Czarny”), żołnierz Kedywu Inspektoratu Grodno i oddziałów partyzanckich 81 pp AK, operujących w Puszczy Augustowskiej, po „Burzy”, gdy próbował przedrzeć się do powstańczej War-

256

szawy, aresztowany przez NKWD, wcielony do stacjonującego na Majdanku 1 Dywizjonu Lotniczego, internowany następnie w Skrobowie. Po odejściu z oddziału

„Orlika” został skierowany do Białostockiego Okręgu WiN, gdzie przez okres ponad dwóch lat kontynuował walkę. Aresztowany w listopadzie 1947 dostał 12 lat więzienia. Kary śmierci i egzekucji uniknął tylko dzięki temu, że w UB jedynie fragmentarycznie znano powojenny rozdział jego biografii. Wyszedł na wolność w 1954 r., uznany przez zaprzyjaźnionych lekarzy za „nieuleczalnie chorego”.

W Szczecinie żyje dawny partyzant „Ostoi” i „Orlika”, Kazimierz Łukasik („Samopał”), który wyróżnił się męstwem w akcji w Skrobowie i w wielu późniejszych walkach; w Pułtusku — Tadeusz Czajkowski („Kotwica”), dawny żołnierz Kedywu z kresowego Czortkowa, wcielony później do 7 Pułku Artylerii Haubic, skąd trafił do Skrobowia, dziś inżynier architekt, przewodniczący Ciechanowskiego Okręgu SZŻAK. Dwóch jego przyjaciół, z którymi razem był w AK w Czortkowie, w wojsku, w Skrobowie i u „Orlika”, podchorążych Wilhelma Matwijewicza („Hiszpan”) i Kazimierza Henchena („Tygrys”) nie ma już wśród żywych. Oni przynajmniej zmarli na wolności, nie jak kpr. podch. Witold Klonowski („Karmelek”), który aresztowany wraz z autorem tej pracy w Gdańsku-Oliwie, zmarł w więzieniu.

Żyją natomiast: w Olsztynie — Eugeniusz Ruta („Gryf”), harcerz Szarych Szeregów i żołnierz AK z Kałuszyna; w Katowicach — Jerzy Lipnicki („Wilczur”), dawny partyzant oddziałów „Kmicica” i „Szarugi”; we Wrocławiu — Janusz Patocki („Zawisza”), dawny żołnierz AK z obwodu Węgrów; w Warszawie — Witold Retko („Podlasiak”), żołnierz AK z Sokołowa Podlaskiego, skazany w 1947 r. na 15 lat więzienia, z których, ze względu na ciężką gruźlicę, tylko kilka odsiedział. Dla porządku dodam jeszcze piszącego te słowa.

Zostało więc niewiele. A po tych, co odeszli, zostało jeszcze mniej. Trochę nagrobków, często symbolicznych, bo nie wiadomo, gdzie leżą ich kości, wyblakłych zdjęć, jakieś cząstkowe relacje. Ale została także pamięć. Zarówno wśród rodzin, jak i dawnych towarzyszy broni.

Pięknym jej przykładem jest pomnik na starym cmentarzu w Rykach na grobie kpr. podch. Zbigniewa Manysia („Kola”), poległego w tym mieście w czerwcu 1945 r. Wysiedlony wraz z matką i rodzeństwem z Poznania (ojca zamordowano w hitlerowskim obozie koncentracyjnym), przebywał w Warszawie, był żołnierzem „Baszty”, tuż przed Powstaniem wraz z grupą innych akowców został skierowany jako uzupełnienie do 27 Wołyńskiej Dywizji AK, stacjonującej wówczas w Lasach Parczewskich. Po jej rozbrojeniu, wrócił na Pragę, gdzie wcie-

łono go do wojska (24 p. art. samobieżnej I Korpusu Pancernego). Internowany w Skrobowie, po ucieczce u „Orlika”.

Gdy w 1989 r. opublikowałem w „Tygodniku «Solidarność»” relację o Skrobowie, stanowiącym do tego czasu całkowicie białą plamę i wspomniałem w niej o „Koli”, nawiązał ze mną kontakt wybitny pisarz i poeta, działacz opozycji demokratycznej Jerzy Ficowski. Okazało się, że był on wraz z „Kolą” w „Baszcie”, przyjaźnili się, a od chwili opuszczenia przez „Kolę” Warszawy zupełnie stracił jego ślad i nie miał pojęcia o tym, co się z nim działo. Jerzy Ficowski („Wrak”) walczył w czasie Powstania na Mokotowie. Tam zginął w połowie września 1944 r. brat

„Koli”, strz. Stanisław Manyś („Wyga”). Po wojnie Jerzy Ficowski przez wiele lat daremnie usiłował poznać późniejsze losy przyjaciela z AK. Pomagał mu w tym towarzysz broni z lat młodości, Stanisław Peliwo. To, czego Jerzy Ficowski dowiedział się o „Koli” z opublikowanej relacji, głęboko go poruszyło. Prosił mnie o pomoc w ustaleniu miejsca, w którym „Kola” został pochowany.

Udało się to dzięki nieocenionemu „Lisowi”. Grób na cmentarzu w Rykach był zaniedbany, niemal niewidoczny. Jerzy Ficowski wraz z kolegami doprowadził do jego uporządkowania i postawił na nim pomnik z napisem informującym kto w nim leży, kiedy i za jaką sprawę poległ. Rzadki to przypadek trwającej przez tyle lat pamięci o towarzysz broni.

Tych, co przeżyli, z pewnością wiele dziś dzieli: status społeczny, warunki bytowania. Ale więcej łączy: partyzancka solidarność, przyjaźń nawiązana w latach młodości. A przede wszystkim świadomość tego, że tamta walka — tak beznadziejna i straceńcza, która wielu z nich rujnowała życie — miała jednak sens.

Dziś łatwo z tym polemizować. Jesteśmy przecież mądrzejsi o lat pięćdziesiąt, wiemy, czym to się skończyło, wiemy, co działo się później. Ale wtedy tej wiedzy „żołnierze wyklęci” nie mieli. Wtedy wierzyli, że świat ich samych nie zostawi, na coś liczyli, żyli nadzieją odmiany polskiego losu. Nie godzi się więc przez pryzmat naszej dzisiejszej mądrości negatywnie oceniać postawy ludzi i ich działań sprzed półwiecza. Tym bardziej, że były to działania skuteczne, ffistoryk, którego nie można podejrzewać o sympatyzowanie ze zbrojnym podziemiem, tak o nich pisał*:

„Reakcyjna działalność band spowodowała, że powiaty Garwolin, Puławy i Kozienice w latach 1945-1947 należały do terenów najbardziej zagrożonych w skali całego kraju. Zahamowały one rozwój tych ziem, a przede wszystkim aktywność społeczną ludności. Zasadnicza działalność band, wymierzona głównie przeciwko członkom PPR, doprowadziła do tego, że jej organizacje, z wyjątkiem większych miasteczek, musiały przejść do pracy w warunkach w pół konspiracyjnych, a wzrost szeregów PPR został wstrzymany. Niektóre organizacje PPR po prostu rozpadły się. Wielu członków, w obawie przed zemstą band, wręcz złożyło legitymacje. Np. w pow. puławskim oddało legitymacje 676 członków, co stanowiło 25 proc. istniejącego stanu, w pow. kozie-nickim szeregi PPR zmalały do 40 proc.”

I dalej:

„Bandy zgrupowania działały nie tylko w okresie, kiedy nie było w terenie większych oddziałów wojska, lecz potrafiły dokonywać napadów i wówczas, gdy przeciwko nim były prowadzone większe operacje”.

Trudno, zaiste, o bardziej pochlebłą ocenę działalności „Orlika” i jego żołnierzy. Ale przecież, gdy patrzymy na nią dziś, z perspektywy tylu lat, to na pewno nie jest najważniejsze to, że w jej wyniku iluś członków PPR oddało partyjne legitymacje. Wkrótce znów wyciągali po nie ręce, a liczebności PPR-PZPR tamten popłoch nie zmniejszył. Nie o to, by pepeerowcy oddawali legitymacje, podziemie walczyło.

Gdy 23 września 1939 r. dopełnił się los I Wileńskiej DP Leg., elitarniej jednostki WP, zwanej przez Niemców „gwardią Piłsudskiego”, która swój chlubny szlak bojowy, prowadzący przez wiele pól bitewnych, zakończyła na południowej Lubelszczyźnie, pod Tarnawatką, zmiażdżona po zaciekłym oporze przez czołgi, artylerię i Stukasy, na krwawym pobojowisku, wśród trupów ludzi i koni, siedział na jaszczu poważnie kontuzjowany jej dowódca, gen. bryg. Wincenty Kowalski. Podeszli do niego oficerowie Wehrmachtu i zapytali, jaki był cel ostatniego, desperackiego natarcia jego żołnierzy, jeśli wiadome było, że ich sytuacja jest beznadziejna. Generał odpowiedział:

— Był bardzo wielki cel: bić się do końca o honor I Dywizji Legionów.

Oni myśleli podobnie. Kiedy już wszystkie nadzieje zgasły, to jedno im pozostało. Ale wówczas nie wiedzieli, że walczą nie tylko o honor Armii Krajowej, lecz i o coś innego.

Jan Nowak-Jeziorański, który tak wiele uczynił dla podtrzymania w Polakach wiary w to, że przyjdzie czas, gdy odzyskają swe wolne

259

i suwerenne państwo, mówił w 1974 r. na Zjeździe Delegatów Koła AK w Londynie:

„Nawet w latach stalinowskiej nocy, kiedy w podziemiach bezpieki potajemnie, nocami odbywały się egzekucje, a na wyższych kondygnacjach tego samego budynku, też potajemnie, toczyło się śledztwo przy użyciu najbardziej wyrafinowanych metod psychicznego i fizycznego torturowania ofiar, nawet wtedy, kiedy aresztowania nie oszczędzały nikogo, poczynając od prymasa Polski, a skończywszy na szarym człowieku, nawet w tych latach największego terroru opór trwał, przyjmując tylko inne formy”*.

Prawda. Należy jednak dodać, że to właśnie oni pierwsi ten opór stawili. W najtrudniejszym okresie, najbardziej ryzykując, najwyższą cenę płacąc. To wszystko, co działo się później — na powstaniu NSZZ „Solidarność” kończąc — z ich walki brało początek. I to jest najważniejsze.

Odchodzą coraz liczniej, wkrótce odejdą ostatni.

Zbigniew Kabata („Bobo”), syn legionisty, oficera zawodowego WP, kadet lwowski, żeglarz, poeta, jeden z najdzielniejszych partyzantów „Jędrusia”, dowódca plutonu ckm w 2 pp Leg. AK, podporucznik Armii Krajowej, kawaler Virtuti Militari, dziś światowej sławy parazytolog, zamieszkały bardzo daleko, bo w Pacific Biological Station w Nanaimo na wyspie Vancouver w kanadyjskiej prowincji Brytyjska Kolumbia, ale sercem i myślą zawsze obecny w Polsce, słusznie pisał w wierszu przysłanym mi zza oceanu:

*Gdy orzeł wreszcie odzyskał koronę, zastał już barki
wiekiem pochylone i siwe głowy. Gehenną przewlektą
życie jak struga przez palce przeciekło.*

Wiersz ten — *Pokolenie Kolumbów* — „Bobo” zakończył następującą strofą:

Wiąc zejdźmy godnie, nie szukajmy wzglądów. Do tych co padli

doszłusujmy rządów. Zostanie po nas, jak otwarta rana, karta historii nasza, krwią pisana.

Tak właśnie chcą odejść. Godnie. Ale chcą również, i mają do tego prawo, by w pamięci narodu jakiś ślad po nich został.

Skazani na śmierć i oczekujący egzekucji żołnierze AK, WiN i NSZ wierzyli — jak obrońcy Westerplatte ze znanego wiersza Konstantego Gałczyńskiego, którzy zapowiadali, że w środek Warszawy spłyną w dół — iż przyjdzie kiedyś dzień, gdy z tamtego brzegu zawitają do swych bliskich. „Naszą pieśnią wasz spokój skłócimy” — śpiewali w celach śmierci.

Nie, spokoju współczesnych, zajętych swymi sprawami, pamięć o tamtym czasie nie może zakłócać. Inna epoka, inne zainteresowania, inne problemy. Ale choćby w śladowej formie winna w nich być obecna. Tyle „żołnierze wyklęci” pragną. Tylko tyle i aż tyle.

18 maja 1994 r., w 50 rocznicę zdobycia przez Polaków Monte Cas-sino, padał tam ulewny deszcz, co wiosną rzadko się w słonecznej Italii zdarza. U stóp cmentarnego wzgórza, wśród mogił naszych żołnierzy, którzy od półwiecza proszą przechodniów o to, by powiedzieli Polsce, że polegli wierni w jej służbie, odbywała się podniosła uroczystość.

Ksiądz arcybiskup Szczepan Wesoły czytał wystosowane z tej okazji posłanie Ojca Świętego. Jan Paweł II pisał w nim, że do wspomnień o tym zwycięstwie trzeba dołączyć prawdę „o wszystkich Polakach i Polkach, którzy w rzekomo własnym państwie stali się ofiarami totalitarnego systemu”.

„Trzeba wspomnieć — powtarzał arcybiskup słowa papieża — wszystkich zamordowanych rękami także polskich instytucji i służb bezpieczeństwa, pozostających na usługach systemu, przyniesionego ze Wschodu. Trzeba ich przynajmniej przypomnieć przed Bogiem i historią, aby nie zamazywać prawdy o naszej przeszłości w tym decydującym momencie dziejów”.

Trzeba ich przynajmniej przypomnieć. To właśnie pragnąłem uczynić, pisząc tę książkę.

Warszawa, maj-wrzesień 1995